



KOLEK NA DACHU

KRONIKI
ŻELAZNEGO
DRUIDA

KEVIN HEARNE

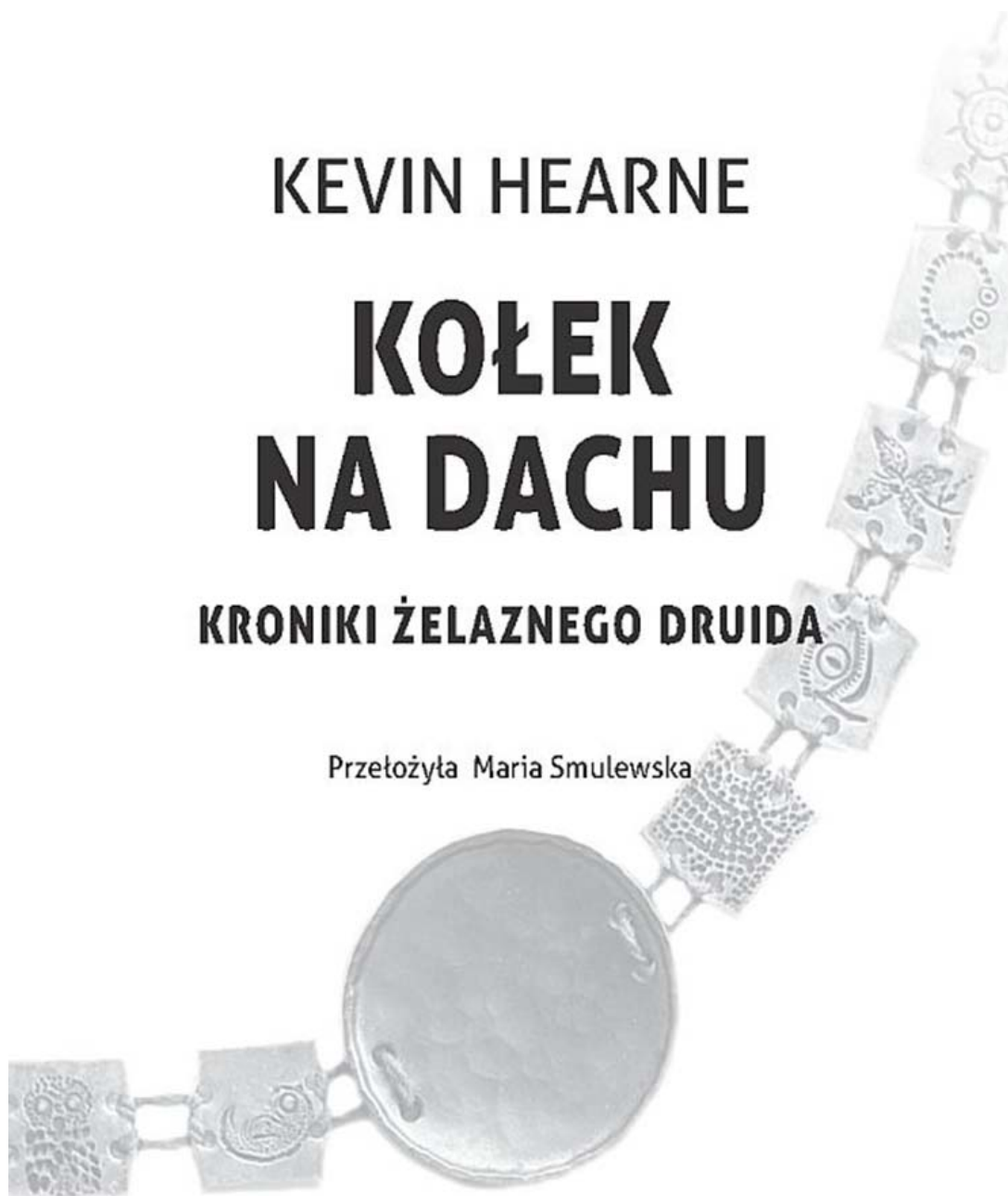


KEVIN HEARNE

KOŁEK NA DACHU

KRONIKI ŻELAZNEGO DRUIDA

Przełożyła Maria Smulewska



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS



Nigelowi w Toronto

Nota od autora

Tom ten zaczyna się w bardzo innym miejscu, niż kończy się *Nóż w lodzie*. Jeśli przegapiliście opowiadanie *A Prelude to War** [Preludium wojny], być może dobrze by było je najpierw przeczytać, żeby lepiej zrozumieć, dlaczego pierwsze rozdziały zaczynają się tak, jak się zaczynają, i o co właściwie chodzi z Lokim i Mekerą. Opowiadanie to można znaleźć w miniantologii *Three Slices*, jako e-booka albo audiobooka. Inne wyjście jest oczywiście takie: jeśli nie macie cierpliwości do szukania *Preludium*, to od razu rzućcie się na *Kołek na dachu* i tyle.

Muszę tu podziękować wielu ludziom z zagranicy za pomoc w dopracowywaniu szczegółów, ale wszelkie błędy, jakie znajdziecie w tej książce, są oczywiście moje i tylko moje.

Dziękuję Jakobowi i Simonowi z Otherland Buchhandlung za niemieckie fragmenty i Florianowi Spechtowi za pomoc w poruszaniu się po Berlinie; dziękuję Robowi Durdle'owi za wsparcie z francuskim; i wielkie podziękowania dla Grzegorza Zielińskiego za pokazanie mi Warszawy i namierzenie domu Maliny Sokołowskiej oraz wiadomej topoli czarnej na Polu Mokotowskim; wielkie podziękowania należą się także Adrianowi Tomczykowi za towarzystwo i wsparcie translatorskie w Poznaniu oraz dalszą pomoc językową, gdy już wróciłem do domu. Dziękuję moim niesamowitym polskim czytelnikom, którzy powitali mnie na Pyrkonie i byli tacy kochani. Tomáš Jirkovsky i Martin Šust niech przyjmą podziękowania za świetną zabawę w Pradze i Brnie. Jestem bardzo wdzięczny Ester Scoditti za oprowadzenie mnie po Rzymie. Mega-turbo-gonzopodziękowania należą się Nadine Kharabian za spacer po upiornych zakątkach jej niesamowitego miasta – tam wreszcie dowiedziałem się, dlaczego nikt nigdy nie chciałby być Nigelem w Toronto. I wielkie ukłony dla dobrych ludzi z Royal Conservatory of Music przy Bloor Street za cierpliwe znoszenie moich pytań o Czerwoną Damę.

Tricia Narwani nadal jest geniuszem, nie redaktorką, i mam niesamowite szczęście, że pracuję z nią i całym zespołem Del Rey.

Oraz wielkie podziękowania dla moich czytelników za odzywanie się online i osobiście, za świetną zabawę w cosplay, za nadawanie swoim szczeniakom imion

Oberon i Orlaith i za wszystkie inne nieznośnie niesamowite rzeczy. Wszystkim Wam należy się po kiełbasce. Z sosikiem.

W kawiarni w Denver, sierpień 2015

* Ukaże się nakładem DW REBIS, wraz z ośmioma innymi, uzupełniającymi „Kroniki Żelaznego Druida”.

W poprzednich tomach

Atticus O’Sullivan, urodzony w 83 r. p.n.e. jako Siodhachan Ó Suileabháin, przez większość swojego długiego druidzkiego życia uciekał przed jednym z bogów Tuatha Dé Danann – Aenghusem Ógiem, który chciał odebrać mu Fragaracha, magiczny miecz ukradziony przez Atticusa w drugim wieku naszej ery. To, że Atticus posiadał sztuczkę utrzymywania wiecznej młodości i nijak nie chciał umrzeć, doprowadzało irlandzkiego boga do szału.

Kiedy Aenghus Óg znalazł Atticusa w jego kryjówce, w Tempe w Arizonie, Atticus podjął przełomową decyzję – postanowił walczyć, zamiast znów uciekać, i w ten sposób nieświadomie uruchomił całą lawinę następstw, które spadają na niego mimo jego najszczęśliwszych chęci, by siedzieć cicho i nikomu nie wchodzić w drogę.

W pierwszym tomie pod tytułem *Na psa urok* Atticus wyłowił naszyjnik, w którym skryła się hinduska wiedźma Laksha Kulasekaran; zyskał uczennicę – Granuaile – oraz odkrył, że jego zimne żelazo w aurze stanowi całkiem skuteczną ochronę przed ogniem piekielnym. W końcu udało mu się też pokonać Aenghusa Óga (choć nie bez znaczącej pomocy Morrigan, Brighid i miejscowej watahy wilkołaków). Przy okazji jednak spowodował poważne szkody wśród grupy czarownic, które nie były może szczególnie sympatyczne, ale jednak chroniły Phoenix i okolice od jeszcze gorszych drapieżników.

Raz wiedźmie śmierć, czyli drugi tom serii, opisuje zmagania Atticusa z tą sytuacją – konkurencyjny i zarazem o wiele bardziej niebezpieczny sabat próbuje przejąć terytorium Sióstr Trzech Zórz, a do tego w Scottsdale załęgły się bachantki. Atticus decyduje się na pakt z Lakshą Kulasekaran i wampirem Leifem Helgarsonem, żeby z ich pomocą uwolnić miasto od tych zagrożeń.

W tomie trzecim – *Między młotem a piorunem* – nadchodzi czas, by zapłacić za te przysługi. Zarówno Laksha, jak i Leif chcą, żeby Atticus wybrał się na wyprawę do Asgardu i wywiódł skandynawskich bogów w pole. Atticus organizuje więc ekipę twardzieli i napada na nordyckie zaświaty – w sumie aż dwa razy – ignorując przy tym ostrzeżenia Morrigan i Jezusa Chrystusa, którzy twierdzą, że jest to bardzo zły pomysł i lepiej byłoby już nie dotrzymać danego słowa.

Wszystko to kończy się epickich rozmiarów jatką i poważnymi stratami po stronie Azów, w tym śmiercią Norn i Thora oraz kalectwem Odyna. Wraz z wyeliminowaniem z gry Norn, które były dotąd odpowiedzialne za przeznaczenie, diabli biorą wszystkie stare przepowiednie – również te dotyczące Ragnaröku, który może się zacząć w każdej chwili, bo Azowie niewiele mogą teraz zrobić, by powstrzymać nieczne plany Hel. W dodatku fiński bohater Väinämöinen nieświadomie przypomina Atticusowi o jeszcze innej przepowiedni – wypowiedzianej dawno temu przez syreny w rozmowie z Odyseuszem – i druid ma złe przeczucie, że za trzysta lat świat spłonie, co być może oznacza jakąś nową wersję Ragnaröku.

W obawie przed skutkami swoich błędów, a zarazem potrzebując czasu na dokończenie szkolenia uczennicy, Atticus pozoruje swoją śmierć. Pomaga mu w tym Kojot – w tomie czwartym pod tytułem *Zbrodnia i Kojot*. Zgodnie z najgorszymi oczekiwaniami druida rzeczywiście pojawia się Hel i, co gorsza, proponuje Atticusowi przejście na ciemną stronę mocy, bo przecież i tak zabił już tylu Azów. Atticus pozbawia ją wszelkich złudzeń w tej sprawie, ale zaraz potem sam zostaje wystrychnięty na dudka przez Leifa Helgarsona i ledwo udaje mu się uniknąć śmierci z rąk prastarego wampira imieniem Zdenik. Książka kończy się przynajmniej nadzieją na to, że Atticusowi uda się dokończyć nauczanie Granuaile w spokoju, jaki daje im anonimowość.

W opowiadaniu *Dwa kruki i jedna wrona* z długiego snu budzi się Odyn, który doprowadza do rozejmu z Atticusem, wymuszając na nim zobowiązanie, że podczas ewentualnego Ragnaröku przejmie on obowiązki Thora, a przedtem jeszcze załatwi kilka spraw niecierpiących zwłok.

Po dwunastu latach nauki Granuaile jest gotowa do splecenia z ziemią, ale wszystko wskazuje na to, że wrogowie druida tylko czekali, żeby wreszcie wyszedł z ukrycia. W tomie piątym – *Kijem i mieczem* – Atticus musi się użerać z wampirami, mrocznymi elfami, faeriami i rzymskim bogiem Bachusem, aż w tym zamieszaniu ściąga na siebie uwagę jednego z najstarszych i najpotężniejszych panteonów tego świata.

Gdy Granuaile jest już pełnoprawną druidką, muszą z Atticusem uciekać przez całą Europę przed strzałami Diany i Artemidy, które obraziły się na nich śmiertelnie za złe potraktowanie Bachusa i kilku driad z Olimpu. Morrigan poświęca się, żeby dać Atticusowi szansę ucieczki, i tak zaczyna się tom szósty – *Kronika wykrakanej śmierci*. Biegając i walcząc ze wszystkimi mocami, które

zmówiły się przeciwko niemu, Atticus dociera wreszcie do Anglii, gdzie udaje mu się zdobyć pomoc Herna Myśliwego oraz irlandzkiej bogini łowów Flidais. W końcu wspólnie dają radę pokonać Olimpijczyków i wynegocjować niepewny sojusz przeciwko Hel i Lokiemu. Atticus odkrywa też, że jego archdruid przez wszystkie te stulecia tkwił na jednej z Wysp Czasu w Tír na nÓg, lecz gdy go stamtąd wyciąga, jego stary nauczyciel jest w równie wszawym nastroju co zawsze.

W tomie siódmym, *Nóż w lodzie*, archdruid Owen Kennedy zaprzyjaźnia się z wilkołakami z Tempe i pomaga Atticusowi i Granuaile uniemożliwić zamach stanu w Tír na nÓg. Granuaile przechodzi ciężką próbę w starciu z Lokim, co zmienia ją raz na zawsze, a wysłannik pradawnego wampira Theophilusa atakuje jednego z najstarszych przyjaciół Atticusa.

We wspomnianym opowiadaniu *A Prelude to War* Atticus konsultuje się w Etiopii z wybitną tyromancerką, która ma mu doradzić, jak najlepiej odpowiedzieć na ataki wampirów, a Granuaile znów spotyka Lokiego, ale tym razem to ona zastawia na niego pułapkę.

I gdzieś po drodze była też chyba mowa o pudlicach i kiełbasie.

Rozdział 1

Nie miałem czasu na prawdziwie dramatyczny napad na bank. Nie miałem nawet żadnych fajnych ciemnych okularów. Musiał mi wystarczyć soundtrack w stylu Tarantina – wiecie: tłusty bas i gitara daje *łaka-czaka-łaka-czaka* – a i to tylko w mojej głowie. Biegłem po asfalcie i nie opuszczało mnie nieprzyjemne uczucie, że ktoś ma wojerystyczną uciechę z oglądania zbliżenia na moje stopy.

Mój plan też nie należał do najbardziej dopracowanych. Właściwie ograniczał się do tego, że mam do pomocy żywiołaka żelaza – Ferrisa – który jest gotów zrobić dla mnie wszystko, ponieważ wie, że w niedalekiej przyszłości nakarmię go jakąś magią. Być może trafi mu się dzięki mnie faeryczna przekąska albo inny zaczarowany wihajster. Ferris uważa, że to bardzo słodkie z mojej strony – magia działa na niego dosłownie jak cukier na dzieci. Zanim więc wyruszyłem, skontaktowałem się z nim poprzez ziemię w parku i wyjaśniłem mu plan. Będzie musiał przesuwac się moim tropem pod martwymi fundamentami Toronto, aż dam mu znak do działania, ale dla niego akurat nie była to aż taka trudna sztuka jak dla większości żywiołaków. Tyle betonu wzmacnia się teraz prętami, że Ferris ma nawet dość siły, żeby przepychać się przez martwe podbrzusza współczesnych miast.

Oberona i buty zostawiłem w jakimś zacienionym zaułku, rzuciłem na siebie kamuflaż i dopiero wtedy wyszedłem na ruchliwe skrzyżowanie ulic York i Front w Toronto, bo aż roiło się tu od kamer, które w innym razie mogłyby mnie nagrać – i nie mam tu na myśli tylko tych należących do Royal Bank of Canada. Do banku wślizgnąłem się, gdy tylko go otworzyli, żeby znaleźć się tam tam przed wszelkimi innymi interesantami. Ferris podążał za mną pod ulicą. Czułem jego szum pod bosą stopą prawej nogi.

Kolesie od ochrony trwali na swoich stanowiskach w holu, nie mieli jednak przy sobie żadnej broni. Nie tkwili tam bowiem, żeby powstrzymywać ludzi od popełniania przestępstw, tylko żeby być świadkami tychże przestępstw i móc dostarczyć potem uprzejmych, acz niszczących delikwenta z kretesem zeznań. Kanadyjczycy wolą namierzać rabusiów post factum i dorwać ich, gdy są sami, niż narażać życie obywateli obecnych w banku. Można by mieć wątpliwości, na co komu ochrona, jeśli tylko sobie stoi z założonymi rękoma, ale to błąd. Kamery

nigdy bowiem nie wyłapią wszystkiego. Zdarza się, że w ogóle nie działają, bo na przykład napastnik ma w swojej drużynie złośliwego anarchistę-hakera z lekką fiksacją na punkcie lizaków czy coś w tym stylu. Ale nawet jeśli kamery są włączone i nagrały całą akcję, ochroniarze zawsze wyłapią szczegóły, które mogą umknąć kamerom – głosy, kolor oczu, szczegóły ubrania i tym podobne.

Na prawo od okienka kasjera znajdowały się drzwi do sejfu. Nikt jeszcze dziś nie prosił o dostęp do skrytki. Poczekałbym i wślizgnąłbym się za kimś, tylko że nie miałem czasu, bo mój kamuflaż tyle by nie wytrzymał. A zegar tykał – przydatność mojego skarbu była ograniczona czasowo. Im szybciej go zdobędę, tym więcej szkód dołmam wyrządzić. Pokazałem więc Ferrisowi owe drzwi i poprosiłem go ładnie, żeby je rozmontował. Niech się zaczyna alarmu harce.

Wspaniały to zaiste widok, jak ludzie wpadają w totalną panikę, tylko dlatego że drzwi do sejfu nagle rozsypały się w proch. Soundtrack w mojej głowie wszedł na wyższy bieg, gdy przełaziłem nad pozostałościami drzwi, żeby się zmierzyć z kolejną przeszkodą – szybą, za którą widziałem już skrytki sejfowe. Szkło wytrzymałoby ostrzał z lepszej broni, ale nie było dość grube, by oprzeć się cięższemu kalibrowi. Ferris nie mógł tym razem rozłożyć całych drzwi, to jednak nie było konieczne. Sam zamek był metalowy, mógł więc go z łatwością stopić. I tak zrobił. Pchnąłem drzwi i zacząłem szukać skrytki numer 517. Znajdowała się na lewo, tuż nad podłogą. Była szeroka, płytka, płaska, z jednym zamkiem na klucz klienta i jednym na klucz banku. Dzięki pomocy Ferrisa pozbyłem się obu zamków i otworzyłem skrytkę. Wyciągnąłem z niej cienki binder na trzy kółeczka i wrzuciłem go do mojego zakamuflowanego plecaka, nim ktokolwiek zdążył wejść do sali. Kopnąłem kłapkę skrytki, żeby ją zamknąć, i w tej chwili na progu stanęło dwóch ochroniarzy. Zajrzeli ostrożnie do środka i zobaczyli, że szklane drzwi są otwarte. Jeden z nich był wysoki i misiowaty, a drugi był twardym, muskularnym Latynosem.

– Halo? – odezwał się Misiowaty. – Jest tu kto?

Jego kolega z góry założył, że ktoś musi być.

– Gdziekolwiek się ruszysz, kamera to nagra – ostrzegł. – Nie masz się jak ukryć.

A wcale że nieprawda.

– Niby dlaczego miałyby się tym przejąć? – spytał Misiaczek. – Chcesz go przekonać, że ma przestać tylko dlatego, że jest obserwowany?

– Coś przecież muszę powiedzieć, nie? – syknął Twardziel. – A ty niby co byś powiedział?

– Jeśli poddasz się teraz, nie będziemy do ciebie strzelać! – zawołał Misiaczek.

– Ale jeśli uciekniesz, to wyślą za tobą facetów ze spłuwami.

– Ale z ciebie ciota, Gary – mruknął Twardziel.

Gary – imię znacznie lepsze niż Misiaczek – aż zamrugał.

– Że co przepraszam?

– Powiedziałem, że masz rację, stary. To właśnie powinienem był powiedzieć do włamywacza, którego nawet nie widzimy.

Gary nie wyglądał na przekonanego, że za pierwszym razem się przesłyszał, ale ten twardszy nie dał mu czasu na drażnienie tematu.

– Może wszedł do prywatnej sali, tam z tyłu – powiedział, przekroczywszy próg.

Obejrzałem się i zobaczyłem kolejne drzwi na tyłach skarbca. W normalnej sytuacji klienci wyciągają pewnie swoje skrytki, wchodzi do osobnej sali i tam do woli pieścą czule depozyty, póki nie zachce im się ich znów schować przed światem. Twardziel ruszył w kierunku tych drzwi, przywarłem więc do ściany ze skrytkami, żeby mógł mnie minąć. Gary ruszył za nim, ale zatrzymał się przy szklanych drzwiach. Stał tak, blokując mi wyjście i dumając nad zniszczonym zamkiem.

– Ktoś musi tu być – stwierdził. – Takie rzeczy nie dzieją się przecież same.

Twardziel nacisnął klamkę drzwi do prywatnej sali i odkrył, że są zamknięte. Wbił kod otwierający zamek, pchnął drzwi i zajrzał do środka.

– I co, Chuy? – spytał Gary, zdradzając mi przynajmniej imię kolegi.

– Nic.

– No to co tu się, do diabła, dzieje? To jakiś ninja czy co?

Ale Oberon by się ucieszył, gdyby to słyszał! Mało nie pisałem z uciechy, co by niechybnie zdradziło moją obecność – gdyby chłopcy wpadli na to, żeby wyłączyć alarm i nasłuchiwać. Elektroniczny hałas bowiem świetnie tuszował wszelkie odgłosy, podszedłem więc tuż do Gary’ego. Utrzymywałem kamuflaż tylko na energii z niedźwiedziego charmsa i naprawdę nie mogłem dłużej czekać, żeby się ruszył i dał mi przejść. Poza tym zaraz dotrze na miejsce prawdziwa policja, a nie miałem ochoty użerać się jeszcze z nimi.

Pchnąłem Gary’ego mocno przez próg i na lewo, żeby odsłonić sobie drogę do stopionych drzwi.

– Chuy wyzwalał cię od ciot, Gary – szepnąłem, mijając go. – Sam słyszałem.

Zaśmiałem się, wiedząc, że będzie musiał umieścić to w swoim zeznaniu, jako że były to przecież słowa sprawcy rabunku.

Za moimi plecami rozległy się przekleństwa i złorzeczenia obu strażników. Przed wejściem do sali ze skrytkami stał i rozmawiał przez komórkę z policją ktoś, kto wyglądał na dyrektora placówki.

– Tak, przepraszam, ale w naszym banku dzieje się coś dziwnego. Drzwi się stopiły. Bardzo przepraszam.

Zgodnie z protokołami bezpieczeństwa drzwi wejściowe do banku zamknęły się oczywiście automatycznie, gdy tylko włączył się alarm, ale Ferris znów mi pomógł i już po chwili byłem na ulicy. Cokolwiek zdołały zarejestrować kamery, z pewnością nie wystarczy, by mnie zidentyfikować.

Podziękowałem Ferrisowi za pomoc i poprosiłem go, żeby pozostał w okolicy, to załatwię mu coś w nagrodę. Nim stąd zniknę, muszę wykombinować dla niego jakiś smakołyk.

<Ale szybko ci poszło> powiedział Oberon przez nasze mentalne połączenie, gdy w zaułku zrzuciłem kamuflaż i podrapałem go pod brodą. <Nie zdążyłem nawet uciąć sobie drzemki>.

– Tylko tak się to dało zrobić. Każda sekunda dłużej na miejscu zbrodni zwiększa ryzyko złapania. Gotów na małe śniadanko?

Oberon nie jadł nic od naszego krótkiego pobytu na równinach etiopskich. To tam właśnie dowiedziałem się o istnieniu notatnika, który właśnie teraz ukradłem. Pewna znajoma tyromancerka o imieniu Mekera wskazała mi, gdzie go znaleźć. Żeby mogła to zrobić, musieliśmy upolować jej trochę podpuszczki, ale nie poczęstowała nas już potem niczym.

<Jasne, że gotów! Atticusie, czy kiedykolwiek było inaczej?>.

– No rzeczywiście.

Wiedziałem, że standardowe procedury rabowania banku nakazują niezwłocznie ukryć się potem w bliżej nieokreślonej hali, hurtowni czy czymś podobnym, ale my powędrowaliśmy do kawiarni Tim Hortons – zwanej pieszczotliwie Timmie's – bo miałem ochotę na coś gorącego i kawopodobnego, a nie targałem przecież ze sobą wielkiej płóciennej torby z banknotami, która jednoznacznie naznaczałaby mnie jako nikczemnego kryminalistę. Miałem tylko plecak i irlandzkiego wilczarza na smyczy, wyglądałem więc raczej jak student niż

tajemniczy złodziej, któremu udało się pokonać zabezpieczenia znajdującego się w samym sercu Toronto oddziału Royal Bank of Canada.

Timmie's na York Street kusił jaskrawym daszkiem w żółto-zielone pasy, hydrantem przeciwpożarowym na wypadek, gdyby w ogniu stanął cały ten tłuszcz z pączków, oraz bardzo dla nas przydatnym drogowskazem informującym, gdzie znajduje się najbliższy parking.

– Jakie boskie mięsko życzysz sobie na śniadanie? – spytałem Oberona, przywiązawszy go do drogowskazu.

<Religia mięsa nie ma żadnego wpływu na jego smak> odparł mój pies tonem cierpliwego pedanta.

– Że co?

<Boski bekon i nieboski bekon smakują zupełnie tak samo, Atticusie>.

– Dobrze. Zatem bekon. A teraz bądź grzeczny dla ludzi, którzy będą patrzeć na ciebie z przerażeniem. Żadnego sikania na hydrant i żadnego szczekania.

<Eeej! Kiedy oni tak fajnie podskakują. Czasem nawet wydają takie zabawne piski>.

– Wiem, ale nie możemy teraz zwracać na siebie uwagi. – Syreny już odbijały się echem w szklanych i stalowych kanionach centrum miasta. Policja zjeżdżała się do banku ze wszystkich stron. Samochody będą tam już za parę chwil, ale pierwsi dotrą pewnie na miejsce ci dwaj gliniarze na rowerach, którzy jechali właśnie York Street w zupełnie odwrotnym kierunku, niż powinni. – Zaraz wracam, to się najemy.

Nastolatka przy kasie spojrzała na mnie dość krytycznie, gdy zamówiłem pięć kanapek z bekonem i jajkami, a do tego pączka, którego lukier miał kolory zwykle zarezerwowane dla ostrzeżeń o zagrożeniach biologicznych. Dosłownie widziałem to w jej oczach: „Niezły przystojniak jak na rudego, ale nie ma pojęcia o zdrowym odżywianiu”.

Tylko że – jak by powiedział Oberon – należał mi się przecież jakiś smakołyk. Wziąłem więc bordowy kubeczek z kawą i torbę tłustych kanapek i siadłem przy moim psie na chodniku. Rozpakowałem mu śniadanie, a tymczasem z kawiarni zaczęły wynurzać się ludzie ciekawi, co też wywołało taką ekscytację policji.

– Kto by pomyślał, Ed – odezwał się facet za mną. Nie było go tu, kiedy wchodziłem. Obejrzałem się szybko przez ramię. Stał z kolegą przy wejściu do kawiarni. Obaj mieli takie same bordowe kubeczki jak ja. Obaj ubrani byli w

dżinsy, ciężkie robotnicze buty i lekkie kurtki. – Syreny! Znaczą przestępcy. W Trahno.

Uśmiechnąłem się na tę lokalną wymowę nazwy miasta.

– Ano – odparł Ed.

Czekałem na ciąg dalszy, ale Edowi chyba wyczerpały się przemyślenia na ten temat.

<Hej!> rzucił oskarżycielskim tonem Oberon, gdy pochłonął pierwszą kanapkę. <Atticusie! To jest bekon!>.

Przecież chciałeś bekon, prawda? – odpowiedziałem mu przez połączenie mentalne, bo nie chciałem, żeby Ed i jego kumpel zaniepokoiili się, że jakiś szalowiec gada do psa.

<Ale myślałem, że to będzie bekon kanadyjski! To nie jesteśmy w Kanadzie?>.

Jesteśmy, ale trochę przekombinowałeś. Kanadyjczycy wcale nie nazywają wędzonych polędwiczek wołowych „bekonem kanadyjskim”. Tak samo zresztą jak Belgowie nie mówią na gofry: „gofry belgijskie”.

<Hmm. I tak mi smakuje. Dzięki!>.

Zjadłem pączka, popiłem kawą i wyciągnąłem z plecaka przyczynę całego tego zamieszania – notatnik z nazwiskami i adresami, w dużej mierze zagranicznymi. Nie było tu żadnej tytułowej strony, która by wyjaśniała ich znaczenie, ale za to ułożone były w porządku alfabetycznym, otworzyłem więc na stronie z H. Znalazłem na niej między innymi Leifa Helgarsona i jego nieaktualny już adres w Arizonie. Dzięki temu dowiedziałem się dwóch rzeczy – zgodnie z moimi oczekiwaniami był to notatnik zawierający adresy wszystkich wampirów na całym świecie, przechowywany offline, a zatem nie do zhakowania. Lecz znajdujące się w nim dane były sprzed kilku dobrych miesięcy. Leif był wampirzym panem słonecznej Arizony wtedy, gdy splatałem Granuaile z ziemią, ale od tego czasu co najmniej dwa razy pojawił się w Europie – raz w Grecji i raz we Francji. A także w Niemczech, jeśli liczyć te kilka słów skreślone jego pismem. Nie ulegało wątpliwości, że się przemieszcza, i pewnie tak samo było z wieloma innymi wampirami z tej listy, odkąd nasłanem na nie faerycznych płatnych morderców. A gdy tylko dowiedzą się, że ukradziono ten notatnik, na pewno się całkiem rozpierzchną. Jeśli więc miałem mieć z niego jakikolwiek pożytek, musiałem działać bardzo szybko, nim się zorientują, że go mam. Pendrive z plikiem znacznie ułatwiłby mi życie, ale właśnie o to chodziło, żeby hakerzy nie mieli zbyt łatwo, z pewnością więc istniała tylko ta jedna papierowa wersja.

Pierwsi się o tym dowiedzą i być może rozpuszczą wieść o kradzieży właściciele skrytki depozytowej – Theophilus oraz skrytobójcza pijawka Werner Drasche. Ten drugi znajdował się pewnie jeszcze w Etiopii, gdzie widziałem go po raz ostatni. Klnąc po niemiecku, załatwiał sobie z pewnością lot do Toronto. Theophilus nie pofatygowałby się przez cały ocean, żeby mnie gonić. Tego byłem pewien.

Przerzuciłem kartki do T, ale nie znalazłem danych Theophilusa. Cholera. Albo widniał tu gdzieś pod innym imieniem lub nazwiskiem, albo lista była jednak niepełna.

– Pozwolicie mnie siedzieć razem z wami, O’Sullivan? – zapytał ktoś z rosyjskim akcentem.

Obróciłem się natychmiast. Od lat nikt nie powinien się do mnie tak zwracać. Za mną stał chasydzki Żyd, cały na czarno, w jednej ręce kawa, w drugiej mała papierowa torebka. Kiedy ostatni raz go widziałem, jego broda była czarna, ale teraz miała już siwe pasma po obu stronach.

– Rabin Yosef Bialik – wybąkałem. – Co rabin tu robi?

– Miałem nadzieję *zawtrakać* w miłym towarzystwie – odparł. – Ja was zapewniam, że nie chcę walczyć. Nasze konflikty są sprawą przeszłości, *panimajecie?*

– Rabin jest sam? – upewniłem się, wzrokiem już szukając innych postaci w czerni i z uzbrojonymi brodami. Kiedy spotkałem go ostatni raz, a było to ponad dziesięć lat temu, wyskoczył na mnie z całym gangiem Młotów Boga.

– *Da*, ja sam.

– Dobrze. W takim razie proszę sięść i powiedzieć mi, czego rabin ode mnie chce.

Położył torbę obok mojej, a potem podparł się ręką, żeby ni to przysiąść, ni to opaść na chodnik.

– Starość nie radość – stęknął. – Swoją drogą wy się nieźle trzymacie, O’Sullivan. Wy się nic nie zmienili. Ja nie *panimaju*, jak wy to robicie.

– Powiem, jeśli mi rabin powie, skąd wiedział, że tu będę. Jestem w mieście ledwie parę godzin.

– E, *eto* proste. Przecież Młoty Boga po to są, by polować na czarownice.

– No i?

– My jesteśmy wyczuleni na używanie magii. Wszelkiej magii. Zatem choć ja nie potrafię namierzyć was osobiście, czuję każdą magię w okolicy. A z waszą

magią miałem już przecież kiedyś styczność. Ona ma taki charakterystyczny posmak. Wy użyli jej wiele razy kilka przecnic stąd.

– A rabin w Toronto tak zupełnie przypadkiem?

– *Da.* Ja tu teraz mieszkam. Emerytura.

– Emerytura? Tu?

Wzruszył ramionami.

– Toronto to duże miasto. *Mnogo* ludzi i jedzenia. Mało jakiegokolwiek diabelstwa, *kak* nie liczyć władz lokalnych. Drużynę hokeja oni mają marną, ale nie można przecież mieć wszystkiego. Ja się ożenił jakiś czas temu. *Żena* jest stąd.

– O! Moje gratulacje.

– *Spasiba.*

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Cieszę się, że rabina widzę, szczególnie że nie próbuje mnie rabin zabić, ale... czego rabin właściwie ode mnie chce?

Sięgnął po torbę i wyciągnął z niej bajgla z ziarnami i serkiem topionym. Torba głośno zaszeleściła. Rabin w milczeniu zgniótł ją w kulę i odłożył obok siebie.

– Ja chciałem tylko uczciwego ostrzeżenia, jeśli ma się tu zaraz stać coś strasznego. Wy i nieszczęścia pasujecie do siebie jak pikle do kanapki.

O nim można było powiedzieć dokładnie to samo, ale ugryzłem się w język.

– Nic się nie stanie – zapewniłem go. – W każdym razie niczego nie planuję. Zostaję tu tylko na kilka dni.

– W tej sytuacji proszę tylko przyjąć moje przeprosiny.

– Przeprosiny? Za co?

<Za to, że mnie nigdy niczym nie poczęstował>.

Oberonie, on cię pierwszy raz na oczy widzi.

<A co to ma do rzeczy? To kwestia grzeczności>.

O grzeczności pogadamy potem.

– Za moje zachowanie przed laty – wyjaśnił rabin. – Ja się dopuściłem czynów niewybaczalnych.

– Ma rabin na myśli to, że zabił najmłodszą, najsłabszą z Sióstr Trzech Zórz tymi swoimi cholernymi mackami na brodzie à la Cthulhu... przepraszam. Trochę mnie poniosło. Po prostu wciąż mam przez to koszmary.

– *Panimaju.* Mnie się należy. To właśnie to nasze spotkanie i następne... z tym mężczyzną, co to twierdził, że jest Jezusem...

– Yyy. To był Jezus.

– Jeśli wy tak *dumajecie*...

– No raczej myślę, że on by sam powiedział, że to nie żadna wydumana kwestia. Gwoli ścisłości, jego istnienie nie neguje ani nie unieważnia, a tym bardziej nie podważa istnienia boga rabina. Ani żadnego z moich bogów, ani w ogóle niczyjego. On po prostu sobie istnieje. Tak jak Jahwe. Jak Brighid. Jak Odyn i reszta.

Rabin skinął głową, a jego broda, bogom dzięki, nie poruszyła się samoistnie.

– Teraz już ja to *panimaju*. Ale wtedy ja nie potrafił. To wymaga pewnej elastyczności myśli, wy *panimajecie*? Pewnej otwartości na ideę, że ludzie muszą podążać własną ścieżką, która prowadzi ich do wybawienia. A nie koniecznie iść za mną po mojej, *da*? Moja wiara zaprowadziła mnie za daleko. – Pokręcił głową. – Trudno mi w ogóle myśleć teraz o sobie z tych młodszych lat. Wzdrygam się na samo wspomnienie. Ja był pełen gniewu. Ja stracił kontemplacyjny kabalistyczny spokój. Lecz właśnie między innymi te spotkania z wami i obserwowanie z daleka, jak Siostry Trzech Zórz zachowywały się potem, sprawiły, że ja wiele rzeczy przemyślał na nowo. Ja *poniał*, że ja je źle ocenił. Że ja w ogóle nie powinienem był ich oceniać. To nie mój biznes, tym niech się zajmuje istota doskonała, *da*?

– Pewnie tak. Czy to znaczy, że Młoty Boga już nie będą polować na czarownice? A co z tym wersem w Księdze Wyjścia, który mówi, że nie można pozwolić żyć czarownicy?

Wziął łyk kawy, po czym odpowiedział:

– Niektórzy nadal w to wierzą. Ja osobiście nie. Lecz mnie się udało przekonać wielu, by się skupili na czystym złu, na demonach na przykład. To o wiele rozsądniejsze rozwiązanie pod względem moralnym, jako że czarownice zawsze mogą jeszcze zostać zbawione.

– Miło mi to słyszeć.

– Tak, myślę, że to dobra droga. Nie wiem jednak, czy kiedykolwiek zdołam zadośćuczynić za wszystko, czego ja się dopuścił. Wyrzuty sumienia to wielki ciężar. Gdy raz skoczy się w płomienie, ile kroków trzeba wykonać, by wyjść z ognia? Czy wam się kiedyś zdarzyło zejść za daleko, O’Sullivan?

– Bogowie niejedyni! Żeby to raz. Wciąż płacę jeszcze za niektóre swoje nierozważne kroki. I obawiam się, że są i takie, za które nawet nie zacząłem płacić. Ale przynajmniej staram się naprawić, ile zdołam.

– *Szto* was przed tym powstrzymuje, jeśli można spytać?

Prychnąłem tylko, bo na jego pytanie w zasadzie nie dało się odpowiedzieć.

– Mam wiele rozmaitych trudności. Teraz najbardziej dają mi popalić wampiry. Wszystkie chcą mojej śmierci i obawiam się, że nie potrafię im tego wybić z głowy. Polują właśnie na mnie.

Krzaczaste brwi rabina opadły, a wąsy poruszyły się niepokojąco.

– Są tu gdzieś wampiry? To dlatego wy tu przyjechali?

– Na pewno gdzieś tu są, ale do Toronto przyjechałem po to – powiedziałem, pokazując mu notatnik. – To nazwiska i adresy wampirów z całego świata.

Rabin zamarł, tylko jego broda zaczęła drżeć nieco, choć najłżejszy zefirek nie powiał. Zaczynałem podejrzewać, że to oznaka emocji u jej właściciela. Bardzo starałem się nie wzdrygnąć z obrzydzenia, co nie było łatwe, bo owłosienie twarzy, które żyje własnym życiem, z zasady wywołuje u mnie mdłości.

– Jak wy to zdobyli?

– Za pomocą tej właśnie magii, którą rabin wyczuł. Ukradłem go z banku na rogu Front i York. Są tu tysiące nazwisk. Może dziesiątki tysięcy. Czcionka jest dość mała. Nie wiem jednak, które z tych wampirów są przywódcami. Nie wiem też, jak tę listę znacząco skrócić, nim stanie się nieaktualna. Ich przywódca już wkrótce się dowie, że ją mam, a wtedy wszystkich ostrzeże i uciekną. Może choć część będzie na tyle nierozgarnięta, że nie zmieni nazwisk. Przynajmniej w ten sposób może uda mi się paru namierzyć.

– Niesamowite.

Nie odrywając wzroku od notatnika, rabin wpakował sobie smętnego pogniecionego bajgla do ust. Odrobina serka zsunęła się z brzegu pieczywa i niezauważona wpadła w czeluści jego brody. Biała schmuga nabiału podskakiwała teraz w górę i w dół, gdy jadł zamyślony.

<Spójrz tylko, Atticusie. Co za brak wychowania. Nawet mi gryza nie zaproponował>.

Dopiero co zjadłeś pięć kanapek z bekonem na śniadanie.

<Tak, ale co z moim drugim śniadaniem?>.

Rabin mi nie wyglądał na fana Tolkiena.

On pewnie w życiu o tym nie słyszał – mruknąłem więc mentalnie do psa.

– A może... O'Sullivan, ja bym chciał zaproponować wam naszą pomoc. O ile wy ją przyjmiecie.

– Ale co z emeryturą rabina?

– Wampiry to czyste zło, z którym Młoty Boga nadal chcą walczyć. My byśmy z przyjemnością wykorzystali tę okazję.

– My? Mówi rabin w imieniu ich wszystkich?

– Myślę, że spokojnie mogę was zapewnić, że pozostali z entuzjazmem przyłączą się do nas. Oni i tak ostatnio mieli dużo roboty z wampirami. Coś je płoszy, coś sprawia, że one wyłazą ze swoich kryjówek.

– To ja. Finansuję polowanie na wampiry, przez co część z nich próbuje się ukryć, a część usiłuje przejąć puste obszary, zwolnione przez te, które udało się wyeliminować.

– Imponujące. Jesteśmy więc po tej samej stronie. – Uśmiechnął się do mnie (krótki błysk bieli wśród gąszczu włosów). – To miła odmiana, *da*?

Pokiwał głową z zadowolenia, a ten nieszczęsny kawałek serka spadł mu teraz na płaszcz. Z jednej strony czułem, że powinienem mu o tym powiedzieć, z drugiej nie chciałem, żeby cokolwiek zmąciło tę chwilę harmonii między nami.

– Tak, bardzo miła – zgodziłem się. – Ilu przyjaciół rabin może się dołączyć?

– Są nas setki rozproszone po całym świecie.

– Dobrze – powiedziałem. – Rabinie Bialiku, proponuję taki układ. Pójdziemy teraz zeskanować notatnik i wyśle rabin plik do swoich współpracowników. Za każdy tysiąc wampirów wyeliminowanych przez Młoty Boga dam rabinowi pięć lat młodości.

– *Szto*?!

– Herbatka Młodości Czar. Naturalne zioła i kilka splotów, żadnego diabelstwa. A rezultaty widzi rabin na własne oczy.

– Hmm. My byśmy i tak wyeliminowali ten tysiąc wampirów, gdyby się nadarzyła okazja. To nasz obowiązek.

– Świetnie. Zatem same korzyści. Pewnie nie potrafi rabin wyczuwać wampirów tak, jak wyczuwa mnie?

– *Niet*. Nasze moce mają swoje źródło w kabalistycznym Drzewie Życia, tak więc istoty martwe są dla nas niewidoczne. My was osobiście też nie wyczuwamy, a jedynie użycie waszej magii, która jest bardzo dostrojona do życia.

– No tak. – Uśmiechnąłem się do niego. – Musi być, skoro jestem spleciony z Gają. Przepraszam, ale ma tu rabin taką schmugę po serku...

– O! *Spasiba*, że wy mnie zwrócili uwagę.

Od razu zabraliśmy się do roboty. Zeskanowanie i rozesłanie tego wszystkiego zajmie nam przecież kilka dobrych godzin. Werner Drasche dowie się pewnie o zniknięciu notatnika jeszcze dziś. Młoty Boga naprawdę nie będą mieli wcale tak dużo czasu na działanie.

– Najlepiej pewnie będzie, jeśli skupicie się na wampirach z tej półkuli jeszcze przed zachodem – powiedziałem. – Te z Europy, czyli te naprawdę stare i potężne, dowiedzą się o przecieku danych, gdy tylko się obudzą, więc będą mogły uciec nocą.

– No to brać, co daje Wszechmocny.

– Tylko niech rabin ostrzeże swoich ludzi – dodałem. – Pod tymi adresami zamiast wampirów mogą być przecież zastawione pułapki. Bardzo bym chciał, żeby to starcie jednoznacznie wygrali ci dobrzy. Choć ten jeden raz.

– Oby tak się stało – zgodził się ze mną Bialik, a poruszenie brody oznaczało chyba, że jest zadowolony. – Zresztą, nawet jeśli nie uda nam się upolować ani jednego, i tak się cieszę z naszego spotkania, O’Sullivan. Potwierdza ono, że ja słusznie wybrałem spokojniejszą, cichszą ścieżkę. To wielkie dobro, którego my zaraz dokonamy, nie byłoby możliwe, gdyby ja uparcie trwał w moim fanatyzmie.

To miało chyba znaczyć, że nie moglibyśmy dziś planować polowania na wampiry, gdyby dwanaście lat temu udało mu się mnie zabić, ale już tego nie komentowałem, bo widziałem, że i tak ma wystarczające wyrzuty sumienia. Nie mnie to zresztą oceniać. Bogowie wiedzieli, że miałem o wiele więcej w moim życiu do naprawienia niż on. Rozstaliśmy się w zgodzie i na pożegnanie wymieniliśmy się jeszcze numerami telefonu – zupełnie jak starzy przyjaciele.

Wywoławszy wystarczający popłoch wśród wampirów i upewniwszy się, że dzięki Młotom Boga przynajmniej część z nich powinna wkrótce spojrzeć w oczy ostatecznej śmierci, wybrałem się na zakupy. Skrytobójcza pijawka już pewnie była tuż-tuż, należało się więc przygotować. Choć za nic nie chciałem być Nigelem w Toronto, to jeśli miałem rozprawić się z Wernerem Draschem, musiałem stać się nim ten jeden ostatni raz. Poza tym przy odrobinie szczęścia ten fragment mojej przeszłości nie powinien mnie już więcej prześladować.

Najpierw udałem się do zielarni w dzielnicy Roncesvalles, a potem powędrowałem do sklepu Jerome’s na Yonge Street, żeby nabyć odpowiednie przebranie – no, w sumie tylko spodnie i marynarkę, ale w nich zawsze czuję się jak pajac. Elegancki ekspedient poinformował mnie, że fulary znów wracają do łask, na co powiedziałem mu, że nie, nie i jeszcze raz nie, ktoś go wprowadził w błąd. Udało mi się też przy okazji buchnąć złoty zegarek kieszonkowy i zestaw do golenia – obie te rzeczy były niezbędne do odegrania mojej roli Nigela.

Zabraliśmy to wszystko do hotelu w centrum miasta, gdzie w pokoju, pod czujnym okiem białej żarówki atakującej żółte tapety i pseudogranitowe blaty, z

twarzą wykrzywioną w rozpacz i trwogą w sercu zgoiłem swoją kozią bródkę. Oberon usiłował pocieszyć mnie śpiewaną improwizacją.

<W wegańskim hotelu, gdzie brodę stracić to mus,
Nie masz sosu za grosz, bo Nigela będzie to blues!>.

– Oberonie, naprawdę doceniam twoje starania, ale to mnie jakoś nie podnosi na duchu.

<Czekaj, właśnie miałem zacząć solówkę wyjącego kota. Mnie to tam zawsze wspiera duchowo>.

– Proszę cię, nie. Litości.

Umyłem i wytarłem nagą brodę, po czym przeszedłem do drugiego kroku operacji, do którego wykorzystałem dopiero co zakupione zioła, plastikowy kubeczek z hotelu, kilka kropel spirytusu oraz patyczek do mieszania kawy.

<Hej! A ty co tam kombinujesz? Czy to jakieś paskudztwo, które każesz mi potem wypić?>.

– Nie. To nie herbata. To mazidło. Pamiętasz, jak w sklepie zielarskim pozwolili mi użyć moździerza?

<No. Zadali ci wtedy mnóstwo pytań>.

Tak, byli dość ciekawi, po co mi to, więc skłamałem, że robię maść, ale prawda była taka, że ta mieszanka ziół chwilowo przyspieszy porost włosów na brodzie. Kiedy musiałem nagle wyglądać jak starzec albo niedźwiedź, a nie chciało mi się czekać miesiącami, używałem owej mieszanki, którą ulepszałem odrobiną alkoholu i magii Gai. Mniej więcej na tej samej zasadzie, na jakiej Młodości Czar była herbatką ze zwyczajnych ziół, tylko nieco poprawioną. Wziąłem zakraplacz i bardzo ostrożnie nałożyłem mazidło na oba policzki. Rano będę miał w tych miejscach kilkutygodniowy zarost – okazałe bokobrody rodem z dziewiętnastego wieku. Gdy przebiorę się do tego w mój nowy garnitur, wsunę cebulę do szarej kamizelki w prążki i przyliżę włosy – będę znów wyglądał jak chłopak, którym byłem w 1953, kiedy wpakowałem się w okropne tarapaty.

– Muszę to zrobić, żeby nie wypaść z roli. A nie grałem jej przeszło siedemdziesiąt lat.

<O co w ogóle chodzi z tym całym Nigelem? Wciąż mi nie opowiedziałeś tej historii>.

– O, chcesz posłuchać historii? To się świetnie składa, bo akurat jesteśmy w łazience i jesteś dość brudny od tego całego etiopskiego błota...

Oberon zaczął merdać ogonem.

<Czy to będzie historia o historycznym Atticusie?>.

– Jasne. Wskakuj do wanny, a opowiem ci, dlaczego za nic nie chciałbyś być Nigelem w Toronto.

<Dobra!>. Oberon już merdał nie samym ogonem, ale całą swoją tylną połową, i tak się spieszył do wanny, że niechcący zerwał zasłonę prysznicową. <Oj. Ale to i tak było brzydkie> wyjaśnił. <I stało mi na drodze do opowieści>.

Rozdział 2

Asgard to przedziwne miejsce i w niczym nie przypomina tego, co się widzi w filmach, komiksach czy na obrazach fantasy. Z wyjątkiem może tego, że rzeczywiście jest trochę jak namalowany akwarelami – jakby ktoś plasnął farbą po białej kartce, ostro zarysowane krawędzie, w środku wszystko się zlewa. Atticus trochę tak to opisywał – światło jest tu zimne, suche, zupełnie inne niż w Tír na nÓg, gdzie można cieszyć oko wizualnym ciepłem i bogactwem niczym na obrazach Johna Williama Waterhouse’a. Naprawdę tu nie pasuję i już się nie mogę doczekać, kiedy stąd zniknę.

Utknęliśmy tu jednak z Orlaith, dopóki nie uda mi się usunąć piętna, które Loki wycisnął mi na ramieniu. Bo jest szansa, że Odyn potrafi to zrobić.

Powiedział mi, że mój znak jest rodzajem zasłony podpiętej pod genetyczny podpis Lokiego, przy czym bóg kłamstwa mimo tej zasłony może mnie widzieć, jeśli tylko zechce. Hel i Jörmungandr też mają takie piętna i dlatego właśnie bogowie ich nie widzą, co wywołuje sporą frustrację Odyna i Manannána Mac Lira oraz wszystkich, którzy chcą namierzyć ich lokalizację. Ale Loki zawsze wie, gdzie oni są. Tak zresztą, jak wie, że jestem teraz w Asgardzie. Bardzo by chciał też wiedzieć, co tu robię – sam to przecież powiedział i nawet próbował zrobić krzywdę Orlaith, żeby mnie zastraszyć i wycisnąć ze mnie tę informację po mojej pierwszej wyprawie do północnej krainy, kiedy to zgłosiłam się do Odyna z prośbą o pomoc.

Wszechojciec powiedział wtedy, że aby zlikwidować piętno, będzie potrzebował genetycznego materiału Lokiego, musiałam więc mu jakiś załatwić. Wróciłam do naszej chaty w Kolorado, a Loki już na mnie czekał. Myślał, że mnie zaskoczy, ale nasza chata była dobrze zabezpieczona splotami przed ogniem, toteż to mnie udało się zaskoczyć jego. Dałam mu mocno w szczękę i tomahawkiem w plecy, a on mi dał swoją krew, zęby i satysfakcję z zemsty za to, co mi zrobił w Indiach.

Minus jest jednak taki, że nasza chata w Kolorado nie jest już bezpiecznym miejscem, bo Loki teraz o niej wie, a tymczasem nowe miejsce w Oregonie nie będzie jeszcze gotowe przez kilka dobrych dni, jeśli nie tygodni. W sumie jednak

chyba wszystko się jakoś układa: Atticus i tak poluje na człowieka, który zabił jego przyjaciela na Alasce, a ja jestem zajęta tutaj. Nie mam może żadnych zadań do wykonania, bo pozostało mi tylko czekać, aż Odyn wymyśli jakieś rozwiązanie, ale za to mogę się skupić na osobistym rozwoju – chcę koniecznie stworzyć nową przestrzeń myślową, a żeby to zrobić, muszę podjąć decyzję, czy budować literackie rusztowanie w języku, który już jako tako znam, na przykład w rosyjskim, czy może lepiej nauczyć się czegoś zupełnie nowego. Frigg była tak miła, że przytargała mi tu kilka książek z „jakiejś biblioteki w Midgardzie”, czytam więc *Notatki z podziemia* Dostojewskiego. Zgadzam się z różnymi fragmentami, na przykład: „Natura cię nie pyta; jej nie obchodzą ani twoje pragnienia, ani to, czy ci się jej prawa podobają, czy nie podobają. Musisz przyjmować ją taką, jaka jest, a zatem i wszystkie jej twory”. Całkiem niezłe. Tylko że po ekstatycznym optymizmie Walta Whitmana Dostojewski smakuje trochę jak nudna owsianka – dużo błonnika i niezwykle zdrowa, ale żadnej radości. Z drugiej strony, być może wszystko tak smakuje w porównaniu z Whitmanem. Tak czy siak, będę musiała więcej poczytać w tym języku, żeby podjąć decyzję. Jeśli mam zadać sobie trud uczenia się czegoś na pamięć, chcę, żeby było to niesamowite i warte miejsca w mojej głowie.

Tymczasem większość miejsca w mojej głowie zajmuje wciąż – i to wbrew mojej woli – głos mnie samej, ale tej młodszej, wołający o pomstę i od dawna zasłużoną karę dla mojego ojczyma. A jest on człowiekiem, którego – niczym naturę u Dostojewskiego – nie obchodzą niczyje pragnienia ani to, czy się komuś jego działania podobają, czy nie podobają. Grabi i zanieczyszcza świat, kpiąc sobie z każdego, kto nie ma odwagi brać wszystkiego, co można, póki można.

Przyznałam się kiedyś Atticusowi, że po części dlatego właśnie chciałam zostać druidką, żeby móc rozprawić się z moim ojczymem, bo ludzkie prawa nie mogą go osiągnąć. Według Atticusa nie ma sensu użerać się z każdym draniem niszczącym środowisko. Rozumiem, co ma na myśli. Ma rację. Ale w tej sprawie nie będę racjonalna. Tu chodzi o emocje. Po prostu muszę coś z tym zrobić. Zwyczajnie nie potrafię odpuścić. To nie jest zwykły drań zatruwający środowisko. To skończony kutas, który śmieje się w głos, gdy z jego winy, z winy wycieków jego ropy giną zwierzęta.

A jednak boję się, że przez te moje fantazje o zemście nie zauważam może jakichś stojących po drodze wielgachnych znaków, które wrzeszczą: fatalny błąd przed tobą! nie idź dalej! bo na tej drodze czai się na ciebie śmierć z wielkimi,

ostrymi kłami! Wiem aż za dobrze, że powinnam uwolnić serce od tej trucizny i po prostu go przeżyć. Ale czasami robimy rzeczy, które mają sens tylko w jakichś najskrytszych zakamarkach naszych emocji. Możemy zamiast tego zastosować jakąś terapię lub religię, niczym maść na otwartą ranę, ale jest to równoznaczne z wypieraniem się mocy do uzdrawiania się samemu, z uciszaniem starych bólów nowymi opiatami. Dlatego muszę się z nim jakoś rozprawić i choć wiem, że pewnie nie wyjdzie to dokładnie tak, jak bym chciała, to chcę poczuć wreszcie wolność od tego zaczajonego na mnie cienia.

O tym, jaką ma przerażającą władzę nade mną, świadczy choćby to, że w ogóle o nim myślę w tak niesamowitym miejscu. Asgard jest przedziwny i trudno o bardziej niezwykłą „kanapę” do czytania. W mojej kwaterze nie brak kwiatów, owoców i światła, a do tego mam tu jeszcze źródło termalne do kąpieli, gdybym miała akurat ochotę zamienić jeden luksus na drugi.

Mija kilka dni takiej wyizolowanej dekadencji i w końcu zostaję wezwana do komnaty Odyna. Twierdzi, że znalazł rozwiązanie. Jest z nim jego żona Frigg oraz krasnolud Runeskald, Fjalar.

Odyn podnosi kamienny cylinder, który wygląda aż nadto znajomo, i przemawia do mnie tym swoim głębokim niczym smak whisky głosem.

– Jeśli mamy cię uwolnić od piętna wyciśniętego przez Lokiego, musimy zwalczyć ogień ogniem. Fjalar dopomógł nam, tworząc Runę Popiołów. Ona wypali tę, którą masz na ramieniu. Jest nasączona kodem genetycznym Lokiego, który otworzy pieczęć i pozwoli na transformację.

To brzmi deczko zbyt ambitnie.

– Yyy... transformację w co?

– W wolnego człowieka. Lecz także w zgubę Lokiego. – Odyn obdarza mnie przelotnym uśmiechem triumfu, ale moim zdaniem to on się poważnie rąbnął w swoich rachubach. W dziurze pod Tańdzawurem Loki nie tylko wycisnął na moim ramieniu swoje piętno, ale przede wszystkim ukradł mi dwa niezwykle potężne magiczne przedmioty: Zaginione Strzały Waju oraz Fuliteacha, moje wirujące ostrze stworzone przez yeti. Żeby choć trochę wyrównać nasze szanse, ktoś by musiał przede wszystkim mu je najpierw wykraść.

Odyn podaje kamienną pieczęć Fjalarowi, który przejmuje ją żelaznymi cęgami i wkłada między płonące węgle w palenisku. W mojej głowie pojawia się natychmiast kilka scen filmowych, w których czarny charakter robi coś w tym stylu, żeby wywołać panikę u porwanego uprzednio bohatera. Ja jednak już się nie

mogę doczekać. Żeby pozbyć się piętna Lokiego, zniosę każdy ból. Ból mija, a wolność daje niekończącą się radość. Choć prawdą jest, że wolność, o której tu mówię, jest raczej sprawą psychiczną. Głównie chodzi mi o odzyskanie prywatności. Świadomość, że obserwuje cię jakiś świr, właściwie nie ogranicza cię fizycznie, ale jednak *jest* kajdanami dla twojego „ja”.

Gapimy się wszyscy w ogień jakieś dziesięć sekund, po czym dociera do nas, że czekanie tak w milczeniu, aż pieczęć się rozgrzeje, będzie nieco krępujące. Frigg odchrząkuje i zwraca się do Fjalara:

– Kiedy więc wybierasz się do Svartálfheimu?

– Już wkrótce – odpowiada krasnolud, ale nim mam czas zapytać, czemu w ogóle ma zamiar odwiedzić mroczne elfy, wtrąca się Odyn, i to charakterystycznym tonem osoby, która desperacko chce zmienić temat rozmowy:

– Powiedz mi, Granuaile, czy Loki zdradził się jeszcze może z czymś, co pozwoliłoby nam domyślić się, jakie są jego plany? – pyta.

– Nie. To ja głównie gadałam. Powiedziałam mu, że go zabiję, gdy go następnym razem spotkam. Nie odpowiedział, ale domyślałam się, że to działa w obie strony.

Przenoszę wzrok z powrotem na krasnoluda. Gdy widzieliśmy się po raz ostatni, Runeskald pracował nad toporami, które przebijałyby się przez mroczne elfy w ich dymnej postaci i zmuszałyby je do wrócenia do fizycznego kształtu. Jeśli wybiera się do Svartálfheimu, to raczej nie w pokojowych zamiarach.

– Już! – Fjalar uniemożliwia dalszą pogawędkę. Gdy wyciąga kamień z ognia, lśni on lekką czerwienią. Nie ma tak mocnej pomarańczowej poświaty jak tamten Lokiego, ale z pewnością też jest rozgrzany do bólu. – Podaj ramię, szybko!

Orlaith, będzie mnie teraz bolało i będę pewnie trochę krzyczeć, ale nie przejmuj się tym. Potrzebuję tego.

<Dobra, skoro tak mówisz>.

Podwijam lewy rękaw, odsłaniając napiętnowany biceps. Fjalar lewą ręką skrytą w rękawicy umieszcza moją rękę pod swoją lewą pachą, a dłonią równie mocno przytrzymuje łokieć, żebym mu nie drgnęła.

– Staraj się nie ruszać. Opanuj instynktowny odruch.

– Dobrze – obiecuję i chowam język za zębami. Nie chcę go sobie odgryźć, gdy zaleje mnie ból. Mam dziwną pewność, że poczuję go, choćbym nie wiem jak go blokowała. Blokowałam, ile mogłam, gdy Loki wypalał swoje piętno, a i tak to był horror. Jeśli dobrze zrozumiałam Odyna, pieczęć Lokiego nie paliła tylko skóry,

ale raniła samą aurę, znaczyła mnie na poziomie głębszym niż ciało. Runa Popiołów Fjalarą zrobi pewnie to samo. Przynajmniej mam taką nadzieję, bo wolałabym nie musieć próbować jeszcze raz.

Na policzkach i ręce czuję ciepło bijące od kamienia. Fjalar unosi pieczęć nad moje ramię.

– Dawaj – ponaglam go przez zaciśnięte zęby.

Nawet się nie waha. Zaciska jeszcze mocniej palce na moim łokciu i przykładając kamień w tym samym miejscu, gdzie mam piętno Lokiego. Skwierczący ból przerasta moje najgorsze oczekiwania. Pali wszystko, nie tylko moje ramię. Mięśnie odmawiają posłuszeństwa i nawet gardło się wyłącza zaraz po pierwszym okrzyku zdumienia. I ten jeden krótki okrzyk wystarcza, bo otwieram przez to usta i choć chciałam tego uniknąć, i tak gryzę się w język. Czuję miedziany smak krwi w ustach, a cała skóra zlewa się potem.

– Aa! – Pluję krwią, która pryska Fjalarowi w twarz.

Przytrzymuje runę o wiele dłużej niż Loki. Albo może tylko tak mi się wydaje.

W głowie słyszę okrzyki Orlaith.

<Hej?! Granuaile, to krew! On musi przestać! On ci robi krzywdę!>.

W głębi serca się z nią zgadzam, ale mówię: *To nie potrwa długo. Zaraz się ulecze.*

– Musimy mieć pewność, że wszystko wypaliliśmy – odzywa się Fjalar.

– Przebiłeś mi już skórę!

– O. Rzeczywiście.

Odrywa runę, a z nią kilka płatów mojej skóry. Puszczając moją rękę i woła do walkirii:

– Przynieście wody!

Pojęcia nie mam, skąd te się tu wzięły ani ile im to zajmuje (całą wieczność bólu w każdym razie). W końcu pojawiają się: dwie walkirie targające wielką wazę zimnej wody. Zanurzam w niej ramię i przeszywający ból nieco słabnie. Wtedy dopiero mogę zablokować nerwy, z ulgą wyciągnąć rękę z wody i przyjrzeć się dziurze w bicepsie. Ani śladu po piętnie Lokiego. Tylko przypieczona Granuaile. Nie mam nawet siły napiąć mięśnia, ale i tak zanoszę się dzikim śmiechem. Bóg kłamstwa wykorzystał tamtą mroczną, diaboliczną istotę, by połamać mi kości, a potem wypalił mi to piętno, myśląc, że w ten sposób złamie także mój umysł. Że zmieni mnie w posłuszną służkę. No to mu się nie udało.

– Ha, ha. Ha, ha, ha, ha, ha. Chrzanić Lokiego! – Odwracam się do Odyna i uśmiecham szeroko, nie dbając o to, co o tym myślą moje mięśnie. – Mam rację?

Rozdział 3

Gdy woda lała się do wanny, odpakowałem jedno z maciupkich hotelowych mydełek, a potem spojrzałem na błoto zaschnięte w sierści Oberona, szczególnie na jego brzuchu. Była to sytuacja typu Dawid i Goliat, ale nie miałem wyjścia i musiałem spróbować, licząc na to, że ten mydlany mikrus wygra.

– Dobra, chłopie, jedziemy z tym koksem – powiedziałem i zacząłem od ochlapywania go od dołu i oblewania kubkiem wody po grzbiecie. – Tylko mi się nie zacznij otrząsać, póki nie skończę.

<Hi! Hi! Ale to łaskocze, Atticusie! Szybko, odwróć moją uwagę>.

– Dobrze, zaczynamy więc – powiedziałem.

Żeby zrozumieć, co mi się przytrafiło, musisz poznać najpierw troszkę historii samego Toronto.

Przyjechałem do Toronto jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego. Świat sporo się nauczył w dziedzinie chirurgii i łątania ciał po tym, jak rozstrzelano, kogo się dało, w dwóch wojnach światowych, a potem jeszcze jednej w Korei, pomyślałem więc sobie, że może dowiem się czegoś przydatnego. Zapisalem się na studia na uniwersytecie w Toronto pod nazwiskiem Nigel Hargrave ze szczerym zamiarem odgrywania przez kilka lat roli zapalonego przyszłego doktora. Ale zostałem tylko kilka miesięcy, a wszystko przez straszne, stare gmaszysko i pewną tragedię, która rozegrała się w nim w dziewiętnastym wieku.

Uniwersytet w Toronto był wtedy w zasadzie skupiskiem rozmaitych starych college'ów, z czego część miała różne powiązania religijne, i właśnie jeden z nich – obecnie Królewskie Konserwatorium Muzyczne na Bloor Street – był dawno temu seminarium baptystów. To przedziwny gotycki budynek z czerwonej cegły zbudowany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym, taki, co to wystarczy, że na niego spojrzysz, a niemal słyszysz szalony śmiech architekta, który nawdychał się za dużo oparów farb na bazie ołowiu. Ostre iglice, strome dachy i wielkie okna. Drewniane podłogi, które skrzypią, aż się echo niesie z każdym twoim krokiem. I do tego właśnie seminarium chodził pod koniec dziewiętnastego

wieku młodzieniec zwany Nigelem, zaręczony z niejaką Gwendolyn z Winnipeg, panną ciemnowłosą i zazdrosną.

Oberon przerwał mi, dopytując:

<Hej, a nie mówiłeś mi kiedyś o takim potworze, co się nazywa Zazdrość? Zapamiętałem go sobie, bo źle traktował własne żarcie>.

– A tak, chodzi ci o Szekspira. To z *Otella* wzięłeś tego „*potwora zielonookiego, co pożerając ofiarę – z niej szydzi*”.

<Niezbyt rozsądny ten potwór>.

– Nie – zgodziłem się i podjąłem wątek:

Pewnego letniego dnia, gdy jeszcze nawet nie było automobili, a ludzie przemieszczali się w wozach zaprzężonych w konie albo po prostu na piechotę, Gwendolyn szła po ubitej nawierzchni ulicy Bloor, by złożyć wizytę swojemu Nigelowi. Upiekła mu specjalnie ciasto i włożyła czerwoną suknię, a na ramiona zarzuciła cieniutką chustę tego samego koloru. To Nigel kupił jej tę szatę. Wiedziała też, że on ma na sobie szary garnitur w prążki, który ona mu sprezentowała. I pewnie myślała sobie po cichu, że stanowią bardzo elegancką parę o doskonałym guście. Ale ponieważ bardzo się bała, czy aby nie upuści ciasta, nie przeszła przez ulicę tak szybko, jak powinna. Nie rozglądała się dość starannie. I dlatego właśnie nawet nie próbowała odskoczyć, gdy wyleciał w jej stronę koń i wóz – bo w ogóle ich nie zauważyła. Powalona na ziemię, poturbowana przez ważące ćwierć tony zwierzę, a potem przejechana przez ciężkie koła wozu, z połamanymi żebrami i krwotokiem wewnętrznym pod ciasnym gorsetem biedna Gwendolyn myślała tylko o tym, by choć ten ostatni raz zobaczyć jeszcze Nigela. Podniosła się resztką sił i ktoś jej pomógł dotrzeć do płaskich kamiennych stopni seminarium, gdzie zmarła ledwie kilka sekund później, nim z budynku zdążył wybiec zaniepokojony krzykami Nigel. Gdy zobaczył bladą twarz zmarłej narzeczonej i bezdusznego woźnicę, który jakby nigdy nic jechał sobie dalej ulicą Bloor, Nigela opanowała niestosowna u pastora złość. Odebrano mu właśnie wszystko, co kochał. Oko za oko, pomyślał sobie. Albo przynajmniej strzelić woźnicę w mordę. Popędził więc za człowiekiem, który przejechał jego dziewczynę, i udało mu się nawet go dogonić. I w ten właśnie sposób zginął, bo woźnica posiadał rewolwer i nie był w nastroju do rękoczynów z rudzielcem z bokobrodami, w szarej kamizelce w prążki i ze złotą cebulą w kieszeni.

Duch Nigela bardzo rozsądnie odszedł, dokądkolwiek uznał za stosowne – co stanowi doskonałą lekcję poglądową o tym, dlaczego czasami jednak lepiej

nadstawić drugi policzek. Gwendolyn natomiast została z niezakończoną sprawą. Koszmarnie zgniecione ciasto nie miało już znaczenia, lecz stanowiło namacalny symbol jej wciąż żywej miłości. Nie mogła odejść, póki ten ostatni raz nie powie Nigelowi, że go kocha, i póki nie usłyszy z jego ust podobnego wyznania miłości. Dlatego właśnie jej zjawy zamieszkała w budynku seminarium, w którym przez całe dziesięciolecie wytrwale szukała ukochanego i straszyla jako Czerwona Dama.

<O, nie. To ci nie wróży nic dobrego> zauważył mój pies, gdy go mydliłem.

– Powiadasz?

<O, tak. Masz przekichane>.

– No, mam.

Nikt mnie nie ostrzegł przed Czerwoną Damą, gdy po raz pierwszy wkroczyłem do budynku. Nic w tym zresztą dziwnego. Był to duch raczej nieśmiały i skupiony wyłącznie na szukaniu rudzielca o imieniu Nigel, bokobrodach i w szarym garniturze. Jeśli nie spełniało się tych kryteriów albo przypadkiem nie wpadło na nią, gdy się nad sobą użalała, raczej się jej tak po prostu nie spotykało. W tym okresie budynek nie był zbyt intensywnie używany. Służył jedynie jako śmietnisko administracyjne uniwersytetu, odbywały się tam też niektóre egzaminy. Królewskie Konserwatorium Muzyczne przejęło budynek dopiero w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Musiałem pójść tam na jakiś egzamin i od razu zauważyłem, że wiele pokoi w ogóle nie jest w użyciu, a zatem mogłyby być idealnymi miejscami na randki. Takie miejsca były w cenie, jako że akademiki znajdowały się pod ścisłym nadzorem, by zapobiegać „czynom niemoralnym i lubieżnym”.

W końcu nadarzyła się okazja, bo poznałem studentkę, która nie miała wprawdzie słabości do rudzielców czy bokobrodów, ale za to do Nigelów. To, że byłem wysportowany, stanowiło dla niej jedynie dodatkowy bonus. Z niepojętych dla mnie przyczyn nic nie było dla niej tak atrakcyjne jak to, że nazywam się Nigel Hargrave. Powiedziała mi, że to brzmi arystokratycznie. Może zresztą o to właśnie jej chodziło – o arystokrację, a nie moje imię. Nie dane mi było się tego dowiedzieć. Byłem jednak samotny i nieskrępowany żadnymi przesadnie surowymi zasadami moralnymi, chętnie więc umówiłem się z nią w jednej z sal starego budynku. W holu na dole wywieszona była lista z egzaminami. Zakradliśmy się na piętro, poradziłem sobie z zamkiem w drzwiach i wślizgnęliśmy się do sali, by znaleźć wzajemną rozkosz na blacie biurka.

Gdy byliśmy w połowie tychże rozkoszy, na wpół ubrani, za to pełni entuzjazmu, Gwendolyn, Czerwona Dama, odnalazła w końcu mężczyznę, który był uderzająco podobny do jej narzeczonego Nigela. To, że zastała go w sytuacji erotycznej z inną kobietą, okropnie ją rozzłościło. Nie mogło być mowy o pomyłce. Wiedziała, że to jej Nigel, bo moja partnerka co chwilę wykrzykiwała moje imię, a do tego miałem rude bokobrody i ten sam szary garnitur, który powinien mieć jej ukochany tego dnia, gdy niosła mu ciasto. I wtedy właśnie nieśmiały, nienarzucający się duch zmienił się w zupełnie oszalałego poltergeista. Biurka zaczęły śmigać po podłodze, łącznie z tym, na którym byliśmy. Krzesła uniosły się w powietrze – najpierw latały z chaotycznością typową dla szturmowców Imperium w Mieście w Chmurach, po chwili jednak bardziej precyzyjnie, a okrzyk pełen rozpaczy i poczucia zdrady narastał i narastał, skutecznie mordując nasz romantyczny nastrój.

Moja partnerka przestała wykrzykiwać moje imię i spanikowana adekwatnie do sytuacji, półnaga wybiegła z sali. Nigdy już jej potem nie spotkałem.

– *NNNNNigel! Jjjjjak mooogłeś?! –* grzmiał eteryczny głos.

– To chyba jakaś pomyłka. Kim jesteś?

Czerwona zjawa ucieleśniła się, ukazując cały swój wdzięk i wszystkie detale sukni, które później pomogły mi ustalić jej tożsamość. Iluzja tego czaru prysła jednak na wysokości jej ust, które rozdziawiły się nienaturalnie szeroko, gdy wrzasnęła:

– *Jestem twoją narzeczoną! Jestem Gwendolyn!*

– Co takiego? Hej, nie jestem tą osobą, za którą mnie bierzesz. Nawet nie nazywam się tak naprawdę Nigel.

– *Kłamieszysz!*

Meble stały się już bardzo agresywne i obić mnie dość konkretnie. Nie mogłem nic zrobić. Pozostało salwować się ucieczką. W starciu z duchami druid jest właściwie zupełnie bezradny. Nie ma w nich nic fizycznego, co dałoby się spleść czy rozpleść, a mój amulet z zimnego żelaza jest dla nich tylko kawałkiem metalu.

To nie znaczy jednak oczywiście, że duchy nie są z niczym związane – zwykle splecione są z przestrzenią, gdzie umarły, choć nici tego splotu są natury duchowej i nie mają żadnych związków z ziemią. Zatem żeby umknąć Czerwonej Damie, wystarczyło wybiec z budynku. A przynajmniej tak mi się zdawało.

Gdy pędziłem przez korytarz i w dół, po pięknych schodach prowadzących do wyjścia, za mną przy akompaniamencie nieludzkich wrzasków mknęły najróżniejsze papierzyska, książki i nawet wiry kurzu. W pewnej chwili tak mocno dostałem jakimś podręcznikiem w skroń, że upadłem, ale udało mi się podnieść. Goniła mnie do drzwi dość nieskromnie i ku mojemu przerażeniu na tym się nie skończyło. Teraz, gdy już odnalazła swojego Nigela, przyczepiła się do mnie i bez trudu odłączyła od budynku. Musiałem zwiewać od tej zwiewnej zjawy, której się zwidiało, że ją zdradziłem. W miejscu, w którym teraz stoi biblioteka wydziału prawa, rósł wtedy wielki stary dąb, który już wcześniej splotłem z Tír na nÓg, mogłem więc teraz przenieść się w jakieś bezpieczne miejsce, żeby na spokojnie dowiedzieć się, kim lub czym ona w ogóle była.

Później nawet przeniosłem się z powrotem i czekałem na atak, ale Gwendolyn nie czaiła się pod dębem. Z pewnością wróciła do budynku, który przedtem nawiedzała, ale tego już nie zamierzałem sprawdzać. Złapałem te kilka gratów, które miałem w swoim pokoju w akademiku, i zniknąłem, nim miała czas mnie namierzyć. Nigdy już nie wróciłem do Toronto. Aż do dziś.

<Więc Czerwona Dama Gwendolyn wciąż tam może być?> upewnił się Oberon, gdy go spłukiwałem.

– No.

<I wciąż się gniewa na Nigela?>.

– No. Wyglądała mi na wyjątkowo pamiętliwego ducha.

<A ty znów przebierzesz się za Nigela Hargrave’a?>.

– Tak. Tylko że tym razem postaram się być jej Nigelem, a nie studentem medycyny, którego omyłkowo wzięła za swego narzeczonego. Widzisz, ona potrafi mówić i koniecznie musi powiedzieć coś swojemu Nigelowi. I ja także mam jej coś do powiedzenia.

<Powinieneś jej zaśpiewać pieśń miłosną. Muzyka spokój da twemu dzikiemu duchowi>.

– Nie duchowi, tylko duszy, Oberonie. Uciszy myśl twą zabłąkaną, spokój da twej dzikiej duszy. To cytat z Williama Congreve’a. Wciąż biedaka błędnie cytują.

<Sam się o to facet prosi. W życiu nie spotkałem dzikiej duszy. Co innego duszonego dzika, to tak, ale na odwrót? Kompletna bzdura!>.

– Bardzo grzecznie się zachowywałaś w wannie. Czas cię wytrzeć i nakarmić kiełbaską. Albo i dwiema.

Rozdział 4

Nic mnie tak nie przyprawia o ból cycków jak wielkie miasta. Smród, samochody i cały horyzont zapchany wielkimi prostokątnymi znakami, które każą ludziom kupować nowe samochody. Mówię do Grety:

– Uwielbiam, jak ty mi kopiesz tyłek, ale to miasto to mi go kopie jakoś tak, że nijak mu nie mogę oddać. Jak to się twoim zdaniem nazywa Paradise Valley, to ja się pytam, co to w ogóle dla ciebie znaczy raj, miłości moja. Mowy nie ma, żebym żył na takim cholernym nieużytku z cementu i kaktusów. Mnie trzeba drzew.

I bogom niech będą dzięki, ona mi na to, że w takim razie wyprowadzi się ze mną na wieś. Tak jakby.

– Co powiesz na Flagstaff? – pyta. – Moglibyśmy mieszkać na San Francisco Peaks, a tam jest pełno sosen i osik. Do miasta schodzilibyśmy tylko, gdy będzie to naprawdę konieczne.

To mi się wydaje podejrzane.

– Niby kiedy by to miało być konieczne? – pytam.

– No wiesz, musimy przecież czasem zaopatrzyć się w jakieś jedzenie.

– A po co mamy leżeć po nie do miasta? Możemy polować i uprawiać warzywa. Możemy mieć owce, kozy, kury.

– Dobrze, Owenie. Jeśli tego chcesz, to też jest właściwie możliwe.

– To nie jest „możliwe”. To jedyny sposób, żeby żyć.

Uśmiecha się do mnie i znów odzyskuje nadzieję.

– W takim razie poproszę o transfer do Watahy z Flagstaffu – mówi. – Czas już zresztą, żebym się ruszyła, a Sam i Ty to dobre chłopaki.

– Ano. I dobrze się z nimi walczy – dodaję.

Przywódcy Watahy z Flagstaffu są znacznie młodszymi wilczkami niż Hal Hauk i większość jego drużyny z Tempe, ale stanowią szczęśliwą parę, dzielą się piwkiem i łatwo ich namówić od czasu do czasu na małe zapasy z niedźwiedziem. Po prawdzie to najchętniej bym se wrócił po prostu do Irlandii, ale przecież o to Grety nie poproszę. Musi mieć jakąś watahę, żeby mieć z kim biegać, kiedy jest pełnia, a nie wiem, czy znalazłaby jakąś w mojej ojczyźnie.

A potem robi się straszne zamieszanie wokół jakiegoś faceta, co się nazywa pośrednik, bo teraz to nawet już mają tu takich ludzi, co to nic innego nie robią, tylko sprzedają domy, i to nawet takie, co sami ich nie wybudowali. W cholere to sensu nie ma.

– Słuchaj – mówię do Greta. – Znalazłem taki kawał ziemi pełen piesków preriowych. Nawet stoi tam jakaś szopa, gdzie można sobie srać do woli. Sprzedam ci tę ziemię za te wasze głupie pieniądze. Tak to działa z tym pośrednikiem?

– Mniej więcej. Tylko że właściciel tej szopy wystawia ją na sprzedaż, a nie pośrednik.

– No to po cholere nam w ogóle ten cały pośrednik?

– Jest mnóstwo prawnych powodów. Poza tym to zapobiega bójkom między sprzedawcą a kupującym.

– A, skoro tak, to rozumiem. Naciąłem się kiedyś i kupiłem starą dziczyznę od jednego takiego, co mieszkał na bagnach, więc mu chciałem spuścić manto. Bym miał pośrednika, toby to zrobił za mnie. Szkoda, że nie miałem.

– Nie, Owenie, nie tak to działa...

– A powinno! Po bagnach to się pałęta w cholere takich różnych typów, którym przydałoby się dobre lanie. O zakład idę, że nie tylko ja bym chętnie za to zapłacił. To robota na pełen etat. Czekać, może to robota dla mnie! Bo Siodhachan mówi, że mam se jakąś znaleźć.

Greta poddaje się wtedy z wyjaśnieniem, co właściwie robi ten cały pośrednik, a i ja już więcej się nie dopytuję i pozwalam jej samej ogarnąć ten koszmar współczesności. Znajduje miejsce poza miastem, które mnie zupełnie odpowiada, bo ma kawał ziemi z drzewami. Dom jest o wiele za duży, ale Greta mówi, że się przyda.

– Przyda? Do czego? – pytam. – Na co nam cholerny zamek?

– Nigdy nie wiadomo.

Pojęcia nie mam, o czym ona gada, ale każe mi zaczekać. Chce, żebym siadł na spokojnie z Halem, Samem i Tyem, żebyśmy coś tam przegadali.

No to siadamy kilka dni później u Sama i Tya w chałupie. Hal przyjeżdża specjalnie po to z Tempe. Dają mi to wypasione piwo i uśmiechają się tak jakoś za szeroko. Częstują mnie serem, którym se można posmarować krakersy, i wyraźnie uważają, że mój pradawny mózg powinien normalnie oszaleć na widok takiego sprycaśnego żarcia. Ani chybi chcą mnie o coś prosić i się boją, że się nie zgodzę.

– No dobra, o co chodzi? – mówię więc. – Jeśli się wam zdaje, że mi wciśnięcie jedną z tych waszych komórek, to radzę wam w ogóle nie próbować.

– Nie, Owenie, nic z tych rzeczy – zapewnia mnie Greta. – W zasadzie wydaje nam się, że to coś, czego sam chcesz.

– Zamieniam się w słuch.

Wpadam w brązową skórzaną kanapę, która tak mi wsysa tyłek, jakby miała mnie już nigdy nie wypuścić.

– Z tego, co mówiłeś, rozumiem, że chciałbyś zająć się nauczaniem nowych druidów.

– Ano, ano. Tylko pojęcia nie mam, skąd tu wziąć rodziców, którzy by mi na to pozwolili. Ci ludzie w ogóle nie wierzą w magię. A jeśli już w nią wierzą, to z kolei nie chcą, żeby ich dzieci miały z nią coś wspólnego.

– Widzisz, chodzi o to, że są rodzice, którzy wierzą w magię i którzy bardzo by chcieli, żeby ich dzieci zostały druidami.

– Tak?!

– Tak. Ci rodzice są wilkołakami.

– Że co znowu? Myślałem, że nie możecie mieć dzieci. Przecież każda przemiana zabiłaby dziecko w łonie matki, tak czy nie?

– To prawda, ale mamy kilka osób, które stały się wilkołakami dopiero niedawno, a nim zostały ugryzione, miały już dzieci. I oczywiście teraz się o nie martwią. Nie chcą, żeby ich dzieci zostały wilkołakami, ale nie chcą też, żeby czuły się wykluczone z ich życia. Druidyzm postrzegają jako idealny kompromis. W ten sposób dzieci mogłyby mieć dostęp do magicznego świata i nawet biegać czasem z watahą, gdy już nauczą się przemieniać w zwierzęta, ale nie musiałyby żyć z klątwą likantropii.

– O jakim wieku mówimy?

– Może lepiej ja spytam ciebie: jaki jest idealny wiek?

– Między szóstym a ósmym rokiem życia. Im młodsze dziecko, tym lepiej przyswajają języki. I łatwiej mi będzie ukształtować ich umysły tak, żeby radziły sobie z przestrzeniami mentalnymi. W ten sposób będzie je można spleść z ziemią między osiemnastym i dwudziestym rokiem życia – mówię.

Wilki patrzą po sobie, a potem odzywa się Hal Hauk.

– Wiemy o sześciorgu dzieciach w tym przedziale wiekowym. Jeśli się zgodzisz, załatwimy ich rodzicom transfery do Watahy z Flagstaffu i wtedy będziesz mógł się zająć ich szkoleniem.

– Chwilunia. – Usiłuję usiąść prosto na kanapie, ale dziadostwo mnie nie puszcza. Muszę mocno chwycić się podłokietnika, żeby jakoś się z niej wyciągnąć.
– Czy wy mi mówicie, że mogę tu, na ziemi Grety, pod Flagstaffem, założyć gaj druidów?!

– Czemu nie? – odpowiada Greta. – Mamy tu dość miejsca. Mamy ciszę i spokój. Mamy mnóstwo drzew. Możesz tu zbudować, co chcesz. Może szklarnię na zioła i warzywa?

Sześcioro uczniów naraz. I wszelkiego rodzaju wsparcie wilkołaków. To brzmi podejrzenie dobrze.

– Te dzieciaki nie zostały ugryzione, tak? Bo nie da się spleść z Gają kogoś, kto został ugryziony.

– Nie, nie. Są zupełnie normalne – zapewnia mnie Hal. – Tylko ich rodzice nie są.

– Kiedy już zostaną splecione, nie będziecie mogli ich skutecznie ugryźć. Gaja nie pozwoli im się zmienić w wilkołaki. To dlatego mogę sobie z wami walczyć bez większego ryzyka.

– Jeśli o nas chodzi, to właśnie dodatkowy plus – mówi Greta.

– Ale póki ich nie splecę, nie będą zabezpieczone.

– Tak, rozumiemy. Ścisłe środki bezpieczeństwa. Już je zresztą zastosowaliśmy.

– W takim razie – oznajmiam – nie mam nic przeciwko temu. – Uśmiechają się szeroko, unoszą dłoń jednak, żeby ich uspokoić. – Ale nie podniecajcie się jeszcze i nic nie róbcie. Nie chcemy przecież zacząć czegoś tylko po to, żeby pojawił się Siodhachan i nam to wszystko spieprzył. Od jakiegoś czasu nie miałem żadnej wiadomości ani od niego, ani od Granuaile. Wolałbym najpierw dać im znać, że mają mnie odtąd zostawić w świętym spokoju.

Twarz Hala nagle wydaje mi się okropnie zmęczona. Kiwa głową.

– Masz rację. Tak pewnie będzie lepiej. Wiem, że głównie zamartwia się teraz wampirami. Ja zresztą w sumie też. Jeden taki, który kiedyś z nami pracował, oświadczył jakiś czas temu, że cały nasz stan jest jego terytorium. Nie wydaje mi się, żeby zamierzał nam robić kłopoty, ale gdyby jednak, mogłoby to mieć straszliwe konsekwencje.

– Ano. Trzeba być ostrożnym. Skontaktuję się też z Tír na nÓg. Brighid dała mi już ogólne błogosławieństwo na szkolenie druidów, ale wolałbym mieć jeszcze

szczegółowe błogosławieństwo na ten gaj. Nie zaszkodzi mieć poza ochroną watahy także ochronę faerii.

Greta zrywa się z miejsca i rzuca na mnie. Przyciska usta do moich i wciska mnie jeszcze głębiej w szpony tej skórzanej kanapy.

– Dziękuję ci, że jesteś otwarty na naszą propozycję, Owenie. To wiele dla nas znaczy.

Jest ciepła, jej włosy pachną jak jagody i wanilia, a jej oddech staje się szybszy, gdy się całujemy. Odsuwa się, ściska mnie mocno za sutek i nagle już jest przy drzwiach. Na twarzy ma szelmowski uśmiech.

– Pobiegasz ze mną, Misiu? – proponuje, znów używając tego przezwiska, które uważa za słodkie, ale które mnie nieodmiennie dezorientuje. W niczym nie przypominam pluszowych misiów.

– Jeśli tylko uda mi się wydostać z tej po trzykroć przeklętej kanapy – mamroczę.

Lecz nim Greta ma czas wyskoczyć na dwór, rozlega się pukanie do drzwi. Greta otwiera i ktoś pyta o mnie.

– Kto może czegoś tu ode mnie chcieć? – zastanawiam się na głos, usiłując wstać. – Szlag by trafił tę cholerną kanapę, Sam, złap siekierę i weźże ją porąb na opał!

Sam wybucha śmiechem i podaje mi rękę.

– Nie mogę. To ulubiona kanapa Tya.

Ty wyglądasz na urażonego i od razu się czuję jak marynowane ciele.

– Przepraszam, Ty. Nie słuchaj, co wygaduję. Jestem tylko zręczliwym capem. Możesz mi za to spuścić lanie przy następnych zapasach. Nie martw się, będziesz jeszcze miał okazję bronić honoru swojej dupożernej kanapy.

Mężczyzna stojący w drzwiach to Creidhne, jeden z Tuatha Dé Danann. Ma pod pachą jakieś płaskie drewniane skrzynki i uśmiecha się na mój widok.

– Owen! Cieszę się, że udało mi się ciebie złapać. Brighid powiedziała, że tu cię mogę znaleźć.

– Tak powiedziała? Hmm, to by znaczyło, że obserwuje mnie uważniej, niż myślałem. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Tylko przyjmując te dary. Skończyłem twoje kastety. I mam też kilka prezentów od Luchty.

– Moje kastety?

Zupełnie o nich zapomniałem. Creidhne rzeczywiście zmierzył mi jakiś czas temu pięści i obiecał wymyślić jakąś broń. Miała to być próba jego talentu. Nawet o nie nie prosiłem. Sam z tym wyskoczył. Pewnie Tuatha Dé Danann marzy się dawna chwała teraz, gdy znów po świecie chodzą druidzi – znaczy więcej niż jeden Siodhachan, który zresztą przez ostatnie dwa tysiące lat głównie się przecież ukrywał.

– Ano. Nie mogę się już doczekać, kiedy je przymierzysz. Masz teraz momencik czy pojawiłem się w złej chwili?

Greta posyła mi to swoje spojrzenie i mówi:

– Pobiegamy później, Owenie. Ale uważaj, nie będzie łatwo.

– Już odliczam godziny – odpowiadam jej, a Creidhne’a zapewniam, że jest tu mile widziany, i przedstawiam mu wilki. Ty zaraz wyciąga więcej piwa. Unoszę butelkę i mówię: – Za Goibhniu i jego sztukę – żeby wspomnieć brata Creidhne’a, zabitego przez spriggana podczas próby zamachu stanu, kiedy to Fand próbowała obalić Brighid. – Nie ma dnia, żeby mi go nie brakowało.

Pijemy więc za Goibhniu, a potem Creidhne rozkłada swoje skrzynki na stole w jadalni. Jedna jest większa od drugiej, ale obie zrobione są z ręcznie bejcowanego klonu. Otwiera tę mniejszą. W środku wyłożona jest czerwonym filcem. Na nim leży para mosiężnych kastetów zdobionych splotami, którymi bóg rzemiosła jest bardzo przejęty.

– Kastety nie mają jeszcze nazwy, ale to broń, której warto by ją nadać – mówi.

– Nie da się ich złamać. Zwiększają twoją siłę. I stanowią magazyn dla energii Gai.

– Że niby co to znaczy?

– Widzisz, Siodhachan i Granuaile też mają coś podobnego. W dzisiejszym świecie zdarza się, że jesteś odcięty od ziemi, a musisz akurat wykonać jakiś splot. Właśnie po to możesz przechowywać sobie energię w tych kastetach i pobierać ją, gdy jest ci potrzebna. Tak działa srebrny charms Siodhachana i srebrna końcówka Scáthmhaide’a Granuaile. Oboje zdecydowali się na srebro, na wypadek gdyby zagrażały im wilkołaki. – Spogląda nerwowo na naszych gospodarzy, gdy uświadamia sobie, że mógł ich obrazić. Dodaje pospiesznie: – No, ale wiesz, brąz też jest dobry do przechowywania energii. Każdy z kastetów może przechować więcej niż oba tamte rodzaje broni razem wzięte.

– Kurczę, sprawiłeś mi radochę większą, niż jakbym się wykąpał w basenie portera. Ale co się z nimi stanie, jak się przemienię?

– Ha! To jest najlepsze! Zmienia się tak, żeby dopasować się do twoich postaci. Jak będziesz niedźwiedziem, to będą ochraniać pazury, jak baranem, to rogi, jak morsem, to kły, a jak kanią, to szpony.

– Chcesz udowodnić bratu, że jesteś lepszy, co?

– Może trochę się popisuję – przyznaje z dumą. – Bo widzisz, to duży minus Scáthmhaide’a, że Granuaile musi go jakoś nieść bez względu na to, w jakiej jest postaci. Poza tym to niesamowicie potężna broń, splot niewidzialności jest zupełnie genialny, ale jednak nie może się z nią skutecznie przemieniać. Jest przez nią praktycznie skazana na ludzką postać. Nie chciałem, żebyś miał podobne problemy. Te kastety będą się więc przemieniały wraz z tobą i zawsze się przydadzą.

– Mogę przymierzyć?

– Proszę, proszę! Bardzo chciałbym zobaczyć je w akcji.

Wyciągam je więc ze skrzynki i wsuwam na palce. Czuję ich zimno na skórze. Leżą idealnie. Są cienkie, ale szerokie, tak że zasłaniają przestrzeń między pierwszym i drugim kłykiem. Po ich włożeniu nie czuję żadnej różnicy, ale to się pewnie zmieni, gdy wyjdę na zewnątrz i spróbuję coś zaatakować.

– Świetnie. Chodźmy na dwór i dorwijmy jakąś skałę.

Flagstaff jest usytuowane dwa tysiące metrów nad poziomem morza i naprawdę daje ci do zrozumienia, że to już grudzień. Jeszcze nie spadł śnieg, ale jest już na tyle zimno, że może spaść w każdej chwili. To mi nie przeszkadza. Rozbieram się, gdy tylko wychodzę na dwór, i od razu czuję energię zalewającą mnie przez tatuaże na stopie. Nie pobieram jej bardzo dużo, bo nie potrzebuję. Przecież wyszedłem tylko sprawdzić kastety. Za pierwszy cel obieram sobie niewinnie wyglądający kawał rudej skały, która nigdy mi niczego złego nie zrobiła, ale akurat wystaje spod warstwy igieł sosnowych jakieś dziesięć metrów od domu Sama i Tya.

– Nie porysuję ich aby, jak będę walił w skały, ściany czy coś? Nie zniszczą się?

– Nie powinny – zapewnia mnie Creidhne.

– A moje ręce?

– Też nic im się nie powinno stać.

Normalnie nie waliłbym przecież w kamień. Palce połamałyby mi się o wiele szybciej niż atakowana skała, która zresztą nie raczy wydawać żadnych odgłosów, żeby ci dać znać, że ją boli. Ale jak człowiek ma przetestować nową broń, to trzeba to zrobić porządnie.

Unoszę więc prawą pięść i choć odruchowo wydaje mi się, że ją zupełnie roztrzaskam, strzelam nią w kamień. Nie pęka ani nie osypuje się w proch, ale moja ręka też nie. Cios sprawia tylko, że górna warstwa tuż pod kłykciami zmienia się w pajęczynę cienkich dziwacznych linii. A ja nie czuję bólu. Za to wiem już, że mam niesamowitą siłę.

Zachęcony takim wynikiem uderzam jeszcze raz, tym razem mocniej, a z kamienia sypią się odłamki.

– Jasna cholera, Owen – szepcze zdumiona Greta. – Ręce cię nie bolą?

Pokazuję jej dłonie. Ani kropli krwi. Żadnego zaczerwienienia, które by zapowiadało siniaka.

– Ani trochę.

Nie zdejmując kastetów, przemieniam się w niedźwiedzia, żeby zobaczyć, co się stanie. Mosiądz rozpływa się, rozciąga i dopasowuje do moich pazurów. Mam mosiężne pazury! Robię zamach, żeby uderzyć łapą w ziemię – zamarznąłą, zeschlą glinę – ale łapa wchodzi w nią, jakby to był serek wiejski. Niesamowite. Przemieniam się w morsa tylko po to, żeby zobaczyć mosiądz na kłach. Czuję, jak podczas przemiany mosiądz przesuwają się po moich rękach aż na twarz, i już je widzę – lśniące mosiężne kły. Ryczę na Creidhne'a i wilki, żeby ich rozśmieszyć, po czym pomijam postać barana i od razu zmieniam się w kanię. Metal przepływa z twarzy na stopy, a moje szpony, wciąż niezwykle ostre, są teraz pokryte mosiądzem. Jestem ciekaw, jak ten dodatkowy ciężar wpłynie na mój lot, więc podrywam się z ziemi. Wymaga to odrobinę więcej wysiłku, ale gdy już jestem w powietrzu, nie czuję wielkiej różnicy. Z kastetów płynie bowiem do skrzydeł dodatkowa siła i latanie nie sprawia mi trudności. Żeby wypróbować szpony, ląduję na sosnowej gałęzi i mało jej nie odcinam. Będę musiał poczynać sobie ostrożniej, żebym niechcący nie niszczył drzew.

To wspaniały dar, na który zupełnie sobie nie zasłużyłem. Przelatuję na inną gałąź i siadam na niej lekko, żeby mieć chwilę na opanowanie uczuć. Kanaliki łożowe kani nie reagują tak łatwo na emocje, więc to bardzo dobra postać, żeby uporać się z nimi, nie przenosząc ich na innych. Co za wspaniały dzień! Pojawiła się nadzieja na nowych uczniów, dostałem kastety, którymi łatwo mogę sprać jakiegokolwiek typka z bagien, a jeszcze Greta obiecała mi wspólną przebieżkę. To więcej darów, niż mogłem się spodziewać w najśmielszych marzeniach. Takie piękne dni zawdzięczam tak naprawdę Siodhachanowi, niech go szlag.

Zlatuję na dół, przemieniam się z powrotem w człowieka, zdejmuję kastety i zasypuję Creidhne'a pochwałami.

– Jesteś najwspanialszym rzemieślnikiem, jaki chodzi po tej ziemi! Są niesamowite! Idealne!

Syn Brighid kłania mi się skromnie.

– Liczę na to, że dokonasz w nich jakichś legendarnych czynów. Jak nie zyskasz w nich sławy, uznam, że zmarnowałem czas.

– Na pewno się coś nadarzy – zapewniam go z uśmiechem.

– Jak już wymyślisz dla nich nazwę, dasz mi znać, co?

– Oczywiście, oczywiście.

– Mam dla ciebie jeszcze coś, a potem już muszę iść.

– A, racja, jest przecież druga skrzynka!

Pakujemy się z powrotem do środka, a ja ubieram się, żeby się rozgrzać. Większa skrzynka od Luchty zawiera trzy kołki, drewniane cudeńka zdobione splotami.

– Luchta dowiedział się, że Siodhachan nasyła cisowców na wampiry i próbuje zawalczyć, żeby świat był wreszcie bezpieczny i pozbawiony tych krwiopijców, więc zrobił dla was te trzy kołki.

– Że co? – wymyka mi się. – Że co niby robi Siodhachan?

– Z tego, co rozumiem, wampiry znów ogłosiły sezon otwarty na druidów, to znaczy na was troje. To one przecież podpuściły Rzymian, żeby was wybić, wiesz chyba o tym. Choć to było dość dawno temu. Ty to w sumie przeoczyłeś. W każdym razie przeżył tylko Siodhachan. No i ty, bo przeskoczyłeś całe to zamieszanie.

– Nie wiedziałem o tym. Słowem mi o tym nie wspomniał.

– Myślałam, że opowiedział ci wszystko, gdy poprawiałeś mu tatuaże – wtrąca się Greta.

– Nie, nie. To akurat pominął. Głównie rozmawialiśmy o tym, jak spieprzył sobie zupełnie sytuację z bogami. I tylko o jednym wampirze. A nie, o dwóch. Jeden mało go nie zabił, bo ten pierwszy go zdradził.

– Tak, ten, który go zdradził, nazywa się Leif Helgarson – wyjaśnia mi Hal. – Nas także zdradził.

– Ale ten, który teraz chce walczyć, to stary wampir o imieniu Theophilus – dodaje Creidhne. – Albo w każdym razie to on wydaje rozkazy.

Odwracam się w stronę Grety.

– To niestety zmienia postać rzeczy, miłości moja. Nie możemy zakładać tu gaju, jeśli w każdej chwili mogą tu wpaść krwio pijcy. To by nie było bezpieczne.

Posyła mi to swoje spojrzenie i kręci głową.

– Dzieci będą tu zupełnie bezpieczne, dobrze wiesz. Będą w zabezpieczonym domu od zachodu do świtu. Wszystkie będą chronione przez nas i swoich rodziców, a nas nie da się tak łatwo zabić.

– Nie wiem, o jakim gaju mówicie, ale spójrz na te kołki, Owenie – odzywa się Creidhne. – Tak jak Scáthmhaide’a, nie da się ich złamać ani roztrzaskać na drzazgi, a do tego mają wyrzeźbione zaklęcia rozplatające wampiry. Wystarczy, że dźgniesz którymś z nich wampira w cokolwiek, w lewą rękę, duży palec prawej nogi, wszystko jedno... natychmiast następuje rozplecenie. Nawet nie musisz uderzyć w serce.

– Nie miałem pojęcia, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

– Luchta też nie, póki nie spróbował. Słuchaj, Brighid naprawdę chce, żeby tym razem zwyciężyli druidzi. Te kołki to był jej pomysł, a Luchta go urzeczywistnił.

– Jej pomysł, powiadasz? Hmm. I tak muszę złożyć twojej matce wizytę. Powinienem porozmawiać z nią o założeniu tu tego gaju. A poza tym może ona wie, gdzie się podział Siodhachan.

– Raczej nie. Kazała mi zanieść te wszystkie kołki tobie, bo myślała, że może ty będziesz wiedział, gdzie go znaleźć.

– Mogę spróbować do niego zadzwonić – mówi Hal i wyciąga komórkę. Patrzymy w milczeniu, jak uderza palcami w ekranik. Wciska głośnomówiący, żebyśmy wszyscy mogli słyszeć, ale od razu odzywa się poczta głosowa. – Nic z tego. Wyłączył komórkę albo mu padła bateria, albo jest w jakiejś innej krainie.

– Głowę daję, że jest na ziemi – warczę, czując, jak wraca mi stara złość na myśl o tym, że Siodhachan knuje gdzieś tam te swoje shenanigany. – Idę o zakład, że jest gdzieś tu z tym swoim chamskim psem i wyprawia jakieś głupoty większe niż wcinanie całej miski gówna lamy.

Rozdział 5

Celowe szukanie poltergeista może być jednym z największych głupstw, jakie udało mi się kiedykolwiek popełnić. No, może poza zapuszczeniem bokobrodów.

Kiedy się obudziłem i spojrzałem na faceta w lustrze, w miejscach, gdzie poprzedniego dnia nałożyłem Opatentowany Tonik na Cudowny Porost Brody O'Sullivana, włosy zarosły mi już policzki do połowy. Miały już z półtora centymetra, musiałem się więc trochę podstrzyc. A potem trzeba było jeszcze przyklepać włosy jakimś tłustym paskudztwem, z przedziałkiem na lewej stronie i przyklejonym do czoła loczkiem.

<No, odmiana jest spora> ocenił Oberon, gdy wyłoniłem się z łazienki. <Mam tylko nadzieję, że ta moda nie zapanuje teraz wśród pudlic>.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek panowała wśród ludzi – mruknąłem, sięgając do szafy po szary garnitur. Zawiązanie krawata udało się dopiero za którymś podejściem. Minęły wieki, odkąd ostatnio nosiłem krawat.

Zabrałem Oberona na śniadanie i spacer. Na niego patrzono jak zawsze z podziwem – na mnie niepewnie i ukradkiem. Poranne gazety rozpisywały się o przedziwnej fali rytualnych morderstw poprzedniego dnia w Ameryce i Meksyku, w większości w strefie czasu pacyficznego, gdzie szokującą liczbę osób znajdujących się dziwnym trafem na liście najbogatszych ludzi na świecie znaleziono z raną w sercu i odrąbaną głową. Znaczący się: Młoty Boga zdobyły kilka punkcików dla dobrej strony.

Potem włączyłem Oberonowi kanał kulinarny zamiast niani i zamknąłem go w pokoju z zawieszka „nie przeszkadzać”. Miał ostatnio fazę na programy o dziwnym jedzeniu z całego świata, to znaczący dziwnym jak na amerykańskie gusta. Opowiadał mi o wszystkim szczegółowo, a potem kazał się przerzucać do najróżniejszych miejsc, żeby spróbować żywej kałamarnicy, pieczonej szarańczy czy innych smakołyków.

Celowo nie przyznałem mu się, jak bardzo niepokoi mnie ta operacja. Tak wiele rzeczy mogło pójść nie po mojej myśli, że nawet mi się o tym myśleć nie chciało. Najważniejsze, że mój pies był szczęśliwy – zostawiałem go niezwykle

rozbawionego widokiem Amerykanów kosztujących koreańskiej potrawy z płaszczki zwanej *honge*, która jest chyba najokropniejszym jedzeniem na całym świecie.

Najpierw udałem się do antykwariatu, gdzie znalazłem stare wydanie Biblii Króla Jakuba, z czerwoną wstążką w roli zakładki. To ją wziąłem ze sobą zamiast mojego miecza Fragaracha. Narzeczony Gwendolyn nie miał przecież pojęcia o mieczach, ale znał się nieźle na ewangelii.

Nie było czasu do stracenia. Werner Drasche z pewnością był już w Toronto i właśnie mnie szukał, musiałem więc złożyć wizytę w Królewskim Konserwatorium Muzycznym przy ulicy Bloor, a dokładniej w sali koncertowej imienia Jana Ichnatowycza, bo tak teraz nazywał się dzięki sponsorowi ten stary budynek, w którym w dziewiętnastym wieku zginęła Gwendolyn, straszyla przez te wszystkie lata i w którym około siedemdziesięciu lat temu wzięła mnie pomyłkowo za swojego ukochanego Nigela.

Gdy tylko przekroczyłem próg konserwatorium, stała się zabawna rzecz. Ludzie przestali patrzeć na mnie, jakbym był chodzącym faux pas mody, i uśmiechali się na mój widok. W świecie muzyki ekscentryczny strój to oznaka geniuszu. Czy coś w tym stylu.

– Pewnie pianista – usłyszałem szept, gdy mijałem grupę studentów na wielkich schodach.

– Nie, to wiolonczelista – odszepnął mu inny. – Oni wszyscy mają nastukane.

W budynku było teraz o wiele mniej pustych sal niż jesienią 1953 roku. Ludzie ćwiczyli w nich na swoich instrumentach, słuchali wykładów z teorii muzyki albo pędzili błogie życie skoncentrowane na sztuce oraz skomplikowanej polityce wewnętrznej swoich orkiestr i symfonii. A wiele z tych mniejszych salek zajmowały teraz biura wydziałów.

Nie było nic wolnego na pierwszym piętrze, gdzie wtedy znalazła mnie Gwendolyn, wdrapałem się więc na drugie i tam wreszcie znalazłem pustą salę. Liczba ławek, które mogły mnie zaraz zaatakować, była dość niepokojąca, ale wybrałem jedną tuż przy drzwiach, klęknąłem przy niej z Biblią w dłoniach i powiedziałem głośno:

– Gwendolyn? To ja, Nigel. Chciałbym z tobą porozmawiać.

I tak ciągnąłem bez większych rezultatów dłuższą chwilę, powtarzając w kółko swoje imię, jej imię i to, że chcę porozmawiać. Po godzinie kolana mi zdrętwiały i zacząłem myśleć, że może jednak Gwendolyn się stąd wyniosła. To by miało sens,

bo co by ją tu miało trzymać po tym, jak – w jej przekonaniu – ujrzała, że ją zdradzono.

– No trudno – powiedziałem, wstając. – Chciałem tylko powiedzieć, że przepraszam.

– *Przrzrzepasz za co?* – szepnął eteryczny głos i z katedry spłynęła ku mnie czerwona zjawa.

– Przepraszam, że nie było mnie przy tobie, gdy mnie potrzebowałeś. Wtedy, gdy stratował cię koń.

– *I to wszszysztko?*

– Nigdy sobie tego nie wybaczyłem. Gdybym tylko wyszedł ci na spotkanie, być może udałoby się uniknąć twojej śmierci.

– *A co z tamtą kooobietą?*

– Jaką kobietą? Nie ma żadnej innej. Nigdy nie było i nie będzie.

– *Widziałam cię, Nigelu! Wiiiidziałam cię z tamtąą!*

Meble zaczęły się znacząco poruszać, szurając przeraźliwie na posadzce. Zaraz zostaną zbombardowany latającymi stołami. Musiałem ją jakoś szybko przekonać, że tamten człowiek z inną kobietą to nie był jej Nigel, bo też to przecież nie był on. Jej Nigel był jej wierny aż do śmierci, z tego w każdym razie, co udało mi się o nim znaleźć.

Mój plan opierał się na przekonaniu, że duchy mają jedną cechę wspólną z psami – mgliste pojęcie o upływie czasu. Gwendolyn zdawało się z pewnością, że jej Nigel nadal żyje i nadal uczęszcza do seminarium baptystów w dziewiętnastym wieku. Takie drobiazgi jak samochody sunące po asfaltowej jezdni przed oknami czy elektryczność w budynku po prostu do niej nie docierały. Ją interesowała tylko jej miłość do Nigela i dlatego też właśnie zignorowała albo wręcz w ogóle nie rejestrowała drobnych różnic między nami w wyglądzie i głosie. Jedyne sposoby, by mogła zamknąć ten tragiczny rozdział swojego życia, to naprawić jej relację z Nigelem.

Teraz więc musiałem nim być.

– Nie wiem, co widziałaś, Gwendolyn, ale ktokolwiek to był, to nie byłem ja! Ja przecież nigdy bym ci nie zrobił czegoś takiego. Jest tu w college’u taki jeden chłopak, który wygląda trochę jak ja. Może pomyliłaś go ze mną.

– *Nnnie! To byłeś ty! Miałeś na sobie ten sam garnitur! A ona powtarzała twwoje imięęę. Wołaała: Nigel!*

Biurka zaczęły lewitować nad podłogą, drżeć i wirować. Jedno z nich niemal rąbnęło mnie w głowę, gdy rozpaczliwie wykrzykiwałem odpowiedź. Udało mi się zakryć głowę ręką, ale kantem uderzyło mnie boleśnie w przedramię.

– Szare garnitury widzi się teraz na każdym kroku, Gwendolyn! Taka moda. A przecież mówiłaś, że to tylko ta kobieta nazywała go Nigelem. Czy on sam powiedział, że ma na imię Nigel?

Zamarła i zapomniała o stołach, o których z kolei przypomniała sobie grawitacja, więc runęły z hukiem na podłogę.

– *Nnnie.*

– To powiedział, że jak ma na imię?

– *Nnnic nie powiedział. Tylko że nie jest Nigelem.*

– A widzisz.

– *To dlaczego ona go tak nazywała?*

– A bo ja wiem. Ludzie robią najróżniejsze rzeczy, Gwen. Słyszałem nawet, że są tacy, co lubią się przebierać. Kolega mi mówił. Może natknęłaś się na takich właśnie dziwolągów.

– *Przrzrzebierać?*

Tego tematu wolałem nie drążyć, jako że sam właśnie byłem poniekąd przebrany, więc postanowiłem go szybko zamknąć.

– Tak. Tak okropnie mi przykro, że zwątpiłaś w moje uczucia, ale tak strasznie się cieszę, że znów cię widzę.

– *Cieszysz się, że mnie widzisz? W takim sssstanie? Nie uważasz mnie za potępioną?*

– Skądże znowu – odparłem, bo przecież musiała być to jedyna poprawna odpowiedź. Nie można chyba powiedzieć własnej narzeczonej, że jest potępiona. Z drugiej jednak strony musiałem szybko wymyślić, dlaczego nie. W tradycyjnym ujęciu duch był przecież przynajmniej przeklęty, jeśli nie potępiony. To znaczy, jeśli pastor protestancki w ogóle wierzył własnym oczom. Potem jednak przypomniałem sobie, że w okresie wiktoriańskim dość popularny był spirytualizm, który musiał przecież mieć jakiś wpływ na Nigela. A spirytualizm postrzegał duchy jako istoty nie tylko zdolne do komunikowania się z żywymi, ale wręcz poniekąd do tego stworzone. Nigel nie był jakimś zatwardziałym purytaninem ani tym bardziej współczesnym fundamentalistą. Był dzieckiem swojej epoki. – Jedyne czekasz przecież na to, by odejść. Wciąż masz widocznie coś do załatwienia na

ziemi, być może musisz mnie czegoś nauczyć, może nauczyć nas wszystkich. Chcę ci tylko pomóc, Gwendolyn.

– Jaaak?

– Ten człowiek, który cię przejechał... wiem, gdzie go znaleźć. Musimy go powstrzymać, nim jeszcze kogoś skrzywdzi.

– *Nie szszszukam zemsty.*

– Nie, jasne, ja też nie. Tu chodzi jednak o sprawiedliwość. I spokój ducha. Boję się, kogo jeszcze może skrzywdzić. Potrafisz opuścić to miejsce, prawda?

– *Tak, ale nie chcę. Chcę z tobą rozmawiać.*

– I ja chcę rozmawiać z tobą. Ale to ważne, byśmy najpierw powstrzymali tego człowieka. Potem będziemy mogli w spokoju rozmawiać. – Skinęła głową, a ja uniosłem palec. – Daj mi tylko chwilę, żebym wszystko przygotował, dobrze? Poczekasz tu na mnie momencik?

– *Poczekaam. Czekałaaam już tak długo.*

– Będę tuż za tymi drzwiami i zaraz do ciebie wrócę.

Posłałem jej uśmiech, zerwałem się z klęczek i wypadłem za drzwi.

Gdy tylko znalazłem się na korytarzu, włączyłem komórkę i natychmiast wyskoczyło mi mnóstwo nieodebranych połączeń. Jedno było od mojego prawnika Hala Hauka, z którym i tak chciałem pogadać, więc oddzwoniłem.

– Atticus? Gdzie jesteś? – zaczął.

– W Toronto. Słuchaj, Hal, muszę dodzwonić się do Leifa, bo chcę go prosić o telefon Wenera Drasche'a.

– Co?

– Masz jeszcze jakiś kontakt do Leifa, nie?

– Tak, ale kim jest Werner Drasche?

– Długa historia. Potrzebuję jego numeru, okej?

– Okej, ale próbowaliśmy się do ciebie dodzwonić w innej sprawie. Twój archdruid chce założyć pod Flagstaffem gaj druidzki. Będzie miał sześcioro uczniów.

– Uczniów? Gdzie ich niby znajdzie?

– Ja ich znalazłem. To dzieci członków watahy urodzone, nim ich rodzice stali się wilkołakami.

– Genialne! Tylko że może się zrobić gorąco na wampirzym froncie. Musicie uważać, zabezpieczyć się.

– To ty jesteś odpowiedzialny za poranne nagłówki?

– Tak, w pewnym sensie. Pamiętasz tego brodacza w moim sklepie? Tego, co próbował cię cisnąć srebrnym nożem?

– Jasne, taki dziwny rabin.

– Jest teraz znacznie spokojniejszym facetem. To jego organizacja stoi za tym, co się stało w nocy. Ja im tylko dostarczyłem informacje. Działam szybko i staram się zastawiać na nich pułapki, ale w końcu mnie dorwą. Na pewno będzie kontratak, szczególnie po tym, co się stanie dzisiaj, więc powinniście uważać.

– Dzięki za ostrzeżenie.

W tle usłyszałem znajomy gderliwy głos i Hal dodał:

– Twój archdruid mówi, żebyś się z nim spotkał w Tír na nÓg, na Dworze Faerii. Ma coś dla ciebie.

– Dobra, będę tam, ale muszę tu jeszcze załatwić kilka spraw. Ten numer do Wenera Drasche’a.

– Zaraz oddzwonię.

Minęło tylko pięć minut nieznośnego czekania w starej kaplicy college’u, nim zadzwonił Hal z numerem Drasche’a i dał mi też na wszelki wypadek telefon do Leifa.

– Leif bardzo chętnie współpracował – powiedział. – Kazał ci przekazać, że odwalasz kawał dobrej roboty.

– Bogowie niejedyni, co to jest za zakłamaną drań.

– O czym on w ogóle mówił?

– Powiem ci potem. Czas mnie goni.

Rozłączyliśmy się i wybrałem numer skrytobójczej pijawki. Odebrał od razu, odezwał się po niemiecku.

– Cześć, Werner – odpowiedziałem po angielsku. – Tu twój ulubiony druid.

– O’Sullivan! Gdzie jesteś?

– Pewnie tuż obok ciebie, jeśli jesteś w Toronto.

– Tak, jestem. Twoje kawały na nic się nie zdadzą. Już rozesłałem wiadomość, że wszyscy muszą się przeprowadzić.

– Twoje wampiry muszą cię teraz wprost uwielbiać. Ich bezpieczeństwo jest zagrożone, muszą targać swoje trumny po całym świecie i jeszcze te wszystkie zadżgane biedaki na Wybrzeżu Zachodnim? Twoi ludzie będą się musieli naprawdę postarać, żeby wyciszyć wszystkie raporty z autopsji.

Zaklął po niemiecku.

– Tamta wiedźma z Afryki powiedziała, że nigdy nie wrócisz do Toronto!

Mekera była tyromancerką, a nie wiedźmą, ale Drasche miał pewnie w nosie takie rozróżnienia.

– Powiedziała ci to, co widziała. Po prostu jestem nieprzewidywalny. To nas zresztą łączy, Werner. Kiedy zabiłeś mojego przyjaciela Kodiaka Blacka, zostawiłeś list, w którym twierdziłeś, że chcesz porozmawiać, a tymczasem w Etiopii od razu zacząłeś strzelać. Bardzo niegrzecznie, Wernerze, szczególnie biorąc pod uwagę to, że gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy, darowałem ci życie.

– Chcesz rozmawiać? Teraz rozmawiamy.

– To nie to samo. Chcę porozmawiać w cztery oczy. Mam ci coś do powiedzenia na osobności. Poza tym założę się, że masz dziś jakiś boski fular, który wart jest zobaczenia. Spotkajmy się za pół godziny w Massey Hall, na rogu Victoria i Shuter. Będę w środku.

Rozłączyłem się, nim zdołał cokolwiek powiedzieć. Bez względu na to, czy przyjdzie sam, czy z obstawą, ludzie z Toronto będą bezpieczni. Nie zdoła przecież wyssać niczego z pustego teatru. Zajrzałem z powrotem do klasy i ujrzałem, że Gwendolyn wciąż tam jest – czerwona unosząca się zjawa.

– Wszystko załatwione. Ruszamy?

Wyciągnąłem dłoń w jej stronę, a ona przypłynęła do mnie z czymś, co przypominało uśmiech na rozciętej twarzy. Po schodach zeszliśmy już razem. Spotkaliśmy po drodze tylko jedną osobę, ale nawet i ona zamarła tylko na sekundę, by zaraz potem pospiesznie minąć nas bez słowa. Gdy wyłoniliśmy się na światło dzienne i stanęliśmy na schodach, na których umarła Gwendolyn, popatrzyłem na nią kontrolnie.

– Gotowa?

– *Jestem gotowa, Nigelu* – odparła, choć w promieniach słońca jej głos był już tylko cichutkim szeptem. Wyglądała tak, jakby jakiś grafik komputerowy przesadził z opcją przezroczystości.

– Doskonale. Nie zaprzataj sobie, proszę, głowy tymi drogami, dziwnymi wozami i ubraniami. Odkąd zmarłaś, nastąpiło kilka zmian. Postęp.

Nie odpowiedziała. Może i lepiej. Mogłem się więc do woli zamartwiać tym, co pomyślą ludzie o czerwonej zjawie unoszącej się obok mnie. Może mam szczęście, myślałem, może tylko ja ją widzę.

Tak, niestety, nie było. Podczas krótkiego spaceru do Massey Hall zatrzymano nas dwukrotnie. Raz był to przechodzień, a drugi raz ktoś w samochodzie. Pytanie padło to samo – co to za czerwona smuga tuż obok mnie?

– Co? – odpowiadałem. – Nic nie widzę.

To wystarczyło, by ich spławić. Z pewnością szybko umówią się do okulisty.

Budynek Massey Hall z zewnątrz wyglądał jak brudna sterta cegieł pokrytych sadzą jeszcze z czasów rewolucji przemysłowej. Schody pożarowe z przodu budynku, które miały chyba dawać ludziom na balkonie jakąś znikomą nadzieję na ratunek w wypadku katastrofy, biegły na lewo i prawo i zamykały drzwi frontowe w żelazny trójkąt. Troje podwójnych drzwi pod małymi okienkami pomalowanych było na cukierkowoczerwony kolor, który miał pewnie przekonać wszystkich, że budynek nie jest rudera, za to obiecuje wspaniałą zabawę w środku. Tymczasem w środku naprawdę znajdował się piękny teatr ze świetną akustyką i dlatego właśnie wszyscy pokornie znosili tę obrzydliwą fasadę. I jak większość teatrów, był spektakularnie pusty w ciągu dnia, przez co stanowił idealne miejsce na tête-à-tête w wielkim mieście. Drasche ucieszy się, że jestem tu odcięty od ziemi. Walka będzie więc uczciwa. A przynajmniej tak mu się będzie wydawało, gdy wpadnie w moją zasadzkę. Ale nawet gdyby podejrzewał pułapkę, nie szkodzi. Poza może zrównaniem z ziemią całego budynku ze mną w środku niewiele będzie mógł zrobić, a miałem nadzieję, że dałem mu tak mało czasu, iż nie zdoła zorganizować niczego aż tak groźnego.

– Człowiek, który cię przejechał – powiedziałem do Gwendolyn – jest łysy i ma dziwne tatuaże na głowie. Chcę porozmawiać z nim na osobności w tym budynku. Jeśli ktoś będzie próbował wejść którymikolwiek drzwiami z którejkolwiek strony, postaraj się, proszę, temu jakoś zapobiec. Zamknij wszystko na klucz. Ciśnij tego kogoś na drugą stronę ulicy. Każde rozwiązanie będzie dobre. Wpuść tylko łysego i nikogo innego.

– *Dobrzrzrze.*

– Potrafisz zamykać te drzwi na klucz i je otwierać? – spytałem, wskazując jej pierwsze. Lepiej zawsze sprawdzić.

– *Taaak.*

– Otworzyłabyś mi je, bardzo cię proszę?

Umiała radzić sobie z zamkami o wiele sprawniej niż ja. Zresztą żeby przesunąć zapadki, musiałbym pobrać energię z zapasów w charmsie, a tego wolałem nie robić. Zazgrzytało i pchnąłem drzwi.

– Dziękuję, Gwendolyn. Możemy je zostawić otwarte, póki nie przyjdzie łyśy. Powinien zaraz tu być.

Jeśli jest punktualnym gościem. Przejście z konserwatorium do teatru zajęło nam prawie pół godziny, a szliśmy dość szybko.

– *Bądź ostrożny, Nigelu* – szepnęła.

– Będę, dziękuję.

W środku musiałem włączyć noktowizję, żeby znaleźć konsolę świateł. Trochę mi zajęło, nim rozgryzłem, jak włączyć oświetlenie, ale gdy już wiedziałem co i jak, wróciłem na widownię i przykucnąłem na podłodze w środkowej części dwudziestego rzędu. Było dość ciasno, ale przynajmniej dało się schować głowę. Westchnąłem z ulgą, bo wreszcie mogłem chociaż zdjąć niewygodne buty.

Kilka chwil potem przez tylne drzwi wpadł Drasche.

– Gdzie jesteś?! – ryknął. – Rozmawiajmy!

Wrzuciłem kamuflaż, przez co zacząłem pobierać energię z niedźwiedziego charmsa, i wyjrzałem ponad oparciem, żeby go namierzyć. Tym razem miał na sobie poważny obcisły garnitur, ale za to pofolgował swoim gustom przy fularze – cyraneczka tak odblaskowa, że równoznaczna z optycznym atakiem na przeciwnika. Jego właściciel ręce trzymał za plecami. Szukał mnie wzrokiem i jego spojrzenie zatrzymało się na chwilę na niskim suficie tuż nad jego głową. Była to podłoga balkonu. Pewnie podejrzewał, że to tam mogłem się schować, bo się zawahał, jakby bał się wyjść spod niego, żeby mi nie ułatwić strzału, gdybym rzeczywiście krył się na górze.

– Mów, druidzie. Co takiego masz mi do powiedzenia?

Wyszeptałem prosty splot, żeby sprawdzić, czy nauczył się czegoś po naszym pierwszym starciu na plaży we Francji, i okazało się, że niestety owszem. Jego ubrania były tym razem z syntetycznych włókien. Nic naturalnego, co dałoby się spleść.

– Jesteś obrzydliwy i stanowisz zagrożenie dla wszelkiego życia! – zawołałem, a jego głowa odwróciła się raptownie w stronę mojego głosu, gdy bezskutecznie próbował mnie namierzyć. – Ponieważ nie uczyniłeś nic dobrego ze swoim życiem od chwili, gdy ci je oszczędziłem, muszę przemyśleć na nowo, czy zasługujesz na litość, którą ci wtedy okazałem.

Przyłożyłem stopę do metalowego tyłu siedzenia wbitego w podłogę, pod którą czaił się Ferris. Nie poczułem wprawdzie jego szumu pod skórą, ale musiał być gdzieś blisko. Nadal czekał przecież na smakołyk należny mu za wczorajszy napad.

//Mężczyzna z magią w skórze// posłałem wiadomość przez metal. //Jest dla ciebie//

– Poznaj więc moją litość – powiedział Drasche i wyciągnął ręce zza pleców. W obu trzymał małe karabiny maszynowe z długimi taśmami nabojuowymi zwisającymi przy rączkach. Skierował je mniej więcej w moją stronę, a jego palce zacisnęły się na spustach.

Stalowe kule śmignęły w moją stronę i wbiły się w teatralne fotele. Nie zrzucając kamuflażu, padłem na podłogę. Mnóstwo kul stanowiło typową dla Drasche'a odpowiedź na druidyzm i dlatego właśnie nie targalem dziś Fragaracha. Nie ma co się porywać z mieczem na karabin.

Niestety Drasche wcale nie musiał mnie widzieć, żeby trafić. Przy takiej liczbie pocisków była to tylko kwestia czasu – a dokładniej: sekund – nim jeden z nich odbił się rykoszetem od metalowego fotela i mnie trafił. Poczułem, jak wbija mi się w plecy i dziurawi wątrobę. Jęknąłem mimowolnie, zrzuciłem kamuflaż i włączyłem charms odpowiedzialny za uzdrawianie, mając nadzieję, że skończy się na tej jednej kuli, bo z jedną mogłem sobie jeszcze jakoś poradzić. Usłyszałem, że biegnie, znów ładuje i zaczyna nowy ostrzał. Musiał usłyszeć mój jęk, bo skupił się teraz na ostrzeliwaniu mojego rzędu i jeszcze jednego obok. Przy jednym ostrzale udało mu się trafić mnie aż czterokrotnie. Dwa razy w to samo miejsce na plecach, przy czym jeden pocisk wdarł się w jelita, a drugi minął śledzionę, za to trafił prosto w trzustkę. Dwa inne przecięły ścięgna udowe prawej nogi. Kiedy po raz drugi skończyła mu się amunicja i usłyszałem, jak znów załadowuje, wyciągnąłem z kieszeni komórkę. Bardzo szybko kończyła mi się energia, bo musiałem jakoś łątać rany, i wiedziałem, że sam sobie z tym nie poradzę. Udawało mi się jedynie powstrzymać wewnętrzny krwotok i łątać żołądek, żeby nie wyciekły z niego kwasy, które rozpuszczą moje jelita. Jeśli umrę tu odcięty od Gai, nie pomoże mi nawet mój duszołap.

Drasche zdołał wystrzelić jeszcze z dziesięć kolejek ze swoich nowych taśm, nim spod podłogi w końcu wyłonił się Ferris, jak na mój gust nieco spóźniony, ale za to bardzo głodny.

– *Was ist das?* – wrzasnął Drasche. – *Nein!*

Musiałem to zobaczyć, więc zaryzykowałem i podniosłem się na lewej ręce, żeby wysunąć głowę i móc coś dojrzeć. Wyrwał mi się przy tym jęk bólu, ale Drasche nie wpakował mi kulki w łeb, bo już nie patrzył w moim kierunku. Gapił

się w swoje buty z czubami i tańczył jak wariat, bo wokół jego stóp wiła się włochata czarna masa opiłków żelaza. Sunęły w górę, w kierunku jego głowy.

– O’Sullivan! – darł się, rzuciwszy broń na ziemię i rozpaczliwie otrzepując się z żelaza, które zupełnie niepomne na jego wysiłki wędrowało spokojnie w górę. – Co to jest?

– To Ferris – wyjaśniłem. – Nie porywaj się z karabinem na żywiołaka, Drasche.

Ferris dotarł w końcu do alchemicznych tatuaży na łysinie i policzkach Drasche’a – były to magiczne znaki dające mu moc wysysania energii bezpośrednio z wszelkich żywych istot, które tylko miał w zasięgu wzroku – i wtedy żywiołak mógł wreszcie podjąć sobie porządnie tej surowej magii, którą nasączone były symbole.

Sądząc po odgłosach wydawanych przez Drasche’a, nie był to proces tak zupełnie bezbolesny. Usiłował opędzić się od Ferrisa, ale nie na wiele się to zdało; włochate żelazo opływało go już jak woda. Uśmiechnąłem się słabo, osuwając się z powrotem na podłogę i wybierając numer na pogotowie. Miałem nadzieję, że wrzaski w tle zapewnią mi szybką reakcję służb medycznych i policji. Dyspozytorka próbowała zadać mi jakieś pytania na temat tych niepokojących hałasów, ale rozłączyłem się, gdy tylko miałem pewność, że wie, gdzie się znajduję i że mnie postrzelono.

Głuchy huk świadczył o tym, że pijawka runęła na ziemię, ale jakoś nie chciało mi się przejmować jego zdrowiem. Ferris zresztą go nie zabił – nie mógł, bo to łamałoby zasady wyznaczone przez Gaję. Po prostu zmienił Wenera Drasche’a z potwora w człowieka o potwornym guście.

O wiele bardziej martwiłem się o siebie. Skończyła mi się już energia w niedźwiedzim charmsie, bo użyłem jej mnóstwo na leczenie, co stanowiło kolejny dowód na to, że powinienem sprawić sobie jeszcze z dziesięć takich błyskotek. Miałem więc pięć ran postrzałowych, nie mogłem walczyć z bólem i z wdziękiem wkraczałem w stan szoku. Gdy zobaczyłem czerwień przed oczami, myślałem, że mdleję, ale to była tylko Gwendolyn.

– *NNNNigel? Jesteś ranny?* – wydyszała.

– Tak. Ten szubrawiec mnie postrzelił. Ale paramedycy... znaczy lekarz zaraz tu będzie. – Nie mogła przecież wiedzieć, kto to są paramedycy. – Tylko nie wiem, czy zdąży.

Zwróciła bladą twarz w stronę Drasche'a, który wił się i wrzeszczał kilka rzędów dalej.

– *Co się mu stało?* – spytała.

Pojęcia nie miałem, jak jej wyjaśnić, kto to jest Ferris, więc powiedziałem tylko:

– Spotkała go sprawiedliwość. Czy na zewnątrz jest jeszcze ktoś?

– *Nnnie. Przyszedeł saaam. Powinien umrzeeeć.*

Zacisnęła pięść, a jej oczy pałały wściekłością.

– Nie, nie. Gwendolyn, posłuchaj mnie – wycharczałem, bo uzmysłowiłem sobie, że mam teraz szansę wreszcie ją wyzwolić. – Dostał to, na co sobie zasłużył, a dostanie jeszcze więcej, gdy dotrze do piekła. Nie kalaj swojej duszy przemocą. Czas już, byś odeszła. Na mnie też już czas. Idź i poczekaj na mnie, Gwendolyn. Już zaraz do ciebie dołączę i wreszcie będziemy razem.

Odwróciła się z powrotem w moją stronę i złość zniknęła z jej oczu. Jej twarz złagodniała i wydała mi to westchnienie, ni to gruchanie. Zniżyła się tak, że była teraz ledwie trzy centymetry ode mnie. Zadrzałem z zimna.

– Kooocham cię, Nigelu.

– Też ciebie kocham, Gwendolyn – powiedziałem z nadzieją, że to wystarczy, by ukoić jej niespokojnego ducha. – Zawsze kochałem. Idź już, a ja dołączę do ciebie już wkrótce.

– *Wkrótceee* – powtórzyła, unosząc się powoli i rozplływając w smugi czerwieni.

Po chwili widziałem nad sobą już tylko sufit teatru.

– Żegnaj – szepnąłem, mając nadzieję, że gdziekolwiek się udała, znajdzie tam swojego prawdziwego Nigela.

Wrzaski Wenera Drasche'a przeszły w jęki, a potem w ciche postękiwania po niemiecku. Mnie także mógł się wyrwać jakiś jęk albo i dwa. Gdy Ferris skończył ze skrytobójczą pijawką, podziękował mi na pożegnanie.

//Pyszności// powiedział.

//To ja dziękuję za pomoc// odparłem.

Nic już dla mnie nie mógł zrobić, odpłynął więc, zostawiając mnie drżącego w bolesnej ciszy i ze znikomym cieniem nadziei, że być może jednak się nie wykrwawię, nim nadjedzie pomoc. Albo że przynajmniej Drasche nie da rady resztkami sił chwycić za karabin, doczołgać się do mnie i mnie wykończyć. Z wyjątkiem tego, że zostałem postrzelony, to w sumie te dwa dni w Toronto były

całkiem niezłe – choć z drugiej strony, wszystko jest niezłe w porównaniu z postrzeleniem z karabinu. W każdym razie udało mi się zwerbować Młoty Boga do największego na świecie polowania na wampiry, odebrać Wernerowi Drasche’owi jego moc i odesłać cierpiącego od dziesięcioleci ducha na wieczny spoczynek. Oberon na pewno doceni tę historię, jak mu ją opowiem – o bogowie niejedyni! Oberon! Przecież on nadal tkwi w pokoju hotelowym, a ja nie dam rady go teraz stamtąd zabrać. Znajdował się zbyt daleko, żeby porozumieć się z nim poprzez nasze mentalne łączy, więc na pewno się o mnie zamartwia. Chciałem zadzwonić do Hala, bo pojęcia nie miałem, gdzie jest Granuaile, ale bałem się przypominać Drasche’owi, że żyje. Wyciszyłem więc telefon i tylko napisałem esemesa:

Postrzelili mnie w Toronto. Niech ktoś zabierze Oberona z hotelu. Może Owen?

Dodałem namiary na hotel i wysłałem. Kilka sekund później dostałem wspinała, choć może nieco zwięzłą odpowiedź:

OK.

– O’Sullivan – zaskrzeczał Drasche. – Coś ty mi zrobił?

Nie odpowiedziałem i nawet oddychać starałem się jak najciszej. Tyle dobrego, że przynajmniej nie miałem ran w płucach, więc nie kaszlałem.

Doskonała akustyka teatru sprawiła, że świetnie usłyszałem, jak coś szura po wykładzinie. Drasche czołgał się wzdłuż swojego rzędu. Jego mokra ręka zacisnęła się na metalowym karabinie.

– Nie myśl, że się nie upewnię, że jesteś *verdammt* martwy – wycharczał.

Nie mogłem nic zrobić. Byłem równie sprawny i gotowy do walki jak namokła gąbka. A magii to miałem tyle co i on – czyli nic a nic. Podniósł chyba tylko jeden karabin, bo słyszałem, jak czołga się w moją stronę, a broń stuka w równych odstępach, gdy podpira się tą ręką. Był coraz bliżej, co boleśnie przypominało mi ostatnią sekwencję z *Terminatora*, kiedy robot czołga się, żeby dorwać Sarah Connor. Tylko że ona mogła się troszkę ruszać i miała mnóstwo przydatnych ustrojstw, żeby zgnieść przeciwnika.

– Aaa, tu jesteś!

Wyciągnąłem szyję, żeby spojrzeć w jego stronę, i zobaczyłem, że dotarł do początku mojego rzędu i się na mnie gapi. Jego oczy świeciły jakoś dziwnie białą i upiornie w napuchłej, czerwonej gębie upstrzonej małymi kroplami krwi, jakby go ktoś pokłuł szpilką. Więcej krwi rozmazał sobie w tych miejscach, od których próbował odgonić Ferrisa. Atrament alchemicznych tatuaży pozostał nienaruszony,

ale nasączająca je niegdyś magia zniknęła, tylko że biedak sobie tego jeszcze nie uświadomił. Wiedział już z doświadczenia, że ze mnie nie da się wysysać energii, więc naprawdę nie miał pojęcia, co mu zrobiono poza tym, że bolało.

– Tak sobie leżysz bezbronny w kałuży własnej krwi? A powtarzam przecież Theophilusowi, że w twoim wypadku najprostsze rozwiązanie to karabin. Jak miło przekonać się co do swojej racji.

– To nie jest jego prawdziwe imię, prawda? – spytałem. – Theophilus. To jakieś przydomko, które uznał za bardzo sprytne.

Werner Drasche roześmiał się w głos.

– Myślisz, że ci powiem. Że...

Urwał raptownie, bo do teatru wpadł nagle cały oddział wrzeszczących, uzbrojonych ludzi, którzy zażądali, by rzucił broń, i to natychmiast. Obejrzał się przez lewe ramię, a ponieważ nadal leżał na podłodze, po raz pierwszy zobaczyłem wtedy czubek jego głowy. Wcale nie miał na nim żadnego alchemicznego symbolu, ale Różokrzyż. Dziwne.

– Aha, posiłek – ucieszył się Drasche na ich widok.

Nie ruszył prawej ręki, w której miał karabin, ale przetoczył się odrobinę na prawy bok, żeby móc wyciągnąć pustą lewą dłoń i złapać powietrze. Chciał wysysać energię z policjantów, żeby móc się uzdrowić, a potem mnie wykończyć, ale to nie zadziało, a tymczasem wrzaski stawały się coraz bardziej naglące. Im dłużej trzymał karabin, tym większa była szansa, że ktoś go zastrzeli. Ale Drasche był dość zawzięty, a może po prostu nie dotarło do niego, co się zmieniło, bo ani drgnął, tylko nadal usiłował zrobić coś, czego już teraz nie potrafił. Policjanci otoczyli go sprawnie, celując prosto w niego i trzymając palce na spustach. Po chwili ktoś zdołał wykopnąć mu karabin z dłoni. Broń potoczyła się między krzesła, gdy chwycili Drasche'a za ręce i pociągnęli za sobą. Uświadomił sobie wreszcie, że jest teraz zwykłym, bezsilnym człowiekiem. Jego starannie wypracowana arogancja zniknęła w mgnieniu oka. To, że policja obchodzi się z nim tak brutalnie, jakby był zwykłym przestępcą, wywołało u niego kompletną panikę. Mieszaniną angielskiego i niemieckiego zaczął kląć na czym świat stoi i miotać się jak szalony, ale szybko założyli mu kajdanki.

Wtedy postanowiłem poprosić o pomoc i ją otrzymałem.

– Postrzelił mnie – wyjaśniłem słabym głosem i to wystarczyło.

Drasche trafi do więzienia, to znaczy po podstawowym leczeniu. No i jeśli jakiś zaprzyjaźniony wampir go w nocy stamtąd nie wyciągnie. Tak czy siak, był teraz

zwykłym człowiekiem, a wiedziałem, że po całych wiekach żerowania na ludziach to dla niego los gorszy niż śmierć.

I tak zresztą nie mogłem już zrobić nic więcej niż wymówić te słowa „postrzelił mnie”. Odpływałem. Zdarzało mi się wprawdzie w przeszłości poradzić sobie z pojedynczymi kulami, ale zawsze miałem wtedy dostęp do ziemi. Pięć kul i zero energii oznaczało, że jestem skazany na współczesną medycynę. Ratownicy usiłowali mi zadawać jakieś pytania, na które bardzo starałem się odpowiedzieć, ale udało mi się jedynie wybełkotać jakąś niezrozumiałą słowną papkę. Dali mi plazmę i zapakowali do karetki.

Jazda trwała zadziwiająco krótko – szpital musiał być tuż obok – ale ta chwila wystarczyła, bym uświadomił sobie, że spędzę noc zamknięty w obcym budynku i najprawdopodobniej naćpany jakimiś proszkami, więc jeśli Drasche zdoła wykonać jeden telefon, to może ściągnąć tu swoich wampirzych kumpli nie tylko po to, żeby go wyciągnęli, ale także, by mnie przy okazji wykończyli. Nawet jeśli policji przyjdzie do głowy postawić przed moją salą w szpitalu strażnika, to wampir bez trudu rzuci na niego urok i rozszarpie mi gardło we śnie.

Gdy osuwałem się w otchłań nieprzytomności w drodze do szpitala, zdołałem jeszcze wyszeptać modlitwę do Morrigan, żeby dane mi się było obudzić.

Rozdział 6

Teraz bez piętna Lokiego czuję się wolna i ścigana zarazem – innymi słowy, znów czuję się jak zwierzyna łowna. Mogę iść, gdzie chcę, ale wiem, że ktoś zawsze może mnie obserwować (i pewnie to robi). Normalnie monitoring jak w Londynie. Tylko że moich ruchów nie śledzi rząd brytyjski, lecz każdy, kto ma talent do wróżenia.

Loki nie ma wprawdzie do tego smykałki, ale zna ludzi, którzy mają. Nadal może mnie więc namierzyć i podpalić właściwie wszędzie poza naszą zabezpieczoną chatą. Taki jest właśnie problem z zabezpieczeniami opartymi na ziemskich splotach – nie da się z nimi tak łatwo podróżować. To dlatego Atticus wplótł w swoją aurę zimne żelazo. Nie miał po prostu innego pomysłu na to, by chronić się przed magią.

Zrobienie tego, co on, zajmie mi bardzo dużo czasu, a do tego, gdy już się okazało, jak bardzo faerie nienawidzą zimnego żelaza, sama nie wiem, czy warto. Mimo to jednak ukryć się przed wywróceniem to mój priorytet i podstawowa sprawa bezpieczeństwa. Loki nie da rady mnie zabić, jeśli mnie nie znajdzie. Ale wolałabym nie prosić o pomoc Odyna ani nikogo z jego panteonu. Na pewno kazaliby mi za to zrobić coś związanego z ich apokalipsą, a wymiana przysług nie wypadłaby na moją korzyść.

To samo zresztą z Tuatha Dé Danann. Scáthmhaide’a dostałam w prezencie, ale za każdą dodatkową przysługę musiałabym z pewnością zapłacić, i to słono. Atticus mógłby mi coś doradzić, pewnie jednak jego rady sprowadzałyby się do zimnego żelaza. Nie mam ochoty na powtórkę tej rozmowy, a zresztą i tak nie wiem nawet, gdzie on się teraz podziewa. Na razie więc nie będę go na siłę szukać, tym bardziej że prócz tego, by się ukryć przed bogami, mam przecież jeszcze coś do załatwienia. Muszę rozprawić się wreszcie z moim ojczymem.

Jesteśmy z Orlaith gdzieś w Szwecji. Przerzucono nas tu na własne życzenie za pomocą mostu Bifrost, gdy pożegnałyśmy się z Odynem i Frigg. Znajdujemy się nad brzegiem jeziora, tuż obok kilku splecionych drzew, możemy więc udać się stąd, dokąd tylko chcemy, ale zatrzymujemy się na chwilę, by nacieszyć oczy widokiem. Gdzieś w oddali poluje na ryby jakiś jastrząb lub orzeł – zbyt daleko,

żeby rozróżnić. Jest zimno i pochmurnie. Wygląda na to, że wkrótce spadnie śnieg. Orlaith merda ogonem, gdy pokazuję jej ptaka zdobywającego swój obiad. Drapieżnik spada raptownie i zaraz unosi się z wijącym się szczupakiem w szponach.

<Jego jedzenie prezentuje się niczego sobie> zauważa moja psina, a język zwisa jej z boku.

– Bardzo subtelna uwaga – śmieję się. – Chodźmy poszukać czegoś na ząb w Indiach. I tak muszę się tam z kimś spotkać.

Przenosimy się do znajomego gaju bananowego pod Tańdżawurem, gdzie jest o wiele cieplej niż w Szwecji. Świeci słońce. W zimie często jest tu ponad dwadzieścia pięć stopni.

<Pamiętam to miejsce> mówi Orlaith. <Prawie same warzywa. Ale Oberon dał mi tu szynkę. Oberon tu będzie?>.

– Nie, nie zobaczymy się z nimi tak szybko. Ale na pewno znajdziemy coś na rynku w mieście, może przynajmniej jakiegoś kurczaka.

Gdy nasze podstawowe potrzeby zostają zaspokojone, wyciągam telefon, włączam przeglądarkę i bez sensu tracę kilka dobrych minut na znalezienie aktualnego adresu Mhathini Palanichamy, której ciało zamieszkuje teraz Laksha. Czas zacząć się zachowywać jak zagubiona turystka... Pytam o drogę ludzi, którzy wyglądają przyjaźnie i chcą ze mną mówić po angielsku. Czuję, że jestem bardzo niestosownie ubrana – zwykle džinsy i T-shirt przy tych wszystkich barwnych sari.

Studentka Uniwersytetu Tamilskiego uświadamia mi, że przeglądarki naprawdę działają bez zarzutu, tyle że strony są w większości po tamilsku i hindi, a ja nie mówię w żadnym z tych języków. Podaję jej swój telefon i nie mija chwila, a już ma najbardziej prawdopodobny adres i ustawia mi nawigację na mapie.

Gdy idę piechotą do domu Palanichamy, czuję na sobie spojrzenia zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Chyba nawet lepiej, że nie znam ich języków, bo w innym razie pewnie musiałabym przyłożyć niejednemu z tych facetów za ich uwagi. Żaden z nich jednak się do mnie nie zbliża. Być może jest to zasługa Orlaith, a być może tomahawka przy moim pasie.

Gdy docieram wreszcie pod wskazany adres, moja cierpliwość znów zostaje wystawiona na próbę – tym razem przez kolesia, który otwiera mi drzwi. Nie mówi po angielsku i spławia mnie niegrzecznie, zatraskując mi drzwi przed nosem. Nawet nie chce spróbować zrozumieć, po co przyszłam. Walę w drzwi Scáthmhaidem, dopóki znów ich nie otwiera. Od razu zaczyna się na mnie drzeć.

– Mhathini – mówię i powtarzam jej imię, aż wreszcie do niego dociera i przestaje mnie zastraszać.

Wrzeszczy na nią i w końcu dziewczyna wyłania się z głębi domu. Ostrożna i spłoszona.

Ma niebiesko-zielone sari, na którego tle pięknie błyszczy jej rubinowy naszyjnik, lecz jej twarz jest bardzo blada, choć już nie tą szpitalną bladością. Przynajmniej rozpromienia się wyraźnie na mój widok i wymawia moje imię. Wtedy następuje okropna kłótnia między nią a jej bratem czy kuzynem, czy kimkolwiek jest ten mężczyzna. W końcu on odmaszerowuje wściekły, ale przynajmniej zostawia nas same.

– Przepraszam za to – mówi Laksha, wychodząc za próg i zamykając za sobą drzwi. – Rodzina Mhathini jest dość konserwatywna.

– Hej! Masz świetny głos! – Cieszę się i ściskam ją na powitanie.

Kiedy widziałyśmy się po raz ostatni, miała poważne problemy z mową, bo ciało jej gospodyni doznało znaczących uszkodzeń mózgu. Ale już wtedy Laksha zapewniła mnie, że sobie z tym jakoś poradzi. I udało się.

– Dzięki. Zajęło mi to kilka dni, ale już teraz mówię bez problemu. Musiałam działać szybko, żeby mieć w życiu cokolwiek do powiedzenia.

– Kurczę, kto to w ogóle był? Twój brat? Na kilometr czuć, że dupek.

– Tak, to brat. Ale niestety oni wszyscy mają podobne podejście. Wyjdźmy lepiej z zasięgu słuchu. Ojciec mówi po angielsku i nie wstydzi się podsłuchiwać. Brat już po niego poszedł. Zaraz tu będzie, żeby mnie złajać za to, że wyszłam z domu sama.

– Sama? Przecież ja tu jestem.

– Sama z kimś nieznanym to chyba jeszcze gorzej niż zupełnie sama.

– Przekonamy go jakoś, że się znamy.

Laksha uśmiecha się, trochę krzywo, ale jednak z ulgą.

– Tak się cieszę z twojej wizyty.

Wita się z Orlaith i drapie ją za uszami. Nie czekając na niczyje pozwolenie, idziemy dwie przecznice dalej, do pobliskiej herbaciarni. Po drodze Laksha opowiada mi, że matka Mhathini pracuje w przemyśle jedwabniczym, ojciec jest konsultantem informatycznym i pracuje w domu dla klientów z Wielkiej Brytanii, a brat studiuje informatykę na uniwersytecie.

– A ty?

– Mhathini miała właśnie wyjść za mąż i najwyraźniej niczego więcej nie miała się spodziewać od życia. Potem jednak nastąpił wypadek samochodowy i wylądowała w szpitalu. Z tego, co widzę po resztkach jej wspomnień, nie był to wypadek, tylko próba samobójstwa.

– Co takiego?

– Jej rodzina naprawdę się nad nią znęca. Nie fizycznie, tylko psychicznie. Wciąż jej powtarzają, że jest głupia i brzydka i tym podobne. Czują, że małżeństwo nie polepszy jej sytuacji. A ślub został oczywiście odwołany. Gdy ona była w śpiączce, facet ożenił się z inną. Teraz więc co dzień mi przypominają, jaka jestem do niczego.

– No, to już jest kompletna bzdura. Spadaj stąd.

– Wydaje mi się, że Mhathini próbowała właśnie to zrobić.

– Nie to mam na myśli.

– Wiem, co masz na myśli, Granuaile, ale mówisz z pozycji niezwykle uprzywilejowanej osoby.

– Co? Wcale nie jestem...

– Poczekaj – przerywa mi Laksha, bo dotarliśmy właśnie do herbaciarni. Na dworze stoją trzy stoliki, siadamy więc przy jednym z nich, żeby Orlaith mogła siedzieć z nami. Zamawiamy i dopiero wtedy Laksha podejmuje przerwany wątek.

– Tylko pomyśl. Masz pieniądze i możliwość podróżowania po całym świecie bez ich wydawania. Plus imponujące zdolności fizyczne. Przez to wydaje ci się, że łatwo jest kobiecie uciec z trudnej sytuacji.

– Nie powiedziałam, że to będzie łatwe, tylko że powinnaś to zrobić. Ty też masz imponujące zdolności, Laksho. Nic cię tu nie trzyma z wyjątkiem twojej woli. Skoro sytuacja jest nie do zniesienia, dlaczego postanowiłaś ją znosić?

Laksha wzrusza ramionami i spuszcza wzrok.

– To moja karma.

Prycham na tę bzdurę.

– Niby skąd ci coś takiego przyszło do głowy?

– Nie wiem, co się z tobą działo tamtej nocy, gdy rakszasy, twój ojciec i Durga...

Nie jest to coś, co mam ochotę wspominać, więc mówię:

– Krótka wersja jest taka, że ja tu jestem, a reszta nie.

– Tak. Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca.

– Dziękuję.

– Otóż widzisz, po wszystkich moich modlitwach i wróżbach, po całym wysiłku, jaki włożyłam w pokonanie rakszasów, w chwili, gdy mogłam uczynić najwięcej dobra, moja pomoc została stanowczo odrzucona.

– Jak to odrzucona?

– Opuściłam ciało mojej gospodyni, by podjąć walkę z raksojudżem w eterze, tak jak ci to obiecałam. Gdy byłam w eterze, kobieta umarła. Nie wiem, jak to się stało, bo na pewno żyła, gdy opuszczałam jej ciało. A Durga powiedziała mi wtedy, choć nie osobiście, słowa usłyszałam w samym eterze, że nie czas na moją pomoc, że moje miejsce jest w naszyjniku, i zmusiła mnie do powrotu do niego.

– Durga tak ci powiedziała? Dokładnie to? Nie parafrazujesz?

– Tak powiedziała. Następne, co pamiętam, to już twoje słowa, że mam zamieszkać w tym ciele albo zostawisz naszyjnik i znajdzie je ktoś obcy. Tak więc tu jest moje miejsce.

Kręcę głową.

– Jedno nie wypływa z drugiego. Kazałam ci natychmiast zamieszkać w tym ciele, bo tylko takie zdołałam znaleźć, a się spieszyłam. To wszystko. Nie działałam z polecenia Durgi. To ciało to nie jakieś więzienie, na które zostałaś skazana. Pozwól, że ci przypomnę, że dla ciebie to w ogóle nie jest żadne więzienie. Możesz wyjść z niego w każdej chwili i dobrze o tym wiesz.

– Nie. Jestem splamiona. Obciąża mnie moja przeszłość. Bez względu na twoje intencje w szpitalu, wiem, że tu jest moje miejsce.

– Twoje miejsce jest w domu, w którym się nad tobą znęcają? To kara za to, że próbowałaś mi pomóc? Sorry, Laksha, ale kompletnie w to nie wierzę. Durga nie mogła mieć na myśli, że już nigdy nie możesz nikomu pomagać. Dlaczego miałyby chcieć czegoś takiego? Jej słowa odnosiły się wyłącznie do tamtej sytuacji, bo naprawdę nie miałaś jak pomóc mojemu ojcu. Tamten raksojudź był niezwykle potężny. Sama Durga musiała się nieźle namęczyć, żeby go zabić. Nie było z nim łatwo. Głowę daję, że nie miała na myśli, że masz tu teraz siedzieć w kacie i dawać sobą pomiatać jakiejś patriarchalnej ropusze za karę, że próbowałaś komuś pomóc.

Laksha kiwa głową tak, że może to znaczyć wszystko. Pojawia się herbata i ciasteczka. Minuta schodzi nam na rytuał związany z jej serwowaniem – mleko, miód, brzdęk łyżeczek o porcelanę. Potem Laksha znów się odzywa.

– Przedstawiłaś mi nowe informacje i za to jestem ci wdzięczna. Obiecuję, że zastanowię się nad tym i jeśli uznam to za konieczne, zacznę działać. Masz rację, mogę uciec stąd w każdej chwili. Ale zupełnie lekceważysz to, co mówię.

Kręcę głową zdezorientowana.

– Nie, nie, niczego nie lekceważę. Może po prostu czegoś nie rozumiem.

Laksha uśmiecha się do mnie znad filiżanki.

– To prawdopodobne i wybacalne.

– To może mi to choć trochę wyjaśnisz?

Upija łyk herbaty, delektuje się nią i odstawia filiżankę.

– Tu nie chodzi o pokorną akceptację systemowej mizoginii. Nie muszę szukać twojego ratunku. Muszę natomiast odpokutować za wieki... wieki, Granuaile!... własnej arogancji i okrucieństwa. To więc, czy Durga chciała, bym tu była, czy nie, nie ma właściwie znaczenia. To ja jestem pewna, że powinnam tu być, żeby przekonać się na własnej skórze, jak to jest być skazaną na łaskę i niełaskę osoby tak samowolnej i opętanej żądzą władzy jak... ja sama jeszcze niedawno. Uczę się. Uczę się empatii. Zaczynam pojmować, jak okropnie się zachowywałam. Oto, gdzie jestem na swojej ścieżce duchowej. A ty? Gdzie jesteś na swojej?

Wzdrygam się, bo ton jej głosu odbieram jako policzek.

– Nie jestem na żadnej ścieżce. Dla mnie ważna jest Gaja, a ona walczy o życie na ziemi. I tyle. Nie ma już żadnej ścieżki. Dotarłam do celu.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego. Jesteś inna. Coś się stało. Coś jeszcze poza śmiercią twojego ojca. Co przegapiłam? Czy to ma jakiś związek z tym, że tak dziwnie trzymasz to ramię?

Tak. Przegapiła całe moje zajście z Lokim. Moje postanowienie, że nigdy już nie dopuszczę do takiej sytuacji. Być skazaną na łaskę i niełaskę osoby samowolnej i opętanej żądzą władzy wcale nie jest przyjemne. Wiem to z własnego doświadczenia z Lokim i z moim ojczymem. Lecz jeśli ona jest przekonana, że to rzecz niezbędna dla jej własnego rozwoju, to moja opinia nie ma tu znaczenia. A jednak jej pytanie i moja odpowiedź zmieniają nieco moją perspektywę i pozwalają mi spojrzeć przez chwilę na siebie jej oczami. Muszę wyglądać na znacznie bardziej wściekłą, na agresywniejszą niż kiedyś. Tak, mam po temu swoje powody, ale tragedia polega na tym, że straciłam radość i zachwyt, jakie czułam, gdy zostałam spleciona z Gają. I spokój, który nie opuszczał mnie nawet wtedy, gdy Artemida i Diana goniły nas przez całą Europę. Wszystko to przepadło.

– Przegapiłaś powód mojej wizyty – odpowiadam, choć wiem, że zorientuje się, iż próbuję w ten sposób zmienić temat. – Potrzebuję jakiegoś sposobu, żeby ukryć się przed wywróceniem. Myślałam, że może ty wiesz, jak mam to zrobić.

Laksha krzywi się, wsysa powietrze przez zęby, mruży oczy.

– Myślisz, że ci potrafię w tym pomóc? Jestem zupełnym beztalenciem, jeśli chodzi o tego rodzaju magię. Gdybym się znała na takich rzeczach, nie zdziwiłabym się tak przecież na twój widok.

– Ale... no wiesz, po prostu zawsze się ciebie we wszystkim radzę. Jak mam problem, to przychodzę z tym do ciebie.

Laksha odpowiada, przedrzeźniając południowy akcent, który podłapała pewnie, kiedy mieszkała w Asheville, w Karolinie Północnej.

– Łał, ale z ciebie słodka ptaszyna. – A potem już na serio i bez akcentu dodaje: – Z radą będzie łatwiej. Idź do tych polskich wiedźm, z którymi musiałyśmy się użerać w Arizonie. Znaczą jeśli wiesz, gdzie teraz są. To one założyły magiczną osłonę na miecz twojego chłopaka. Udało mi się ją usunąć, bo w destrukcji akurat jestem niezła, ale sama nigdy nie potrafiłabym stworzyć czegoś takiego.

– O! Rzeczywiście! Że też o nich nie pomyślałam. No. Nawet są teraz w Polsce. Atticus namówił je, żeby zwiały, póki jeszcze się dało.

– A ty gdzie teraz mieszkasz? Wciąż w Kolorado?

– Przenosimy się do Oregonu.

Wyjaśniam jej, jak najłatwiej się z nami skontaktować za pośrednictwem watah z Tempe lub Flagstaffu, bo z obiema mamy silne powiązania.

– Będę pamiętać – zapewnia mnie. – Jeśli stąd odejdę, powiem ci o tym. Lecz jeśli to uczynię, to dla dobra Mhathini, nie mojego.

– Słucham?

– Ona wciąż tu jest – mówi Laksha, wskazując skroń.

– Naprawdę?!

Laksha kiwa głową z bladym uśmiechem.

– Mam nadzieję, że uda mi się ją przekonać, by została.

Jestem zaintrygowana. Ile z Mhathini zostało po urazie? Czy Laksha potrafi odbudować to, co przepadło? Czy regularnie rozmawia z Mhathini, tak jak robiła to ze mną? Ale nim mam czas zadać te pytania, do naszego stołu podbiega wrzeszczący facet. Orlaith zrywa się i zaczyna na niego warczeć, więc intruz zatrzymuje się, ale nie odchodzi. Kiedy jednak Orlaith nie robi nic więcej, zalewa Lakshę – czy też Mhathini – wściekłym potokiem tamilskiego. Domyślam się, że to

jej ojciec, który wypadł z domu w takim pośpiechu, że zapomniał zapiąć rozporek. Najwyraźniej nie golił się też od kilku dni, a i chyba nie brał prysznic, a jednak nie ulega wątpliwości, że krzyczy teraz na Mhathini za to, że to ona zachowuje się niewłaściwie, wychodząc z domu bez eskorty.

Zaciskam zęby, żeby też na niego nie warknąć. Nie powinnam interweniować. Laksha posyła mi przepaszające spojrzenie, a ja odpowiadam uniesieniem dłoni na pożegnanie. Gdy ona wstaje od stołu, patrzę na faceta wściekłym wzrokiem, licząc na to, że powie lub zrobi coś, co da mi pretekst, by mu porządnie przylać, ale odpowiada mi tylko podobnym spojrzeniem, a potem otacza opiekuńczym ramieniem osobę, którą ma za swoją córkę, i prowadzi ją w stronę domu, gdzie będzie mógł jej do woli ubliżyć.

Mam przy sobie tylko amerykańskie pieniądze, ale na rynku działały, więc i tu daję je kelnerce. W końcu zostawiam jej wszystko, co mam, co pewnie starczyłoby na zapłacenie miesięcznego czynszu. Uznaję, że chociaż ktoś powinien mieć dziś udany dzień.

Rozdział 7

Niech diabli wezmą Siodhachana do jakiegoś ciemnego i lepkiego piekła za to, że mi się kazał przemieścić do nieznanego miasta po tego swojego zboczonego psa. Nawet nie mogę zabrać ze sobą Grety, bo opowiedział mi kiedyś, co się działo z ich poprzednim przywódcą, Gunnarem Magnussonem, gdy przemieszczali się do innej krainy – biedny facet zarzygał sobie własne buty. Wilkołaki źle znoszą podróżowanie między krainami, a nie mogę przecież prosić jej o takie poświęcenie tylko po to, żeby wypuścić psa na sikanie.

Hal Hauk twierdził, że nie muszę się godzić. Powiedział, że zamiast wysłać mnie, może zadzwonić do jakiejś watahy, która mieszka pod miastem, i jeden z jej członków podjechałby do centrum, żeby się zająć Oberonem. Ale Siodhachan poprosił mnie konkretnie, a poza tym ciekawość mnie zżera, kto też taki wpakował jego chudy tyłek do szpitala. Może będę miał okazję wypróbować na nim, niej lub tym czymś moje nowe mosiężne kastety.

Przenoszę się więc do Queen's Park w Toronto. Hal dał mi stertę zadrukowanych papierzysek, które nazywa „mapami Google”, cokolwiek ma to znaczyć. Strasznie na nich dużo strzałeczek, które wskazują mi jakoby, jak mam dojść do hotelu. Jest też trochę numerów, żeby zadzwonić i dowiedzieć się, w którym szpitalu leży Siodhachan. Jak już go namierzę – Greta mówi, że teraz nazywa się Sean Flanagan – to mam kolejną stertę map, które mi ponoć wyjaśniają, jak do tego szpitala trafić. Mam też całą garść małych papierków z liczbą 20 i obrazkiem staruszki z naszymi z białych koralików. Greta powiedziała mi, że te są „kanadyjskie” i że jeśli da się je ludziom w tym kraju, będą robić, co zechcą. Kiedy ją spytałem, czy te świstki będą też działać na Siodhachana, powiedziała, że na niego to raczej nie.

Jest już po południu. Przejście z parku do hotelu zajmuje mi dobre pół godziny. Po drodze pytam nieznajomych, czy dobrze idę. Są bardzo mili i strasznie chcą mi pomagać. Zastanawiam się, czy to nie jest jakoś związane z tą staruszką na tych małych papierkach.

Hotel znajduje się w wysokim budynku, co oznacza mnóstwo schodów. Greta zawsze mówi, że windą jest szybciej, ale nie ufam im, bo pojęcia nie mam, jak działają. Za to wiem, jak działają schody, więc tak jest lepiej.

Pokój Siodhachana jest na szóstym piętrze. Tak powiedział Hal. Pokój 633. Kiedy do niego docieram, słyszę, że w środku dudni telewizor. Na klamce jest wywieszka, żeby nie przeszkadzać. Uznaję, że to jakiś głupi żart, bo skoro tak, to po co w ogóle Siodhachan mnie tu ściągał. To wcale nie jest śmieszne.

Naciskam klamkę, ale okazuje się, że drzwi są zamknięte na klucz. Walę w drzwi i wołam psa.

– Oberon! Otwórz, jeśli potrafisz. To ja, Owen.

<Co ty tu robisz?> słyszę jego głos w głowie. <Gdzie jest Atticus? Czekaj, a skąd mam niby wiedzieć, że to naprawdę ty?>.

– Bo słyszę, co wygadujesz, i ci odpowiadam. Siodhachan mi tu kazał przyjść. Jest ranny, a ja mam się tobą zająć, póki nie wydobrzeje.

<Atticus jest ranny? Jak bardzo?>.

– Jeszcze nie wiem, dopiero się tu przeniosłem. Wpuścisz mnie, do cholery, czy mam tak wrzeszczeć do ciebie przez te drzwi?

<Czekaj. Umiem nacisnąć klamkę, ale ty byś musiał pchnąć, bo nie umiem ciągnąć. Nie mam kciuków, wiesz?>.

I rzeczywiście słyszę, jak zamek puszcza, a klamka – taki krótki poziomy pręt – się obniża. Pcham drzwi i olbrzymi wilczarz bombarduje mnie pytaniami, nim mam w ogóle czas wejść do pokoju.

<Gdzie on jest? Kto mu zrobił krzywdę? Czy ten ktoś już jest martwy, czy będzie zaraz? Mogę mu pomóc umrzeć?>.

– Nie znam szczegółów. Atticus wysłał tylko esemesa do Hala, że jest gdzieś w jakimś szpitalu w tym mieście. Musimy podzwonić, żeby go znaleźć. Jest tu telefon?

<Tak. Przy łóżku>.

– Dobra. Jak tylko namierzemy szpital, pójdziemy do niego i sam go o wszystko spytasz.

Telefon w hotelu to przerażające urządzenie i w przeciwieństwie do komórek ma jeszcze z przodu mnóstwo jakichś instrukcji. I w ogóle nie działa tak, jak powinien. Greta mówiła, że jak się używa telefonu stacjonarnego, to najpierw się słyszy sygnał, a potem wciska numer. Tylko że jak zaczynam wciskać, to cholerstwo od razu zaczyna dzwonić.

– Obsługa pokojowa – mówi mi głos do ucha.

– Co? Próbuję zadzwonić do szpitala.

– Słucham? Czy coś się stało?

– Nie, nie mnie w każdym razie. Tylko muszę zadzwonić, a jak zacząłem, to ty się odezwałeś.

– A, rozumiem. Chodzi panu o linię zewnętrzną. Proszę się rozłączyć, potem wybrać dziewięć, poczekać na sygnał i dopiero wtedy wybrać numer.

– Nienawidzę tego cholernego stulecia.

– Słucham pana?

Ciskam słuchawką bez słowa. Potem znów ją podnoszę. Niby mam sygnał, ale na wszelki wypadek robię, co kazał ten facet, i wciskam 9. Sygnał jakby się potyka, potem znów wraca do normy. Znów wybieram numer do szpitala. Tym razem rzeczywiście działa.

Tylko że w szpitalu Mount Sinai nie ma nikogo pod nazwiskiem Sean Flanagan, więc całe to dzwonicie to jedna wielka strata czasu. Następny numer to szpital St Michael's. Kobieta odpowiada, że owszem, Sean Flanagan jest ich pacjentem, ale nie może mi udzielić żadnych informacji, chyba że jestem członkiem rodziny. Rozłączam się, bo co się z nią będę kłócił. Po prostu tam pójść i na własne oczy się przekonam co i jak.

– Dobra. Jest w szpitalu St Michael's. – Przyjrzawszy się mapie, stwierdzam, że to nam trochę zajmie. – To kawałek stąd. Ale tobie i tak się przyda spacer, nie? – pytam psa.

<Tak, akurat czas na spacerek>.

– Musisz coś ze sobą wziąć? Nie będziemy tu już wracać, bo nie mam klucza.

<W mieście powinienem być na smyczy, ale to tyle. Reszta to rzeczy Atticusa. A, czekaj! Zostawił tu swój miecz. Jest pod materacem. Pewnie będzie go chciał mieć>.

– Pewnie tak.

Wyciągam miecz, zarzucam na plecy, biorę psa na smycz, a resztę zostawiam. Schodzimy po schodach, a w holu mijamy jakichś zszokowanych ludzi, którzy najwyraźniej nie wiedzieli, że produkują psy w rozmiarze Oberona.

Gdy wychodzimy, wilczarz informuje mnie, że musi się teraz zająć „użyźnianiem miasta”.

– Tak to nazywasz?

<Atticus mówi, że moje odchody pomagają roślinom. To ściśle naukowe! I superanckie, bo lubię siusiać na rośliny. I na latarnie, i na hydranty też, ale ponoć im akurat to już tak za bardzo nie pomaga>.

– A co robisz, jak musisz srać w wielkim mieście?

<No wiesz, Owen! Nie wolno na chodniku. To niegrzeczne!>.

– Hej! Tyle to już sam wiem, nie musisz mnie pouczać!

<A skąd ja mam wiedzieć, co ty wiesz, jak ledwo dałeś radę posłużyć się telefonem, co? Przecież nie mieliście chodników w dawnych czasach, to pomyślałem, że może nie masz świadomości, że nie wolno ci na nie srać>.

– A niech cię bogowie! Przecież pytałem, gdzie ty srasz w mieście, a nie, gdzie ja bym to miał robić!

Chyba powiedziało mi się to odrobinę za głośno, bo mijający nas przechodnie patrzą na mnie kątem oka i mijają starannym łukiem faceta gadającego do olbrzymiego psa o tym, gdzie robić kupę. Może powinienem rozmawiać z nim tak, jak robi to Siodhachan, czyli jednak umysłem, a nie ustami. Potrafię to robić, ale nie przychodzi mi to naturalnie.

<To zależy od miasta i od stopnia presji jelitowej>.

– Od stopnia wytrzymałości jelitowej? To najdziwniejsza rozmowa, jaką w życiu prowadziłem, a ostatnio trafiło mi się kilka cholernie dziwnych.

W końcu pies załatwia się za żywopłotem, który akurat mijamy, a potem zaczyna się przechwalać swoją dyskrecją.

<Nikt tu w nią nie wdepnie, a za kilka tygodni elegancko się rozłoży>.

– Świetnie – mówię i na całe dwie sekundy ulegam złudzeniu, że teraz będę miał już święty spokój, ale nie, znów zaczyna nawijać.

<Owencie, głodny jestem>.

– To masz pecha, bo nie mam żadnego żarcia.

<Ale mijamy te wszystkie restauracje i tak strasznie ładniutko z nich pachnie. Nie możesz wejść do którejś i czegoś mi kupić? Proooszę>.

Zaczynam protestować, że nie mam żadnej z tych dziwacznych kart, których się teraz używa do płacenia za rzeczy, ale potem sobie przypominam, że Greta dała mi przecież te świstki ze staruszką, i mam olśnienie. Wyciągam je i pokazuję psu.

– Hej, nie wiesz, czy to nie jest przypadkiem gotowizna?

<Gotówka, nie gotowizna! To dolary kanadyjskie! Masz ich całą furę! Możesz mi kupić kupę żarcia!>.

– To kim jest ta pani z koralikami?

<To chyba królowa. Występowała w *Nagiej broni*. To by znaczyło, że to pewnie nie koraliki, tylko perły>.

Nic z tego nie rozumiem, ale przynajmniej wiem już teraz, że Kanadą rządzi królowa.

– Dobra, to gdzie mam iść po żarcie?

<Do tego miejsca przed nami. Już czuję zapach sosiku>.

Zatrzymuję się przed małym domkiem z dużymi oknami. Czerwono-białymi literami jest na nich napisane: *Poutinerie*.

– Co znaczy *poutinerie*? – pytam go, bo nie znam tego słowa.

<Pojęcia nie mam, ale mają tu sos. Po prostu kup mi coś z sosem, a ja poczekam grzecznie na zewnątrz>.

W środku jest mała kolejka, a pod sufitem ktoś zawiesił listę dań. Nie mogę się w tym zupełnie połapać, bo wychodzi na to, że sprzedają tu tylko różne wersje czegoś, co się nazywa *poutine*.

– Dawaj, co tu jest najbardziej popularne – mówię do sprzedawcy, gdy już do niego docieram. – Byle miało sos.

– Wszystko jest z sosem – odpowiada mi ten gołowąs. Ma znudzone spojrzenie, a na gębie czerwone krosty, ale to na mnie patrzy jak na głupka.

– I dobrze. To dawaj dwie porcje najpopularniejszego czegoś.

Pyta mnie, czy chcę coś do picia, więc mówię, że wodę, a wtedy wymawia jakiś numer i patrzy na mnie tak, jakbym miał coś z tym zrobić. Daję mu trochę tych kanadyjskich świstków, a on mi też trochę daje, ale takich z cyfrą 5 i nie ma na nich królowej, tylko jakiś podejrzany typek z łysiną i sztywnym białym kołnierzykiem. Może to król Kanady. A do tego mi daje jeszcze mały biały paperek i mówi, że to rachunek. Oto dokonałem swojej pierwszej nowożytnej transakcji.

Chwilę muszę czekać, a potem dostaję dwa brązowe pudła ze składanymi uszami na górze i butelkę wody. Wynoszę to psu, otwieram jedno i kładę mu to przed pyskiem. Okazuje się, że *poutine* to smażone kawałki ziemniaków, trochę sera i mnóstwo sosu z pieczeni.

<Ja nie mogę! Od teraz to mój najulubieńszy smakołyk!> zachwyca się Oberon, pochłaniając swoją porcję.

Muszę przyznać, że moja też nie jest taka zła. Zaspokoiwszy głód, ruszamy znów w stronę szpitala. Pies wpada na pomysł, żebyśmy go zakamuflował, bo wtedy

będzie mógł wejść ze mną do środka. Uznaję, że mam takie zapasy w kastetach i spokojnie mogę to zrobić, wkładam je więc i razem wchodzimy do budynku.

Gdy pytam o Siodhachana w recepcji, podaję się za jego ojca. Miła pani informuje mnie, że chłopak leży na czymś, co się nazywa Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, i że dochodzi do siebie po operacji. Potem dodaje, że nie mogę wejść do szpitala z mieczem.

Chrzanić takie zasady. Mówię jej, że pójde odłożyć go do samochodu, znajduję jakiś kąt, żeby rzucić na siebie kamuflaż, i mówię psu, że ma mi zejść z drogi i że zaraz wrócę z Siodhachanem. Wchodzę z powrotem, idę po znakach prowadzących na OIOM i w końcu udaje mi się znaleźć pokój Siodhachana. Jest nieprzytomny albo śpi. Leży na łóżku z metalowymi prętami i ma w nosie i ręce mnóstwo jakichś rurek i innych rzeczy. Słyszę pikanie i głośne oddychanie, a to nie są naturalne dźwięki. Ma na sobie jakąś szmatę. Nie widzę nigdzie jego normalnych ciuchów. Jakby specjalnie go tak ubrali, żeby jeszcze marniej wyglądał. Chyba jednak nie powinienem go przetrzucać przez ramię, skoro jest w takim stanie. Ktoś mu naprawdę nieźle skopał dupę.

Mentalnie wołam Oberona. Może on będzie wiedział, co robić.

Oberonie? Słyszysz ty mnie?

<Jasne. Znalazłeś go?>.

Ano, ale jest nieprzytomny i ma mnóstwo jakichś rurek. Nie mam jak go stąd wyprowadzić.

<Musisz znaleźć wózek. Powyciągaj te rurki, chyba że zacznie krwawić. Zapakuj go na wózek i wywieź na dwór>.

Co to jest wózek?

<No, jak sama nazwa wskazuje, coś do wożenia. W tym wypadku chorych ludzi, którzy nie mogą sami iść. Rozejrzyj się po salach albo na korytarzu. Jakiś tam musi być>.

To mi zajmuje więcej czasu, niżbym chciał, ale kundel ma rację, w końcu jakiś mi się trafia. Pielęgniarka pcha wózek z jakimś staruszkiem. Pakuje faceta na łóżko w pokoju obok Siodhachana. Staruszek wygląda, jakby był mniej więcej w moim wieku, nim wypilem herbatę Siodhachana. Skórę ma suchą i cienką. Zasypia, nim pielęgniarka zdąży nawet okryć jego chude ciało kocem. Odczekuję, aż kobieta wyjdzie, a potem rzucam kamuflaż na wózek, żeby go ukraść. Kilka minut później udaje mi się też ukraść druida i wydostać ze szpitala. Zakamuflowany Siodhachan siedzi na wózku. Zrzucam kamuflaż z siebie i psa, ale zostawiam go na moim

uczniu. Kundel zaczyna panikować, bo Siodhachan nie odpowiada na jego paplaninę. Wnioskuje z tego, że jego recenzje kulinarne nigdy dotąd nie były ignorowane, a to, że odkrył właśnie *poutine*, powinno wywołać u Siodhachana szaloną ekscytację.

W końcu docieramy do parku i zatrzymuję wózek pod tym samym drzewem, przez które się tu przeniosłem. Upewniam się, że nikt nas nie widzi, zrzucam kamuflaż, przyklękam i zdejmuję mu prawą nogę z metalowej półeczki przy wózku, żeby mógł piętą dotykać ziemi. Oberonowi się wydaje, że od razu się od tego obudzi.

<Czemu wciąż nic nie mówi?> pyta. <Skoro dotyka ziemi, to już może się leczyć, nie?>.

– Tak, ale nie wiemy przecież, jak bardzo z nim źle ani co w ogóle mu zrobili. Greta opowiadała mi o tej współczesnej medycynie. Mają mnóstwo jakichś leków i innego syntetycznego gówna. Mogli go celowo uśpić.

<A, racja. Tak robią. Widziałem w telewizji>.

– Trzeba mu porządnej kąpieli w uzdrowiających źródłach Mag Mell. Ale obawiam się, że nie dam rady was tam zabrać.

<Dlaczego nie?>.

– Żadnego z was nie znam dość dobrze, żeby was przenosić. Kiedyś znałem Siodhachana, ale teraz jest dwa tysiące lat starszy ode mnie. Bałbym się, że go nie obejmę. Zresztą i tak nie mam dość przestrzeni myślowych na was dwóch. Mam tylko jedną dodatkową, a Siodhachan ma ile... Ze trzy?

<Chyba pięć>.

– Widzisz, cholernie bystry łeb. Dlatego musimy go dobudzić. Wtedy damy radę wszyscy się przenieść.

Nagle Siodhachanowi drży kącik ust. Powieki unoszą się odrobinę.

– Och, Owen – mamrocze powoli i niewyraźnie. – Ale jesteś kochany.

– Obudziłeś się!

– Akurat w porę, żeby usłyszeć, jak mówysz o mnie take myłe szeszy.

– Tylko żeby ci się od tego w głowie nie poprzewracało! Prawda jest taka, że ten mózg to masz lepiej ukryty niż wąż przyrodzenie.

<Atticus! Tak się cieszę, że jesteś cały i zdrowy! Muszę ci opowiedzieć o tym czymś, co właśnie jadłem! Nazywa się *poutine* i ma mnóstwo sosu!>.

– Tyyy...lko sze ne jestem ani szący, ani szdżrowy, Oberone. Szpacz... mi sze chce...

– Napompowali cię jakimiś lekami – mówię mu.

<Czekaj! Czekaj! Znam lepsze słowo na leki. Farmaceutyki. Ma pięć sylab, więc należy mi się dokładka *poutine*>.

– Musimy cię zabrać do Mag Mell – mówię. – Kiedy będziesz na tyle przytomny, żeby dać radę się przenieść?

– Musze najpierw roszbycz... chemikalia. Szszsz. Chemikalia. Najpierw.

Następne kilka długich godzin mija mi na słuchaniu paplaniny kundla o jedzeniu i jego ulubionych rozrywkach. Mijający nas ludzie patrzą na nas dziwnie, ale nie wtrącają nosa w nie swoje sprawy, za co cześć im i chwała. Przenoszę się na chwilę, żeby przynieść Siodhachanowi ten wypasiony kołek, który mu zrobił Luchta, ale on nawet tego nie zauważa. Po zachodzie słońca robi się szybko zimno, co pewnie trochę przyspiesza decyzję Siodhachana. W końcu oświadcza, że oczyścił się z chemii i jest gotów.

Kiedy pomagam mu wstać, wzdryga się z bólu – prawą nogę ma zupełnie rozoraną. Ale udaje nam się przenieść do Tír na nÓg i zostaje po nas tylko tajemniczy wózek pośrodku parku. Potem przenosimy się do Mag Mell, i niemal niosę go do uzdrawiających źródeł. Zanurza się w jednym z nich z westchnieniem ulgi i ściąga szmatę, którą nazywa szpitalną koszulą.

– Jaki dziś dzień? – pyta wreszcie normalnym głosem.

– Ten sam, chłopcze. Co się tam stało?

Opowiadamy sobie co i jak i aż mi się słabo robi na myśl o tym, co ta współczesna broń może zrobić z ciałem człowieka. Będę się musiał poważniej nad tym zastanowić, bo Siodhachan ma rację – w starciu z takim orężem jego miecz jest na nic. Moje lśniące kastety też.

– Ale są imponujące – mówi. – Skoro umiesz w nich potrzaskać skałę, być może dałbyś też radę zatrzymać kulę. Choć lepiej, żebyś nie próbował. Jak je nazwiesz?

– Jeszcze nie wiem.

Zdejmuję z pleców jego miecz i kładę mu go pod ręką, na brzegu źródła. Potem daję mu też kołek od Luchty.

– Słuchaj, synek, weź trzymaj tę wampirzą wojnę jak najdalej od Flagstaffu, dobra? Będę miał tam niedługo gromadkę maluchów do nauki.

– Hal mi o tym wspomniał. Spróbuję, ale musisz mieć świadomość, że mogą próbować cię dorwać, żeby mi zaszkodzić. Albo działać w odwecie za coś, co ja im zrobię. Zabezpiecz wszystko i nie trać czujności.

– Oczywiście.

– I jeszcze jedno... – Wykrzywia twarz, jakby za to, co chce powiedzieć, spodziewał się lania.

– Czego?

– Może obchodzić się z tymi dzieciakami kapkę łagodniej niż ze mną.

Jakby mi kto wlał lodowatej wody do gaci. Wzdrygam się i kulę w sobie.

– Ano, synek, spróbuję – mówię w końcu. Po chwili milczenia dodaję: – Greta by mnie rozszarpała na strzępy, gdybym powiedział tym dzieciakom choć jedno niegrzeczne słowo. A ich rodzice jeszcze by po niej poprawili. Spróbuję już tym razem niczego nie spieprzyć.

Siodhachan się uśmiecha.

– Świetnie. To ja też spróbuję spieprzyć jak najmniej.

– Dobrze, dobrze. A skoro już mowa o Grecie, to powinienem do niej wracać. Jeszcze skoczę z wizytą do Brighid i potem już do domu. Już sobie jakoś poradzisz, nie?

– Tak. Dzięki, że mnie tu przytargałeś. Naprawdę to doceniam.

Żegnamy się, a pies dziękuje mi jeszcze za *poutine*. Głowę daję, że będzie teraz o tym nawijał kilka dobrych dni, ale to Siodhachan będzie go musiał wysłuchiwać, więc w sumie te kilka minut w kolejce po żarcie bardzo się opłaciło.

Dwór faeryczny w Tír na nÓg nie funkcjonuje w czasie kanadyjskim, kiedy więc się tam przenoszę, trafiam na tłum rozskakany niczym kolonia królików w okresie godowym. Pałęta się też wokół całkiem sporo takich faerycznych lumpów, których przedtem tutaj nie widziałem. Nie mam pojęcia, skąd się wzięli. Szwendam się chwilę, pytam tu i tam, i w ten sposób się dowiaduję, że Brighid udzieliła amnestii całej masie faerii i innym pradawnym stworzeniom, które od dawien dawna siedziały w więzieniach lub na wygnaniu.

– Po zamachu stanu zrobiła się bardziej wyrozumiała – wyjaśnia mi jakaś skrzydlata faeria. – Straciliśmy naszą królową, ale przynajmniej Pierwsza wśród Faerii słucha teraz naszych racji. A i Fand może wróci pewnego dnia, tak jak ci wszyscy tutaj.

Pewnie ma rację. Przecież Fand nie zostanie w tym więzieniu na zawsze. Faerie już wkrótce zaczną wypytywać, kiedy Brighid ją wypuści. Podobnie zresztą jej mąż, Manannán Mac Lir. I nim się Brighid obejrzy, pytania przerodzą się w żądania. Może tylko próbować odwlec moment, gdy ta chwilowa dobra wola obróci się w proch. Tylko że nie jestem pewien, czy wypuszczenie gromady

więźniów pomoże jakoś utrzymać pokój. Jasne, że kilku żuli pewnie będzie jej za to wdzięcznych i stanie się wspaniałym dodatkiem do faerycznego społeczeństwa. Ale ci, którzy jej nadal nienawidzą, zaczną wkrótce rzucać mięsem albo i czymś ostrzejszym. Lepiej, żeby była gotowa robić uniki.

Być może Brighid zakłada, że w takiej sytuacji po prostu znów ich uwięzi i powie: „Cóż, dałam wam przecież szansę, prawda? Nie moja wina, że z was skończone dupki”.

Na przedzie tego tłumu znajduję szambelana, całego w jakichś wymyślnych szmatkach i zlanego perfumami. Mówię mu, że chciałbym krótką audiencję u Brighid, a jego wzrok zjeżdża na moje tatuaże. Wytrzeszcza oczy, gdy dociera do niego, że jestem spleciony z Gają.

– Jesteś druidem? – upewnia się.

– Ano. Jestem Eoghan Ó Cinnéide.

– Kazała mi przyprowadzić cię do niej natychmiast, gdy tylko się pojawisz. Chodź, proszę, za mną.

To miła niespodzianka. Ignoruję pełne wyrzutów spojrzenia, które posyłają mi wdowy po jakichś pixie, gdy szambelan przerywa ich audiencję i zapowiada mnie. Wrzeszczy moje nazwisko tak głośno, że słyszy je nie tylko Brighid, ale wszyscy obecni. Rzuca mi się w oczy, że bogini ma na sobie nową niebieską zbroję, o wiele lżejszą niż ta, którą nosiła, gdy dokonano zamachu na jej życie. Ręce i nogi ma właściwie odsłonięte, tylko jej najważniejsze organy są zakryte. Zresztą jej tron jest zabezpieczony lepiej niż tyłek zwiniętego jeża. Czuję, jak sploty ostrzegają mnie, żebym się nie zbliżał.

– Witaj – mówi. – Jakie wieści?

– Zakładam gaj, będę miał sześciu uczniów. Chciałem, żebyś wiedziała. Gdybyś mogła udzielić mi wsparcia w jego zabezpieczeniu, toby było świetnie.

– Ach! To mnie bardzo cieszy, Eoghane. Podaj szczegóły mojemu szambelanowi, a zapewniam cię, że to zostanie załatwione. Porozmawiałabym dłużej, ale mam dużo pracy. Coś jeszcze?

Przychodzą mi na myśl Siodhachan i jego plan, żeby zlikwidować wampiry; póki tego nie zakończy, będzie tylko krew i mózgi na ścianach, ale Brighid przecież i tak na pewno o tym wie, skoro kazała Luchcie wykonać te kołki, a lepiej tego nie ogłaszać w miejscu, gdzie każdy może nas usłyszeć. Odpowiadam więc:

– Nie, to wszystko.

Brighid zegna się ze mną, a ja kłaniam się jej, a potem rozmawiam z jej szambelanem, żeby nie przeszkadzać już dłużej w audiencji pixie. Opowiadam mu o naszej ziemi we Flagstaffie i że trzeba ją zabezpieczyć, gdy nagle uświadamiam sobie, że coś nade mną wyrosło i śmierdzi jak spocone stopy.

Gapi się na mnie szaroskóry olbrzym, taki ze dwa razy większy ode mnie. Oczka ma czarne i małe, a zębiska wielkie niczym kły. Z jednej strony kapie mu ślina, a do skóry poprzyczepiane ma kawałki porostów czy jakichś grzybów, przy czym przyklejone są błotem lub gnojem, albo jednym i drugim. Na biodrach ma beznadziejnie zawiązany kawał szmaty, który zupełnie nieskutecznie zakrywa wielgachne coś, co powinien niby ukryć przed naszym wzrokiem. To potężny pieprzony troll bagienny, z tych, co to mają gdzieś, że ktoś widzi ich śmierdzące klejnoty. Słowem, najgorszy typ trolla.

– Ja cię znam! – ryczy, a jego oddech to chmura zgnilizny. – Ty jesteś druid.

– Strasznie jesteś bystry – odpowiadam. – A teraz przepraszam, nie mam czasu.

– Nie, mamy niezłałatwioną sprawę. Pamiętam.

– Nie wydaje mi się.

– Byłem na Wyspie Czasu. Wypuścili mnie z innymi. Ty też tam byłeś. I wisisz mi złoto.

– Coś ci się pomieszało. Gównno ci wiszę.

– Nie pomieszało, nie pomieszało. Przelazłeś przez mój most na bagnie i nie zapłaciłeś myta. Wyglądasz jakoś młodziej, ale i tak cię poznaję. Wisisz mi złoto.

Gdy to mówi, rzeczywiście coś mi zaczyna świtać. Ma chłopak rację. Dawno temu szedłem przez bagno do kuzyna, gdy wyskoczył na mnie chyba właśnie ten troll i mówi, że albo mu zapłacę za przejście, albo zlatuję z mostu. Nie miałem ani złota, ani chęci płacić, nawet gdybym je miał, więc zarzuciłem kamuflaż i przemknąłem się bokiem. Troll mnie przeklął i poprzysiągł zmusić mnie do zapłaty, a ja mu na to już z bezpiecznej odległości, że niczyje jaja nie powinny aż tak cuchnąć.

Skąd Brighid przyszło do głowy, że wypuszczanie trolli na wolność coś da, pojęcia nie mam. To może prowadzić jedynie do takich właśnie sytuacji – że będą nękać ludzi, którzy nikomu nic złego nie zrobili. Ten z pewnością zwrócił na mnie uwagę, gdy szambelan zapowiedział mnie jako druida Gai. Teraz tyś wie, jak się nazywam, a i pewnie gdzie mieszkam, jeśli podsłuchiwał naszą rozmowę.

Żeby sobie poszedł, wyciągam kanadyjskie pieniądze, które dostałem od Grety, i wciskam mu je na odczepnego.

– Masz – mówię. – Weź to.

Świdruje wzrokiem moją dłoń, a jego mózg aż chlupie od przegrzania jak pudding, ale w końcu mówi:

– To nie złoto.

– To jest lepsze niż złoto, synek. Tu jest narysowana królowa Kanady, która chodzi sobie w perłach, widzisz? Normalnie jakby jej szyja pocila się klejnotami. A spójrz tu: to król Kanady. Poważny facet, widać po kołnierzu. I zupełnie poważne pieniądze. Możesz za to kupić, co chcesz, i na pewno więcej niż za jakiegokolwiek myto.

– To tylko papier. Nic niewart. Wisisz mi złoto.

– Nie mam żadnego cholernego złota, rozumiesz? To wszystkie pieniądze, jakie mam, więc bierz to albo nic.

– Jutro przyniesiesz mi złoto.

– A weź się wykąp – prychem i odchodzę, chowając banknoty z powrotem do kieszeni.

Żaden troll nie będzie się przecież chciał bić na dworze faerii. Ale gdy przepycham się przez tłum, widzę, że jest tu ich więcej i że wszystkie śledzą mnie wzrokiem, gdy wychodzę na skraj dworu, gdzie rosną splecione drzewa, przez które mogę się stąd wydostać. Poznają kilka z nich – trudno zapomnieć taką brzydotę – i one też mnie bez wątpienia poznają. Jestem w końcu facetem, który nigdy nie płaci za przejście przez most.

Skąd się one w ogóle wzięły na dworze? To nie są stworzenia dworskie. Muszą mieć jakiś problem i liczą na audiencję. Być może ich bagna, rzeki i mosty dawno już zniknęły, więc nie mogą zarabiać tak, jak w dawnych czasach. A ja jestem właśnie z tych dawnych czasów, więc najchętniej uczepliłyby się mnie jak rzep psiego ogona.

Ludzie tak robią – czepiają się przeszłości, bo im się wydaje, że to jedyna bezpieczna rzecz. Na myśl o tym, że mieliby spróbować czegoś nowego albo chociaż to zaakceptować, wątroba im się zmienia w galaretę. Ale to wszystko głównie prawda. Trzeba brać nowe i doceniać, jeśli jest dobre, jak whisky, *poutine* czy dziewczyny, które gryzą; albo omijać szerokim łukiem, jeśli jest złe, jak komórki, samochody i takie tam.

Choć są też oczywiście tacy jak Siodhachan. Biedak robi, co może, żeby uciec przed przeszłością, ale jakoś nic z tego. Inna rzecz, że ma tej przeszłości trochę

więcej niż normalni ludzie. Może dlatego zawsze ma taką cholernie udęconą gębę.

Gdy docieram do drzewa, oglądam się i widzę, że trolle wciąż się na mnie gapią. Uśmiecham się i macham im, po czym się stamtąd wynoszę. W ten sposób mnie nie dogonią, bo potrafią tylko przechodzić na ziemię przez Stare Drogi, a tych nie ma wiele w Ameryce Północnej. Nie wyciągną ode mnie żadnego złota. Chłopaki – mam im ochotę powiedzieć – nie róbcie kroku w tył, nie patrzcie nigdy wstecz.

Rozdział 8

Przysnąłem w źródle – co jest wbrew pozorom dość bezpieczne, bo opiekujące się nim faerie zawsze człowieka uratują, gdyby głowa ześlizgnęła mu się pod wodę. Nie ustrzegły jednak przed chlupnięciem w twarz ani mnie, ani Oberona, który też zapadł w drzemkę. Obu nas obudzono w ten niehumanitarny sposób.

<Hej!> oburzył się Oberon. <Co za... Aha, to ja się lepiej zamknę>.

Zamrugąłem, żeby pozbyć się z oczu wody, i dostrzegłem, że już nie siedzę w źródle sam. Przed sobą ujrzałem kobietę o kruczoczarnych włosach i skórze białej niczym marmur.

– Witaj, Siodhachanie – odezwała się zachrypniętym głosem.

– Morrigan? Ty żyjesz?

– Skądże znowu. Po prostu udaje mi się egzystować dzięki tym, którzy nadal mnie wyznają. W tej krainie na przykład znacznie łatwiej mi się ucieleśnić i cię odwiedzić.

– Coś nie tak? Czy ja... Czy to koniec?

– E, nie, nie odwiedzam cię przecież jako Szafarka Śmierci. Chciałam ci tylko przypomnieć, że masz robotę, której nie wykonujesz.

– A. Czy to odwiedziny po to tylko, by wzmocnić zwątlone nieco przedsięwzięcie moje?

– Dziwnie to ująłeś, ale tak mniej więcej – odparła, zupełnie nie chwytając aluzji do *Hamleta*. – Musisz wybrać się do Svartálfarów, i to szybko.

– Jak szybko? Już dochodzę do siebie, ale wciąż jeszcze jestem trochę pokiereszowany.

– Jutro zostaną zaatakowani. Musisz temu zapobiec.

– Zaatakowani? Przez kogo?

– Przez krasnoludy i Azów.

– Azów? Przez Odyna i Freję?

– Nie, ci bogowie nie będą atakować. Ale dobrze wiedzą, że atak nastąpi.

– Czyli że jak zainterweniuję, to przeciwstawię się woli Odyna?

– Tak, ale to ci jakoś nigdy dotąd nie przeszkadzało.

– No tak, ale przecież niby mieliśmy teraz współpracować. Dałem mu whiskacza i ciasteczka Girl Scout. No wiesz, praktycznie jesteśmy... kumplami.

– To nie powinno się zmienić, Siodhachanie. Chodzi o to, żeby Svartálfarowie także z wami współpracowali.

Pokręciłem głową przygnieciony ogromem przedsięwzięcia.

– Po obu stronach mamy tu całe stulecia uprzedzeń, wzajemnej nieufności. To jak namówić Firbolgów albo Fomorian, żeby współpracowali z Tuatha Dé Danann jak starzy przyjaciele. Mam w jeden dzień zmienić odwiecznych wrogów w sprzymierzeńców? To niemożliwe.

– Masz zatem szczęście, że nie musisz tego robić w jeden dzień. Na razie wystarczy tylko, że zapobiegiesz ludobójstwu, żeby można było zacząć budować wzajemne zaufanie.

– Tylko zapobiec ludobójstwu, powiadasz?

– Tego możesz przecież dokonać w jeden dzień, Siodhachanie. – Przysunęła się do mnie w wodzie i złożyła zimny pocałunek na moim policzku, a jej lodowate paznokcie spoczywały na moim gardle. – Nie zawieź mnie.

– Morrigan, mroczne elfy wielokrotnie próbowały mnie zabić. Raczej wątpię, żeby nagle przyjęły mnie jako wysłannika pokoju.

– Idź i tak. – Jej palce zacisnęły się na moim gardle, a jej paznokcie wbiły się do krwi. – Chyba że wolisz, żebym następnym razem odwiedziła cię jako Bitewna Wrona.

– E, nie, tego tobym jednak nie chciałem...

Osunęła się w wodę i roztopiła w niej zupełnie bez żadnej zapowiedzi. Koniec widzenia. Sprawdziłem na wszelki wypadek, ale w źródle nie było nikogo poza mną.

– Zniknęła – mruknąłem do siebie, ale Oberon uznał, że to do niego.

<I dobrze. Wiem, że raz dała mi jeść, ale mimo to mnie przeraża>.

– Wiem. Mnie też.

Musiałem działać szybko, ale dotarło do mnie, że owszem, mam miecz, kołek i psa, ale żadnych ubrań. Faerie opiekujące się źródłami zabrały mi już wcześniej szpitalną koszulę. Przywołałem jedną i spytałem, czy byłaby tak miła i załatwiła mi jakieś ciuchy.

– I powiedz, proszę, Brighid, że tu jestem – dodałem. – Muszę z nią pilnie porozmawiać w sprawie dotyczącej Morrigan. – Na to hasło powinna przybiec tu w

te pędy. – I gdybyś potem mogła mi załatwić te ubrania. Byłbym bardzo wdzięczny.

– Ale jak się czujesz? – spytała troskliwie faeria. – Czy już jesteś gotowy do wyjścia ze źródła?

– Już dużo ze mną lepiej – zapewniłem ją.

Dopiero gdy sobie poszła, wypełzłem z wody i przyjrzałem się sobie uważniej. Większość obrażeń wewnętrznych udało się już połatać, ponieważ zawsze są najważniejsze w procesie uzdrawiania. Za to tkanka mięśniowa na plecach i w prawej nodze nadal była napięta i w wielu miejscach poszarpana. Będę jeszcze chwilę kulał i trzeba będzie najeść się białka, żeby szybciej się podleczyła. Najlepiej byłoby posiedzieć jeszcze trochę w uzdrawiającej wodzie, ale na to zdecydowanie nie miałem już czasu.

Nie miałem też pojęcia, co się stało z Wernerem Drasche'em po jego aresztowaniu. Czy nadal siedzi, czy już udało mu się uciec? I gdzie jest...?

– Oberonie, pamiętałeś zabrać z pokoju hotelowego ten notatnik?

<Yyy? Nie. A był ważny? Kazałem Owenowi zabrać miecz>.

– Dziękuję ci za to z całego serca. Zasłużyłeś sobie na smakołyk.

<No ba!>.

– Ale notatnik też był ważny. Ciekawe, czy nadal tam jest. W sumie nie wymeldowałem się z hotelu, więc powinien być.

<Pójdę z tobą, to możesz się na mnie opierać, jak będziesz kulał>.

– Dzięki, chłopie.

<A przy okazji pokażę ci, gdzie dają *poutine*>.

– Doskonale.

Wróciła faeria i powiedziała, że Brighid przybędzie już wkrótce. Dała mi też biały puchaty szlafrok, który najwyraźniej rąbnęła z jakiegoś hotelu na ziemi – miał naszyte jego logo na piersi. Miałem cichą nadzieję na spodnie i koszulę, ale ostatecznie mogę znieść kilka zdumionych spojrzeń, gdy będę szedł przez Toronto w szlafroku. W recepcji powiem, że zgubiłem klucz, i poproszę o nowy, a wtedy oni poproszą mnie o... o, nie.

– Moje dokumenty zostały w ubraniach. Które Owen zostawił w szpitalu.

<Oj>.

Nie był to problem nie do przeskoczenia. Mogłem przecież rozpleść zamek w drzwiach i tak wejść do pokoju. Tylko że tożsamość Seana Flanagana będzie

musiała przejść na permanentną emeryturę. Ofiara postrzału, która nagle znika ze szpitala – to wywołałoby zbyt wiele pytań.

Zastanawiałem się, co jeszcze powinienem załatwić, nim ruszę do Svartálfheimu, z którego być może nigdy nie wrócę. Gdybym tak mógł choć sprawdzić, co z Granuaile. Nie miałem od niej żadnych wieści, odkąd wyruszyłem do Etiopii. Wiedziałem tylko, że jest w Asgardzie i że w związku z tym trudno będzie się z nią teraz skontaktować. Miałem nadzieję, że wszystko u niej dobrze. Ale ponieważ nie miałem jak się z nią porozumieć, pozostawała jeszcze jedna rzecz do załatwienia w Anglii.

Nim miałem czas zacząć wszystko planować, pojawiła się Brighid. Wyglądała na wkurzoną. Okazało się, że nie na mnie. Miała po prostu dużo na głowie po buncie Fand. I ku mojemu zdumieniu w ogóle nie oponowała, gdy powiedziałem, że na polecenie Morrigan wybieram się do Svartálfheimu.

– Przekazała mi tę samą wiadomość – powiedziała.

– Serio?

– Przez Eoghana. Przekazał mi jej słowa. Pójdę z tobą. To jutro o świcie, tak?

– Nooo... jasne. – Tak szybka reakcja z jej strony zbiła mnie z tropu. – Ale może lepiej włoż jakąś supermocną zbroję.

– Oczywiście. Chcesz też jedną dla siebie?

Od stuleci nie miałem na sobie zbroi, ale w starciu z krasnoludami przydałaby się jakaś, szczególnie w moim stanie.

– A miałybyś jakąś, która by na mnie pasowała?

– Mogę znaleźć coś, co się nada – zapewniła mnie z uśmiechem na ustach.

– Świetnie. To o świcie.

Brighid poszła, a my z Oberonem ruszyliśmy zaraz potem. Tak na marginesie: Toronto to wspaniałe, różnorodne miasto, w którym ludzie przyzwyczajeni są do wszelkich osobliwości, ale jednak kulejący facet w samym szlafroku i z mieczem wzbudza nieco zainteresowania. Oberon niósł kołek w pysku, bo w ten sposób wyglądał niewinnie. Gdybym ja go niósł, mogłoby to wyglądać tak, jakbym zamierzał kogoś zadźgać czy coś.

Nie byłem pewien, ile dokładnie czasu spędziłem, pławiąc się w wodach leczniczych, w każdym razie w Toronto był poranek i mijaliśmy właśnie kafejkę Timmie's. Ed z kumplem znów trwali na stanowiskach, sącząc kawę i patrząc, jak się toczy życie wokół, choć nie załapałem wcale, że to oni, póki jeden z nich się nie odezwał, gdy ich mijaliśmy.

– Cholera, nigdy nie wiesz, co zobaczysz w Trahno, Ed.

– No. – Ed wyraźnie był najlepszym komentatorem w branży.

Wjechaliśmy windą na szóste piętro, gdzie chwilę mi zajęło rozpracowanie zamka do własnego pokoju. Na szczęście jego wnętrze zastaliśmy w takim samym stanie, jak je opuściłem. Był i notatnik, i plecak, i bardzo przydatne w tej sytuacji ciuchy na przebranie. Meldowanie się na czas nieokreślony (i posiadanie dobrej karty kredytowej) to wspinała rzecz.

Jeśli policja monitorowała już finansowe ruchy Seana Flanagana, dowie się zaraz, że Sean nadal żyje i wymeldował się z hotelu. To mi nie przeszkadzało. Już więcej nigdy o nim nie usłyszą, bo i tak muszę poprosić Hala o nową tożsamość. Szpital ma przecież moje wszystkie dokumenty.

Gdy już wyszliśmy i zmierzaliśmy w stronę Queen's Park, musiałem powiedzieć Oberonowi prawdę: *poutinerie* nie była jeszcze otwarta, a zresztą i tak nie miałem przy sobie żadnych pieniędzy. Będziemy musieli zwinąć coś gdzie indziej.

– Chodźmy do Anglii. Tam jest już po południu. Powinniśmy trafić akurat na tę porę, kiedy kucharze albo w ogóle poszli na przerwę, albo ogarniają w kuchni. Na pewno nie zajmują się teraz jedzeniem, którego nikt nie pilnuje. Bez trudu uda nam się zwinąć kilka kiełbasek.

<A możemy zjeść haggisa w Szkocji?>.

– Hmm. Możemy spróbować.

Przenieśliśmy się na drugą stronę Atlantyku, do maleńkiej miejscowości na północ od Dumfries, gdzie znalazłem malutki hotel-pub tuż przy splecionym gaju drzew. Nie mieli – bogom dzięki – haggisów, ale za to trochę gotowej już jagnięciny. Wślizgnąłem się do kuchni i buchnąłem coraz pilniej potrzebne pożywienie. Za budynkiem znajdowała się szklarnia z ziołami. Uprawa prezentowała się całkiem nieźle, ale mogło być lepiej. Spędziłem więc tam chwilę, naprawiając głębę w ramach zapłaty za jedzenie. Oczywiście w życiu się nie domyślą, że im zapłacono, ale to nieco uspokajało moje sumienie. Miałem już dość diabłów przyssanych do karku i naprawdę nie potrzebowałem jeszcze jednego wyrzutu sumienia.

Z pełnymi brzuchami przenieśliśmy się na południe od gaju pod zamkiem Windsor, gdzie wykonałem wszystko zgodnie z instrukcjami, które dał mi Hermes, żeby przywołać Wiatr Zachodni w celu skontaktowania się z Olimpem. Całe to globtroterstwo strasznie mnie zmęczyło. Naprawdę przydałoby mi się kilka

dodatkowych dni kuracji i odpoczynku. Czułem jednak, że nie mogę zaniedbać tego obowiązku przed wyprawą do Svartálfheimu.

Mały Skrzydlak pojawił się po południowej stronie nieba po jakiejś godzinie. Zatrzymał się przede mną dobre półtora metra nad ziemią.

– Witaj, Hermesie. – Skinąłem mu głową.

– Czego chcesz, druidzie?

– Chciałbym uwolnić Dianę, jeśli zgodzi się na nasze warunki – powiedziałem. Rzymska bogini polowań została pocięta na kawałki i zamknięta w skale, bo poprzysięgła nigdy nie spocząć, póki nas z Granuaile nie zabije. Artemida dała się namówić na „żyj i daj żyć”, ale Diana się zaparła. – Chciałbym jednak, żeby był przy tym Jowisz. Ustaliliśmy, że będziemy ją odwiedzać co miesiąc, mam więc już i tak lekkie opóźnienie, a nie chcę dłużej zwlekać. Wiem, że zwykle takie wiadomości przekazuje Jowiszowi Merkury, ale mógłbyś tym razem ty to zrobić? Jutro muszę wyjechać w pilnej sprawie i naprawdę nie chciałbym, żeby Diana straciła przeze mnie okazję, by odzyskać wolność.

– Zaczekaj tu. Zaniosę mu twoją wiadomość. – Odleciał bez zbędnych uprzejmości.

Po dobrej godzinie, gdy słońce już zachodziło czerwoną łuną, Jowisz rąbnął w ziemię piorunem tuż obok nas, tak że obaj z Oberonem mało nie dostaliśmy zawału.

<Nie musiał wcale robić takiego wejścia, co, Atticusie?>.

Nie.

<Czyli że zachowuje się jak te koty, które podłazą ci pod pysk i robią zamach pazurem na twój nos tylko dlatego, że potrafią?>.

Tak.

<Nie lubię tych kotów>.

Jowisz był w pełnej zbroi – o tyle, o ile Rzymianie mają zbroję, czyli że właściwie nogi miał odsłonięte, jeśli nie liczyć nagolenników. Czarna naoliwiona broda wystawała mu spod hełmu jak kolumna bazaltowa, a promienie rzucał nie tylko rękoma, ale i oczami. Przemknęło mi przez myśl, że mamy przekichane.

– Nie obawiaj się, ten pokaz nie jest dla ciebie – uspokoił mnie – tylko dla Diany. Niech zobaczy, jaki jestem z niej niezadowolony.

– Doskonały pomysł. – W łańciskiej przestrzeni myślowej wezwałem żywiołaka Anglii, Albiona, i poprosiłem, żeby wypchnął z ziemi wszystkie części Diany, byśmy mogli z nią porozmawiać. W innej przestrzeni umysłowej gadałem

nadal z Jowiszem. – Pozwolę sobie zasugerować, że mógłbyś ją nieco ponaglić, żeby zgodziła się wreszcie na rozejm.

Rzymski bóg nieba skinął głową, więc dodałem:

– Usunę się z pola widzenia, a ty z nią porozmawiaj. Przekaż jej, proszę, moją ofertę: druidzi poproszą Gaję o specjalną opiekę nad gajem, w którym mieszkają driady. Innymi słowy, zrobimy wszystko, by drzewa i żyjące w nich nimfy miały się znakomicie. Szczerze żałuję nieprzyjemności, jakie je spotkały, i chcę im zadośćuczynić, byle tylko zapewniła mnie, że nie będzie już na mnie polować ani namawiać innych, by mnie zabili.

– Rozumiem. – Bóg znów skinął głową, po czym spytał: – A jakie wieści w sprawie Ragnaröku?

– Wciąż jesteśmy na etapie otwarcia szachowego. Jutro wyjeżdżam, by pozyskać dla nas nowego sprzymierzeńca, mroczne elfy ze Svartálfheimu. Dlatego właśnie chciałem to dziś tu załatwić, bo nie wiem, kiedy i czy w ogóle wrócę.

Ziemia się rozstąpiła i wyłoniła się z niej Diana, w kawałkach. Skryłem się za jej głową, tak żeby nie mogła mnie widzieć. Za to miała świetny widok na Jowisza, co musiało być dość przerażające.

– Witaj z powrotem w słonecznym świetle, Diano – zagrzmiał. – Mam nadzieję, że już tu zostaniesz. Druidzi gotowi są pójść na ustępstwa. Mam nadzieję, że rozpatrzysz ich propozycję, bo skupia się ona na krzywdzie, z powodu której jakoby walczysz.

Głos Diany był pewny siebie, wręcz lekceważący. Dwa miesiące odosobnienia w ciemności nijak jej nie zmiękczyły.

– Mów – powiedziała tylko.

– Obiecują chronić driady i ich gaje, zapewniając im opiekę Gai. Szczerze żałują, że cię rozzłościłi. Proszą jedynie o to, żebyś dała im żyć i nie spiskowała przeciwko nim.

Bogini łowów nic na to nie odpowiedziała. Jowisz musiał w końcu jej pomóc piorunującym spojrzeniem.

– No? Cóż ty na to? Ty wracasz na wolność, a driady będą miały jak w raju.

– Hmm... Zgadza się.

Twarz boga piorunów złagodniała, spojrzenie stało się mniej groźne.

– To mnie bardzo cieszy. Przysięgnij, że będziesz się trzymać warunków wypuszczenia. Nie będziesz już polować na druidów ani w żaden sposób dążyć do ich skrzywdzenia.

– Przysięgam na twoje imię.

– Dobrze.

Bóg spojrział na mnie, poprosiłem więc Albiona, żeby uwolnił Dianę. Kredowa gleba skruszyła się, a Jowisz przyczepił bogini z powrotem ręce, głowę i tors. Potem już wystarczyło, by zadziałały boskie zdolności leczenia się, typowe dla nieśmiertelnych Olimpijczyków, i po kilku minutach znów była jak nowo narodzona. Jowisz pomógł jej wstać, otrzepała ubranie i ramiona z ziemi, a potem obejrzała się i zobaczyła nas z Oberonem.

Zacisnęła szczękę i pięści, a ja natychmiast pożałowałem, że nie rzuciłem na siebie kamuflażu, bo sam mój widok był dla niej najwyraźniej poważną prowokacją. Wystarczającą, by ryknąć dziko i rzucić się na mnie z gołymi rękami. Wyciągnąłem Fragaracha – sam ten ruch sprawił, że połowa mojego kręgosłupa jęknęła z bólu – i próbowałem stanąć mocniej na kulawej nodze. Oberonowi kazałem schować się za mną.

– Dianio! – krzyknął Jowisz. – Obiecałaś! Obiecałaś!

Ale bogini waliła prosto na mnie. Zamachnąłem się na jej talię, bo przy takim ciosie trudno o unik, a ona trysnęła złotym ichorem i kawałkami organów. Chlupnęły na nas jej wnętrzności, pocięły odłamki jej kości, a do tego eksplozji towarzyszył huk błyskawicy. To mi dopiero wyjaśniło sytuację. To Jowisz nie mógł znieść tego, że Diana łamie dane mu słowo, i grzmotnął ją piorunem.

<Ajaj! Niech to dunder świsnie, przecież dopiero co się kąpałem!>.

Oberonie, broń cię bogowie, niczego z siebie nie zlizuj! Ichor jest dla nas trujący. Nie ruszaj tego! Zmyjemy wszystko, gdy tylko będziemy mieli jak.

Jowisz rzucił łąciną, a potem przeprosił mnie po angielsku.

– Sorki. Byłem pewien, że dotrzyma słowa.

– Fuu. Ja też.

– Już ja jej dam na Olimpie – dodał, bo przecież za chwilę Diana odrodzi się tam w pełnej krasie.

Olimpijczycy mają niezłe urządzone z tą ich nieśmiertelnością, nawet w porównaniu z większością innych panteonów. Naprawdę nie mogą umrzeć. Wystarczy rozwalić ich ciało, a zaraz wracają w nowym. Większość panteonów ma po prostu okropnie długie życie w jednym ciele, a gdy już pozbędą się swojej ziemskiej powłoki, mogą pojawiać się od czasu do czasu na chwilę tak jak Morrigan, a i to zależy od mocy dawanej im przez wyznawców.

– Niby jak, jeśli mogę spytać? – mruknąłem, ocierając złotą maź z twarzy. – To chyba widać, że nie można jej ufać. Dane słowo nic dla niej nie znaczy.

– Nie, ale mogę ją obserwować i kontrolować, jak sam widziałeś.

– A jak się spóźnisz z interwencją? Jeśli cię przechytrzy? Albo zatrudni kogoś, żeby mnie zabił?

– Nic ci nie grozi – zapewnił mnie. – Teraz to dla mnie kwestia honoru. Obraziła mnie.

– Zostawiam to więc na twojej głowie – powiedziałem, bo co miałem robić?

Choć wolałem tego nie mówić na głos, miałem poważne wątpliwości, czy kiedykolwiek będę miał spokój z Dianą. Nie wiem, czy był to przypadek, czy zaplanowany manewr, ale tak czy siak właśnie mnie zgrabnie wykiwno. Jowisz obrócił całą moją przewagę w proch, a raczej w złotą breję. Teraz Diana lub jej pomocnicy będą mogli mnie zaatakować w każdej chwili, a wtedy zapewnienia władcy bogów będą funta kłaków warte, bo już będę martwy. A nawet jeśli ktoś zgłosi mu reklamację, to co zrobi? Wzruszy ramionami i powie: „O, sorki”. Jak już przekonał się Manannán Mac Lir, „współpracując” z Posejdonem i Neptunem w poszukiwaniu Jörmungandra w oceanie – a było to przedsięwzięcie, które jak na razie nie przyniosło żadnych skutków – Olimpijczycy byli, delikatnie mówiąc, dość niepewnymi sojusznikami.

– Żegnaj, druidzie – rzekł Jowisz.

Skinąłem mu głową i spałem się instynktownie na myśl o jego zniknięciu – oczywiście musiał znów walnąć przy tej okazji piorunem, aż mi włosy stanęły dęba. Zostaliśmy sami w cuchnącym spalenizną powietrzu sielankowej poza tym wsi angielskiej.

Sierść Oberona sterczała na wszystkie strony, więc otrzepał się, dzięki czemu opadło z niego nieco ichoru Diany, ale za wiele to nie pomogło.

<Jakoś by mi nie przeszkadzało, gdybym już nigdy więcej nie spotkał tego dziada> wyznał.

Zgodziłem się z nim i uznałem, że najlepiej będzie wpakować się teraz do Sama i Tya, nim nadejdzie czas na spotkanie z Brighid. Poza tym i tak musiałem zostawić Oberona w jakimś bezpiecznym miejscu. Mowy nie było, żebym brał go ze sobą do Svartálfheimu.

Tyowi szczęka opadła, gdy otworzył drzwi i ujrzał nas upačkanych złotą mazią.

– Przepraszam bardzo, czy moglibyśmy skorzystać z łazienki? – spytałem grzecznie.

– Boże, Atticusie, wyglądacie, jakbyście odbyli jakąś orgię z żółtkami i sokiem pomarańczowym.

– Możemy nawet potrzebować gąbki – przyznałem.

– Pozwolisz, że spytam, co się stało?

– Olimpijka na nas wybuchła. Było paskudnie.

– Cholera. A nie mógłbyś tej dawki adrenaliny fundować sobie poprzez BASE jumping albo parasailing, jak normalni ludzie?

<Widzisz? Wciąż ci powtarzam, że powinniśmy tego spróbować>.

Ty otworzył szerzej drzwi i odsunął się, żeby nas przepuścić.

– Wiesz, gdzie jest łazienka, nie?

– Dzięki.

Wskakuj do wanny – kazałem Oberonowi po cichu. – Ale tym razem ani się waż zniszczyć zasłony, choćby nie wiem jaka była paskudna.

<Jaką mi opowiesz historię, Atticusie?>.

Opowiem ci o kimś, kto z miłości spalił klasztor.

<Historia miłośna! Super! Znaczy domyślał się, że nie z miłości do Boga?>.

Dobrze się domyślasz.

Rozdział 9

Wbrew obawom, gdy już docieram do Warszawy, nie mam żadnych problemów z odnalezieniem Sióstr Trzech Zórz. Kiedy przenosimy się z Orlaith za pomocą splecionej topoli czarnej rosnącej w rozległym parku zwanym Polem Mokotowskim, już tam na mnie czekają. Urządziły sobie piknik. Wokół tego akurat drzewa. Tak zupełnie poważnie – z kocami na trawie i koszami pełnymi chleba, sera i pierogów. Kilka z nich ma nawet kieliszki z winem w dłoniach, co jest tu ponoć dość powszechnie praktykowane, choć możliwe tylko do czasu nadejścia policjanta.

<Hej! Żarcie!> cieszy się Orlaith, gdy Malina Sokołowska unosi na wpeł zjedzoną bagietkę, żeby mnie powitać z pełnymi ustami.

– Granuaile, jesteś nareszcie! Witamy!

Zwraca się na nas wzrok trzynastu par oczu i czuję się dość niepewnie, bo mam tę dotkliwą świadomość, że stanowimy łatwy cel. Wcale nie znam ich tak dobrze, tyle tylko, co ze słyszenia i jednego krótkiego spotkania. Kiedy je poznałam – mam na myśli te, które nie zadzierały z Atticusem i Watahą z Tempe pod Tony Cabin i nie zginęły w związanym z tym zamieszaniu – biegliśmy akurat z Atticusem nago przez pole cebuli gdzieś pod Jasłem. Uciekaliśmy przed Artemidą i Dianą. Czekają tam wtedy na nas, bo wiedziały ze swoich źródeł, że stanie się w tym miejscu coś strasznego, i okazało się, że rzeczywiście jak grom z jasnego nieba spadł na nas Loki. To, że znów odwaliły ten trik z serii „wiedziałyśmy, że tu będziesz”, to tylko kolejny dowód, jak bardzo potrzebuję jakiejś zasłony przed wywróceniem.

Nowe członkinie sabatu nie zostały nam jeszcze oficjalnie przedstawione, a teraz, gdy niewykluczone, że zaraz mnie zaatakują, dociera do mnie, że nawet nie wiem, czego się po nich spodziewać. Czy używają jakichś różdżek, żeby rzucać zaklęcia? A może wymachują rękoma i przewracają oczami? Pamiętam, że Atticus mówił, że są dość szybkie i niezłe w starciu wręcz, ale jakoś nic sobie nie mogę przypomnieć na temat strategii ich magicznych ataków. Atticus twierdzi, że Malina może ot tak wezwać sobie diabelskie pejcze, ale przecież chyba tego nie zrobiła w publicznym miejscu. Szczególnie że nie jestem przecież z piekła, tylko z Kansas.

– Zapewniam cię, że nic ci nie grozi – ciągnie Malina z tym swoim lekkim polskim akcentem, gdy nie odpowiadam. – Zobaczyłyśmy, że chcesz porozmawiać, więc jesteśmy, rozkoszując się przy tym piękną pogodą. Nikt tu nam nie będzie przeszkadzał. Siadaj, proszę.

Orlaith – mówię po cichu. – *Znam je, ale to nie znaczy, że możesz im już ufać. I nie przyjmuj od nich żadnego jedzenia.*

<O nie! No dobra... To mam nadzieję, że bardzo szybko im zaufasz>.

Na głos mówię tylko:

– Dziękuję – i pospiesznie wypowiadam po staroirlandzku *splot*, który nie pozwoli, by włos spadł mi z głowy, bo Atticus zawsze nalega, by tak robić, gdy się z nimi rozmawia.

Siadam na kocu, na lewo od przywódczyni sabatu, ale tak, że między nami znajduje się kosz. Wiedźmy wokół przesuwają się odrobinę, żeby mnie lepiej widzieć, a te po drugiej stronie drzewa zbliżają się do nas. Nie są ubrane tak samo, pewnie żeby odnosiło się wrażenie, że są jedynie znajomymi. Ich strój nie sugeruje też żadnych powiązań z okultyzmem. Wybrały ciuchy odpowiednie na ten słoneczny, lecz już chłodny jesienny dzień. Niektóre mają na sobie dzinsy, inne getry pod spódnicami. Na stopach ciepłe kozaki, a na szyjach fioletowe apaszki. Do tego lekkie kurtki różnego koloru i z różnych materiałów, kilka uroczych czapeczek robionych na drutach. Poza Maliną, której długich, prostych jasnych włosów raczej nie sposób zapomnieć, poznaję zaledwie cztery wiedźmy ze starego składu, bo Atticus mi je trochę opisywał. Jest tu więc Sowiooka Roksana, Klaudia Prosto z Łózka, Cholernie Wysoka Kazimiera i Cherubinek Berta.

– Skosztujesz kanapki z ogórkiem? A może chcesz coś do picia? – proponuje Berta.

Jej policzki są już zaróżowione i wydaje mi się lekko wcięta, bo ma na twarzy dość beztronski uśmiech, pusty kieliszek w dłoni i jeszcze pustszą butelkę po winie obok.

– Nie, dziękuję – mówię. – Przed chwilą jadłam. Nie jestem głodna.

– Przedstawiłabym cię wszystkim, ale domyślałam się, że masz do nas jakąś pilną sprawę i nie wpadłaś w celach towarzyskich – odzywa się Malina. Kiwam głową przepraszająco, a ona uśmiecha się wyrozumiale. – Doceniamy, gdy ktoś mówi z nami wprost i bez owijania w bawełnę. O czym więc chciałaś rozmawiać?

– Twoja poprzedniczka umieściła na mieczu Atticusa osłonę, która kryła go przed wywróceniem. Czy potrafiłybyście zrobić dla mnie coś podobnego?

– Tak. Lecz nie jest to coś, za co przyjmujemy zapłatę w monetach.

– I dobrze się składa, bo nie mam przy sobie ani... chciałam powiedzieć „ani centa”, ale pewnie nie używacie ich w Polsce.

– Nie, używamy tu groszy – wyjaśnia jedna z nich, a ponieważ jej nogi ciągną się do samej ziemi, domyślam się, że to Kazimiera.

– Nie mam więc ani grosza.

– W takim razie możesz zarobić na swoją zasłonę – mówi Malina. – Pomóż nam znaleźć białego konia Świętowita.

– Słucham? – Proponuje mi to tak szybko, że zaczynam podejrzewać, że z góry wiedziała, o co poproszę, i zaplanowała sobie, czego zażąda w zamian.

– Świętowit to stary słowiański bóg wojny i wróżenia. W zależności od tego, w którym słowiańskim kraju się znajdujesz, możesz się spotkać z różnymi odmianami tego imienia, ale był on, a raczej jest, ważny dla polskich pogan takich jak my.

– I miał jakiegoś białego konia... Zgubił go czy ktoś mu go ukradł?

– Nie wiemy.

– A dlaczego ten koń jest taki ważny? I dlaczego Świętowit sam sobie go nie znajdzie?

– Nie wiemy, czy Świętowit w ogóle jeszcze żyje. Ale jesteśmy przekonane, że koń tak.

Wygląda na to, że nie ma szybkich odpowiedzi na moje pytania, bo kompletnie nie znam kontekstu.

– Może lepiej zainicjujcie od samego początku – proszę.

Malina odwraca się w stronę dziewczyny w zbyt dużych okularach i kręcących się brzydko, brudnych jasnych włosach upiętych w gruby koński ogon.

– Roksano, ty jesteś w tym lepsza. Przedstawiłabyś jej streszczoną wersję wydarzeń?

– Z przyjemnością. – Okularnica uśmiecha się sztywno i zwraca na mnie swoje wielkie patrzaki. – Na północny zachód stąd, przy niemieckim brzegu Morza Bałtyckiego, znajduje się wyspa zwana przez Niemców Rügen.

– Serio? To ma jakiś związek z hrabią Rugenem, tym, co miał sześć palców?

– Że co? Nie. Ale ma z Rugianami, zwanymi też Ranami. Było to plemię słowiańskie zamieszkujące tę wyspę od dziewiątego do dwunastego wieku. Po polsku wyspa ta nazywa się Rugia.

– Aha.

– Na północno-wschodnim skraju wyspy, na przylądku zwanym Arkoną, znajdowała się pilnie strzeżona świątynia, nazwana później Jaromarsburgiem. Poświęcona była bogu Świątowitowi. Była to ostatnia twierdza słowiańskich pogan, nim w tysiąc sto sześćdziesiątym ósmym roku zdobył ją król duński, który pokonał Ranów. Duńczycy spalili świątynię, porąbali idola Świątowita i siłą schrystianizowali wszystkich mieszkańców. Ranowie z czasem zasymilowali się z niemieckimi plemionami wokół nich, a ich język wymarł. Chciałybyśmy natomiast dowiedzieć się, co się stało z samym Świątowitem i jego koniem. Bo zniknęli bez śladu.

– Chcesz przez to powiedzieć, że byli fizycznie obecni w Jaromarsburgu?

– Może nie sam Świątowit. Ale koń na pewno. Domyślamy się, że aż do chwili przed inwazją Duńczyków.

– Skąd to wszystko wiecie, skoro to było niemal tysiąc lat temu?

– Kapłani Świątowita używali konia, by określić, czy czeka ich przegrana czy zwycięstwo w bitwie. Gdyby koń był tam przed najazdem Duńczyków, mogliby spokojnie przewidzieć klęskę i opuścić nieszczęsną twierdzę.

– Przepraszam, ale to wnioskowanie nie wydaje mi się pewne. Ludzie często są po prostu głupi i nie słuchają dobrych rad, szczególnie gdy w grę wchodzi duma. W sumie tak właśnie się dzieje w wypadku każdej wojny.

Wiedzmy wpatrują się we mnie dłuższą chwilę. Nagle Klaudia prycha ubawiona. Należy do kobiet zmysłowych, takich o wiecznie zaspanych oczach. Ma potargane włosy i piękną opaleniznę. Jej usta, miękkie i wielkie niczym poduszki, drżą w uśmiechu i są tak kuszące, tak stworzone do całowania, że nie mogę od nich wzroku oderwać, póki Malina nie mówi nagle:

– Klaudio! Zachowuj się!

– Przepraszam – mamrocze Klaudia, a ja otrząsam się i uwalniam od uroku. – Ale tak fajnie jest się bawić z druidami.

Pamiętam, że Atticus ostrzegł mnie przed tymi ich urokami i nawet opowiadał o bardzo podobnym zajściu. Teraz już rozumiem tę ich manierę – Malina pragnie mi jasno uświadomić, że jej sabat może mi bez trudu sprać tyłek, gdyby tylko chciał, ale nie chce mi tego powiedzieć wprost. Ma więc Klaudię i jej usta gwiazdy filmowej. Potem beszta ją niczym niesforne dziecko, żeby dać mi do zrozumienia, że ona jest ta uczciwa, której leży na sercu moje dobro. To bardzo przyjacielska pogróżka – w końcu przeciwko mnie wytaczają tylko smakowite usta zamiast poważniejszej broni – ale jednak intencje są jednoznaczne.

– Przepraszam, Granuaile – mówi Malina i ciągnie tak szybko, żebym nie miała żadnej szansy podsycać konfliktu. – Nasze podejrzenie, że koń nadal żyje, wiąże się poniekąd z Lokim. Pomyślałyśmy, że cię to zainteresuje.

– Oczywiście, że tak.

– Nie mamy jeszcze pewności, ale wyłania nam się tu tajemniczy wzór nieobecności. Wydaje nam się, że ty właśnie mogłabyś to jakoś sprawdzić. Po tym, jak uciekł nam Loki, dzięki bardzo zastanawiającej interwencji fińskiego boga, rozpoczęliśmy serię rytuałów mających na celu wywrócenie jego powiązań z innymi panteonami. Czy wiesz coś może o słowiańskim bogu Welesie?

– Przykro mi, ale nie.

– A o Perunie?

– A, jego to znam.

– Weles jest przeciwnikiem Peruna, to typ podstępnego oszusta. Ich relacje są mniej więcej takie jak Thora i Lokiego. Jesteśmy prawie pewne, że Perun żyje, ale nie znajduje się na ziemi.

– To prawda. Jest gościem w krainie faerii.

– Ciekawe. Dziękuję za informację. Takiej pewności nie mamy w każdym razie co do Świątowita. Być może żyje, ale jeśli tak, to w jakiejś odległej krainie. Być może nie żyje. Z tego, co wyczuwamy, trudno powiedzieć. Ale o Welesie nie potrafimy wywróżyć zupełnie nic. Gdzie się ukrywa, przez co nie możemy nawet sprawdzić, czy żyje czy nie, a tym bardziej gdzie jest.

– Czekajcie. Przecież krainę Słowian spalił Loki – wtrącam się. – Perun zastanawiał się nawet, jakim cudem Loki do niej dotarł.

Malina kiwa głową.

– Sama pojmujesz już więc nasz tok rozumowania. Weles współpracuje z Lokim.

– Loki ma coś w rodzaju osłony przed wywróceniem.

– Tak nam się właśnie zdawało. Jego też nie potrafimy namierzyć. Wnioskujemy tylko na podstawie serii dziur, w których coś powinno być.

– Ale dlaczego miałby... A! Być może mamy tu do czynienia z wymianą usług. Może to Weles chciał, żeby Lokispał słowiańską krainę, i pewnie to jemu zależy na śmierci Peruna. Częściowy sukces jak na razie. A Loki ukrywa Welesa, tak żeby Perun i w ogóle wszyscy uważali go za martwego. Tylko czego Loki chce od niego w zamian?

– Świątowita i jego białego konia oczywiście.

– Czekał, czy ty mi mówisz, że Loki chce tego konia, bo...?

– Tego konia można spytać, czy wygra się, czy przegra bitwę, którą się dziś zacznie.

– Kurwa mać – wyrywa mi się, gdy dociera do mnie powaga sytuacji. – Za pomocą konia może ustalić, kiedy rozpocząć Ragnarök!

– Też doszliśmy do tego wniosku. Dlatego chcemy tego konia.

– No to mamy tu zbieżność interesów. Nie możemy pozwolić, by Loki bez końca kaptował sobie nowych sojuszników, póki nie osiągnie kombinacji zapewniającej mu wygraną. Jeśli Loki ma cokolwiek zaczynać, pozbawmy go chociaż pewności co do wyników tych działań. Czy udało wam się wywróżyć lokalizację tego konia?

– Niestety nie. Szanse były i tak małe, bo nie znamy jego imienia, ale wydaje nam się, że Loki też go ukrywa za osłoną. Jedyne, co nam przychodzi do głowy, to żebyś znalazła Świątowita, a może on ci powie, gdzie jest koń. A jeśli obaj nie żyją, to Weles jest Lokiemu winny jakąś inną przysługę.

– Gdzie mam szukać Świątowita? Gdzie go ostatnio widzieliście?

Malina przesuwając wzrok na Roksanę, więc to od niej oczekuję odpowiedzi.

– Nigdy go nie widzieliśmy – mówi wiedźma. – Tak jak zresztą żaden współcześnie żyjący człowiek. Bóg ten ma albo cztery głowy, albo cztery twarze w jednej głowie, różnie, zależy od widzenia. Toteż gdyby się ostatnio ucieleśnił, raczej by trafił do Wiadomości.

Jej komentarz wywołuje cichy śmiech pozostałych, ale mojego psa wprawia w dziką ekscytację.

<Coś ty? To przecież on by mógł jeść cztery steki naraz!>.

Ale ma tylko jeden żołądek, Orlaith. I pomyśl tylko o czterech zestawach zębów do mycia. A jak się zaziębi? Cztery zapchane nosy. Fuu.

– Radziłabym ci zacząć od Jaromarsburga – ciągnie Roksana. – Albo może pogadać z Perunem, jeśli masz z nim kontakt. Może on ci pomoże.

Kiwam głową i myślę sobie, że i tak powinnam z nim pogadać. Na pewno wolałby wiedzieć, że Weles sprzymierzył się prawdopodobnie z Lokim. To ma o wiele więcej sensu niż zapewnienie Lokiego, że czepia się Peruna tylko dlatego, że nie znosi bogów piorunów. W panteonach całego świata jest od groma takich bogów. Czemu miałyby się uwziąć akurat na Peruna? Musiała być jakaś inna przyczyna. A skoro o przyczynach mowa, to muszę je spytać, dlaczego one z kolei tak się zainteresowały tym akurat koniem.

– Chodzi wam bardziej o to, żeby pokazać Lokiemu środkowy palec, niż żeby znaleźć konia, tak?

Wszystkie wiedźmy spoglądają na Malinę, żeby to ona odpowiedziała. Skinięcie głową.

– Jemu i Welesowi. Zorze nie spędzają dużo czasu w słowiańskiej krainie, ale gdyby były tam akurat wtedy, gdy Loki ją podpalił, spłonęłyby razem z nią. Wciąż mi się to śni po nocach. I pomyśleć tylko, że już raz miałyśmy Lokiego... – Kręci głową. – Na pewno chciałabym dostać drugą szansę. Albo jeśli go nie mogę dorwać, chcę przynajmniej utrudnić mu zdobywanie tego, czego pragnie.

– No dobra – mówię, patrząc na Malinę. – Znajdę wam Świątowita albo jego konia, z zastrzeżeniem, że lepiej byłoby konia, i albo wam go przyprowadzę, albo potwierdzę jego śmierć, a w zamian dacie mi zasłonę przed wywróceniem.

– Zgoda, ale jeszcze jedno uściślenie: jeśli znajdziesz Świątowita, martwego czy żywego, chcemy wiedzieć, gdzie przebywa.

Wyciągam do niej rękę i mówię:

– Przyjmuję taką wersję. – Kiedy Malina ścisną moją dłoń, uśmiecham się, bo oto mam prawdziwą misję. – Jeśli znajduje się w innej krainie, nie będę miała jak go tu ściągnąć. Już ściągnięcie konia będzie wystarczająco trudne.

– Dlaczego? – Malina marszczy brwi.

– Mam tylko jedną przestrzeń myślową, w której mogę przenosić innych podczas podróży międzykrainowych. Obecnie używam jej dla Orlaith. Żeby mogła zabierać jeszcze kogoś, muszę nauczyć się na pamięć jakichś dzieł w innym języku, bo to daje mi strukturę, na której mogę oprzeć dodatkową osobę. Nauczyłam się rosyjskiego, ale z tego, co na razie czytałam, ich literatura wydaje mi się dość ponura i wcale nie mam ochoty uczyć się czegokolwiek z tego na pamięć.

– Szymborska! – krzyczy Berta, a twarze pozostałych wiedźm rozpromieniają się wyraźnie.

– Oczywiście! – Nie widziałam jeszcze na twarzy Roksany podobnej ekscytacji. Kiwa głową z takim entuzjazmem, że zaczynam się obawiać o jej szyję.

– Naucz się polskiego i przeczytaj Szymborską!

– Kogo, przepraszam?

– Wisławę Szymborską. Była poetką, noblistką – wyjaśnia Klaudia. – Pisała o małych rzeczach, szczegółach życia, które kryją wielkie znaczenie. Angielskie tłumaczenie, które widziałam w Ameryce, było całkiem niezłe. Może powinnaś

najpierw je przeczytać, a potem, jeśli zdecydujesz, że podoba ci się jej poezja, nauczyć się polskiego.

– Świetny pomysł – popiera je Malina. – Szymborska na pewno nie jest żadną ponurą nihilistką.

– Dzięki za radę. Spróbuję. – Wstaję, bo spieszno mi już zabrać się do tego zadania. – Wrócę do was, kiedy tyłkocóż będę miała. Pewnie nie będę musiała wam mówić, kiedy to będzie, bo same się dowiecie o wiele wcześniej niż ja, ha, ha.

Śmieją się z uprzejmości, ale Malina zatrzymuje mnie na odchodnym.

– Jeszcze jedno, Granuaile. Nie wiesz przypadkiem, kiedy pan O’Sullivan zamierza zrealizować daną nam obietnicę, że pozbędzie się polskich wampirów?

– Pracuje nad tym – zapewniam ją. – Co do tego nie ma wątpliwości.

– Wiemy, że eliminuje wampiry w innych miejscach – mówi. – Ale nie robi tego tam, gdzie powinien.

– Od jakiegoś czasu nie miałam z nim kontaktu, ale jestem pewna, że nie zapomniał i ma jakiś plan.

– Przypomnij mu o nas, gdy będziesz się z nim widziała, dobrze?

– Oczywiście – obiecuję. – To na razie, Siostry. Miłego pikniku.

<Dokąd teraz?> pyta Orlaith, gdy wracamy do drzewa.

Do Niemiec. Wyobrażasz sobie, że mają tam automaty z kiełbasą?

<Serio? Jacyś inteligentni ludzie, co?>.

Rozdział 10

Gdy odkręcałem wodę, nawet słówkiem nie pisałem Oberonowi, jak bardzo się Go niego niepokoję. Przypomniałem mu tylko, żeby pod żadnym pozorem nie lizał sierści, póki mu nie powiem, że może, i żeby mi zameldował natychmiast, jeśli poczuje jakikolwiek ból. Sam musiałem już włączyć charms uzdrawiający, żeby zwalczać truciznę. Kilka odłamków kości Diany przebiło mi skórę i ichor sączył się do mojego krwiobiegu. Z takimi śladowymi ilościami potrafiłem sobie poradzić, ale jeśli Oberon połknie tego więcej, może być mi bardzo trudno opanować sytuację.

Sam i Ty mieli jedną z odczepianych słuchawek prysznicowych na metalowym wężu, co to wygląda jak stalowa gąsienica. Odkręciłem wodę na maksa, żeby uzyskać jak najmocniejsze ciśnienie, i kazałem Oberonowi zamknąć oczy, żeby móc w pierwszej kolejności ratować jego pysk.

<Na miauczące koty, Atticusie, co ty wyprawiasz?> protestował, wijąc się w wodzie, gdy strumienie atakujące jego pysk zaczęły zmywać ichor.

– Nie ruszaj się, stary. Musimy się tego jak najszybciej pozbyć.

<Normalnie wariujesz, jakby to były odpady nuklearne>.

– To coś znacznie gorszego.

<Serio? To zabierz to ze mnie natychmiast!>.

– Już, już, Oberonie.

<Opowiedz mi coś, żebym nie musiał o tym myśleć>.

– Dobra. A zatem przenosimy się w czasie do siedemnastowiecznej Francji, na dwór Ludwika Czternastego.

<Czy bardzo się wkurzał na swoje imię?>.

– Słucham?

<Czy mówił czasem: „Boziu, tyle jest na świecie ładnych imion, to nie, rodzina musiała wybrać Ludwik aż czternaście razy>.

– Nie wydaje mi się, żeby się tym jakoś przejmował. Był królem.

<No tak. To pewnie trochę łagodziło jego cierpienia>.

Po dworze króla pałętało się zawsze mnóstwo paziów, którzy załatwiali różne drobiazgi dla wysoko urodzonych. Wpadało się na nich na każdym kroku, ktoś więc musiał ich szkolić, jak nie wchodzić poważnym ludziom w drogę i jak się w ogóle zachowywać. To zadanie przypadło ojcu naszej bohaterki, który wychowywał ją razem ze wszystkimi tymi paziami, ucząc córkę przy okazji, jak się fechtować, jak się obrażać i odpłacać pięknym za nadobne, i takie tam. Nazywała się Julie d'Aubigny i wyszła za mąż bardzo młodo za niejakiego Maupina, którego wysłano do pracy na południu Francji, gdy tymczasem ona została w Paryżu. Odtąd funkcjonowała jako Mademoiselle Maupin, słynna śpiewaczka operowa, znana z romansów i pojedynków.

Często przebierała się za mężczyznę, ale nie ukrywała twarzy ani nie robiła z nią nic, co by ją upodabniało do brzydszej płci. Żeby zarobić, śpiewała po oberżach i fechtowała się z mężczyzną, z którym przez jakiś czas podróżowała. Kiedy jej się znudził, wplątała się w namiętny romans z pewną młodą kobietą, a gdy krewni jej kochanki dowiedzieli się o tym, postanowili rozwiązać ten – ich zdaniem – problem, wysyłając dziewczynę do klasztoru. Mademoiselle Maupin nie poddała się jednak – była naprawdę zakochana. Sama zgłosiła się do tegoż klasztoru w Awinionie i przyjęła śluby zakonne. Znów była z ukochaną. Natychmiast zaczęła jednak planować wspólną ucieczkę i wpadła na prosty pomysł – podpalić coś. A konkretnie – ciało innej zakonnicy (już martwej), które włożyła do łóżka ukochanej, żeby ukryć jej zniknięcie. Spędziły potem trzy namiętne miesiące, nim płomień ich miłości wygasł i dziewczyna wróciła do rodziny. Mademoiselle Maupin tymczasem została oskarżona o podpalenie i kradzież ciała, za co miała zostać spalona żywcem. Nigdy jednak nie wykonano tego wyroku, bo dzięki znajomościom na dworze udało jej się pozyskać ułaskawienie od króla.

Mademoiselle Maupin znów ruszyła w drogę, śpiewała, miała kilku kochanków, od czasu do czasu przyłożyła komuś w pojedynku, aż w końcu dotarła do Paryża i dołączyła do opery. Przez jakiś czas jej życie było jedynie odrobinę awanturnicze – musiała tylko raz przyłożyć pewnemu aktorowi mizoginowi, a kiedy indziej właścicielowi mieszkania, które wynajmowała – ale potem znów wpakowała się w poważniejsze kłopoty, bo wybrała się na bal przebierańców w męskim stroju i na oczach wyższych sfer pocałowała młodą kobietę. Według ówczesnych norm było to poważną obrażą, toteż natychmiast wyzwało ją na pojedynki aż trzech dżentelmenów. Wyszła z nimi na zewnątrz, pokonała ich

wszystkich po kolei, a potem, gdy krwawili sobie na ulicy, wróciła do środka i znów pocałowała tę dziewczynę.

Teraz nie to już wpędziło ją w tarapaty, ale to, że publicznie złamała królewski zakaz pojedynkowania się w obrębie granic Paryża. Musiała więc na jakiś czas wyjechać z kraju. Ukryła się w Brukseli, tam także śpiewała w operze i romansowała, a potem wróciła do Francji i śpiewała w Operze Paryskiej aż do tysiąc siedemset piątego roku. Ostatni romans miała z kobietą, która zmarła bardzo nie w porę. Mademoiselle Maupin bardzo przeżyła jej śmierć i zupełnie zrezygnowała ze śpiewania w operze. Wstąpiła do klasztoru i zmarła kilka lat później, mając zaledwie trzydzieści trzy lata. Jej życie było krótkie, awanturnicze, ale pełne namiętności. Za nic miała tradycyjne role przypisane płciom. Całowała się i walczyła, z kim chciała. Pięknie śpiewała, a kiedy było trzeba, kradła trupy. Taka była Julie d'Aubigny, znana jako Mademoiselle Maupin.

<Ja cię nie mogę, Atticusie. Co za kobieta! Poznałeś ją?>.

– Nie osobiście, ale widziałem ją w *Tankredzie* w Operze Paryskiej w tysiąc siedemset drugim.

<I jak?>.

– Była rzeczywiście niesamowita. I ty też jesteś niesamowity. Już prawie zmyłem z ciebie całe to paskudztwo. Jak się czujesz?

<Coś mnie kłuje nad przednią łapą>.

Przyjrzałem się uważnie, rozdzielając palcami futro. Znalazłem płytkie zadrapanie po odłamku kości. Główne uderzenie skupiło się na szczęście na mnie, jednak nie zdołałem w pełni zasłonić Oberona. Wokół zadrapania widać było żółtą plamę, co oznaczało, że dostał w to miejsce ichorem i trochę już przeciekło do rany. Będę musiał go bezpośrednio uleczyć, bo inaczej będzie tylko gorzej. Zatrucie ichorem przebiega trochę jak rak, w tym sensie, że obraca ciało śmiertelnika przeciwko jemu samemu i nawet małe ilości trucizny z czasem mogą doprowadzić do śmierci. Z tego, co wiem, nie ma na coś takiego żadnego ziołowego lekarstwa, będę więc musiał rozbić truciznę na nieszkodliwe składniki, tak jak zrobiłem to w swoim ciele.

– Dobra, masz tu zadrapanie. Nie otrząsaj się teraz, nie mów ani w ogóle nic. Muszę się skupić. Ale daj mi znać, kiedy przestanie kłuć.

Bezpośrednie leczenie innej istoty poprzez stary myk z kładzeniem na nią rąk jest o wiele trudniejsze, niżby się zdawało. Zasada Hipokratesa „po pierwsze nie

szkodzić” jest szczególnie istotna, gdy w grę wchodzi energia Gai, ponieważ dość zdecydowanie zabrania ona używania magii ziemi do bezpośredniego szkodenia jakiegokolwiek żywej istocie. Na szczęście ustalenie, co nie jest Oberonem i ewidentnie go atakuje, nie było takie trudne – wymagało tylko odrobiny cierpliwości i skupienia. Okazało się, że ma w ciele jedynie kilka miligramów ichoru, ilość, która nie mogła wywołać szoku czy drgawek, ale wystarczyła, by zakończyć jego życie, jeśliby się jej teraz nie powstrzymało. Rozplotłem łańcuchy cząsteczek ichoru i w ciele Oberona zostało tylko trochę różnych białek, które z czasem organizm sam wypłucze, a resztę splotłem w nieszkodliwe substancje. Nim skończyłem, Oberon cały drżał.

<Już mnie nie kłuje, Atticusie, ale zimno mi i mokro>.

– Dobra, stary. Przepraszam, że to tyle trwało. Możesz teraz się otrzepać i poturlać na ręczniku. Musimy się zamienić miejscami, bo też się powinienem umyć.

Gdy już wyszorowałem się kilkakrotnie i cały śmierdziałem ekscytującym aromatem peelingu, wyłoniliśmy się z łazienki wilgotni, lecz nieskazitelnie czysti. Pożyczyłem telefon od Tya, żeby zadzwonić do Hala Hauka i powiedzieć mu, że moja tożsamość Seana Flanagana przepadła na zawsze.

– Potrzebowałbym nowych dokumentów – podsumowałem.

– A ja bym potrzebował kasy, żeby ci je załatwić. Nie stać cię już na takie wybryki – stwierdził. – Odkąd Drasche dorwał się do twoich finansów poprzez Kodiaka Blacka, twoje konta wysychają szybciej niż pustynie wyżynne. Będiesz mi winien kupę kasy.

– Rozumiem. Nie ma sprawy, Hal. To ta wojna z wampirami. Wysysa ze mnie całą energię. Ha, ha, ha.

– Bogowie. – Hal miał bardzo zmęczony głos. – Za ten błyskotliwy dowcip skazuję cię na trzy stulecia paki.

– Jesteś najlepszym prawnikiem na świecie.

– Jasne, jasne.

– A jak tam Oregon? – Kodiak Black nie zarządzał na szczęście całym moim majątkiem, a ta część, która się uratowała, poszła właśnie na nieruchomości w Willamette National Forest. Taki właśnie był cel posiadania różnych kont, żeby w razie wpadki mieć z czego zapłacić za kolejną kryjówkę. Nie mogłem po prostu przeprowadzić się do innego swojego domu. Musiałem każdy kolejny zostawić na

zawsze wraz z tożsamością i uciekać. A to kosztowało. Ale gdy już będziemy mieć nową bezpieczną kryjówkę, nie będę musiał nikogo prosić o pomoc.

– Wszystko już prawie skończone. Daj mi jeszcze kilka dni. Dokumenty przywiozę ci do Flagstaffu, jak już będą gotowe.

– Dzięki, Hal.

Rozłączyłem się i odwróciwszy się, zobaczyłem Sama i Tya, którzy stali ze skrzyżowanymi rękami i groźnymi spojrzeniami.

– Co takiego znowu zrobiłem?

– Powiedz – odezwał się Sam – resztki którego to Olimpijczyka właśnie splukałeś do naszej kanalizacji?

– Diany, bo co?

Brwi Sama uniosły się niebezpiecznie.

– Łowczyni Diany? Jest na twoim tropie? Tropie, który prowadzi prościutko pod nasze drzwi?

– Mam wielką nadzieję, że nie. Jowisz powiedział, że panuje nad sytuacją.

– Jowisz nie panuje nawet nad swoim interesem – zauważył Ty. – Skąd pomyśł, że nagle będzie potrafił okiełznać Dianę?

Właściwie wypowiedział na głos moje własne niepokoje, ale nie chciałem się do tego przyznać.

– Słuchajcie, chłopaki, zaraz stąd znikam. Mam ważne rendez-vous z Brigid w jednej z nordyckich krain. Jeśli Diana się tu pojawi, w co wątpię, powiedzcie jej po prostu, że jestem w Svartálfheimie.

Samowi szczęka opadła.

– Naprawdę wybierasz się z wizytą do mrocznych elfów?

– Albo tam pójdę, albo rozgniewam Morrigan. A naprawdę nie chcę wkurzyć Szafarki Śmierci. Ale nie mogę zabrać ze sobą Oberona. To zbyt niebezpieczne. – Złożyłem dłonie i spojrzałem na nich tak błagalnie, jak tylko potrafiłem.

<Hej, co jest? Chwila! Chcesz mnie tu zostawić?>.

Nie mam wyjścia. Svartálfheim to nie jest kraj dla psów. W sumie to nie jest też kraj dla druidów.

Sam pokręcił głową, a Ty westchnął.

– Owen ma rację, ty to naprawdę jesteś gorszy niż wrzód na dupie.

– Wymyślę coś, żeby wam to jakoś wynagrodzić – obiecałem.

– O nie. To my wymyślimy, jak masz to nam wynagrodzić – zareplikował Ty.

– Z całego serca wam dziękuję, że się nim zaopiekujecie. Muszę was tylko ostrzec, że po historii, jaką mu opowiedziałem w kąpieli, Oberon może się rzucić z amorami na wasze nogi, a potem wyzwąć was na pojedynek. Albo odwrotnie.

Rozdział 11

Miałem niby kilka dni, żeby się przygotować, ale i tak dłonie mi się pocą na widok zbliżających się do naszego domu rodzin. Mam nadzieję, że wyglądam w ich oczach na osobę kompetentną, a nie na jakiegoś wariata i pierdołę. Jestem w szlafroku, bo zamierzam zmieniać postacie, więc zimno mi w bose stopy, a za gorąco w resztę ciała. Sam i Greta zbliżają się razem z grupą. Uśmiechają się, wyraźnie cieszy ich to, co zaraz tu rozpoczniemy, ale rodziny i dzieci wyglądają na równie spięte jak ja. A może to tylko zmęczenie. Przyjechali tu z daleka, decyzje zapadały szybko.

Żadne z nich nie ma nawet mgliście irlandzkich rysów i to jest właśnie piękne. Słowo daję, wspaniale będzie mieć druidów z całej Gai. W ten sposób każdy z nich będzie miał inny kawał ziemi najbliższy sercu. To właśnie powinniśmy byli zrobić w starych czasach, gdybyśmy mieli łeb na karku, ale zamiast starać się szerzyć druidyzm na całym świecie, łudziliśmy się, że po prostu sam się rozprzestrzeni poza Irlandię. Nigdy nie dotarł dalej niż na kontynent europejski. Tego błędu nie należy powtarzać.

Stoję spory kawałek od domu, na łące trawy zasypiają już na zimę. Za mną rosną wysokie sosny, które ciągną się aż do gór. Powietrze jest rześkie. To dobre miejsce na założenie gaju.

Greta przedstawia mnie im wszystkim. Kiwam głową i mówię:

– Witajcie.

Odpowiadają mi skinieniami i nieśmiałymi uśmiechami. Potem przedstawiają mi się wszyscy po kolei.

Najpierw małżeństwo z dziewczynką z jakiegoś miejsca, które zwie się ponoć Mongolia. Mają ze sobą tłumacza, bo dopiero uczą się angielskiego, ale Greta zapewnia mnie, że tłumacz też należy do watahy. Proste ciemne włosy, wysokie kości policzkowe, złotobrązowa skóra. Ojciec, Nergüi, właśnie dołączył do watahy. Jego żona ma na imię Oyuunchimeg, ale chce, żeby w Stanach mówić na nią Meg. Ich siedmioletnia córka ma na imię Enkhtuya. Rodzicom wystarczy skiniecie głową, ale przy dziewczynce przykucam, żeby nie wydawało jej się, że jestem wielki i straszny. Uśmiecham się do niej szeroko. Prosi, żebym mówił na nią Tuya.

– Bardzo miło mi cię poznać, Tuyu – zapewniam ją, a ona przekazuje mi przez tłumacza grzeczną odpowiedź.

Potem rodzina z Peru. Oboje rodzice, Diego i Rafaela, dołączyli właśnie do stada i bardzo martwią się o syna, Ozcara. Mówią po angielsku z uroczym akcentem, mają ciepłobrazową skórę i grube czarne brwi. Ozcar jest nieśmiałym chłopcem i odpowiada na moje powitanie dopiero na polecenie rodziców. Jest trochę za mały i za chudy jak na swój wiek, ale nic takiego, na co nie zaradziłyby czas i owsianka.

Mohammed i jego syn Mehdi przybyli do nas z gór Maroka, ze wsi o nazwie Szafszawan, niezła nazwa do wymówienia. Nie ma z nimi matki chłopca, ale nie pytam o to. Być może jest w domu albo gdzie indziej, a jeśli nie, to na takie opowieści przyjdzie jeszcze czas. Ubrani są obaj na biało, Mohammed ma na głowie małą czapkę, która ma chyba jakieś znaczenie religijne. Naprawdę nie ogarniam wszystkich tych religii, których namnożyło się od moich czasów jak mrówek, ale to nieważne. Gai nie trzeba czcić, druidzi więc mogą sobie modlić się, do kogo zechcą.

– Dziękuję ci, że to dla nas robisz – mówi Mohammed. – Naprawdę nie chcę przeżyć syna. Jeśli Mehdi zostanie druidem, może żyć dłużej, tak jak wilki, tak?

– To prawda – odpowiadam, choć nie wyjaśniam mu, że to w sumie nowość, którą zawdzięczamy Siodhachanowi. – Wiem, że nie wyglądam na swój wiek, ale mam dobrze po siedemdziesiątce.

Mohammed składa dłonie razem, pochyla głowę i mówi coś w języku, którego nie rozpoznaję. Domyślam się, że to modlitwa dziękczynna. Pewnie jest z jakiejś religii monoteistycznej.

Religia Sajita natomiast stanowi dla niego poważny problem teraz, gdy jest już wilkołakiem. Jego tłumacz wyjaśnia mi, że Sajit jest hindusem z Nepalu i to się jakoś wiąże z tym, że jest zdecydowanym wegetarianinem, a tymczasem gdy raz na miesiąc dochodzi teraz u niego do transformacji, jego wilk nie pozwala mu przemienić się z powrotem w człowieka, póki nie zje mięsa. Bardzo go to martwi i chce, żeby to było jasne, iż jego córka Amita nie ma być zmuszana do jedzenia mięsa podczas nauki.

– Możecie sobie żreć, co tam chcecie – uspokajam go i wzruszam ramionami. – Nic mi do tego.

Matki Amity też nigdzie nie widzę, a malutka dziewczynka unika mojego wzroku. Jej cera jest jaśniejsza niż u ojca – wpada bardziej w odcień sepii niż ciemny brąz. Widać jednak, że będzie kiedyś tak wysoka jak on.

Luiz jest poważnym sześciolatkiem z Brazylii. Ojca nie widzę. Jego matka, Natália, wita mnie łamaną angielszczyzną. Także mają tłumacza, ale wyraźnie już znają parę słów. Luiz jest szczerbaty, co sprawia, że nie da się go nie lubić.

Ostatnia rodzina to ojciec i córka z Zambii. Mają skórę w głębokim odcieniu umbry, a włosy ścięte blisko skóry. Dziewczynka jest o wiele wyższa od pozostałych dzieci, ale trudno powiedzieć, czy to dlatego, że jest po prostu najstarsza, czy jest wysoka z natury. Jej ojciec, Sonkwe, mówi płynną angielszczyzną, a córka, Thandi, już umie dość sporo. Widzę, że jej oczy chłoną wszystko z uwagą. Obejrzawszy sobie mnie dokładnie, przenosi wzrok na drzewa, a Sonkwe wyjaśnia, dlaczego jest samotnym ojcem.

– Po tym, jak zostałem ugryziony – mówi – moja żona nas zostawiła. Ma mnie za potwora.

Skoro ta kobieta naprawdę tak uważa, to dlaczego zostawiła dziecko z potworem, myślę sobie, ale nic nie mówię. To nie czas na takie pytania.

– Nikt z was nie jest potworem – odpowiadam i daję tłumaczom znak, żeby przełożyli moje słowa. – Jesteście po prostu spleceni z likantropią. Każda magia to rodzaj splotu. Druidzi spleceni są z ziemią. Z Gają. – Po Tui już wstałem, gdy witałem się z kolejnymi dziećmi, ale teraz znów przykucam, żeby maluchy wiedziały, że mówię do nich, a nie do ich rodziców. Podwijam prawy rękaw, żeby pokazać im tatuaże, a potem mówię do nich, starając się patrzeć każdemu po kolei w oczy. – Ten atrament to nie ozdoba. To mój splot z ziemią. Pozwala mi spleść się z czterema postaciami zwierząt i robić różne inne rzeczy. Kiedy już będziecie gotowi, także zostanieie spleceni z ziemią, a wtedy będziecie mogli przemieniać się w cztery różne istoty. Ale przemiany druidów wyglądają inaczej niż u wilkołaków. Są szybsze, bezbolesne i wcale nie musimy tego robić, jeśli nie mamy na to akurat ochoty. Choć myślę, że raczej będziecie ją mieli. Nie chcielibyście umieć latać? – Dzieciaki kiwają głowami, a ja się uśmiecham. – No jasne. Któż by nie chciał? Jedną z waszych postaci będzie jakiś ptak. Zaraz wam pokażę.

Spoglądam na Gretę. Kiwa głową, żebym kontynuował. Mam w pamięci jej wskazówki co do współczesnych kulturowych norm skromności.

– Problem z przemienianiem się jest taki, że nie da się tego robić w ubraniach. W każdym razie jest to wtedy bolesne albo nawet możecie sobie zrobić krzywdę.

Dlatego najlepiej pozbyć się najpierw ciuchów. Nie wstydzcie się własnego ciała. Skoro ciało, w którym się urodziście, jest doskonałe w oczach Gai, to znaczy, że tak jest dobrze i nikomu nic do tego. – Wstaję z kucek i dodaję: – Przemienię się teraz w kanię rudą, żeby wam pokazać, jaki jest cel waszej pracy przez te wszystkie lata. Wszystko, co będziecie robić... nauka języków, ćwiczenia umysłowe i treningi fizyczne... ma was przygotować na tę odpowiedzialność. Ale nie myślcie sobie, że nie będziemy się przy tym też świetnie bawić.

Przechodzę na staroirlandzki i splatam swoją postać z kanią rudą, odwracając się do nich plecami i dopiero wtedy zrzucając szlafrok. Widzą, jak materiał opada, a w tej samej chwili ja kurczę się do rozmiarów drapieżnego ptaka. Piszczę na nich, a oni rozdziawiają buzie w zdumieniu – chyba najbardziej zdumieni są nowi członkowie watahy, bo przecież właśnie przeżyli niedawno bolesną transformację w wilkołaka i w głowie im się nie mieści, że podobny proces może przebiegać tak szybko i gładko. Unoszę się w przestworza i zataczam kilka kółek nad moimi uczniami. Czuję na sobie ich pełen przejęcia wzrok. Ląduję tuż przy szlafroku i od razu przemieniam się w niedźwiedzia. Mruczę do nich przyjaźnie. Są zachwyceni. Zgodnie z planem Greta podchodzi i zarzuca mi szlafrok na plecy. Obracam się w ich stronę i przemieniam z powrotem w człowieka, a szlafrok opada na mnie zgrabnie (to był oczywiście pomysł Grety).

– Nikt się nie obrazi, jak zobaczy kawałek twojego dupska – zapewniła mnie, zanim przyjechali. – Ale naprawdę nie ma potrzeby chwalić się od razu wszystkim, co tam masz, prawda?

Nie rozumiałem, jakie to ma znaczenie, ale dla niej miało, więc zrobiłem, jak kazała.

Dzieciaki tak się rozentuzjasmowały, że nie mogą już teraz ustać w miejscu. Niektóre aż zaczęły podskakiwać i klaskać. Rodzice też są szczęśliwi. Patrzą na swoje pociechy z uśmiechem, bo radość jest zaraźliwa.

– Gaja daje druidom takie postacie, żebyśmy mogli ją lepiej chronić. Naszym głównym zadaniem jest bowiem bronienie ziemi. Czynimy to, dbając o żywiołaki. W zamian one dbają o nas. Kiedy zostaniecie spleceni z ziemią, będziecie mogli rozmawiać z żywiołakami bezpośrednio. Ale już dziś możecie z nimi trochę pogadać. Flagstaff znajduje się na Wyżynie Kolorado, nazywamy więc tego żywiołaka Kolorado. Już dałem mu znać, że będziecie tu dzisiaj. Każdemu z was podaruję zaraz małą kulkę z piaskowca. Proszę jej nie zgubić. Będziecie jej używać

do porozumiewania się z żywiołakiem. Najpierw zdejmijcie buty, żeby ziemia poczuła waszą obecność.

W życiu chyba nie widziałem grupy dzieciaków, które by tak chętnie ściągały buciska. Siadają natychmiast i mocują się z butami. Ich rodzice wybuchają śmiechem. Gdy już maluchy stoją boso i grzebią paluszkami w ziemi, przez tatuaże posyłam do Kolorado wiadomość, że moi nowi uczniowie są gotowi i stoją naprzeciwko mnie. Ziemia przed dziećmi zaczyna pękać i się poruszać, a potem wyłaniają się z niej kulki piaskowca, każda o ciut innym wzorze czerwieni i brązów.

– Dobra. Teraz podnieście te kamienie, zamknijcie je w dłoniach i skupcie się na powitaniu ziemi. Nieważne po jakimu. Odpowiedź nie nadejdzie w żadnym konkretnym języku, ale po prostu ją poczujecie.

Wszystkie dzieciaki schylają się po kamyki, a potem zaciskają powieki ze skupieniem. Muszę przyznać, że są przy tym cholernie urocze. Po jakichś dziesięciu sekundach zaczynają się śmiać i nawet płakać z radości. To znak, że słyszą już w głowach Kolorado, i słowo daję, też mi się jakoś oczy pocą na ten widok. Trudno się nie wzruszyć, gdy sobie człowiek w końcu uświadomi, że nie utknął wcale na tej planecie skazany na tych, którzy chcą go zeżreć albo mu rozkazywać. Jedyne, czego tak naprawdę pragnie ziemia, to naszego dobra, a przy każdym kontakcie z żywiołakiem zalewa cię jej miłość.

Podnoszę wzrok na rodziców i mówię im, że to nam chwilę zajmie, więc mogą nas teraz zostawić.

– Potem będzie czas na wszelkie pytania – zapewniam ich.

Dziękują mi słowem lub gestem i odchodzą wraz z Gretą i Samem, a ja zostaję sam z dziećmi i trójką tłumaczy. Pozwalam dzieciom cieszyć się kontaktem z Kolorado, a gdy ich rodzice znikają mi z oczu, zaczynam wyjaśniać.

– Jak już sami pewnie zauważyliście, Kolorado nie posługuje się językiem. Przesyła wam obrazy i uczucia. Ale zadajcie mu jakieś proste pytanie, a zrozumie, jeśli tylko będziecie myśleć o tym dość intensywnie. Poproście je na przykład, żeby wam pokazało, jakie miejsca i istoty kocha najbardziej, to sami zobaczycie.

Niektóre maluchy tak mocno usiłują się skupić, że aż szepczą pytanie z przejęciem, ale po chwili, gdy Kolorado zaczyna odpowiadać, ich miny z zachwyconych przechodzą w zdumione, a potem twarze rozjaśniają się w szerokich uśmiechach, gdy w ich głowach pojawiają się obrazy. Cokolwiek tam widzą,

wszystko jest dla nich nowe, tym bardziej że pochodzą przecież z innych części świata i nie znają pewnie roślinności i zwierząt z okolicy.

Daję im kilka minut, a potem dziękuję Kolorado i proszę, żeby przestało.

– Dobra, teraz powiedzcie mi, coście widzieli. Tuya, ty pierwsza.

Jedno po drugim opowiadają mi po kolei o węzach, jaszczurkach i skorpionach, o mulakach i pstrągach, o niebieskozielonych wodach wodospadów Havasupai w Wielkim Kanionie, o piaskowcach Nawahów i kanionach zalewanych rwącymi potokami. Ostatnia jest Thandi i zaczyna mi opowiadać o kojotach, ale nagle przerywa, wzrok przesuwając z mojej twarzy na coś za moimi plecami, wskazuje palcem i piszczy:

– Wielki brzydal!

Przez sekundę łudzę się, że to żart. Że gdy się obróczę, dzieciaki rozchichoczą się zadowolone, że im się udał psikus. Ale dziewczynka nie żartuje. To, co wyłoniło się właśnie spomiędzy sosen i zmierza w naszą stronę, jest jak chodząca definicja słów „wielki brzydal”. To ten cholerny troll bagienny, co to sobie ubzdurał, że mu wiszę złoto.

– O Boże! – wyrywa się jednemu z tłumaczy.

– Wszyscy pędem do domu! – zarządzam. – Znajdźcie Gretę i swoich rodziców i powiedzcie im, że wpadł do nas z wizytą troll. Już was tu nie ma, sio!

Tłumacze zaganiają dzieciaki, które pędzą w stronę domu na swoich małych dziecięcych nóżkach, buty zostawiając za sobą. Mam dość ponurą minę, gdy ruszam na spotkanie z trollem. Wali w moją stronę wielkimi, ciężkimi krokami i wyraźnie nadal nie wygłówkował, jak zakryć to, co mu tam dynda między nogami. Za to udało mu się bez trudu wykombinować, jak mnie znaleźć i jak się tu dostać bez przechodzenia przez jedną ze Starych Dróg, a byłem przecież pewien, że to zdecydowanie przekracza jego możliwości. I zapewne przekracza. Pewnie udało mu się tylko znaleźć kogoś, kto mu pomógł. I drań wyrwał do tego młodą topolę, żeby mnie nią obić. Dobra, zobaczymy jeszcze kto kogo.

Wyciągam kastety z kieszeni szlafroka, wkładam je i idąc w jego stronę, naładuję je energią. Jednocześnie szepczę sploty zwiększające moją siłę i prędkość. Najchętniej po prostu bym go zmiotł z powierzchni ziemi, ale muszę się najpierw dowiedzieć, skąd się tu w ogóle wziął.

W okolicy jest kilka splecionych drzew – już Siodhachan o to zadbał – co oznacza, że mógł mi go tu przytargać któryś z Tuatha Dé Danann. Bo z pewnością to nie Granuaile i nie Siodhachan. Nie mogła też być to żadna pomniejsza faeria,

bo większość z nich potrzebuje dębu, jesionu i głogu, żeby przechodzić na ziemię, zwłaszcza jeśli chcą jeszcze kogoś ze sobą zabrać, a w tej części kraju te rośliny nigdy nie rosną razem. Czyli zostają dwie możliwości: przelazł na ziemię jakaś Starą Drogą w Europie, a potem przeleciał tu w magicznym przebraniu (naprawdę mało prawdopodobne), albo gdzieś w San Francisco Peaks jest jednak jakaś Stara Droga, o której nie wiemy.

Byłem pewien, że po tej stronie globu nie ma żadnych Starych Dróg, ale niewykluczone, że ktoś stworzył właśnie nową.

Aż się wzdrygam w panice na tę myśl i odzywam do trolla cały w uśmiechach:

– Witaj, synek, witaj. W jakim zdrowiu była Fand, jakeś się z nią ostatnio widział?

– Cała i zdrowa – odpowiada bezmyślnie, bo takie są właśnietrolle.

– To dobrze, to dobrze. Bardzo ci pomogła, co? Powiedziała ci, gdzie mnie znaleźć, i załatwiła ci ścieżkę. Kochana kobita.

– Fand jest kochana, tak.

– I wszystkiego tego dokonała z więzienia! – Z więzienia, powinienem dodać, które wybrałem jej ja i jej matka Flidais. Byłem w tej sprawie wysłannikiem Brighid i miałem upewnić się, że Fand nie da rady uciec, Flidais zaś poszła ze mną, żeby mieć pewność, że jej córka będzie dobrze traktowana, a faerie nie będą miały powodów do zażaleń. – Cóż za potęga!

Paskudna szara gęba trolla wygina się cała od wysiłku, bo myślenie nie należy do jego specjalności.

– Z więzienia? Przecież ona nie jest w więzieniu.

Już się nie wzdrygam w panice – po prostu moje jelita rozplývają się z histerycznego przerażenia, bo troll właśnie potwierdził moje najgorsze podejrzenia. Fand udało się zwać z paki i teraz pomaga bagiennym trollom polować na druidów, nie mówiąc już o innych shenaniganach, których z pewnością się dopuszcza. Jako że jej ostatnim genialnym pomysłem było rozpętanie wojny w Tír na nÓg, to strach pomyśleć nawet, co też teraz jej strzeliło do łba.

– A! – wołam z uśmiechem. – Oczywiście. Zupełnie zapomniałem. To gdzie ona teraz jest?

– Jest... czekaj. – Ta okropna pomyłka zwana jego twarzą wykrzywia się w podejrzliwym grymasie. – Nie wolno mi powiedzieć.

Cholera. A byłem tak blisko. Przynajmniej i tak dowiedziałem się więcej, niż Fand by chciała.

– Przyszedłem po moje złoto! – ryczy. – Przelazłeś przez mój most i nie zapłaciłeś. Czas oddać mi, co moje.

I wymachuje drzewem w ramach niezbyt subtelnej groźby.

Grecie nigdy nie uda się kupić mi komórki, ale pokazała mi już, jak działa internet, i zapisała mnie nawet do takiego czegoś, co się nazywa Twitter, pod pseudonimem @ArchdruidOwen, żebym mógł zobaczyć, jak ludzie potrafią się ze sobą bawić, mimo że dzielą ich setki czy tysiące kilometrów. I opowiedziała mi o trollach internetowych, które są mniejsze i nie tak niebezpieczne jak te bagienne, ale pewnie cuchną podobnie. Pamiętam, że Greta ma taką zasadę (która zresztą, tak się składa, jest moją zasadą sprzed dwóch tysięcy lat), i na tę myśl uśmiecham się do mojego nieproszonego gościa.

– Przykro mi, synek, ale nigdy nie karmię trolli.

A potem biorę zamach i walę mu prosto między nogi.

Skóra trolli jest generalnie na tyle twarda, że nie potrzebują zbroi, i skóra ich napletka nie stanowi tu wyjątku. Ale moje nowe kastety potrafią kruszyć skałę, pojęcia więc nie mam, co się stanie (tak sobie teraz myślę z perspektywy, że trzeba było użyć połowę tej siły). Jestem wściekły, bo brudas zagraża bezpieczeństwu mojego nowego gaju. Jestem wściekły, bo Fand uciekła. No i wychodzi na to, że złość piękności szkodzi, bo pakuje mnie w najbrzydszy koszmar, jaki można sobie wyobrazić – moja pięść przebija skórę i pędzi dalej.

Utykam po łokieć w gąbczastym kutasie trolla i żadnemu nie jest to na rękę. Drzemy się obydwaj lepiej niż bean sidhe. On się zwija odruchowo, chwytając mnie swoją olbrzymią łapą i wyrывa z opresji, po czym ciska mną dobre dziesięć metrów dalej. Ląduję twarzą w na wpół zakopanym głazie i roztrzaskuję sobie przy okazji lewą łopatkę. Chwila paskudnego bólu w całym ramieniu, a potem już jest zupełnie bez czucia i do niczego się nie nadaje. Przetaczam się na prawy bok w trawę i próbuję unieść, z trudem wstaję, gdy do trolla dociera właśnie, że jednak nie umrze, tylko będzie miał na zawsze już dość dziwny kształt między nogami. Strasznie się o to wścieka i zapomina na śmierć o tym złocie, co to je niby miał mi odebrać. Teraz to już jedyne, co mi chce odebrać, to życie. Najlepiej zdeptać mnie w błocie albo obić po łbie tym drzewem, co je tu przywłókł. Wybiera drugą opcję: z rykiem i drzewem w łapie wali prosto na mnie, choć przez tę wstydliwą ranę raczej się toczy, niż biegnie.

Jeśli kiedyś nastanie dzień, w którym będę gotów biernie czekać na atak, to możecie mnie wtedy uprać w solonym łajnie wieloryba. Szybko wyszeptuję

zaklęcie i przemieniam się w barana. Atakuję go natychmiast. Nawet kulejąc na przednią lewą nogę, jestem o wiele szybszy od niego. Jest praworęczny i będzie chciał się oprzeć na lewej nodze, żeby się zamachnąć. W tę nogę więc celuję, opuszczając łeb i nastawiając pokryte mosiądzem rogi. Próbuje zrobić unik i grzmotnąć mnie swoją osiką, ale nic z tego. Rąbię w jego lewy goleń i nie odłamuję mu całkiem nogi, ale prawie. Słyszę chrzęst gruchotanych kości i odpadam na bok, bo odbija mnie od niego. Pada na ziemię z hukiem i jękiem. Już raczej nie zaatakuje. Z tyłu jego nogi, niczym jakieś upiorne iglice, wystają połamane kości.

Problem w tym, że wykończyć go też nie będzie łatwo, a muszę to zrobić, nie mam wyjścia. Nie da się wpakować facetowi pięści między nogi, a potem oczekiwać, że ci wybaczy i zapomni o sprawie. Przychodząc tu po swoje złoto, zdecydowanie przesadził, a i ja przesadziłem w odpowiedzi na jego prośbę. Teraz to już walka na śmierć i życie i żadnemu z nas nie będzie łatwo jej przetrwać.

Gdybym mu się wpakował na plecy, mógłby się przetoczyć na bok i mnie zgnieść. Mogę próbować atakować jakieś jego organy, ale przecież jego obie ręce świetnie jeszcze funkcjonują, więc dorwie mnie, nim cokolwiek zrobię. Już mnie szuka i, cholera, gdy ja patrzę na jego głowę, on kopie na oślep prawą nogą – niezły wyczyn, biorąc pod uwagę, że wygina nią ponad lewą i do tego leży twarzą do ziemi. I udaje mu się powalić mnie na ziemię. Ląduję na felernym lewym ramieniu. Kości trą o kości i beczą odruchowo, a to cholernie nieprzyjemny dźwięk. Ta barania postać już na nic mi się tu nie zda, więc przemieniam się w niedźwiedzia, gdy on tymczasem przetacza się na plecy i unosi olbrzymią nogę, żeby mnie nią zmienić w miazgę. Moje lewe ramię nadal oczywiście nie działa, ale liczę na to, że prawe pomoże mi wygrać to starcie. Podbiegam bliżej, unoszę się na tylnych łapach i wbiwszy się w nogę trolla pazurami, rozrywam mu ścięgna z tyłu kostki, zatrzymując ruch nogi. Szarpie nią odruchowo i opuszcza na ziemię dokładnie w miejscu, z którego powinienem był się zmyć. Łydka przyciska mnie niczym wielka maczuga i zaczynam mieć mroczki przed oczami, ale wbijam się dalej pazurami, aż czuję, że ciężar się zmniejsza – przetoczył się, żeby uciec przed bólem. Wstaję niepewnie, zapominam o kontuzji i próbuję przenieść ciężar ciała na przednią lewą łapę, która łamie się pode mną. Gdy znów udaje mi się podnieść, widzę przez mgłę, że troll sięga wielgachnymi palcami po nieszczęsną osikę. W dodatku wiruje jakoś dziwnie po niebie, a tego na pewno przecież nie robi – po prostu musiał mnie

nieźle rąbnąć w łeb. Jestem już jak martwy, bo nie mam sił na unik (nawet gdybym zdołał przewidzieć, skąd nadejdzie cios).

Trzy drzewa unoszą się w powietrzu i wiszą nade mną całą wieczność niczym na Wyspie Czasu, na której spędziłem tyle lat. Potem zaczynają spadać, każde w inną stronę. Słyszę, jak walą – a raczej wali – o ziemię, i pojęcia nie mam, gdzie upadło, tyle że nie na mnie. Za nic nie potrafię skoncentrować wzroku, mrugam rozpaczliwie, żeby jakoś zlokalizować trolla, a gdy go wreszcie znajduję, widzę, że się nie rusza. I jest pod drzewem, co mi się wydaje deczko dziwne. Potem dopiero zauważam poplamioną trawę i ziemię wokół i dociera do mnie, że wykrwawił się na śmierć. Pewnie moje pazury trafiły w kilka tętnic, a do tego miał przecież złamaną nogę i pokiereszowane klejnoty, więc dość szybko tracił juchę.

Przekształcam się z powrotem w człowieka i leżę na prawym boku, żeby moje tatuaże mogły nasiąknąć energią i pomóc mi się leczyć. Ten ruch sprawia, że wszystko znów mi zaczyna wirować przed oczami i rzygam na trawę jak kot. Zaraz potem pojawia się przede mną twarz Grety, a ja potrafię myśleć tylko o tym, że pewnie nadal mam wymiociny na brodzie.

– Owen? Owen! Dzieci powiedziały, że to coś to troll.

– Są bezpieczne?

– Dzieci? Tak. Ale ty nie wyglądasz najlepiej. Ręka ci wyszła ze stawu.

– Serio? To i tak nic w porównaniu z tym, co się dzieje w środku.

– Owen, nie wodzisz za mną wzrokiem. Widzisz mnie w ogóle?

– Ano, wszystkie cztery... nie, widzę was wszystkie pięć.

– Masz wstrząśnienie mózgu.

Nie znam tego słowa, więc jej to mówię wprost.

– Nie wiem, co to znaczy. Mam nadzieję, że mówisz mi, że jestem bardzo przystojny.

– Oczywiście, że jesteście. Ale powiedz, leczysz się już?

– Ano, próbuję.

– To skup się na mózgu. Pewnie właśnie puchnie. I nie zasypiaj.

– Zabawne, że o tym wspomniałaś, bo strasznie jestem akurat śpiący.

– Nie, nie, nie zasypiaj. Mów do mnie. Skąd się tu wziął ten troll?

– Wisiałem mu pieniądze. Ale nie chciał tych kanadyjskich. Pokazałem mu i królową Kanady, i króla, ale nijak ich nie chciał.

– Co? Gadasz od rzeczy.

– To wszystko przez Fand. Uciekła. Jest na wolności. Musimy ją znaleźć.

– Która to Fand?

– To ta, co chce nas wszystkich zabić, bo nie żyjemy w przeszłości.

– Czy to ma coś wspólnego z twoim uczniem? – Jej oczy stają się takie groźnie, gdy tylko wspomina Siodhachana, że myślę sobie, że najchętniej obarczyłaby go winą za wszystko, łącznie z brzydką pogodą.

– Nie, miłości moja, nie tym razem. Tym razem to moja wina. Moja wina, że nie karmiłem trolli. Moja wina, że Fand uciekła i nam go tu wysłała. Przepraszam.

– Niby dlaczego twoja wina, że ona uciekła?

– To ja byłem odpowiedzialny za jej uwięzienie. Nie wiem, jak jej się udało zwać, ale powinienem był temu zapobiec.

– Też coś. Nie znoszę takich „powinienem był”, Owen. Nie da się cofnąć czasu. Można tylko iść naprzód. To jak z twoim ramieniem. Nie da się cofnąć do chwili, gdy mogłeś zapobiec jego zwichnięciu. Ale możesz je wcisnąć z powrotem w staw i mieć nadzieję, że się ładnie zagoi. I to właśnie zamierzam zrobić – mówi, łapiąc mnie tuż nad łokciem.

– Ostrożnie. Pamiętaj, że jestem przystojny i wstrząśnięty mózgiem.

Może i stara się być ostrożna, a może nie. Cholernie boli w każdym razie i wyję odpowiednio do sytuacji. Nie przeprasza mnie, bo tak czasem jest przecież z bólem, że jedyne, co da się zrobić, to zacisnąć zęby i przetrwać.

– Co zrobimy z tym trupem? – pyta. – Nie możemy go tu tak zostawić.

– Poproszę ziemię, żeby go zabrała – wyjaśniam. – Lepiej, żeby dzieciaki nie zobaczyły takiego zmasakrowanego ciała. I żeby nie widziały też mnie w tym stanie. Nie dopuścisz ich do mnie, póki się nie podlecę, miłości moja?

– Jasne, że nie. Zresztą rodzice ich pilnują. Wszyscy są w domu. Z wyjątkiem Mohammeda, który właśnie tu idzie.

Mohammed ma najwyraźniej podobne podejście do przeszłości jak Greta. Nie pyta nawet, co się stało, tylko od razu, co ma robić. Greta prosi go o świeże ubrania dla mnie i trochę wody, a on natychmiast po nie idzie.

Ale nawet wtedy – choć według Grety idzie naprzód – wciąż jednak walczy z przeszłością. Bo ona zawsze się gdzieś tam za nami ciągnie, nie? Jak papier toaletowy przylepiony po wyjściu z kibla do naszego dupska wciąż wskazuje drogę do gigantycznego gówna za nami. I nieważne, że spuściliśmy wodę. I tak wszyscy wiedzą, co tam robiliśmy. Więc jasne, możemy mówić, że co było, to było, a terażniejszość nie ma już żadnego związku z przeszłością; że co sekundę jesteśmy

nową osobą; ale jednak bez sensu jest udawać, że nowa osoba nie powstała z tej starej.

Wiem w każdym razie, że nie dam rady wcisnąć sobie tego kitu. Jasne, pójde naprzód i może nawet uda mi się zapakować Fand z powrotem do więzienia, nim narobi więcej kłopotów, ale nie mogę udawać, że nie jestem przynajmniej częściowo odpowiedzialny za jej ucieczkę.

I nie mogę udawać, że nadal nie rozumiem Siodhachana. Ten synek tkwi po uszy w bagnie gorszym niż to, na którym żył sobie mój troll. I pojęcia nie ma, jak i czy w ogóle uda mu się z niego wydostać. Muszę powiedzieć Brighid, że jej przeciwniczka jest na wolności, i za diabła nie wiem, jak to zrobić, tak żeby nie umrzeć ze wstydu, ale to i tak nic w porównaniu z tym, z czym się boryka mój dawny uczeń.

W ogóle to jak dla mnie czasy były o wiele łatwiejsze, gdy płynęły sobie wolniuteńko i spokojnie na Wyspie Czasu.

Rozdział 12

Ledwo co Fand nasłaa na mnie przecież te mroczne elfy, żeby uratować faerie od Żelaznego Druida. Naprawdę cudem im umknąłem. Gdyby tylko nie polegali tak uparcie na swojej magicznej broni – przed którą na szczęście chroni mnie zimne żelazo – to na pewno już by było po mnie. Były silne, szybkie i w przeciwieństwie do czarnych charakterów z Bonda nieskore do rozmowy. Nieme i niezniszczalne, do złudzenia przypominały te nienazwane potwory, które mieszkały w szafach lub pod łóżkiem, gdy byliśmy mali; dziecięce koszmary z krwi i kości, a właściwie głównie to z dymu.

Nigdy nie byłem w Svartálfheimie, ale teoretycznie wiedziałem, gdzie to jest – Manannán Mac Lir dał mi kiedyś mapę dziewięciu krain, według której wejście znajdowało się w Niflheimie, między rzekami Vir i Ylgr. Mapa nie była jednak zbyt dokładna, a poza tym bardzo wątpiłem, żeby rzeczywiste wejście było tak pięknie oznaczone jak na mapie. A że nie dało się wrzucić Svartálfheimu do GPS-u na komórce, to trochę się martwiłem, że sporo czasu zejdzie nam na samym ustaleniu, jak się tam w ogóle dostać.

Brighid czekała na mnie na Dworze Faerii. Siedziała na tronie odziana do bitwy, obok leżał przerośnięty miecz, z takich, jakie lubią w anime. Tylko że w przeciwieństwie do malutkich bohaterów tych kreskówek ona miała wystarczająco silne mięśnie, żeby wymachiwać tak wielką bronią. Na mnie czekały zbroja i tarcza – stary zestaw Goibhniu, który akurat na mnie pasował, a z pewnością był najwyższej jakości. Sama pomogła mi to włożyć, jako że żaden z jej faerycznych pomocników nie mógłby mnie dotknąć, bo od razu zmieniłby się w popiół. Gdy się z tym zmagaliśmy, zauważyłem, że na zbroi widoczne są jakieś nowe ryty, które ktoś naniósł na stare ozdoby. Widać było, że są świeżo wycięte.

– Czy to jakieś sploty? – spytałem.

– Dodałam je dziś w nocy – wyjaśniła Brighid. – Zabezpieczają przed ogniem. Wiem, że twoja aura chroni cię trochę przed moim płomieniem, ale to by nie obejmowało zbroi ani miecza. Bez sensu byłoby mieć żaroodporną skórę, ale nie zbroję, bobyś się i tak w niej ugotował.

– Chyba się pogubiłem. Zamierzasz mnie podpalić?

– A niby jak się chciałeś dostać do Svartálfheimu? – mruknęła Brighid. – Polecimy tam w płomieniach. Musimy podążać w dół korzeni Yggdrasilu, aż do Niflheimu, a potem jeszcze spory kawałek aż do mrocznych wrót Svartálfheimu.

Bardzo się starałem nie uśmiechać od ucha do ucha. Zawsze chciałem latać jak zmutowany superbohater, a poza tym lot z Brighid z pewnością będzie łatwiejszy niż wyboista jazda z Perunem do Asgardu. Ekscytację spróbowałem zatuszować pytaniem:

– Wiesz, jak się tam dostać?

– Ano. Zbadałam sprawę, gdy tylko Eoghan przekazał mi wiadomość od Morrigan. Wejście jest oczywiście strzeżone.

Obwiązała pochwę i rękojeść Fragaracha wstążką z takimi samymi splotami jak na zbroi i już byliśmy gotowi. Osobno przenieśliśmy się do tego samego miejsca na ziemi – czy też w Midgardzie – tam, gdzie znajdował się splot prowadzący do jednego z głównych korzeni Yggdrasilu. Był to sielski zakątek Szwecji z błękitnym jeziorem, które ongiś Freja zmieniła w portal, gdy musieliśmy dostać się do Helu. Brighid także stworzyła teraz portal tuż przy korzeniu drzewa z Midgardu, splecionego z Yggdrasilem, lecz jej przełaz był znacznie mniejszy.

– Skacz – rozkazała – a ja cię dogonię, jak będziesz spadał. Nie chcę podpalić tego drzewa.

Hopsnąłem więc prosto w przejście; poczułem zdumiewająco zimne powietrze, niebo Midgardu zniknęło i otoczyła mnie szara, posępna mgła Niflheimu. Swobodny spadek wzdłuż korzenia Yggdrasilu trwał może z pięć sekund, po czym otuliło mnie ciepło i jasnopomarańczowe płomienie przesłoniły mi oczy. Po mojej prawej ręce pojawiła się Brighid i pokazała mi, że mam się wyprostować głową do przodu, a gdy to zrobiłem, przekierowała nasz lot, tak że lecieliśmy teraz horyzontalnie jakieś trzysta metrów nad Nidhöggiem, który rozwalił swoje tłuste cielsko i wcinał sobie w najlepsze korzeń Yggdrasilu. Skręciliśmy na zachód i Brighid wskazała mi dwie rzeki spośród wielu wypływających ze źródła Hvergelmir.

– To Vir – powiedziała, wskazując tę na lewo, nad którą unosiła się zasłona z pary. – Graniczy z Muspellheimem. Podążymy wzdłuż niej, potem przy wodospadzie skęcimy na północ, przekroczyliśmy śnieżną równinę i znajdziemy wejście ukryte w lesie na wzgórzu. Wartownicy schowani są wśród drzew.

Skinąłem głową, bo nie chciało mi się przekrzykiwać ognia, i patrzyłem, jak pod nami śmiga mila za milą. Spalone lawą urwiska Muspellheimu przesłaniała

para unosząca się nad rzeką Vir. Miałem cichą nadzieję, że uda nam się przy okazji zobaczyć choć jednego olbrzyma ognia. Ale już po chwili skręciliśmy, by przelecieć nad oceanem śniegu, nieskrzącego wcale w słońcu, ale szarego i mokrego niczym jakiś śluz pod szarym kozuchem chmur. W oddali majaczyło kilka kępek iglastych drzew – z pewnością były to właśnie wzgórza, o których wspominała Brighid – a na wschodzie widniała dziwaczna klucha czerni i błękitu, która jakimś cudem migotała i lśniła w pomyjowatym świetle Niflheimu.

– A to co takiego? – Wskazałem tę kluchę Brighid.

Obróciła się natychmiast, by spojrzeć na to dziwo, ale musiała zmienić kurs, żeby przyjrzeć się z bliska. Minuta lotu wystarczyła, byśmy uświadomili sobie, że wcale nie patrzymy na coś pojedynczego, ale na mnóstwo, tylko bardzo oddalonych obiektów. Była to armia Azów w niebieskiej szklanej zbroi, czyli tak zwani Szklani Rycerze, a towarzyszył im batalion elitarniej piechoty krasnoludów – Czarne Topory. Maszerowali prosto na Svartálfheim. Krasnoludy z pewnością miały na toporach nowe runy, dzięki którym mogły przecinać dymną postać mrocznych elfów, zmuszając je tym samym do przyjęcia powłoki cielesnej. Szklani Rycerze natomiast zakuci byli w zbroje pokryte runami obronnymi, które chroniły ich przed nożami mrocznych elfów, mniej więcej tak jak zimne żelazo w mojej aurze. Dzięki temu mogli spokojnie odczekać, aż mroczne elfy nie zdołają już utrzymać dymnej postaci, a wtedy strzelać w nie strzałkami.

Gdy tylko wyjaśniłem to Brighid, obróciliśmy się i pomknęliśmy przed armią, by ostrzec mroczne elfy.

Wejście do Svartálfheimu nie cieszyło oka misternie zdobionymi kamiennymi wrotami, wielkimi murami, kolumnami, obeliskami czy innymi jakimiś wielgachnymi rzeźbami, które by podbudowywały kulturalne ego mieszkańców tej krainy. Zobaczyliśmy tylko proste drewniane drzwi osadzone w zboczu, choć rzeczywiście mroczne niczym drzewo żelazne czy heban, i do tego strzeżone przez czterech znudzonych wartowników. Były dość duże, by dało się ewentualnie przepchać przez nie rozmaite eleganckie meble, ale jednak daleko im było do wspaniałości.

Trzeba przyznać, że na widok ognistej kuli nadciągającej wprost z nieba wartownicy odzyskali czujność. Gdy tylko wylądowaliśmy, rozplłynęli się w czarny dym. Śnieg pod naszymi nogami stopniał w kałużę.

– Stać! – przemówiła Brighid po staronordycku, wygaszając płomienie. – Jam jest Brighid, Pierwsza wśród Faerii. Przybywam w pokoju. Mam dla was ważne wieści.

Jeden z wartowników ucieleśnił się i przemówił, nie przejmując się, że jest teraz goły, bo ich szaty opadły oczywiście, gdy przemienili się w gaz.

– Twoje odzienie przeczy twoim pokojowym intencjom – przyczepił się za to do kreacji Brighid.

– Moja zbroja i miecz nie są przeciwko wam, ale przeciwko armii Azów i krasnoludów, która nadciąga właśnie pod wasze bramy.

Elf przechylił głowę i spojrzał na nią powątpiewająco.

– Azowie? Tu, w Niflheimie?

– Tak. A my przybyliśmy walczyć po stronie Svartálfarów. Ostrzeż, proszę, kogo trzeba, i albo wpuść nas, albo proś ich, żeby wyszli tu do nas.

Pozostali trzej Svartálfarowie ucieleśnili się na moment, a ten, z którym rozmawiała Brighid, kazał jednemu z nich pobiec po pomoc. Facet rozpląnął się natychmiast i w postaci dymu przemknął przez szparę w drzwiach, tak więc nie musiał ich otwierać przed nami. Pozostali strażnicy milczeli, wiedząc dobrze, że nie do nich należy wypytywanie nas o szczegóły. Stawili nam czoło, wysłali wiadomość do swoich przywódców, a teraz pozostawało im tylko obserwować nas w milczeniu, jak to zwykli czynić zawodowi zabójcy czekający na dalsze rozkazy.

Wylazłem z kałuży stopionego śniegu na jakiś pewniejszy grunt i obejrzałem się na wschód, żeby sprawdzić, czy na horyzoncie widać już nadciągającą armię. Ciut ciemniejsza smuga mogła być właśnie tym, ale i mogła tym nie być. Niflheim może się w ogóle poszczycić krajobrazem złożonym z ciemnych smug.

Brighid także wyszła z kałuży, żeby jej stopy nie zamarzły. W końcu zza drzwi dobiegł nas stłumiony głos pytający, czy droga wolna. Jeden z wartowników odpowiedział czymś, co musiało być zakodowanym hasłem; drzwi się otworzyły i wyłoniło się pięcioro elfów ubranych w identyczne lśniące białe szaty związane pasami o różnych kolorach. Na czołach mieli diademy ozdobione kamieniem kolorystycznie harmonizującym z pasem. Domyśliłem się, że reprezentują gildie albo jakąś strukturę rządową, choć nie pamiętałem, żeby ktoś mi o czymś takim wspominał. Pewnie wynikało to stąd, że nie było na świecie zbyt wielu osób, które odwiedziły Svartálfheim i przeżyły, żeby o tym opowiedzieć.

Przewodząca im kobieta powiedziała, że nazywa się Turid Einarsdottir. Miała niebieski kamień i pas. Przedstawiała wszystkich, nie podając ich tytułów. Moją uwagę zwróciło jednak jedno nazwisko: Krókr Hrafnson.

– Krókr? – upewniłem się. – Przywódca zabójców?

Miał czarny pas i kawałek oszlifowanego obsydianu w diademie. Zamarł, jakby oczekiwał, że rzucę się na niego, ale odpowiedział:

– Tak. A ty kim jesteś?

– Jestem tym druidem, do którego zabicia najęła was Fand z Tuatha Dé Danann. Twój zabójca nie wrócił, co?

Minę miał coraz groźniejszą. Pokręcił tylko głową.

– Widzisz, to nie ja sam jestem odpowiedzialny za ich śmierć. Większość została pokonana przez Azów i jednego krasnoluda Runeskalda. Tenże Runeskald wykombinował, jak chronić się przed waszymi czarnymi nożami i jak zadawać wam rany, nawet gdy jesteście w swojej dymnej postaci, w taki sposób, by już potem nic nie chroniło was przed śmiertelnym ciosem.

Mroczne elfy prychnęły na to jak jeden mąż.

– To niemożliwe – rzekł Krókr.

– Widziałem to na własne oczy. Stawił się do walki z kilkoma toporami zdobionymi różnymi runami i ruszył prosto na twoich ludzi. Próbowali przebić jego zbroję, ale nie dawali rady. On tymczasem testował topór za toporem. Chyba czwarty zadziałał. Przebił się przez dym, a wtedy Svartálf ucieleśnił się z płytką raną w piersi. Nie potrafił już się przemienić z powrotem w dym i krasnolud wykończył go bez trudu.

– A teraz mają całą armię w takich zbrojach – dodała Brighid. – I z pewnością z taką samą bronią zaprojektowaną z myślą o zniszczeniu was. Nadciągają tu właśnie w tym celu.

– Dlaczego? – spytała Turid. – Nic im przecież nie zrobiliśmy.

– Nie chodzi o to, co zrobiliście. Boją się tego, co zrobicie. Są przekonani, że staniecie przeciwko nim, gdy nadejdzie Ragnarök, toteż wolą już walczyć z wami dziś, gdy mają jakąś przewagę, niż gdy będą osaczeni ze wszystkich stron.

– Nie mamy żadnych planów na Ragnarök. Poza tym oczywiście, żeby spróbować przetrwać – zaproponowała przywódczyni mrocznych elfów.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jesteście neutralni? Azowie tak tego nie postrzegają. Uważają, że kto nie jest z nimi, jest przeciwko nim. Czyli popiera Hel i Lokiego.

– Co za ograniczone myślenie. Czy to się dzieje za aprobatą Odyna?

– Nie mamy pewności, ponieważ nie rozmawialiśmy z nim – odparła dyplomatycznie Brighid. – Ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby był zupełnie nieświadomy tej sytuacji. Samo to, że zebrano tak potężne siły, sugerowałoby, że Odyn popiera te działania.

– Gdzie znajdują się teraz te siły? – spytał Krókr.

Wskazałem za siebie.

– Widzisz tę smugę na horyzoncie?

Hrafnson zmrużył oczy, po czym wysłał kilku strażników na zwiady, nakazując im stanowczo trzymać się z dala od armii i nie atakować.

– Załóżmy, że to rzeczywiście armia, o której mówicie, ale dlaczego przybyliście nas ostrzec? – zwróciła się Turid do bogini, gdy strażnicy zniknęli. – Nigdy przedtem nie mogliśmy przecież liczyć na żadną życzliwość ze strony Tuatha Dé Danann.

– To prawda. Dziś także nie zjawiłam się tu z życzliwości – odrzekła Brighid. – Jestem tu, bo przysięgłam chronić Gaję, a poniesie ona wielką szkodę, jeśli podczas Ragnaröku Svartálfarowie pozostaną neutralni lub postanowią walczyć po mrocznej stronie.

Svartálfarowie popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami, nie dając Turid żadnej rady, sama więc musiała odpowiedzieć.

– Wygląda na to, że wiesz na temat przyszłości znacznie więcej niż my. Dlaczego jesteśmy aż tacy ważni?

– Tego nie wiem. Wiem jedynie, że jedna z naszych najlepszych wieszczek, Morrigan, orzekła, iż musicie stanąć po stronie Azów, jeśli Gaja ma mieć jakiegokolwiek szanse przetrwania.

Turid uniosła brwi i zacisnęła usta.

– Cóż nas obchodzi, czy Midgard przetrwa czy nie?

– Nie mówię tu o Midgardzie. Mówię o Gai, do której zakotwiczony jest Yggdrasil i dziewięć krain, tak samo zresztą jak wszystkie inne krainy wyśnione w umysłach ludzi. Jeśli Gaja ulegnie zniszczeniu, razem z nią padnie dziewięć krain. Zapewnienie Gai przetrwania leży w interesie nas wszystkich.

– Czyli mamy dołączyć do Azów, którzy właśnie ciągną tu, żeby nas zabić – prychnął Krókr.

– Otóż to – przytaknąłem. – Nie jest to jednak niemożliwe. To zwykłe nieporozumienie. Wystarczy, że przekonamy ich, iż będziecie walczyć po ich stronie w Ragnaröku, a unikniemy rozlewu krwi.

– Nie chcemy walczyć ani po ich stronie, ani po przeciwnej – oznajmiła Turid.
– W ogóle nie zamierzamy brać udziału w Ragnaröku.

– To skłamię – poradziłem w desperacji. – Być może w ten sposób uratujecie swoich ludzi. Bo naprawdę widziałem tę broń w akcji. Ta część armii Azów nazywa się Szklanymi Rycerzami. Opracowali system wystrzeliwania pocisków strzałkowych co sekundę, tak że w końcu trafiają was w cielesnej postaci. A do tego ich runy chronią ich przed waszym orężem. Czarne Topory natomiast poćwiartują was jak byle mięso, gdy już będziecie ucieleśnieni. Tak właśnie skończyli wasi zabójcy i tak skończy cała wasza populacja, jeśli nie dacie im powodu, by zaniechali swoich planów.

– Nie rozumiem, jak mielibyśmy na tym etapie zmienić decyzję Odyna.

– Odynem będziecie się mogli martwić potem. Na razie chodzi tylko o to, żeby zapobiec wycięciu was w pień. Zrobią wszystko, by nie dopuścić do *Sigr af Reykr*, Zwycięstwa Dymu. Ale wystarczy jakakolwiek zmiana taktyki, a polegną – powiedziałem. – Wybierzcie konwencjonalną broń. Wystawcie do walki łuczników. Od zwykłych strzał będą padać jak muchy.

– A płomienie spalą ich bez trudu – dodała Brighid, bawiąc się kulą ognia w dłoni.

– Dobrze – rzekł Krókr. – Skoro tak bardzo chcecie pomóc, zatrzymajcie ich, ile się da, a my zbierzemy siły za bramami.

Pozostałe elfy spojrzały na Krókra ze zdumieniem, ale nikt nie ośmielił się podważyć jego decyzji.

– Mielіśmy raczej nadzieję, że będziemy walczyć z wami, a nie za was – burknęła Brighid.

– Wszystko mi jedno, czy będziecie walczyć czy nie. Równie dobrze możecie tam sobie przed nimi tańczyć, śpiewać lub stepować. Dajcie nam tylko jak najwięcej czasu, żebyśmy przygotowali się do walki.

Jego apodyktyczny ton był moim zdaniem niemal gwarancją, że skończą jako pieczeń. Żeby wydawać rozkazy Brighid, trzeba być naprawdę niezwykle pewnym siebie... albo po prostu głupim.

Brighid jednak nie odpowiedziała mu ani nie spaliła go na miejscu za bezczelność.

– Czy w tej sprawie Hrafnson przemówił w imieniu was wszystkich? – zwróciła się do pozostałych przywódców Svartálfarów.

Milczeli chwilę, popatrując po sobie, po czym Turid powiedziała:

– Tak. Postaramy się przygotować do walki i będziemy wam wdzięczni za każdą minutę, jaką zyskacie.

– Niewiarygodne – wyszeptałem, gdy wraz ze strażnikami zniknęli za bramą.

Brighid rozdziawiła usta, gdy brama zatrzasnęła nam się przed nosem, zostawiając nas na pastwę zbliżającej się armii. Zwiadowca, który popędził przed chwilą na przespiegi, teraz minął nas jako dym i nie raczył podzielić się z nami swoimi informacjami, tylko od razu przemknął się przez szpary w drzwiach, żeby złożyć raport przełożonym.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego mroczne elfy nie mają zbyt wielu sprzymierzeńców – stwierdziła Brighid.

– No. – Pokiwałem głową i obróciłem się. Smuga na horyzoncie stawała się coraz wyraźniejsza. – Idziemy im na spotkanie czy czekamy tutaj?

– Chodźmy. A raczej lećmy. Gotowy?

– Już bardziej gotowy pewnie dzisiaj nie będę.

Domyślałam się, że w oczach Azów wyglądaliśmy zupełnie niczym wściekły Loki nadciągający w kuli ognia – wnioskuje to po uldze malującej się na ich twarzach, gdy wylądowaliśmy przed nimi i ukazaliśmy nasze postacie. Tylko że tak na mój rozum to nie powinni byli odczuwać takiej ulgi na widok Brighid.

Na przedzie armii kroczył dumnie rudobrody Runeskald, Fjalar. Ponieważ byliśmy w zbroi, nie poznał nas, poza tym, że zdekodował nas jako kogoś, kto nie jest Lokim. Właśnie na zbroi skupił wzrok, usiłując rozszyfrować funkcję zdobień, a na twarze w ogóle nie spojrzał. Sploty Brighid nie przypominały run, jedyne więc, czego się dowiedział, to że nie jesteśmy z nordyckiej krainy. Zatrzymał armię i zdjął topór z ramienia, trzymając go oburącz.

– Kim jesteście? – spytał i trochę byłem rozczarowany, że rzucił to tak bez żadnych epickich ozdobników, które by nadały chwili odpowiednią wagę. Liczyłem na jakieś „zaprawdę” albo chociaż „zaiste”.

Obydwoje mieliśmy zamknięte przyłbice, z jego perspektywy więc byliśmy tylko anonimowymi uzbrojonymi wojownikami. Ponieważ Brighid miała schowane włosy, a do tego nie bawiła się w żadne takie bzdety jak piersi wykute w zbroi, jakie widuje się w grach wideo, biedny krasnolud z pewnością nie miał nawet pojęcia, że stoi przed nim kobieta, i to jeszcze boska.

Ona tymczasem skinęła na mnie, bym odpowiedział.

– Znasz mnie, Fjalarze. Jestem Atticus O’Sullivan, druid Gai.

– A to kto?

– Ktoś potężniejszy ode mnie.

Spojrzał na Brighid, która jest w sumie wyższa ode mnie. Mógłby w zasadzie domyślić się jej tożsamości, gdyby od razu zaczął kombinować, że to ktoś z irlandzkiego panteonu.

– Co tu robicie?

– Jesteśmy tu, żeby poprosić cię, byś zawrócił. Jakoś nie wydaje mi się, żebyś z tą wielką armią za plecami przybywał w pokojowej misji.

– Nie mogę zawrócić. Mam rozkazy od samego Odyna.

– Z pewnością jednak to ty dowodzisz na polu walki. Uznajmy to za strategiczne wycofanie się wojska. Sytuacja się zmieniła i musisz ją na nowo przeanalizować. Odyn zresztą też.

– Jak niby zmieniła się sytuacja?

– Mroczne elfy znajdują się pod moją opieką. Oraz opieką Tuatha Dé Danann.

Fjalar znów przeniósł wzrok na Brighid, usiłując ocenić stopień zagrożenia. Powinno mu było wyjść, że plasuje się on gdzieś na poziomie radioaktywności.

– Dlaczego? Co oni was w ogóle obchodzą?

– Mają prawo żyć do Ragnaröku, jak my wszyscy.

– Ale oni stoją po stronie Lokiego i Hel!

– Twierdzą, że nie są po niczyjej stronie.

– Oczywiście jednak, że tak twierdzą! Lecz skradają się, czają, kryją w mroku, którym sami są zaiste...

– Aha! I już przemawia przez ciebie skald! Wszystko to poetycka bujda, a tak naprawdę chodzi o to, że chcesz tam wejść i wymordować ludzi, tylko dlatego że w bliżej nieokreślonym momencie w przyszłości być może coś uczynią. A poza tym nie podoba ci się ich wygląd. Wracaj do domu i się poważnie nad tym zastanów!

– Skoro Odyn w swej mądrości wierzy, że tak należy uczynić, nie mnie to kwestionować.

– To znaczy, że już w ogóle samodzielnie nie myślisz, tak? No i zakładasz, że Odyn ma wszystkie dane, gdy tymczasem ich nie ma. Czy wy w ogóle próbowaliście rozmawiać ze Svartálfarami?!

– Nie do mnie należy z nimi rozmawiać. Ani słuchać twych słów. Są wszak dwie tylko strony: Asgard i oni. Po której stronie stoisz?

– Po pierwsze, taki podział jest gównem warty. A po drugie, już ci przecież powiedziałem, że Svartálfarowie nie stoją wcale bardziej po stronie Hel niż po waszej. Są neutralni, a gdybyście tylko raczyli zatrzymać się na chwilę i z nimi pogadać, oszczędzilibyście życie wielu istotom.

– Spytałem cię, druidzie, po której stronie stoisz.

– Stoję przed tobą i żądam, żebyś zaniechał planowanego ludobójstwa.

Fjalar milczał chwilę i wpatrywał się w szary nieboskłon nad nami.

– Zatem przeciwstawiasz się Odynowi? – Dojrzał, czego szukał, i wskazał mi Hugina i Munina, krążących nad naszymi głowami. Jeszcze przed chwilą ich tam nie było. – On patrzy.

– Niech patrzy i słucha. Przeciwstawię się każdemu, kto będzie próbował popełnić ludobójstwo, choćby samej Brighid.

Szczerze mówiąc, to w ogóle zacząłem mieć wątpliwości co do Odyna. Loki chciał spalić świat, ale Odyn też chciał zniszczyć jego część. Tak, skala była inna, ale założenie to samo – że jacyś ludzie nie mają prawa do życia, tylko dlatego że mu się nie podobają. Co z kolei kazało mi się zastanowić nad moimi własnymi czynami. Czy może wampiry też mają prawo do... hmm, niezycia? Bo też czy moja sytuacja tak znowu bardzo się różniła? No, może w pewnym sensie tak. W końcu Theophilus wysyłał na mnie Wenera Drasche'a i resztę, żeby zabili mnie i moich przyjaciół, i z pewnością znów to zrobi. Uważał po prostu, że powinienem być ostatnią ofiarą ludobójstwa, które on sam przeprowadził kilka stuleci temu, kiedy to rzymskie legiony wykonywały jego rozkazy, mniej więcej tak jak Fjalar i spółka wykonywali teraz Odynowe. Ale jednak moja idea aktywnej samoobrony niepokojąco przypominała strategię Odyna.

– No ja myślę, że powinieneś mi się przeciwstawić w takiej sytuacji – odezwała się nagle Brighid, a jej lewa pięść stanęła w ogniu. To dość skutecznie przykuło uwagę Fjalara, tak zresztą jak i jej potrójny głos, którym potrafiła mówić tylko prawdę i dzięki któremu była dość przekonująca. – Jestem Brighid, Pierwsza wśród Faerii. I ja będę chronić prawa Svartálfarów do istnienia. Wycofajcie się i porozmawiajmy spokojnie, żebyśmy mogli dojść do porozumienia.

– Nie – odparł Fjalar. – Nie docenicie woli Asgardu. Czas na rozmowy już minął. Musimy szykować się na Ragnarök.

Przechyliłem głowę zdumiony.

– A przepraszam, kiedy właściwie był ten czas na rozmowy? Bo jakoś go chyba przegapiłem. Na moje oko w ogóle nie rozmawialiście ze Svartálfarami.

– Dość już tego! Wtrącacie się w sprawy, które was nie dotyczą. Z drogi!

– Uważaj, Runeskaldzie – ostrzegła go swoim potrójnym głosem Brighid. – Jeśli zrobisz choć jeden krok naprzód, pierwszy zginiesz niepotrzebną śmiercią. Potrafię odczytać te runy i wiem dobrze, że nie chronią cię przed ogniem.

– Jeśli chcesz, możesz wysłać mnie do Walhalli – odparował jej Fjalar. – I tak będę walczył w Ragnaröku.

Wyciągnąłem lewą rękę, żeby go powstrzymać.

– Fjalarze, nie! Zaczekaj...

Runeskald uniósł topór wysoko i krzyknął:

– Azowie! – Opuścił go, wskazał na Brighid i wrzasnął: – Naprzód!

A wtedy bogini ognia podpaliła go niczym zapalkę, tak jak obiecała. Pomyślałem ze smutkiem, że to jakoś już tak jest, że ludzie, którzy wierzą w życie po życiu, strasznie się do niego spieszą, zamiast nacieszyć się najpierw tym, co mają tutaj.

Fjalar ryknął z bólu, a Czarne Topory odpowiedziały podobnym rykiem gniewu, szarżując przez ścianę ognia, którą Brighid oddzieliła ich od nas. W ciągu sekundy ze zorganizowanej armii zmienili się w szaleńczy motłoch i wyraźnie wszystko im było jedno, jak gorąco się zrobiło. Po prostu uparli się, że i tak nas dorwą.

Brighid wyciągnęła swoje wielgachne mieczysko i odepchnęła kilka pierwszych toporów. Mnie także udało się odparować parę Fragarachem, ale nadpływająca fala była zbyt potężna i już trzeci krasnolud, który we mnie nie trafił, kopnął mnie w prawe kolano, pokiereszowane już przez Wenera Drasche'a. Runąłem na ziemię. Topory rąbały w moją zbroję z zacięciem wartym lepszej sprawy. Nie dawały rady jej przebić, ale i tak czułem ich potężne uderzenia po żebrach. Ktoś kopnął mnie w głowę, zadzwoniło mi niczym w dzwonnicy. Dzięki magii Fragaracha udało mi się przynajmniej podciąć temu krasnoludowi nogi, bo ostrze przeszło gładko przez jego zbroję. Potem Brighid pomogła mi, podpalając wszystkich wokół mnie – ból odwrócił ich uwagę od planowanego *coup de grâce*, a ona przedarła się przez nich, chwyciła mnie pod ramię i włączyła swoje silniki odrzutowe. Unieśliśmy się tylko jakieś dziesięć metrów nad ziemię i z tej bezpiecznej wysokości obejrzelśmy się na armię, której pierwsze szeregi nadal stały w ogniu. Większość tarzała się teraz w śniegu, żeby go ugasić. Tylne szeregi

Szklanych Rycerzy wystrzeliły salwę strzałek w naszą stronę. Niektóre poleciały bliżej, inne dalej. Te, które do nas dotarły, odbiły się niewinnie od naszej zbroi.

– Nie jest to moje największe osiągnięcie dyplomatyczne – stwierdziłem.

– Nie będą nas w ogóle słuchać, póki mogą wybrać drogę bohaterskiej walki – odparła.

– Hmm. No tak. To może trzeba by tę drogę im odciąć.

– Nie chcę ich wszystkich podpalać. Stosunki z Odynem i tak mogą być teraz trochę napięte.

– Nie byłyby to najlepszy pomysł, racja. A może unieruchomimy ich, splatając im razem nogi czy coś. Ja się zajmę skórą, a ty szkłem? A potem pogadamy z Huginem i Muninem.

– Podoba mi się ten plan.

– No to strzelamy „makeitsoła” – powiedziałem, starając się naśladować ton sir Patricka Stewarta.

Zaczęliśmy więc wymawiać po staroirlandzku zaklęcia splatające ze sobą odpowiednio kawały skóry lub kawałki szkła. Ja zacząłem od znajdującego się najbliżej mnie strasznie brodatego krasnoluda. Zaklęcie skoncentrowałem na fragmencie skórzanego bezrękawnika, który wystawał mu między segmentami zbroi, i splotłem to z takim samym kawałkiem u następnego krasnoluda w szeregu. Splot przewrócił ich i zbił razem z taką siłą, że runęli w śnieg, klnąc ze zdumienia. Powtórzyłem splot na dwóch kolejnych żołnierzach, tworząc niezbyt przyzwoite zgrupowanie czterech wściekle podskakujących krasnali, którzy szarpali się rozpaczliwie, próbując się jakoś uwolnić. Ten sam proces powtórzyłem na następnych czterech nieszczęśnikach, po czym stwierdziłem, że Brighid robi mniej więcej to samo co ja, tylko znacznie szybciej, bo Szklani Rycerze cali pokryci byli szkłem, gdy tymczasem nie tak łatwo było dojrzeć kawałki skóry wystające spod krasnoludzkich zbroi. Zajęło nam to dobre pół godziny, ale w końcu mieliśmy całą armię w niewielkich pęczkach, które niby mogłyby się poruszać, gdyby współpracowały, ale walczyć to już jednak nie mogły. Poza tym muszę nadmienić, że lwia większość naszych ofiar wpadła w histerię typową raczej dla dwulatków i nie zanosilo się na to, by wkrótce zagościł wśród nich zbawczy duch współpracy.

– A teraz – przemówiła znów Brighid, a jej głos poniósł się po polu tak, jak to się zdarza tylko z głosem bogów poezji – porozmawiajmy, w jaki sposób zdołamy wszyscy wrócić po tym starciu do domu żywi.

Wylądowała nas powoli i majestatycznie na ziemi i naprawdę świetnie by to wypadło, gdyby nie to, że gdy tylko dotknąłem śniegu, moja prawa noga nie utrzymała ciężaru ciała. Nie dość, że ścięgno podkolanowe było już do bani, to jeszcze potrzaskane kolano po prostu odmówiło wszelkiej współpracy. Jak się człowiek przewraca bezwładnie na bok, to jakoś nie wpływa najlepiej na jego image twardziela. Na szczęście Brighid zachowywała się tak władczo, że nadrabiała za nas dwoje.

Jej hełm się odchylił i namierzyła krążące nad nami kruki.

– Huginie i Muninie! Odynie! Słuchajcie dobrze, albowiem powiem prawdę. – Jej głos stał się znów potrójnie potężny. – Nie mamy żadnych złych zamiarów wobec Asgardu i żałujemy bardzo ran i poległych. Nasze działania miały na celu zapobiec wojnie i ratować życie, a nie je odbierać. Chcemy, by Svartálfarowie sprzymierzyli się z nami przeciwko Lokiemu i Hel w dniu, gdy nastąpi Ragnarök. Jesteśmy przekonani, że jeśli tylko z pozycji neutralnej przejdą na naszą stronę, odegrają rolę pierwszoplanową. Nakłonienie ich do przyłączenia się do nas nie będzie łatwe, wierzymy jednak, że warto podjąć to wyzwanie, by zarówno oni, jak i Azowie mogli nadal żyć w spokoju i dostatku.

Na to poleciało w jej stronę parę epitetów, ale zignorowała je.

– Wyślijcie nieuzbrojonych posłów, by negocjować w dobrej wierze. Gwarantuję bezpieczeństwo obu stronom. Wasza armia pozostanie tu, póki nie usłyszę waszej odpowiedzi. Obiecuję, że zostaną uwolnieni, by móc w spokoju wrócić do Asgardu, ale najpierw chcę zobaczyć waszych posłów. To wszystko.

Hugin i Munin zakrakali i zataczając koła, zniknęli w chmurach, by przez korzeń Yggdrasilu wrócić do Odyna.

Brighid przyjrzała się uważnie armii, żeby namierzyć ewentualne zagrożenie, ale ujrzała tylko posplatanych żołnierzy, którzy tkwili w śniegu i ziali nienawiścią. Usatysfakcjonowana tym widokiem skinęła głową i zwróciła się do mnie.

– Jak się czujesz, druidzie?

– Noga jest w sumie do niczego, ale jeszcze chwila, a będę mógł przynajmniej kuśtykać. Pracuję nad tym. Czy Fjalar zupełnie nie żyje, czy jeszcze możemy go uratować?

Spojrzała na zwęglone resztki tych, których spaliła. Czułem swąd pieczonego mięsa i widziałem, że wciąż nad ciałami unosi się dym, ale mimo to miałem nadzieję, że może Fjalar jest tylko nieprzytomny. Brighid przyglądała się mu kilka sekund, po czym pokręciła głową.

– Ogień nie zna litości, a ja użyłam pełnej mocy.

– Aha.

Żal mi go było. Gdyby tylko wykazał się odrobiną rozsądku... Zapadło między nami milczenie przerywane jedynie skrzypieniem śniegu pod wiercącymi się ciałami i przekleństwami mamrotanymi we wszystkich chyba szeregach.

– Może powinniśmy wpaść z wizytą do Svartálfarów, skoro i tak czekamy? – zaproponowałem po chwili. – Głupio tak jakoś siedzieć przed tym wojskiem.

– Niech i tak będzie.

Poleciliśmy więc z powrotem pod mroczne wrota Svartálfheimu i krzyknęliśmy im, że mamy dobre wieści – armia została zatrzymana i wkrótce przybędą posłowie na rozmowy.

– Nikt już nie musi dziś ginąć – oznajmiła Brighid. – Możemy rozmawiać w pokoju i budować trwałe porozumienie.

Pozwoliła mi stać za swoim prawym ramieniem, dzięki czemu mogłem przenieść ciężar ciała na lewą nogę i ukradkiem opierać się na jej plecach. Po chwili drzwi się otworzyły i wyszli do nas przywódcy Svartálfarów. Tym razem uznali za stosowne pokłonić się lekko Brighid, a ona odpowiedziała tym samym i zdjęła hełm. Gdybym też próbował zdjąć swój, musiałbym przestać się na niej opierać, a wtedy runąłbym jak długi, więc sobie odpuściłem.

Potem to już była czysta poezja. Brighid jest naprawdę mocniejsza w gębie niż ja, więc nim się obejrzałem, mieliśmy rozstawiony przed wejściem pawilon ze stołami i krzesłami, ciepłe napoje i nikt nikogo nie zabijał. Udało mi się sięść, a Brighid stopiła mi trochę śniegu, żebym mógł położyć bosą stopę na ziemi i pobierać energię Gai, dzięki czemu znacznie szybciej zdrowiałem. Brighid wykorzystwała swój słodki niczym miód głos, by przekonać Turid i Krókra, że walka po naszej stronie będzie w dłuższej perspektywie znacznie korzystniejsza dla Svartálfarów niż przeczekanie całego zamieszania (tym bardziej że na logikę zamieszanie to mogło z dużym prawdopodobieństwem stanowić koniec świata, a zatem lepiej by było jednak nie popełnić tu błędu). Zdołała ich nawet kilka razy rozśmieszyć, nim jakąś godzinę później pojawił się wysłannik z Asgardu.

Nie jego oczekiwaliśmy. Nie żebyśmy oczekiwali kogoś konkretnego, tylko że akurat nie jego. Był to mężczyzna ubrany na szaro, z brodą niczym klif nad fiordem i z jednym okiem zasłoniętym. Na jego ramieniu siedziały dwa kruki. Innymi słowy – Odyn we własnej osobie. Wszyscy starali się zachowywać na luzie, ale gdy Odyn dołącza do imprezy, człowiek się odruchowo prostuje przy stole.

Trochę tak, jakbyście siedzieli sobie z kumplami na piwku, a tu się pojawia nagle Neil deGrasse Tyson i wszyscy nie wiadomo czemu chcą od razu mówić o nauce. Sama jego obecność zmienia temat rozmowy. Po obu jego stronach szły mroczne elfy i jeden z nich niósł Gungnira, czyli włócznie boga.

– Przybywam w pokoju – powiedział natychmiast Odyn, wskazując głową strażnika. – Z własnej woli oddałem broń.

Wszyscy się wszystkim grzecznie przedstawili. Gdy przysła kolej na mnie, Odyn zmrużył oko, ale nic nie powiedział. To jednak wystarczyło, by okazać mi swoje niezadowolenie.

– Doskonale – odezwała się Brighid. – Zanim zaczniemy, zadam podstawowe pytanie: czy zgadzamy się wszyscy, że ocalenie świata byłoby lepszym rozwiązaniem niż pozwolić Lokiemu, by spalił Midgard, a wraz z nim dziewięć krain, oraz przejął kontrolę nad Gają?

Wszyscy przytaknęli zgodnie, a Brighid uśmiechnęła się szeroko.

– Doskonale. To ważne fundamenty do budowania porozumienia. Dobrze się też składa, że są tu obecni przywódcy i nie musimy polegać na pośrednikach. Zaczynamy.

Potem nastąpiło kilka dobrych godzin skarg, zażaleń, przeprosin, kłótni, wynagrodzeń oraz co najmniej dwie wyprawy za drzewko, żeby opróżnić pęcherz pełen gorącego korzennego kakao. Wspominam je tylko dlatego, że stanowiły dla mnie nie lada wyzwanie – najpierw musiałem kicać całą drogę, ale już za drugim razem tylko kuśtykałem. W każdym razie ani razu nie zaproszono nas do środka Svartálheimu.

Pod koniec chyba mi się kimnęło (być może ukołysały mnie do snu monotennie spięte głosy negocjujących), bo nagle Brighid wrzasnęła:

– Siodhachan!

– Eee? Cio?

– Skończyliśmy. Musisz mi pomóc rozpleść armię.

– Ach, racja. O kurka, mam nadzieję, że nam tymczasem nie zamarzyli na śmierć. Coś przeoczyłem?

– Pożegnaj się ładnie. Powiem ci po drodze.

Gdy podążaliśmy w stronę wojska, towarzyszył nam Odyn, a Brighid streściła mi ustalenia. Nowe porozumienie między Asgardem a Svartálheimem obejmowało umowy handlowe, wynagrodzenie za poczynione szkody, nowe kanały dyplomatyczne, a do tego jeszcze obietnicę mrocznych elfów, że nie będą odtąd

przyjmować żadnych zleceń, których celem byłoby wyrządzenie krzywdy Granuaile, Owenowi albo mnie.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziałem.

– I będą walczyć z nami podczas Ragnaröku – dodał Odyn. – Czyli mój cel został osiągnięty. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Mało nie ryknąłem z oburzenia, ale udało mi się zastąpić to niezobowiązującym chrząknięciem. A zatem śmierć Fjalara i podpalenie krasnoludów nastąpiły „zgodnie z planem”? A stworzenie zbroi i toporów? Co za ryzykowna zagrywka, szczególnie że oparta na założeniu, iż da się wmanewrować kogoś w zawarcie sojuszu, grożąc mu wycięciem w pień całego narodu.

Nic z tego by się nie udało, gdyby nie zaangażowanie moje i Brighid... A może bogini działała w zмовie z Odynem? A Morrigan? Nie mogłem tego wykluczyć, choć to oznaczałoby, że podle wykorzystały Fjalara i by osiągnąć cel, doprowadziły do śmierci wielu innych żołnierzy. Czy Fjalar nadal chciałby walczyć jako jeden z Einherjarów, gdyby wiedział, jak bardzo nim manipulowano? Czy Svartálfarowie podtrzymałby nowo powstały sojusz, gdyby wiedzieli, jak Odyn ich przechytrzył?

Była to oczywiście zaledwie spekulacja, ale nie odważyłem się zweryfikować swoich podejrzeń. Brighid miała mnie przecież podrzucić z powrotem do domu.

Rozdział 13

Podróż na Rugię nie mija mi tak szybko i sprawnie jak większość moich wypraw, ponieważ na wyspie nie ma żadnych splecionych drzew. Muszę się więc najpierw przenieść do Niemiec i dopiero stamtąd przepłynąć promem na Rugię. A ponieważ Orlaith jest kochanym cierpliwym pieskiem, po drodze zatrzymujemy się jeszcze, by mogła sprawdzić, czy smakują jej niemieckie przysmaki, czyli bratwurst, knackwurst i weisswurst.

Na promie Orlaith radośnie poddaje się pieszczotom dwóch staruszek, ale warczy na młodego mężczyznę, któremu strzeliło do głowy, że wykorzysta ją, by ze mną poplirtować. Moją broń, Scáthmhaide'a, można od biedy wziąć za kij do chodzenia, więc zdarza się, że ludziom się zdaje, iż mają przed sobą beztroską turystkę, a nie adeptkę sztuk walki.

– Hej! Nie panujesz nad swoim psem! – oburza się młodzian po angielsku, choć z akcentem.

– Owszem, w pełni panuję. Weź pod uwagę, że warczy na ciebie, ale cię nie pogryzła. Chce ci tylko powiedzieć, że masz sobie pójść.

Zaczyna mi na to wymyślać po niemiecku i okropnie wykrzywia gębę. Nie chce mi się tego słuchać, więc proszę Orlaith, żeby zaszczekała i skoczyła na niego, ale nie gryzła. Odskakuje przerażony i zostawia nas w spokoju, choć przeklina nas jeszcze z bezpiecznej (jego zdaniem) odległości. Uśmiecham się i macham mu na pożegnanie.

Staruszki wracają i znów głaszczą Orlaith.

Rugia to, jak się okazuje, urocze miejsce o rozległych łąkach i pięknych terenach. Rozprostowujemy z Orlaith kości, biegnąc północno-wschodnim wybrzeżem. Mijamy kilku wędrowców, parę namiotów i nawet pasterza z małym stadem owiec.

<Włochate mięsko> komentuje Orlaith.

Ruiny Jaromarsburga przycupnęły niepewnie na kredowym klifie, który każdego roku coraz bardziej kruszy się w morze. Nie widzę żadnych drogowskazów wskazujących mi, którędy do Świątowita, więc przykucam,

zamykam oczy i kontaktuję się z tutejszym żywiołakiem, który związany jest z pojezierzem rozciągającym się na łądzie tuż obok wyspy, Meklemburgia.

//Dzień dobry / Harmonia / Twoja ziemia jest piękna// posyłam wiadomość do żywiołaka, a on – naprawdę nie wiem, czemu w ogóle przypisuję mu płęć, ale niemiecka nazwa Mecklemburg brzmi tak męsko, że nie potrafię myśleć o nim inaczej – odpowiada z radością.

//Dzień dobry / Harmonia / Witaj, Groźna Druidko//

Nie wiem za bardzo co teraz. Trudno raczej, żebym pytała Meklemburga, czy jakieś tysiąc lat temu nie widział tu czasem białego konia. Żywiołaki nie zauważają takich szczegółów jak umaszczenie konia. Ale raczej powinny zauważać bogów, ponieważ bogowie mają zwyczaj zmieniać reguły i nagiąć rzeczywistość. Ich magia pozostawia ślady, więc da się ją wytropić.

//Pytanie: są tu jacyś bogowie?//

//Czasami. Teraz nie//

//Pytanie: bogowie z koniem?//

//Czasami//

//Pytanie: blisko mnie?//

//Niżej. Pod ziemią//

To nieco dziwne. Dlaczego koń miałby być pod ziemią? Może już jest martwy? Albo pod Rugią jest jakieś pomieszczenie. Proszę Meklemburga o pokazanie mi tego, a on prowadzi mnie do miejsca kilkaset metrów pod Jaromarsburgiem, na zaorane na zimę pole tuż za latarnią. Ziemia otwiera się kwadratowym wejściem, ukazując kamienne schody prowadzące w mroczne głębiny, i aż się wzdrygam na to *déjà vu*.

– O nie! Mowy nie ma, żebym znów zrobiła to samo – mówię na głos.

Za nic nie chciałabym znowu spotkać się z obleśnym bogiem oszustwa w jakiejś jego podziemnej komnacie. Choć muszę przyznać, że nie wszystko jest tu jak w Indiach – tym razem schody są na stałe, a komnatę wykopał i oczyścił ktoś przede mną. Nie jest to opuszczony przez wszystkich archeologiczny sekret, tylko raczej dobrze zakamuflowana podziemna kryjówka, do której wejście ktoś zasłonił kawałem darni.

//Pytanie: koń jest tam, pod ziemią?//

//Tak// potwierdza Meklemburg.

//Pytanie: który bóg odwiedza konia?//

//Bóg ziemi Weles//

O. To by przynajmniej wyjaśniało taką stajnię dla konia.

//Wdzięczność / Harmonia / Wróćę później// mówię i proszę go jeszcze, żeby zamknął dziurę w ziemi.

– Wracamy na prom, Orlaith – mówię. – Welesa może i tam teraz nie ma, ale gdyby się jednak pojawił, to nie chcę być wtedy sama. Potrzebne nam są posiłki.

<Atticus i Oberon?>.

– Nie, oni są chyba zbyt zajęci. Potrzeba nam Peruna. Tym bardziej że on będzie wiedział, jak sobie poradzić z Welesem.

<Nie pamiętam Peruna>.

– Jest miły. Atticus mówi, że lubi bawić się z psami. Siłował się nawet z Oberonem.

<Oberon wygrał?>.

– Siłowali się dla zabawy i świetnie się bawili, więc wydaje mi się, że obaj wygrali.

<Tak jest zawsze najlepiej> zgadza się ze mną Orlaith.

Peruna nie jest trudno znaleźć w Tír na nÓg. Wystarczy popytać tu i tam na Dworze Faerii i już wiem, gdzie jest. Oczywiście z Flidais. Siedzą sobie nad rzeką i są już dość ubzdryngoleni.

– Granuaile! – woła Perun, rozpromieniając się na mój widok aż po końce bujnych włosów. Unosi butelkę ku niebu. – Ty wiesz, *katoryj* czas? Czas na wódkę!

– Nie, dziękuję – odpowiadam i mimo woli odnotowuję ich nieco nieprzytomne, acz podejrzanie błogie uśmiechy. Bogom dzięki, że nie pojawiłam się chwilę wcześniej, bo pewnie zastałabym ich w jednoznacznej sytuacji. – Przychodzę porozmawiać z tobą o Welesie – wyjaśniam, a Perunowi natychmiast odechciewa się żarcików.

– O Welesie? Weles przecież nie żyje. Wszyscy moi nie żyją. Teraz już została mi tylko Flidais i wódka. *Da*, masz, ty się napij. – Podsuwa mi flaszkę pod nos, ale znów odmawiam.

– Nie, Weles żyje. Zależy mu na tym, żebyś myślał, że zginął. Współpracuje z Lokim. To on wpuścił Lokiego do krainy Słowian.

– *Szto?* Powtórz. Nie, ty wyjaśnij.

Butelka wypada mu z ręki i zupełnie opuszcza go dobry nastrój. Cienie pod jego oczami ciemnieją, ale w oczach zaczynają tańczyć ogniki. Powietrze wokół

nas szumi i trzaska, a ja przypominam sobie z niepokojem, że nie mam przy sobie fulgurytu, który chroni przed błyskawicami.

– W porządku, ale opanuj te nadmiary elektryczności, dobrze? Nie mam dziś fulgurytu i mój pies też nie.

– Aha. My to zaraz naprawimy. Macie. – Z sakwy przy pasie wyciąga dwa nowe fulguryty, które dzięki jego błogosławieństwu chronią przed błyskawicami. – *Kak* ja by stracił kontrolę nad sobą, to wy i tak bezpieczni.

– Dzięki. – Wciskam jeden z fulgurytów za obrozę Orlaith i proszę ją, żeby się teraz nie drapała, by przypadkiem nie wypchnąć zabezpieczenia. Swój fulguryt ściskam w dłoni. Wystarczy, że będzie dotykał skóry. Tak chroniona przed ewentualnymi atakami opowiadam Perunowi, czego dowiedziałam się od polskich czarownic, a także o białym koniu Świętowita ukrywanym pod ziemią na Rugii i odwiedzanym przez Welesa. – Wolałam tam nie wchodzić, bo naprawdę niewiele o nim wiem.

– *Da*, dobrze ty uczyniła – stwierdza bóg. – On na pewno wpakował tam pułapki. I węże.

Pojedyncze błyskawice podświetlają teraz szopę jego włosów, które naelektryzowane sterczą we wszystkie strony. Zaciska pięści i widać, że z trudem nad sobą panuje.

– Węże?

– On lubi węże bardzo, bardzo. *Kak* ja jestem orłem, ja *kuszaju* węże. Wiedziała ty, że Weles jest czasem wężem?

– Hmm... nie. Chcesz przez to powiedzieć, że zamierzasz go... zjeść?

– Nie. Ja chciał przez to powiedzieć, że my się nie lubimy.

– Uff, to mi ulżyło – wtrąca Flidais i zanosi się chichotem.

To zupełnie rozprasza Peruna. Z powietrza znika nadmiar elektryczności i jestem jej bardzo wdzięczna za zlikwidowanie tego napięcia, nawet jeśli zrobiła to przypadkiem.

– Pokazać ci, gdzie jest ten koń?

– *Da*. Chodźmy. – Perun klepie Flidais po udzie, ale ona kręci głową.

– Nie mogę iść z wami – mówi bogini. – Póki Brighid nie wróci, muszę mieć tu przecież wszystko pod kontrolą.

Na moje oko to nie bardzo się przykłada do tego kontrolowania, leżąc tu sobie pijana nad brzegiem rzeki. Perun chyba zgaduje moje myśli.

– Brigid i Atticus są w Svartálfheimie – wyjaśnia. – *Kak* by coś się działo, Flidais musi być pod ręką.

Już mam na końcu języka pytanie, po co Atticus się pchał do krainy mrocznych elfów, ale odpuszczam sobie. Potem sobie wszystko opowiemy.

– W takim razie ruszamy tylko we dwoje – stwierdzam.

<I jeszcze ja> dodaje Orlaith.

Jak zawsze, kochana psino – zapewniam ją po cichu i drapię za uszami. Odchodzimy na bok, żeby Perun mógł się pożegnać z Flidais i zabrać broń, ale w sumie bogini i tak odprowadza nas aż na ziemię, głównie żeby podrzucić tam Peruna – ja nie mam jeszcze dodatkowej przestrzeni umysłowej, żeby to zrobić, a poza tym nie znam go wystarczająco dobrze.

Gdy tym razem wsiadamy na prom na Rugię, nikt już nie chce głaskać Orlaith, choć jest urocza jak zawsze. Domyślam się, że to obecność groźnego boga piorunów znacznie zmniejszyła naszą przystępność. Perun chciał w ogóle od razu lecieć, ale wyjaśniłam mu, że to by nie było zbyt przyjemne dla Orlaith.

– Dobra – mówię – to powiedz mi, czego mam się spodziewać po Welesie. Poza węzami oczywiście. Jak wygląda?

Perun marszczy nos, unosi z ławki jeden pośladek i pierdzi bez cienia zażenowania. To chyba jego komentarz na temat Welesa. Potem jednak nieco go rozwija.

– *Kak* on jest węzem, on jest wielkim, czarnym węzem. *Kak* on jest człowiekiem, on jest dalej chudy jak wąż. Wysoki. Długie, proste czarne włosy i broda, zwisające wąsy. Wąska gęba, wystające kości policzkowe. Czasami on ma kapelusz... Nie, to nie to słowo. *Kak* się mówi na taką koronę, co nie jest koroną, ty *panimajesz*, nie ma góry, tylko takie wokół głowy?

– Może diadem?

– *Da*, diadem. Właśnie to słowo. Weles ma taki diadem z rogami barana i czasem go nosi. Ludzie myślą, że on ma rogi na głowie, ale to oszukaństwo. Tylko żeby ludzie myśleli, że on ma mnóstwo mocy.

– A ma mnóstwo mocy?

– *Da*.

– W takim razie trudno się go czepiać za tę pasmanteryjną sztuczkę z rogami.

– *Szto* to pasmanteria? To dla mnie nowe słowo.

Reszta przeprawy promem schodzi nam na miłej rozmowie o bogatej historii pasmanterii i Perun poprzysięga dodać do swojej listy pilnych rzeczy do zrobienia

„zwiedzić londyńską pasmanterię”. Z twarzy znika nam jednak uśmiech, gdy tylko wychodzimy na ląd i ruszamy w kierunku miejsca, gdzie Weles ukrył białego konia Świętowita. Znowu nawiązuję kontakt z Meklemburkiem, żeby się upewnić, czy aby Weles się nie pojawił, ale żywiołak zapewnia mnie, że jedynym bogiem w okolicy jest Perun. Darń odsuwa się przed nami, pojawiają się schody i Perun schodzi pierwszy. Przed sobą trzyma topór. Być może zakłada, że broń uruchomi pułapki i da mu chwilę, żeby ich uniknąć. Jak dla mnie nie ma to wielkiego sensu – skoro Weles jest bogiem ziemi, to z pewnością poinstalował tu jakieś zapadnie albo spadające kawały ziemi. A takich rzeczy raczej się nie da pokonać puszczaniem błyskawic.

– Perunie? Zaczekaj. Nie ruszaj się.

– *Charaszo*. Ja siebie nie ruszam.

Ściany na klatce schodowej są z ziemi i kredy. Na razie się trzymają, ale nie są zbyt solidne i nie zdziwiłabym się, jakby się nagle zapadły. Przykładam rękę do jednej z nich, żeby sprawdzić, czy to żywa ziemia, czy też odcięta skała. Robię to poprzez próbę przywołania żywiołaka.

//Pytanie: Meklemburgu? Czujesz mnie tu?//

//Tak//

//Zlikwiduj, proszę, wszelką magię ziemi na całej wyspie z wyjątkiem moich splotów//

//Dobrze / Tylko sploty Groźnej Druidki//

//Harmonia / Żadnej magii boga ziemi// potwierdzam, po czym dociera do mnie, że przecież same te komnaty zostały pewnie stworzone za pomocą magii, więc dodaję pospiesznie //Ale zachowaj kształt komnat//

//Harmonia//

Oddycham z ulgą. Perun patrzy na mnie pytająco.

– Zlikwidowałam całą magię ziemi na tej wyspie, z wyjątkiem moich splotów – wyjaśniam.

– Ty zrobiła to tak po prostu?

– Tak. Atticus zrobił tak kiedyś Bachusowi. Niektórzy bogowie wykonują swoje cudy poprzez ziemię i ziemia im na to pozwala, ale żądania druidów zawsze mają priorytet, ponieważ my jesteśmy spleceni z ziemią, gdy tymczasem bogowie są spleceni tylko z wiarą.

– To znaczy, że jego magiczne pułapki już nie będą działać, *da?*

– Tak. Ale jeśli zastawił jakiegokolwiek mechaniczne, te dalej będą jak najbardziej sprawne.

– Ja *panimaju*. Chodźmy.

Promienie słoneczne znikają i na chwilę wkraczamy w zupełną ciemność, ale im jesteśmy niżej, tym więcej światła dociera do nas z głębin, a wraz z nim dziwny szum. Gdy docieramy na sam dół, słyszymy jakieś kliknięcie w ścianach i spada na nas trochę pyłu, ale nic poza tym.

– Wydaje mi się, że właśnie włączyliśmy jakąś pułapkę – stwierdzam.

– Skoro my idziemy dalej – odpowiada Perun – nie może być tak źle.

– To prawda.

Pomieszczenie staje się szersze i teraz wzdłuż ścian widzimy półki zastawione szklanymi klatkami. Widzimy je, bo z sufitu zwisają żarówki eko, więc ten szum na pewno wydaje zasilający je generator prądu. W klatkach jest mnóstwo, mnóstwo szczurów.

– Co jest, do cholery? Mam tylko nadzieję, że one nie mają się na nas rzucić? – mówię.

– *Niet*, to nie jest pułapka. To jest jedzenie dla pułapki.

– Co?

– Posłuchaj. Ty słyszysz? – Perun wskazuje mi łuk przejścia na końcu pomieszczenia. Oświetla je słaba latarenka. – Syczenie.

– A, racja. Mówiłeś, że będą węże.

– Szczury to jedzenie dla węży.

– Wszystko sobie zaplanował.

<Tak na marginesie: węże nie są zbyt smaczne> dodaje swoje trzy grosze Orlaith. <Może dlatego, że jedzą szczury>.

A kiedy ty jadłaś węża?

<Znaleźliśmy jednego z Oberonem w Kolorado. Był paskudny>.

Biegniemy więc dalej korytarzem w tę stronę, gdzie syczy, co raczej nie jest najlepszą strategią na przetrwanie. Po chwili tunel kończy się raptownie i naszym oczom ukazuje się dół długi na jakieś dziesięć metrów, a głęboki może na siedem. Bardzo to miło ze strony Welesa, że pomyślał o podświetleniu dna, bo dzięki temu widzimy, że pokryte jest ono wijącymi się węzami. Przeskoczyć nie damy rady. Po drugiej stronie jest coś na kształt rozkładanego mostka, a po naszej zwisa długi łańcuch, przy nim zaś widnieje pomocna ilustracja mostu nad dziurą.

Perun już ma pociągnąć za łańcuch, ale go powstrzymuję.

– Hej, zaczekaj! Dlaczego Weles miałby zrobić tu ten dół tylko po to, żeby potem pomóc nam nad nim przejść?

Perun opuszcza dłoń.

– Masz rację. On by tego nie zrobił. *Eto* pułapka. *Kak* my pociągniemy za łańcuch, my wpadniemy do dziury z mnóstwo węzów.

– Właśnie. I jest to z pewnością pułapka czysto mechaniczna, więc zadziała bez magii.

Perun szacuje odległość, patrzy na Orlaith i mówi:

– Może zrobię wiatr i przelecimy nad tym, *sztó?*

Rozumiem, o co mu chodzi. Największy problem jest z Orlaith. My z Perunem moglibyśmy przemienić się w skrzydlate stworzenia i bez trudu przefrunąć nad węzami.

– Mam lepszy pomysł. Zrobmy prawdziwy most, który będzie godny zaufania.

Kontaktuję się znów z Meklemburgiem i proszę go o stworzenie nam szerokiej na metr grobli. Po chwili zaczyna powstawać z dwóch stron naraz i obie części spotykają się wkrótce pośrodku. Żywiołaki są super.

Mijamy węzowisko i wchodzimy w kolejny korytarz, który nieco zakręca. Buczenie generatorów staje się głośniejsze. Na końcu korytarza znajdują się wielkie żelazne drzwi, ale łatwo je pokonujemy i wtedy już jasne jest, po co potrzebne są generatory prądu. Stoimy na skraju olbrzymiej jaskini, która pod sklepieniem ma absurdalną liczbę lamp UV oświetlających wielkie pastwisko pełne soczystej trawy. To najbardziej wypasione podziemne pastwisko, jakie w życiu widziałam. W sumie to jedyne, jakie widziałam pod ziemią. A stworzono je, by ukryć i przechowywać tu konia Świątowita, pięknego białego ogiera, który już nas zauważył i miota się nerwowo po drugiej stronie łąki.

– Łał. Czegoś takiego nie widzi się na co dzień – wyrywa mi się.

Ktoś tu zainwestował mnóstwo czasu i wysiłku w jednego konia. Ale cóż to dla Lokiego. Wiedza o tym, kiedy zacząć Ragnarök, jest dla niego bezcenna. Ciekawe, czy pyta o to konia codziennie, co tydzień czy tylko wtedy, kiedy wydaje mu się, że nastąpiła jakaś zmiana na jego korzyść. Nawet jeśli on sam nie przychodzi tu co dzień, to ktoś musi przecież obsługiwać generatory, karmić węże i czyścić tę kamienną stajnię. Nie mamy więc czasu do stracenia. Ktoś na pewno regularnie tu zagląda, więc odruchowo już planuję obronę, na wypadek gdyby zaraz się tu pojawił.

– Perunie, chodźmy teraz do stajni – mówię. – Ten koń jest bardzo zdenerwowany, a musimy go uspokoić, jeśli mamy go stąd zabrać.

– *Kak* stajnia ma nam niby pomóc?

– Nie chcę rozpoczynać operacji tutaj. Ktoś mógłby nas zająć od tyłu.

– Jakiej operacji?

– Szybkiej. Zaraz zobaczysz.

Biegniemy do stajni. Koń wciąż nas obserwuje. Nakazuję Orlaith schować się w środku.

<Dlaczego mam się schować?>.

Jeśli ktoś nas zaskoczy, będziesz naszym tajnym kontratakiem – mówię, choć tak naprawdę chodzi mi raczej o jej bezpieczeństwo. – *I ktoś mi musi przecież popilnować ciuchów i kija. Proszę...*

Zgadza się, więc zaczynam się rozbierać. Perun uprzejmie odwraca się do mnie plecami i mówi:

– Ja myślę, że ja *panimaju* twoją operację. Ty chcesz gadać koń w koń.

– Zgadłeś. Poczekaj tu, proszę.

Kiwa głową, a ja przemieniam się w kasztankę. Muszę przyznać, że to moja ulubiona postać zwierzęca. Biegnę wtedy bez żadnego wysiłku i uwielbiam to uczucie, gdy wiatr rozwiewa mi grzywę i ogon – choć teraz w jaskini nie ma oczywiście żadnego wiatru. Za to jest nerwowy ogier. Myślę, że jeśli podejść do niego jako klacz, nie będzie się czuł zagrożony i pozwoli mi podejść na tyle blisko, żebym zdołała nawiązać z nim kontakt, zanim mnie zaatakuję.

Mimo to jednak staje dęba, gdy podchodzę bliżej. Nagłe pojawienie się obcego konia wcale nie jest znowu takie uspokajające, jak mi się zdawało. To mądre zwierzę, które umie liczyć, i wie dobrze, że jeszcze przed chwilą w jaskini nie było dwóch koni. Wie, że dzieje się coś dziwnego.

Bogowie niejedyni, jaki on jest piękny. Cały mlecznobiały, z wyjątkiem czarnej jak węgiel grzywy. Przechodzę na magiczne spektrum, analizuję jego wzburzoną aurę i odnajduję nici jego świadomości. Wyciągam moje w jego stronę, splatam z jego nićmi i poprzez nie przesyłam mu uczucia pokoju i harmonii oraz niekłamanego zachwyty dla jego urody. W pierwszej chwili odskakuje ode mnie, kopyta migają mi w powietrzu, ale gdy opada z powrotem na cztery nogi, prychnął już tylko raz i się uspokaja. Staje się otwarty na moje słowa, a raczej może uczucia i obrazy. Wysyłam mu wspomnienie nieba nad Rugią i zaproszenie, by wyszedł tam ze mną. Kiwa łbem, czuję jego wielką chęć, by się stąd wydostać. Nienawidzi

tego miejsca. Bez nieba. Bez innych koni. Jest tu taki samotny. Odpowiadam radością na jego decyzję, by mi towarzyszyć w wyprawie na górę, i już-już mam mu powiedzieć, żeby ruszył za mną, gdy coś odwraca moją uwagę.

Ktoś nadchodzi. Stoi w bramie, blokując naszą ucieczkę. Jest jak cienki odłamek węgla, cały ubrany na czarno i z równie czarnymi włosami. Tylko jego czoło, policzki i nos są blade. Reszta to mrok. Rzuca okiem na mnie i konia Świętowita, ale gdy zauważa Peruna, przestajemy być dla niego ważni. Ręce zaciska w pięści, wysuwa szczękę, obnaża zęby. Perun robi dokładnie to samo. To musi być Weles. Nikt nie mógłby mieć wątpliwości, że ci dwaj się szczerze nienawidzą.

Perun coś do niego krzyczy i odruchowo spodziewam się rosyjskiego, ale to coś starszego, bo to prastarzy bogowie. Wyłapuję tylko imię Świętowita i kilka innych. Pewnie Perun chce wiedzieć, gdzie oni są. Nie mam pojęcia, co odpowiada na to Weles. Jego głos pełen jest nienawiści, więc domyślałam się, że odpowiedział mu tak niegrzecznie, jak tylko się dało, i to by było na tyle, jeśli chodzi o dyplomację. To, co dzieje się potem, jest dość komiczne: Perun unosi topór i usiłuje wezwać błyskawicę, ale to niemożliwe pod ziemią. Weles rozkłada ręce na boki, wnętrzem dłoni do góry, i zaciska palce, jakby w każdej trzymał niewidzialny kielich. Potem unosi je w nader dramatycznym geście. Kiedy pożądana reakcja nie następuje, mruga zdumiony i wpatruje się chwilę w trawę. Zero magii ziemi, zero piorunów. Przechodzi mi przez myśl, że będą się musieli chłopaki zdać na starą dobrą walkę na pięści, kiedy zaskakują mnie zupełnie, przemieniając się w zwierzęta. Perun odrzuca topór i zmienia się w największego orła, jakiego w życiu widziałam, a Weles rozciąga się, drży chwilę i nagle już jest zupełnie upiorną żmiją jakichś gargantuicznych rozmiarów. Mógłby spokojnie połknąć mnie całą (a przecież jestem koniem). Perun piszczy, wąż syczy. Wzdrygam się.

<Orlaith!> wołam, a mój mentalny głos wypada inaczej teraz, gdy jestem zwierzęciem. <Nie wychodź! Zostań w ukryciu i pilnuj kija. Będę przy tobie za minutkę>.

<Dobra>.

Radzę ogierowi nie ruszać się z miejsca i skrajem łąki przemykam się do stajni. Wąż ma to w nosie. Nie spuszcza oczu z Peruna, który krąży nad nim coraz szybciej i wyraźnie czeka na okazję, by na niego spaść. Wąż zwija się, żeby zmniejszyć Perunowi cel. Poza tym teraz Perun, gdy będzie próbował się dobrać do jego cielska, najpierw natknie się na jego kły. Wąż wywija łbem na wszystkie

strony, usiłując nie stracić Peruna z oczu, co musi być dość trudne, gdy się patrzy wprost pod światło lamp UV. Nawet ja ledwo widzę orła, choć patrzę z boku.

Kiedy jestem w połowie drogi do stajni, Perun atakuje, ale tak szybko, że nie daję rady zarejestrować, co się stało. Widzę tylko, że wąż krwawi i wokół leży parę piór. Nie wydaje mi się, żeby któryś zyskał przewagę.

Przy wejściu do stajni przemieniam się z powrotem w człowieka, żeby nie stukać kopytami po kamiennej posadzce i nie zwrócić na siebie uwagi węża. Ale zaraz potem myślę sobie, że może właśnie powinnam odwrócić jego uwagę, żeby dać Perunowi szansę na skuteczniejszy ruch. Więc chowam się w większości za ścianą stajni, wystawiam tylko głowę i wrzeszczę:

– Hej! Weles!

Łeb gada obraca się natychmiast. Widzi mnie. Rzuca się w moją stronę, a ja odskakuję od drzwi dosłownie w chwili, gdy jego olbrzymia głowa przebija się przez framugę. Szczeka kłapie w powietrzu. Blisko było. Znika równie szybko, sycząc przeraźliwie, bo Perun wykorzystał tę jego chwilę nieuwagi i zaatakował z góry.

<Granuaile! Nic ci nie jest?>.

Nic, nic. Ale potrzebuję Scáthmhaidé'a.

Zauważam go przy moich złożonych ubraniach, chwytam i wrzucam niewidzialność.

<Nie wiedziałam, że wężom wolno rosnać aż tak>.

Ja też nie. Zostań tu, proszę.

Podkradam się z powrotem, wyglądam zza potrzaskanych odrzwi i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że choć jestem niewidoczna, wąż z pewnością i tak wyczuwa mój zapach w powietrzu. Wie, że gdzieś tu jestem, ale teraz znów koncentruje się na sklepieniu, nie spuszczając Peruna z oczu. Widzę więcej krwi niż po poprzednim starciu. Na ciele węża widnieją rany wyszarpane pazurami lub dziobem Peruna. Mimo wszystko wydaje mi się, że ze Scáthmhaidem i pomocą Gai powinnam mu nieźle dołożyć i dać jeszcze jedną szansę Perunowi. Nie mam wątpliwości co do tego, że słusznie postępuję. Każdy przyjaciel Lokiego jest moim wrogiem. Skaczę więc wysoko, obracam się, żeby zwiększyć siłę, i wbijam Scáthmhaidé'a z całych sił w najwyższy zwój węża. Słyszę, jak mu trzaska kręgosłup, czuję, jak siła uderzenia szarpie moim ramieniem, i wiem, że nie mam co liczyć na zgrabne lądowanie, bo muszę całą energię włożyć w utrzymanie kija w rękach.

Zamiast krzyku bólu wąż wydaje jakieś gulgotanie. Potem światło znika, czuję uderzenie w brzuch i plecy, światło wraca – i wszystko to, nim mam czas rąbnąć w ziemię. A gdy już na niej ląduję na tyłku, zaczyna się nieznośny ból. Nie od upadku, ale przez dwa olbrzymie kły, które przebiły mi tors, gdy wąż zaatakował mnie instynktownie. Lewą stroną paszczy chwycił mój lewy bok. Dolne kły wbiły się w mój brzuch, a górne w plecy. Jest też trucizna, która zaczyna działać sekundę później, paląc jak kwas, wpływając w żyły i wywołując konwulsje mięśni. Wyrывa mi się jęk bólu, ale próbuję sięgnąć do spokojnej przestrzeni myślowej, żeby skupić się w niej na leczeniu ciała, gdy druga przestrzeń będzie zajęta cierpieniem. Atticus wciąż mi powtarza, jak ważna dla przetrwania jest ta umiejętność, i podczas nauki organizował mi testy z odwracaniem uwagi, żebym nauczyła się zachowywać spokój, gdy wszystko inne pogrąża się w chaosie, ale okazuje się, że nic tak nie odwraca uwagi jak prawdziwy, nieznośny ból. Żąda, by natychmiast w pełni się na nim skoncentrować, i nie daje się tak łatwo odciąć. Kilka razy próbuję więc na próżno i tracę dobre pięć, może nawet siedem cennych sekund, nim udaje mi się dokonać tego podziału w umyśle i pozwolić jednej przestrzeni myślowej skupić się na konwulsjach, ale drugiej kazać zająć się wewnętrznym krwotokiem i rozbijaniem toksyn. I w ciągu tych kilku sekund, gdy miotam się po ziemi, moja głowa sama obraca się w lewo i widzę, że olbrzymi łeb Welesa wali o ziemię tuż na prawo ode mnie, a tuż pod jego szczękami, na czymś, co jest chyba jego wielgachną szyją, zaciskają się szpony orła. Perun go jednak dorwał. I to dzięki mnie, co naprawdę bardzo mi pomaga schować się w końcu do odpowiedniej przestrzeni myślowej. Nie mogę mówić, bo wszystko jest bólem albo jego leczeniem. Orlaith kompletnie panikuje – wiem, bo nagle pochyła się nade mną, liże mnie po twarzy i próbuje coś powiedzieć, ale ja nie mogę teraz tracić koncentracji, by z nią rozmawiać, jeśli chcę to przeżyć.

Naprawdę nie powinnam już więcej zadzierać z żadnymi bogami. Udało mi się niedawno wyrzucić jaką taką krzywdę Lokiemu, ale to tylko dlatego, że warunki były naprawdę idealne: był zbyt pewny siebie i zaatakował mnie w miejscu, które przedtem zabezpieczyłam przed jego ogniem. Gdyby napadł na mnie gdziekolwiek indziej albo zabrał ze sobą jakąś broń – choćby Fuilteacha, wirujące ostrze, które mi przedtem ukradł, albo Zaginione Strzały Waju – pewnie byłoby po mnie. Po prostu zupełnie nie docenił mnie jako przeciwnika i przez to było mi łatwiej, ale przecież już drugi raz nie popełni tego błędu. Prawda jest taka, że dziury w moim ciele i trucizna we krwi są rezultatem takiej samej arogancji – moje druidzkie moce, choć imponujące, nie czynią ze mnie w ogóle przeciwnika tej samej wagi co

bogowie. To samo tyczy się Atticusa. Nie przypadkiem zresztą specjalizuje się on w znajdowaniu ich słabych stron, zaskakiwaniu i zdobywaniu pomocy innych. W walce z bogami jeden na jednego nie mielibyśmy szans. Gdyby Weles nie był skupiony na Perunie, nawet z całą moją niewidzialnością nie dałabym pewnie rady podejść na tyle blisko, żeby mu cokolwiek zrobić. A gdyby Perun nie wykończył boga ziemi, na pewno nie miałabym okazji spróbować powalczyć o życie i się leczyć. Znow by mnie zaatakował albo po prostu połknął w całości.

Trucizna Welesa to paskudna mieszanka fasykulin i kardiotoksyny. Tą drugą łatwiej mi się zająć, bo to substancja, która usiłuje wpleść się w mięsień mojej tkanki sercowej, więc mogę ją po prostu rozbić, nim zdepolaryzuje komórki i uniemożliwi skurcz. Gorzej z fasykuliną. Wywołuje skurcze całego ciała, prowadzi do spazmów i drgawek. Podczas mojej nauki Atticus bardzo szczegółowo omawiał ze mną trucizny i ich skład chemiczny, w tym jad węży, żeby wiedziała, na czym się skupić, jeśli będę miała do czynienia z którąś z nich. Fasykulina atakuje neuron wykorzystujący acetylocholinę jako nośnik sygnału. Niszczy acetylocholinoesterazę, która normalnie mówiłaby mięśniom, żeby przestały się kurczyć, przez co wywołuje niechciane skurcze. Trudno się walczy, gdy twoje mięśnie w ogóle ciebie nie słuchają. Powoduje to także więcej bólu, niż można by przypuszczać. Żeby sobie z tym poradzić, muszę nie tylko rozbić samą toksynę, ale jeszcze odbudować acetylocholinoesterazę. A przecież poza jadem muszę jeszcze mieć na uwadze dwie dość spore rany wyszarpane przez kły, całkiem duże uszkodzenie tkanek i rozległy krwotok.

W mojej spokojnej przestrzeni myślowej skupiam się więc na chemii, żeby uratować sobie życie, ale w mojej głośnej, bolesnej części odnotowuję, że Perun jako orzeł naprawdę zajada węże. Jego dziób co raz to zanurza się w szyi odwiecznego wroga, by wyrywać kawały ciała i trzewi. Część wypluwa, ale część połyka. Wielki zwój węża w ogóle się nie porusza poniżej tego miejsca, gdzie złamałam mu kręgosłup, ale pozostałe dwie trzecie wciąż drżą i próbują się uwolnić. Nic z tego. Dość przerażająco jest tak patrzeć, jak jakiś bóg ginie z rąk – a raczej ze szponów i dzioba – innego boga.

Orłowi zresztą też się nieźle oberwało. Widzę, że brakuje mu sporo piór, tu i ówdzie zostały tylko łyse plamy. Jest też kilka ugryzień, a przynajmniej zadrapań, ale co dziwne, Perun wyraźnie nie odczuwa skutków trucizny tak bardzo jak ja. Może jest jakoś uodporniony.

Ślepią wielkiego węża gasną i drzenie ustaje, a ja wciąż walczę o przetrwanie. Perun puszcza go, ale jeszcze dobrą minutę obserwuje uważnie, żeby się upewnić, że naprawdę nie żyje. Dopiero wtedy przemienia się w człowieka, wzywa ręką topór i odrąbuje mu szyję. Weles już na pewno nie żyje. Perun podnosi wzrok i zauważa, że jestem w stanie krytycznym.

– Granuaile! – krzyczy, rzucając się w moją stronę. Przyklęka przy mnie, patrzy z niepokojem na spazmy i dziurę pod moimi żebrami. – O *niet!* Oj, źle! Ty walcz! Ty nie umieraj! Ja tobie tyle zawdzięczam. Ty mnie pomogła pokonać Welesa. – Wyciąga palce w kierunku mojej rany w brzuchu i zaraz je cofa. – Ja nie jestem bogiem uzdrawiania. Ja nie mogę tobie pomóc, choć ja bardzo by chciałem.

Ja też mu nie mogę pomóc, choć zdaje się, że nawet nie zauważa krwawiących ran po ugryzieniach, które teraz, gdy jest już człowiekiem, stały się bardziej widoczne. Zazdroszczę mu odporności na jad.

Moim ciałem wciąż wstrząsają spazmy, ale powoli odzyskuję kontrolę i część bólu odpływa. Gdy już wiem, że przynajmniej nie będzie gorzej, poświęcam kilka minut na zatamowanie krwotoku wewnętrznego. Perun nie klęczy już przy mnie, tylko siedzi teraz w pozycji kwiatu lotosu i mamrocze coś do mnie o leczeniu się. Zamyka oczy, więc i ja robię to samo. Rzeczywiście pomaga – mniej bodźców zewnętrznych równa się więcej uwagi skupionej na wychodzeniu z kryzysu. I mogę wreszcie skontaktować się z Orraith, która wciąż się o mnie zamartwia.

Jeszcze nie jest ze mną dobrze, ale coraz lepiej, słodka psino. Muszę się teraz skupić na leczeniu. Bądź cierpliwa, proszę.

<Dobra! Będę cię strzec. Kocham cię, Granuaile>.

Ja ciebie też.

A potem czas płynie inaczej. Leczę się powoli, aż nagle raptownie otwieram oczy. Ta myśl.

– Piętno Lokiego! – charczę i zanoszę się kaszlem przez to, że tak raptownie się odezwałam. Kaszel rozbija się po mojej klatce piersiowej niczym ostrza błyskawic.

– *Szto? Loki?* – reaguje natychmiast zaniepokojony Perun. – *Gdzie?*

Milczę chwilę, bo muszę opanować oddech, po czym cicho wyjaśniam:

– Weles miał najprawdopodobniej na sobie znak Lokiego. Takie koło z run. To ukrywało go przed wszystkimi z wyjątkiem samego Lokiego. To znaczy, że Loki pewnie już wie o jego śmierci. Może w każdej chwili tu przyjść, żeby sprawdzić, co się stało.

Perun wytrzeszcza oczy.

– *Eto płachoj news!*

– Idę o zakład, że koń Świętowita ma podobny znak. Gdy go stąd zabierzemy, Loki od razu się dowie. Sprawdziłbyś?

– W try miga!

Perun wstaje z ziemi i znika mi na chwilę z oczu. Moje ciało nie trzęsie się już tak bardzo i coraz lepiej idzie mi z toksynami. Meklemburg bardzo mi przy tym pomaga, użyczając swojej energii. Dziękuję mu za to szczerze.

//Wdzięczność za twoją siłę// posyłam wiadomość za pomocą łacińskiej przestrzeni myślowej.

//Harmonia// odpowiada Meklemburg. //Groźna Druidka musi być zdrowa//

I wtedy znika strach i niepewność. Wiem już, że tak, będę zdrowa. W końcu. A jednocześnie doceniam nagle cały okres, który doprowadził mnie do tej chwili. Gdybym przez dwanaście długich lat nie uczyła się języków i nie tworzyła nowych przestrzeni umysłowych, na pewno nie wygrałabym dziś z trucizną. Spalenie z ziemią na nic się nie zda bez wiedzy i ćwiczeń. Kiedy tak się ćwiczy, mniej więcej od drugiego roku do dziesiątego myśli się: „Jasna cholera, jak ten czas się wlecze”. Mnie w każdym razie zdarzyło się pomyśleć tak przynajmniej kilkakrotnie. Ale starożytni druidzi dobrze wiedzieli, jak ćwiczyć i dyscyplinować umysł. Właśnie te lata pracy uratowały mi teraz życie.

Wraca Perun i mówi, że niestety koń rzeczywiście ma na boku mały okrągły znak.

– Czas już na nas – dodaje.

– Jeszcze nie dam rady się ruszyć – mówię i wyjaśniam, że choć ostrożność nakazywałaby pośpiech, być może nie ma takiej potrzeby. Loki wcale nie jest lepszy w uzdrawianiu od niego, a gdy ostatnio się widzieliśmy, zadałam mu dość poważne rany.

– *Kagda* ty będziesz mogła się ruszać? – pyta Perun.

– Mam nadzieję, że już niedługo. Też chcę stąd zniknąć jak najszybciej.

– A gdybym ja ciebie wyniósł?

To mi nie przyszło do głowy. Perun na pewno z łatwością przerzuciłby mnie przez ramię niczym wór kartofli. Tylko że mogłabym przy tym odnieść jakieś dodatkowe obrażenia i w dodatku byłabym odcięta od ziemi.

– Może mogłabym się na tobie oprzeć i wyciągnąłbyś mnie stąd w takiej pionowej pozycji? Chodzi o to, żebym mogła prawą piętą dotykać ziemi.

– *Charaszo*. Tak my zrobimy.

– Ale... koń.

Ogier kuli się pod najdalszą ścianą jaskini, usiłując się jakoś ukryć.

– *Da*. My potrzebujemy konia, ale on przestraszony.

– Przeciagniesz mnie bliżej niego? Pogadam z nim.

Po wielu jękach staję wreszcie na nogi i pól idąc, pól ciągnąc się za Perunem, zbliżam się do białego konia Świętowita. Wciąż zdarza mi się drżeć i wpadać w konwulsje, co dodatkowo utrudnia przemieszczanie się i uwypukla drobny fakt, że po przemianie w zwierzęta nadal jesteśmy kompletnie nadzy. Trzeba będzie pamiętać, żeby się ubrać, zanim wyjdziemy na powierzchnię.

Próbuję kilka razy nawiązać kontakt ze świadomością konia, nim w końcu mi się udaje.

Cześć – mówię. A raczej przesyłam mu powitanie. Mam tylko nadzieję, że moje słowa są w jego umyśle jakoś czytelne. Bardzo możliwe, że jeszcze nie osiągnęliśmy tego poziomu zrozumienia, ale brak mi teraz cierpliwości i zbyt wiele mam innych zmartwień. *Jestem tamtą kasztanową klaczą. Teraz w ludzkiej postaci. Mam dwie postacie. Jesteś gotów znów zobaczyć niebo?*

Ogier kręci łbem, parska. Nie jest to raczej entuzjastyczne „tak”. Wciąż jest przerażony. Trzeba go jakoś przekonać i nie da się tego pewnie zrobić migiem. Wzdycham i zmuszam się do cierpliwości.

Jestem Granuaile. Masz jakoś na imię?

Odpowiada, że dawno temu ludzie wołali na niego Miłosz.

Miłoszu, chciałabym zabrać cię teraz do grupy kobiet, które będą cię chronić przed bogiem, który wypalił ci piętno.

Na samą myśl o Lokim Miłosz znów się płoszy. Rzy, staje dęba, miota się.

Chodź z nami. Będziemy biec pod niebem. Będą jabłka i owies.

Jabłka jakoś go przekonują. Uspokaja się. Nawet zadaje mi pytanie w postaci obrazu groteskowego czterogłowego człowieka. Domyślam się, że chodzi mu o Świętowita.

Nie, Świętowita tam nie będzie. Szukamy go. Chcemy, byście znów byli razem. Wiesz, gdzie go znaleźć?

Miłosz nie ma pojęcia, ale idzie w naszą stronę i nagle czuję, że rozpoznał w Perunie przyjaciela Świętowita. To go zupełnie uspokaja i jest już gotów ruszyć z nami.

Wcale nie jestem taka pewna, czy Siostry Trzech Zórz zdołają oprzeć się Lokiemu, który przecież z pewnością będzie próbował odzyskać Miłosza. Ale

wiem na sto procent, że Loki nie będzie miał z nimi łatwo. A może nawet uda im się znów rzucić na niego urok. W każdym razie zabranie tam konia jak najszybciej, by wykorzystać to, że Loki wciąż pewnie jest jeszcze ranny, będzie nie lada sztuką, bo i ja nie jestem w najlepszym stanie.

Wracamy do stajni i ubieramy się. Muszę się opierać o ścianę, żeby włożyć dzinsy; nie ma mowy, żebym utrzymała całe ciało na jednej nodze. Rany na plecach i brzuchu sprawiają, że wciągnięcie koszulki to istna tortura. Skóra już się zasklepiła i opanowała wewnętrzną krwotok, ale zniszczone tkanki nie załatają się tak szybko. Orlaith oferuje się ponieść Scáthmhaide'a w pysku w drodze na górę i jestem jej za to wdzięczna.

Próbuję iść sama do wyjścia, ale jest to proces powolny i nierówny, bo nie wiem, kiedy moje nogi raczą mnie posłuchać, a kiedy nagle same postanowią wykonać jakiś skurcz czy ruch. Przewracam się dwa razy, co wcale nie jest przyjemne, ale taka jestem szczęśliwa, że w ogóle mi się udaje, że upieram się i ciągnę tak aż do grobli. Tam proszę Peruna, żeby na drugą stronę jednak podrzucił mnie na plecach. Nie ufam swoim nogom na tyle, żeby ryzykować upadek w kłębowisko węży.

Gdy już jesteśmy po drugiej stronie, proszę Meklemburga, żeby uniósł dno dołu i tym samym go zlikwidował. W ten sposób węże będą mogły się rozpełznąć. Otwieramy też wszystkie klatki ze szczurami, żeby mogły sobie uciec albo nie, jak im się tam podoba. Perun znów mnie podwozi na grzbiecie po schodach, żebym czasem nie stoczyła się na dno, a gdy wreszcie docieramy na górę i stajemy na trawie Rugii w pełnym słońcu, uśmiechamy się wszyscy. A ściślej rzecz biorąc, Miłosz i Orlaith radość okazują wesołym brykaniem po łące.

Do promu idziemy piechotą; pod koniec tego spaceru, czuję że już panuję nad mięśniami. Toksyne zostały zlikwidowane, a ja odzyskałam zdolności motoryczne. Czeka mnie jeszcze mnóstwo roboty, ale przynajmniej jestem już mobilna.

Ładuję maksymalnie srebrny pojemnik na moc w Scáthmhaidzie, żeby móc kontynuować leczenie podczas przeprawy promem, i nie obywa się bez krytycznych spojrzeń, gdy wchodzimy na pokład z psem i koniem, ale nikt się nas jakoś nie czepia.

Słońce już prawie zachodzi, gdy docieramy do lądu. Z cienia nagle wyłania się jakaś postać. Mimo chłodu ma nagą pierś, co zwraca uwagę przechodniów. Niewykluczone, że przyczynia się do tego także jego fenomenalna sylwetka oraz szeroki złoty pas podtrzymujący jasnoczerwone spodnie. A może to ta wielgachna

jakby maczuga, którą przerzucił sobie przez ramię. Skórę ma ciemną, brązową, a włosy ścięte tuż przy czaszce, jakby zgolił je kilka tygodni temu, a potem machnął na nie ręką. Wszyscy się na niego gapią, ale on patrzy tylko na nas, gdy schodzimy na ląd.

– Dobry wieczór, Perunie – odzywa się i skłania głowę w zdawkowym powitaniu, po czym zwraca się do mnie. – A ty musisz być Granuaile.

Mówi wibrującym basem i nie jestem pewna, co to za akcent, jest w każdym razie boski.

– Przepraszam, ale czy my się znamy? Chybabym raczej pamiętała...

Błyskają oszłamiające zęby.

– Nie mieliśmy przyjemności się poznać. Gdybyś spytała Odyna, powiedziałały ci, że jestem tu z jego polecenia. Ale prawda jest taka, że nie dbam o to, czego chce Odyn. Jestem tu, bo chciałem cię poznać. Jestem Szango.

– Szango? Orisza? Bóg piorunów?

W jego oczach igrają ogniki, tak jak czasami u Peruna, i kiwa głową z uśmiechem.

– Ten właśnie.

– Dlaczego chciałeś mnie poznać?

– Słyszałem, że nieźle sprąłś Lokiego. Od dawna mu się należało. Chciałbym usłyszeć tę historię z twoich ust. Poza tym Odyn mówi, że ten koń jest dość ważny dla Lokiego. Do jego nowego domu nie jest aż tak blisko i istnieje ryzyko, że po drodze natkniesz się na Lokiego. Mam nadzieję, że pozwolisz mi sobie towarzyszyć. Być może nasza obecność z Perunem odstraszy go, a nawet jeśli nie, walka przy twoim boku będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem.

O cholera. Jak miło się go słucha. Normalnie zabrałabym go na kolację i po prostu słuchała, jak mi czyta menu. I jest taki uprzejmy.

– Rozumiem. A dlaczego Odyn kazał ci się ze mną spotkać?

– Tak jak i tobie zależy mu na tym, żeby Loki nie odzyskał konia.

– Ten koń ma na imię Miłosz. A to moja suka Orlaith.

Spogląda każdemu ze zwierząt w oczy i wita się z nimi porządnie, starannie wymawiając ich imiona. Mało kto umie okazać zwierzętom prawdziwy szacunek. Zdobywa sobie tym u mnie dodatkowe dwa punkciki.

– Będzie mi bardzo miło, jeśli do nas dołączysz – zapewniam go. – Mam nadzieję, że przy okazji opowiesz mi więcej o sobie.

– Będziemy biec całą noc, prawda? Czasu mamy więc dość.

To już drugi raz będę biec przez Polskę, choć tym razem przecinamy jej północną część i podążamy z zachodu na wschód, odwrotnie niż poprzednio, ale przynajmniej nie mogę narzekać, że nikt mnie nie zabawia rozmową. I z każdym krokiem jestem bliższa chwili, gdy będę mogła wreszcie zabrać się do tego, przez co w ogóle zostałam druidką. Gdy będę już miała zasłonę przed wywróceniem, wreszcie skupię się na moim prawdziwym celu: rozprawieniu się z tym po trzykroć żółdym dupkiem – moim ojczymem.

Rozdział 14

Kiedy wróciliśmy z Brighid na Dwór Faerii w Tír na nÓg (ona majestatyczna i królewska, ja obity i żaloszny), ze zdumieniem stwierdziliśmy, że czeka już na nas delegacja cisowców. I to spora – dobra setka albo i więcej. Są to istoty dość upiorne, bo też czego innego można by się spodziewać po stworzeniach Morrigan, a ponadto zupełnie pozbawione poczucia humoru oraz właściwie większości ludzkich cech z wyjątkiem chciwości i żądzy krwi. Bardzo się jednak dotąd sprawdzali w roli zabójców wampirów – nie mieli żadnej krwi do wyssania, nie dało się rzucić na nich uroku, a kule, które pewnie wystrzelili w nich thrallowie, mogły ich co najwyżej zirytować. Byliby wręcz idealnymi łowcami wampirów, gdyby nie to, jak wysoko cenili swoje usługi.

Przybyli właśnie poinformować mnie, że zalegam z płatnością. Cisowcy nie mają jednak strun głosowych, musieli więc przekazać tę informację poprzez faeriomówczynię. Pewnie jej przedtem napisali na kartce, co ma powiedzieć. Albo posłużyli się językiem migowym. Albo grali w tym celu w szarady. Pojęcia nie miałem.

– Zadźgaliśmy wiele wampirów i odrąbaliśmy im głowy, druidzie – stwierdziła faeriomówczyni w odpowiedzi na moje powitanie. Głos miała wysoki i piskliwy niczym chomik, który się nałykał helu, co stanowiło interesujący kontrast z ponurymi obliczami cisowców. – Z początku płaciłeś nam przez Goibhniu. Lecz Goibhniu nie żyje. Nie zapłacono nam za sześćset osiemdziesiąt trzy wampiry. Nie zabijemy ani jednego więcej, póki nie uiścisz pełnej opłaty.

– Ja... tego... eee... Bo widzicie, wampiry zdołały mocno zaburzyć moją wypłacalność.

– Nie zabijemy ani jednego więcej, póki nie uiścisz pełnej opłaty – powtórzyła faeria. Pewnie skończyły jej się ustalone skrypty rozmowy.

– Kumam. – Uniosłem oba kciuki. – Znajdę jakieś rozwiązanie. Jak już będę miał pieniądze, to z kim mam się kontaktować?

– Ze mną – powiedziała Brighid, wtrącając się do rozmowy. – Zapłacisz mnie. – Spojrzała na cisowców. – Będę jego poręczycielem. Zakładam, że to wystarczy.

– Brighid, nie musisz tego robić, nawet przecież nie prosiłem o...

– Oferuję ci pomoc z własnej woli i nie oczekuję żadnych przysług w zamian, Siodhachanie. Załatwione więc.

Skinąłem głową na zgodę i pomyślałem sobie, że będzie trzeba szybko znaleźć jakąś intratną posadkę. Nigdy nie należałem do ludzi szukających szybkiego zysku. Długie życie pozwalało mi dotąd bogacić się powoli poprzez długoterminowe inwestycje. A tu nagle mogłem najwyżej sprzedać te białe kruki, które zakopałem wiele lat temu przy rzece Salt w Arizonie, ale byłoby to rozwiązanie tymczasowe. Wystarczyłoby spieniężyć tylko kilka, by przez jakiś czas dostatnio sobie żyć. Ale na spłacenie długu u cisowców to by na pewno nie starczyło. A nawet gdybym sprzedał wszystkie te książki – co w ogóle nie byłoby rozsądne, bo część z nich była naprawdę niebezpieczna – z pewnością nie pokryłoby to całego rachunku.

Jakoś nie chciało mi się dłużej stać i narażać na spojrzenia niespłaconych zabójców, więc zwinąłem się stamtąd i przeniosłem z powrotem do Flagstaffu, przed dom Sama i Tya, łamiąc sobie głowę, jak tu kontynuować wojnę z wampirami. Młoty Boga na pewno stanowili miły dodatek do moich sił, nie byli jednak tak wydajni jak cisowcy. Tym bardziej że w przeciwieństwie do cisowców nie będą przecież mogli ignorować kul thrallów, którzy strzegli starszych wampirów za dnia. A wampiry potrafiły zwiększać swoje zastępy o wiele szybciej, niż my mogliśmy je zabijać – wystarczyło, że dorwały nowe ofiary. Jeśli szybko czegoś nie wymyślę, nasze siły będą się wykruszać i prędko przegramy.

Oberon wylegiwał się na trawie przed domem i od razu mnie zauważył. Skoczył w moją stronę przejęty nowymi wiadomościami.

<Atticus! Nie uwierzysz! Słyszałem, jak Sam i Ty rozmawiali o cytrynowym odświeżaczu powietrza u Hala w samochodzie, i oni też uważają, że on śmierdzi!>.

– Miło jest odkryć, że inni myślą tak jak ty, co? – powiedziałem, klepiąc go po karku.

<No ba! Hej, a czemu twoja gęba wygląda, jakbyś utknął na koncercie emo? Co się stało?> zatroskał się mój pies.

– To kwestia matematyki – odparłem, nie wspominając o tym, że jestem wykończony i że mnie sprano na kwaśne jabłko.

<O, z tym to ci nie pomogę. Ale jeśli potrzeba ci kogoś, kto by coś obsikał albo zrujnował dzień jakiemuś kotu, to zawsze możesz na mnie liczyć. Albo może chcesz się na przykład koniecznie pozbyć jakiejś kiełbaski?>.

– Nie, przykro mi. Po prostu boję się, że nie ma sposobu na te wampiry. Jest ich o wiele więcej niż nas. Całe tysiące więcej.

<Tysiąc to to większe od miliona, tak?>.

– Nie, odwrotnie.

<Hmm, a przypomnij mi, jak to jest: oni wszyscy się na ciebie wściekli czy tylko ten jeden, jak mu tam? Teoś Filipek?>.

– Masz na myśli Theophilusa?

<O, właśnie. Tak naprawdę tylko on się ciebie czepia, nie? A reszta tylko robi, co on im każe. Nie możesz go wyzwać na pojedynek? Julie d’Aubigny na pewno tak by to załatwiła. Wtedy, jak go już pokonasz, to możesz powiedzieć innym wampirom, żeby spadały na drzewo, nie?>.

– No, tak... w sumie masz rację.

Rzeczywiście nie słyszałem dotąd o żadnym innym wampirze, który by chciał koniecznie wykończyć druidów – poza Theophilusem. Gdybym go wyeliminował – a przecież i tak do tego dążyłem – być może reszta wampirów tak się skupi na wewnętrznych walkach o władzę, że zostawi trzech druidów tego świata w spokoju.

<Jasne, że mam! Nie musimy zaraz wchodzić do Mordoru. Możemy wskoczyć na orły i polecieć wprost na Górę Przeznaczenia!>.

– Pytanie brzmi, skąd wytrzasnąć orły. To znaczy, na czym polega ten oczywisty skrót, który sugerujesz. Nawet nie wiem, gdzie się ten Theophilus ukrył, a że technicznie rzecz ująwszy, jest martwy, to nawet nie sposób go wywróżyć. Wiem, że się przemieszcza, i wydaje mi się, że w końcu osobiście mnie zaatakuje, jeśli poczuje się wystarczająco zagrożony. Miałem cichą nadzieję, że cisowcy będą mieli fuksa i sami na niego trafią albo mi go chociaż wypłoszą z kryjówki, ale teraz nie ma już na to szans.

<A kto by mógł wiedzieć, gdzie go szukać?>.

– Może Leif... Muszę zadzwonić. – Hal dał mi już raz numer do Leifa, ale zamiast go zapamiętać, zapisałem go bezmyślnie w komórce, a ona została sobie w Toronto, gdy Owen porwał mnie ze szpitala. Ale mogłem przecież znów zadzwonić do Hala. – Chodź, Oberonie. Wejdźmy do środka. Ta rada zasługuje na smakołyk.

<Tak! Wiesz, Atticusie, tak sobie myślałem, że naprawdę potrzebuję nazwiska, a teraz tak mi przyszło do głowy, że Hau-Smakołycki brzmiałoby nieźle, co myślisz?>

– Oberon Hau-Smakołycki?

<Brzmi pięknie, co?>.

Gdy nie odpowiedziałem, spytał zaniepokojony:

<Co? Czy proszę o zbyt wiele?>.

Zapukałem do drzwi, ale potem otworzyłem je i krzyknąłem do środka, że to ja.

– Proszę, proszę! Wchodź! – odezwał się męski głos i z głębi domu wyłonił się Ty.

Właśnie szykowałem na obiad kotlety z bizona, więc przynajmniej sprawę smakołyku dla Oberona miałem z głowy. Pożyczył mi też telefon, żebym mógł zadzwonić do Hala. Ale gdy szukałem Hala, pod H zobaczyłem Helgarsona.

– Ty, znasz Leifa Helgarsona?

– Tak tylko z widzenia. To boss wampirów w Arizonie, więc siłą rzeczy zna wszystkich przywódców watah i ich zastępców. Zawsze dzwonił grzecznościowo, uprzedzając nas, jeśli wkraczał na nasze terytorium.

– To aktualny numer?

– Chyba tak. Uaktualniłem go, jak Hal tu był i dzwoniłeś.

– Super.

Kotlety już się smażyły na patelni, gdy zadryndałem do mojego byłego prawnika. Odebrał od razu po drugim sygnale, z czego wnioskowałem, że znajduje się na drugiej półkuli, gdzieś, gdzie jest noc. W jego wyniosłym kulturalnym głosie pobrzmiwało rozbawienie.

– Witaj, Ty – powiedział, rozpoznając ID dzwoniącego.

– To nie Ty. Mówi Atticus.

– A, mój ulubiony druid. Jak miło cię słyszeć.

Zupełnie nie byłem w nastroju na takie uprzejme pogawędki z tym typkiem i prawdę powiedziawszy, nie pamiętałem już czasów, gdy miałem na nie ochotę.

– Gdzie jesteś, Leif?

– A czemu pytasz? Nadszedł czas, by pozbawić mnie ciężaru nieżycia?

– Jeszcze nie. Interesuje mnie raczej, czy jesteś z Theophilusem.

– Nie. Zostałem wygnany. Jak Lucyfer w wątpliwym niebie wampiryzmu.

– O ile dobrze pamiętam, Lucyfera do upadku doprowadziła pycha, więc coś tu jest na rzeczy. Chyba że to przeze mnie.

– W rzeczy samej przez ciebie, ale wierz mi, nie narzekam. Wciąż siedzę sobie na wybrzeżu Normandii, niedaleko miejsca, gdzie się ostatnio spotkaliśmy, i sączę do woli nasączoną winem krew Francuzów. Najbardziej mi smakuje ci, którzy gustują w *pinot noir*. Cóż za bukiet.

– Cieszę się twoim szczęściem. A skoro jesteś taki zadowolony z życia i nic ci nie wiąże rąk, to nie powinieneś mieć problemu ze zdradzeniem mi, gdzie przebywa Theophilus.

– Mój jedyny problem wynika z niepewności. Teraz, gdy wypadłem z łask, nie informuje mnie już o swoich ruchach.

– Wystarczy mi twoje przypuszczenie albo wskazówka, kto może wiedzieć.

– Niestety nie mam już żadnych zaufanych współpracowników, którzy by byli blisko niego. Strzelałbym, że znajdziesz go w Pradze.

– To duże miasto, Leifie. Gdzie konkretnie?

– Najbardziej lubi Grand Hotel Bohemia. Ciężkie zasłony w oknach i ścisłe przestrzeganie prywatności gości.

– Lepiej, żeby to nie była pułapka, Leif.

– Jak już mówiłem, tylko strzelam. Możesz wykorzystać moją intuicję albo i nie, jak ci serce dyktuje.

Jasne, że ją wykorzystam. Zostawię Fragaracha u Tya i Sama, wezmę mój nowy kołek i zrobię, co mi serce dyktuje.

– Smacznego pinota – powiedziałem mu jeszcze i się rozłączyłem.

Rozdział 15

Minęło zbyt dużo czasu, odkąd ostatni raz spałem. Greta mi nie pozwalała, póki całkowicie nie opanuję wstrząśnienia mózgu. Nim mój wzrok i umysł się rozjaśniły, zrobiło się już ciemno na dworze. Na domiar złego Greta zabrała mnie do jednego z tych szpitali, co to Siodhachan w takim był, i poddaje mnie teraz torturom za pomocą różnych maszyn robiących zdjęcia bebechów bez rozcinania skóry. Oczywiście miałem już dość czasu, by Gaja mi pomogła, tak więc lekarz oznajmia Grecie: nie, pan Kennedy nie ma wstrząśnienia mózgu, ale jego lewe ramię jest coś nie w porządku, prawda?

Przedstawił się jako doktor Sudarga i pachnie, jakby za bardzo lubił mydło waniliowe. Greta wyjaśnia mi potem, że po nazwisku można się domyślić, że jest z miejsca, które się nazywa Indonezja, albo w każdym razie, że jego rodzina stamtąd pochodzi. Facet pokazuje mi zdjęcia rentgenowskie, na których widać wszystkie złamania, zerwane tkanki i bogowie wiedzą co jeszcze. Bardzo sprytnie. Dzięki takiemu obrazkowi wiem teraz, na czym się skupić, i będę mógł się o wiele skuteczniej leczyć.

– Świetnie – mówię mu. – Zaraz się tym zajmę.

– Słucham? Czym się pan zajmie?

Znowu coś palnąłem nie tak. Greta natychmiast mu wyjaśnia.

– Ma na myśli, że będzie odpoczywał i postępował zgodnie z zaleceniami pana doktora.

– Ale nie będę brał żadnych prochów – zastrzegam się, a Greta wzdycha i chowa twarz w dłoniach. Wnioskuje z tego, że mam robić wszystko, co każe ten cały Sudarga, który teraz patrzy to na nią, to na mnie.

– Jeśli nie chce pan brać środków przeciwbólowych, to oczywiście pana decyzja – mówi. – Ale naprawdę musimy unieruchomić to ramię.

– Tylko spróbuj, synek, to zobaczysz, co ja tobie unieruchomię.

– Owen! – krzyczy Greta.

– Co? Nie potrzebujemy już żadnych zaleceń ani nic. – Rozumiem, że jakoś go niby uraziłem, więc odwracam się do niego i próbuję mu delikatnie wyjaśnić: –

Słuchaj, Sudarga, dzięki wielkie za pokazanie mi tego obrazka z kośćmi, ale naprawdę nie chcę ci już zabierać czasu. Trzeba mi tylko kapkę whisky i idę spać.

– Jeśli nie unieruchomimy tego ramienia, mięśnie mogą się źle zrosnąć i może dojść do trwałych uszkodzeń. Może się to skończyć operacją.

– Niczym się nie skończy. Mówię ci przecież, że się tym zajmę. Zagoi się.

– Jeśli ten pan opuści szpital bez leczenia, nie mogę brać odpowiedzialności. – Doktor mruga i patrzy na Gretę.

Jest to tak oczywiste, że naprawdę nie wiem, po co to w ogóle mówi.

– Niech harmonia będzie z tobą – życzę mu i wychodzę z gabinetu. Słyszę, jak Greta go jeszcze przeprosza, co jest moim zdaniem zupełnie zbędne, a potem, co gorsza, strzela mi długie kazanie o tym, że takie dziwaczne zachowanie pójdzie do dokumentacji i może mi ściągnąć na głowę jakieś dochodzenie. Że trzeba było dać sobie zapakować rękę w temblak, a potem zdjąć go po prostu w domu.

– Jeśli nie będziemy się pchać do lekarzy, nie będziemy musieli niczego udawać – odpowiadam jej. – Słuchaj, już jest, cholera, świt. Siedzieliśmy tam całą noc, żeby się dowiedzieć, że nie mam wstrząśnienia mózgu i moje ramię jest do niczego, chociaż przecież wiedzieliśmy to już na wejściu.

– Chciałam się upewnić, że z twoją głową wszystko w porządku, a to był jedyny sposób. Wataha z Tempe ma swojego lekarza, który wie, że nietypowo się leczymy, ale ze wszystkimi innymi trzeba iść na ustępstwa.

– Ustępstwa? A może oni by mi ustąpili z drogi i dali święty spokój – gderam.

– Ależ ty jesteś kłótlivy! Gdybyś nie był akurat cały obity, tobym cię trzepnęła!

– No wiem. Przepraszam, miłości. Po prostu martwię się tą całą Fand i wolałbym jak najszybciej ustalić, którędy ten troll się do nas dostał.

– Masz uczniów, których miałeś zacząć uczyć dziś rano.

– Ano, ale się boję, że nie jest jeszcze bezpiecznie puszczać ich luzem po naszej ziemi. Najpierw muszę zlikwidować to przejście, którym troll dostał się do mojego gaju. Pójdiesz ze mną do lasu, żeby się rozejrzeć? Wpierw muszę tylko popracować trochę nad ramieniem.

– Jasne.

W domu mogę wreszcie połączyć się z ziemią, posplatać wszystkie małe złamania i upewnić się, że mięśnie zrastają się prawidłowo. Trochę im to zajmie, zanim się odbudują i będę mógł używać ramienia, ale gdy już wiem, że wszystko idzie w dobrym kierunku, wykorzystuję sztuczkę, której nauczył mnie Siodhachan,

żeby wyciszyć ból, i pozwalam, by ciało już samo się leczyło podczas spaceru. Na wszelki wypadek wsuwam palce w kastety. Licho wie, co znajdziemy wśród tych sosen.

W Irlandii nie mieliśmy za dużo zimozielonych drzew, więc ten zapach jest dla mnie wciąż czymś nowym. Lubię ten las i chrzęst igieł pod stopami, szelest kopanych szyszek i paplanie wiewiórek. Greta idzie po mojej prawej stronie. W zimnym powietrzu jej oddech zmienia się w parę. Mamy zimowy rześki poranek, w każdym razie prawie zimowy. Nim się obejrzymy, już będzie przesilenie. Greta uśmiecha się do mnie i jest w jakimś romantycznym nastroju, bo łapie mnie za rękę i ją ściska.

– Lepiej się czujesz? – pyta.

– Trochę – przyznaję. – Drzewa to zawsze najlepszy lek na wszystkie współczesne bzdety.

– W jaki sposób ustalimy, którądy przelazł troll?

– Albo po zapachu, bo na wszystkich pijanych bogów cuchnęło od niego na kilometr, albo może jakimś fuksem namierzę ścieżkę w magicznym spektrum.

– Może po zapachu byłoby szybciej – stwierdza Greta.

– Ano. Jak już dojdziemy do końca tropu, będziemy wiedzieć, że tam gdzie się pojawił, i wtedy albo odplotę to drzewo, albo jeśli to Stara Droga, to ją jakoś zniszczymy.

– Czym to się różni?

– Hmm. To trochę jak różnica między drogą publiczną i prywatną. Splecionych drzew mogą bez ograniczeń używać tylko druidzi, bo jesteśmy spleceni z Gają. Pomniejsze faerie też mogą przez nie przechodzić, ale nie potrafią nikogo zabrać ze sobą. Lecz Stare Drogi, które zbudowali Tuatha Dé Danann, są jak wasze autostrady. Każdy może po nich podróżować, nie potrzeba do tego żadnych magicznych zdolności, z wyjątkiem może jakiegoś sposobu, by dostrzec samą ścieżkę. Tego więc chyba szukamy, bo trolle nie potrafią przelazić przez nici z Tír na nÓg, chyba że jakiś druid by je przeniósł. I bogom dzięki, że nie potrafią. Jeszcze tego brakowało, żeby nam się trolle panoszyły po całym świecie.

– Dobra, w każdym razie niczego raczej nie wytropisz w tej postaci, a jeśli będziesz się próbował przemienić, jeszcze bardziej sobie potrzaskasz ramię, nie? Wychodzi więc na to, że powinnam pewnie odegrać rolę bloodhouna. – Rozpina kurtkę i zrzuca ją na ściółkę.

– Co? Nie, nie musisz przez to przechodzić. Przemienię się i nic mi nie będzie. Będę szedł na trzech nogach i dalej się leczył.

Greta rozgląda się wokół.

– To żaden kłopot, Owenie. Słuchaj, jesteśmy już na tyle głęboko w lesie, że nikt mnie nie zobaczy.

Jej dłonie przesuwiają się na brzuch, chwytają dół koszuli i przeciąga ją przez głowę płynnym ruchem.

– Śmierzące gówno mnie obchodzi, czy ktoś cię zobaczy czy nie. – Zaczynam rozpinąć koszulę tak szybko, jak się da jedną ręką. – Po prostu nie chcę, żebyś przechodziła przez cały ten ból, skoro nie jest to konieczne.

– To kochane z twojej strony, Owenie – mówi, ciskając koszulkę na ziemię przy kurtce i zabierając się do dzinsów – ale już dawno nie boję się bólu. Nie da się go uniknąć, więc po prostu akceptuję go jako nieodłączną część życia.

– Ale tego akurat da się uniknąć. Greta, mówię ci przecież, że to zrobię...

– Nie. Ciii!

Kładzie palec na ustach i wskazuje mi coś na wzgórzu. Jej oczy nagle skupiają się na czymś za moim lewym ramieniem. Obracam się i widzę wyłaniającego się zza sosny niebieskiego trolla. Jeszcze nas nie zauważył. Macha na kogoś, kogo nie widzimy, kto też się po chwili wynurza. Jeszcze jeden troll, tym razem o brązowej skórze. Wychodzi zza drzewa, które nie jest dość grube, by mógł się za nim schować. To musi więc być koniec Starej Drogi. Przełazą tu z jednej z irlandzkich krain.

Teraz to ja pośpiesznie rozrywam ciuchy.

– A niech mi królowa jaja zaparzy w filiżance z herbatą, ten drań miał kumpli! Odwrócę ich uwagę, jak się będziesz przemieniać – szepczę, bo jej transformacja trwa dłużej niż moja. Zza drzewa wyłażą jeszcze dwa trolle. – Gdyby udało ci się wezwać jeszcze kogoś przez łącze watahy, to byłoby super.

Kiwa głową i nie przestaje się rozbierać. Gdy tylko pozbywam się ciuchów, przemieniam się w niedźwiedzia i ładuję kastety.

Kości Grety zaczynają trzeszczeć i pękać, co oczywiście przykuwa uwagę trolli. Teraz jest ich już sześć, a ja ryczę i pędzę pod górę na ich spotkanie, choć wypada to pewnie dość dziwnie, bo używam tylko trzech łap. Dwa mają prawdziwą broń, a pozostałe cztery pędzą teraz znaleźć sobie jakąś – czyli wyrrywają mi tu okoliczne drzewa. Jeden z nich łapie za drzewo kotwiczące Starą Drogę, ale inny wali go po łbie i wrzeszczy:

– Nie to! To jest nam potrzebne!

– Racja. I tak za duże – odpowiada tamten, a ja już jestem tuż przy pierwszym, niebieskim. W przeciwieństwie do wczorajszego trolla ten ma przynajmniej starannie schowane klejnoty, a w dodatku postanowił ozdobić swoje ciało czaszkami mniejszych ofiar i zębami większych. Zawiesił je sobie na sznurku na szyi, grzechoczą więc upiornie przy każdym jego ruchu. Wyraźnie lubi się popisywać. Ma też jakąś szalową maczugę, rzeźbioną, a nie wyciosaną byle jak. Patrzę, jak ją trzyma na ramieniu, odczekuję na odpowiedni moment i gdy już jest blisko, staję na tylnych łapach i zamachuję się mosiężnymi pazurami na maczugę. Przebijają się przez drewno, roztrzaskują je na drzazgi i troll zostaje z garścią wykałaczek, ale bez żadnych obrażeń. Dołącza do nas ten brązowy i strzela mi kolanem z lewej strony... oczywiście trafia w moje potrzaskane ramię. Toczę się z boczem i zdycham z bólu. Cholera, to nie fair, jakie te trolle są jednak silne. Niemal słyszę głos doktora Sudargi: „A mówiłem, że powinniśmy unieruchomić to ramię?”.

Sprytniej by było walczyć teraz w kamuflażu, ale Greta jeszcze nie skończyła przemiany. Skomli, wyje i trzeszczy, a trolle nie wiedzą, co o tym myśleć. Jeśli wypuszczono je tak jak mnie z Wysp Czasu, to w życiu w ogóle nie słyszały o wilkołakach. Może wydaje im się, że to jakieś ranne zwierzę – bo też trochę tak jest – w każdym razie nie uznają jej za zagrożenie. Wolałbym, żeby za bardzo się jej nie przyglądały, muszę więc zostać na widoku i dalej im dokuczać. Kuśtykam z powrotem na moich trzech łapach i znów atakuję niebieskiego. Z pomocą Gai udaje mi się skoczyć o wiele wyżej, niż to powinno być możliwe (dzięki czemu Greta przestanie wreszcie nazywać mnie Misiaczkiem na rzecz Latającego Niedźwiadka). Niebieski nie daje rady uciec na czas, tylko unosi rękę, żeby zablokować atak. Mosiężne pazury przebijają się przez nią, potem przez pierś, niszczą jego naszyjnik z czaszek i wreszcie docierają do bebechów. Część wypada na ziemię. Potem już się facet tylko martwi o to, czy da się je zapakować z powrotem, więc mam go z głowy. Na głowie mam za to pozostałe pięć trolli, bo skupiam teraz ich całą uwagę. Brązowy ma prawdziwą maczugę, reszta tylko drzewka. Ci z drzewami muszą unieść je nad głową, żeby mnie zdzielić – nie mogą zamachnąć się z boku, bo zaczepiliby o inne, szczęśliwie rosnące jeszcze drzewa. Łatwo więc mi unikać ich ciosów. To na brązowego muszę uważać. Ma prawdziwą maczugę z kolcami, więc jak mi nią przyłoży, to znów wyląduję w tym cholernym szpitalu.

Brązowy rusza naprzód z rykiem, a ja kuśtykam w jego stronę z podobną pieśnią na ustach. Zamachuje się maczugą w długim, równym łuku, więc muszę jakoś uskoczyć i ląduję na prawym boku, ale i tak udaje mu się drasnąć mnie jednym z kolców. Zadrapanie jest dość głębokie. Niedźwiedzie są silne, lecz niespecjalnie zwinne na ziemi, więc słabo ze mną. Z głośnym „Raaa!” rzuca się na mnie i zamachuje znów maczugą, a jego towarzysze uśmiechają się szeroko i zagrzewają go do zadania ostatecznego ciosu.

Wszyscy jesteśmy zaskoczeni – choć brązowy jednak najbardziej – gdy nagle wyskakuje na to Greta i zatapia mu kły w szyi. Powala go na ziemię z taką siłą, że nie daje rady już puścić tej szyi, przez co wyrywa mu z niej kawał mięsa. Otrząsa pysk kilka razy, po czym ukazuje zakrwawione zęby innym trollom i szczeka na nie groźnie.

– To nie jest normalny wilk – stwierdza jeden z nich. Jakiś uczony troll. – I nienormalny niedźwiedź. Zwierzęta tak by nie potrafiły nam zrobić.

Aha, ma na myśli naturalną zbroję, jaką jest skóra trolla. Cóż, wilkołaki bez trudu radzą sobie z taką pomniejszą magią, a mosiężne kastety Creidhne’a reprezentują magię o wiele wyższego rzędu.

Cztery na dwoje. Są ostrożne, silne i powolne. Gdy gramolę się z ziemi, przychodzi mi do głowy, że w sumie ja też jestem silny i powolny. Za to Greta jest szybsza niż ruchy jelit po zjedzeniu kilograma suszonych fig. A już na pewno o wiele szybsza, niż myślą trolle.

Spina mięśnie i skacze naprzód, atakując najbliższego, a on traci cenny czas na to, żeby się połapać, że nie, nie da rady unieść drzewa i jej nim rozplątać, zanim ona powali go na ziemię. Unosi więc pień i chowa się za nim, blokując Gretę, która chciała dotrzeć do jego gardła. Wilczyca odskakuje, zachodzi go od tyłu i rozszarpuje mu ścięgno pod prawą kostką, to, które dzisiaj ludzie nazywają imieniem jakiegoś greckiego wojownika. Troll ląduje na tyłku, ale Grety już pod nim nie ma. Drzewo spada prosto na trolla i nie robi mu wielkiej krzywdy, ale jednak musi je złapać, więc nie ma wolnej ręki, żeby zasłonić szyję. Greta rozszarpuje mu ją i od razu odskakuje, bo inny troll próbuje rozbić ją na miazgę prowizoryczną maczugą. Nie trafia i masakruje głowę kumpla. Udaje mi się poruszyć, choć wciąż powoli, ale trolle w ogóle nie zwracają na mnie uwagi, bo uznały, że Greta stanowi o wiele większe zagrożenie. Wszystkie uniosły maczugi i czekają, aż Greta znajdzie się w zasięgu ciosu. Jestem już w takim stanie, że jedyne, do czego mogę się przydać, to odwracanie uwagi, stoję więc za jednym z

nich i ryczę ile tchu w piersi. Dwa wciąż jeszcze strasznie się przejmują Gretą, ale ten mój obraca się odruchowo w moją stronę i oczywiście to na niego skacze wilczyca. Odbija się w biegu i już leci w stronę jego szyi. Troll orientuje się w ostatniej sekundzie, instynktownie puszcza drzewo i zasłania tors przed atakiem. Udaje mu się – jego łapa, sama wielka jak maczuga, odpycha Gretę i wilczyca ląduje na ziemi już z mniejszą gracją niż zwykle.

– Ha! – krzyczy jeden z nich. – A teraz rozwalimy...

Ale bardzo się myli. Greta z wyboru nie jest przywódczynią watahy, ma jednak charyzmę alfy i pod nieobecność Sama i Tya jej życzenie jest rozkazem. Przez łącze watahy wezwała rodziców moich uczniów i ich tłumaczy, pojawiają się więc teraz, by otoczyć pozostałe trzy trolle i je rozszarpać. Kilka wilków rzuca się nawet na mnie – tak są podekscytowane, że już nie wiedzą, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem – ale zaraz mnie puszczają i odwracają łby w kierunku Grety. Trzyma ich krótko i natychmiast posyła na niebieskiego, którego należy wykończyć, a potem upewniają się, że wszystkie trolle są już tylko bufetem dla sępów.

Dziwnie tak jakoś być niedźwiedziem z potrzaskanym ramieniem, więc przemieniam się z powrotem w człowieka, wrzeszcząc przy tym co niemiara, bo ból się jeszcze bardziej potęguje – jakiś odłamek kości ani chybi trafił w coś delikatnego. Ale udało nam się zlikwidować sześć trolli, i to tak szybko, że nie dały rady nawet zbliżyć się do dzieciaków, więc krzyczę:

– Uwielbiam razem z tobą spuszczać manto! – Greta otrząsa się porządnie i wywała jęzor w psim uśmiechu. – Idę po ciuchy i sprawdzić, co z tą Starą Drogą.

Unosi kilka razy łeb, co ma chyba znaczyć, że kiwa głową, więc schodzę w dół zbocza, wzdrygając się i kombinując, jak tu namówić moje pokiereszowane kości, żeby znów ze sobą ładnie współpracowały. Chyba to ramię będzie mi się jeszcze jakiś czas dawało we znaki.

Włożenie spodni zajmuje mi tyle czasu, że już nawet nie próbuję z koszulą, tylko ją biorę ze sobą. Greta czeka na mnie przy drzewie, zza którego wyłoniły się trolle. Przemieniam się w człowieka. Czekam, aż skończy, i mówię:

– Siodhachan twierdzi, że wilkołaki słabo znoszą podróże między krainami. Gunnar podobno zawsze strasznie wymiotował. Teoria Siodhachana jest taka, że wasze zabezpieczenie przed magią walczy z samym przenoszeniem międzykrainowym i przez to się źle czujecie. Lepiej więc, jak sam tam pójde.

– Bądź ostrożny – mówi, wciąż drżąc po metamorfozie.

– Będę. I wrócę, jak tylko się da.

Przełączam się na magiczne spektrum i widzę przed sobą Starą Drogę podświetloną jak szlak świetlików o zmierzchu. Sześć kroków do przodu, trzy kroki na prawo, szybko na lewo, jeszcze raz lewo, potem prawo, a z każdym krokiem oddalam się od stygnących ciał i sosnowego cienia i zbliżam do wiecznego lata w Tír na nÓg.

Gdy docieram do końca, jestem w jakiejś bliżej nieokreślonej części Tír na nÓg. Nie ma tu żadnych użytecznych drogowskazów, które by mi pokazały, jak dojść do Fand, ani żadnych faerii, które mógłbym przepytac na tę okoliczność. Stara Droga jest ukryta idealnie, bo znajduje się w miejscu zupełnie niczym się niewyróżniającym. Klnąc w duchu, znów przemieniam się w niedźwiedzia, bo tylko w ten sposób mogę iść za trollowym smrodem, który doprowadza mnie do rzeki. Wygląda na to, że trolle przyplłynęły tu łódką. To by było na tyle tropienia.

Ale skoro już tu jestem, mogę przynajmniej zajrzeć do więzienia Fand i zobaczyć, może tam znajdę jakieś wskazówki. Może choć wyłowuję, jak jej się udało uciec.

Umieściliśmy ją z Flidais w jednej z mało odwiedzanych przez jej ukochane skrzydlate faerie irlandzkich krain, która dawno temu miała nawet ładną nazwę, ale od wieków stanowi pustkowia zwane Badlands, na którym mieszkają tylko trolle, Firbolgowie i inne paskudztwa. Z Tír na nÓg łączy ją doskonale strzeżona Stara Droga. Panuje ogólne przekonanie, że jeśli się nią przejdzie do Tír na nÓg, to się żyje według zasad, ale jeśli się nią wejdzie do Badlands, to chrzanić zasady. Wystarczy, że postawisz tam stopę, a wszędzie wokół bandyctwo i twarda walka o przetrwanie. Jeśli uda ci się przez to przedrzeć, to już raczej nie wrócisz – nie masz sił, żeby przedostać się z powrotem. Toteż różne stworzenia żyją tu jak pustelnicy na zazdrośnie strzeżonych terytoriach. Wydawało nam się z Flidais, że jeśli ukryjemy tu Fand, z dala od tej Starej Drogi, nikt jej nawet nie znajdzie, a co dopiero miałby pomagać jej w ucieczce. Flidais po cichu stworzyła nową Starą Drogę, do której przechodziło się po obu stronach przez ukryte jaskinie, i ustawiła przy niej strażę, których, jak sobie uroiliśmy, nie da się skorumpować. Cela, w której siedziała Fand, była z zupełnie martwego materiału – szkła – i całkowicie odcięta od ziemi, bo zwisała z kamiennego sufitu na żelaznych łańcuchach. Żeby przypadkiem nie połączyła się jednak z ziemią, na wszelki wypadek pokryliśmy sufit warstwą twardego plastiku. Pozbawiona energii nie miała jak niczego rozpleść, żeby uciec. Jej strażnicy okuci byli w żelazną zbroję – to miało dodatkowo wybić jej z głowy wszelkie sploty – i nawet mieli na stanie talizman z

zimnego żelaza. Miano jej dostarczać pożywienie, wodę i cokolwiek by chciała do czytania, ale nic więcej. W celi stał nocnik, a kiedy Fand chciała, żeby strażnicy go opróżnili, miała się zakuć w żelazne kajdany.

Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy wchodzę do więzienia, a ona tam nadal jest. Patrzą na strażników. Cała czwórka tak, jak ich tam zostawiliśmy. Żadnych zmian. Tylko że ta sielankowa scena zupełnie nie pasuje do drobnego faktu, że ktoś mi zbudował Starą Drogę tuż pod gajem i że troll właściwie przyznał, że pomagała mu Fand.

– Dawno mnie tu nie było. Jakież wieści? Powinienem o czymś wiedzieć?

Strażnicy zapewniają mnie, że nie. Fand wpatruje się we mnie ze swojej celi. W jej oczach widzę palącą nienawiść. Wciąż jest olśniewająco piękna niczym kryształ lodu w słońcu. I taka, jaką ją Flidais urodziła.

– Kiedy ostatnio opróżnialiście jej nocnik? – pytam strażników.

– Kilka dni temu. Nie prosiła o to.

I to mi daje do myślenia. Jeśli to rzeczywiście nie Fand, tylko ktoś, kto ją udaje, nie będzie chciał dać się zakuć w żelazne kajdany, bo to by zniszczyło jego magiczne przebranie.

– Tak na moje oko czas by go więc opróżnić.

Podchodzę do celi i mówię jej, żeby się zakuła w kajdany. Robi to wolno, ale robi, i nic się nie zmienia w jej wyglądzie.

– Hmm.

Albo to naprawdę ona, albo to jakaś niezła iluzja, która wytrzymuje dotyk żelaza. To też niewykluczone. Nie zaszkodzi sprawdzić.

– Dajcie mi ten kawał zimnego żelaza, synki. Wchodzę do środka.

Oczy Fand rozszerzają się, gdy widzi, jak zbliżam się z zimnym żelazem w dłoni, ale nic nie mówi. Kiedy jednak kucam i wyciągam rękę z żelazem, żeby dotknąć nim jej stopy, odsuwa się.

– No już. Chcę przecież tylko sprawdzić, czy aby jesteś naprawdę Fand. Czy jesteś kimś, kogo zimne żelazo by zabiło?

Kręci głową.

– W takim razie daj mi to zrobić albo będę musiał poprosić tych synków, żeby cię kompletnie unieruchomili.

Kiwa głową i zamiera, gdy dotykam zimnym żelazem jej prawej stopy. Jej skóra zaczyna drżeć, marszczyć się i przebranie zsuwa się, ukazując najpierw nogi,

potem resztę ciała. Przede mną znajduje się człowiek, ale na pewno nie Fand. Taka sobie zwyczajna blada kobieta o zmierzwionych ciemnych włosach i dużym nosie.

– Tak myślałem – mówię. – Kim jesteś, bo to raczej jasne, że nie Fand?

– Jestem selkie.

– Selkie? – To logiczne, bo selkie jako jedne z niewielu pomniejszych faerii nie giną pod dotykiem zimnego żelaza. Ale to oznacza, że problem jest jeszcze większy, niż mi się zdawało. – Jedną z selkie Manannána?

– Ano.

– To on rzucił na ciebie przebranie?

– Ano.

– Cholera. – Obracam się w stronę strażników. – Kiedy był tu Manannán Mac Lir?

Patrzą po sobie i zapewniają mnie, że w ogóle go tu nie było. Wzdrygam się. Jasne, że nie.

– Kto zatem odwiedzał ją ostatnio?

– Kilka dni temu przyszła Flidais – mówi jeden.

Znów odwracam się do selkie.

– Więc Manannán przyszedł przebrany za Flidais, przyprowadził cię ze sobą, odwiedził Fand, zamienił wasze wyglądy i wyszedł z Fand?

Kiwa głową.

– Tylko że ja przyszłam przebrana za Peruna, nie pod swoją prawdziwą postacią.

Czyli że Manannán i Fand wyszli stąd jako Flidais i Perun. I nadal mogą tak wyglądać i robić sobie, co chcą.

– I odtąd nikt jej nie odwiedzał?

– Nie.

Czyli Flidais nie wie jeszcze, że Fand uciekła i że pomógł jej w tym Manannán. Brighid też nie.

– Możesz tu na razie zostać – mówię. – Niech kto inny cię osądzi. – Rzucam jej klucz do kajdan. – Otwórz sobie kajdany, gdy wyjdę.

A kto mnie osądzi? Obawiam się, że Brighid będzie miała w tej sprawie coś do powiedzenia. Zaufała mi przecież, że bezpiecznie zamknę Fand. Ale kto mógł przypuszczać, że Manannán wciąż tak ją kocha, że pomoże jej uciec, mimo że przecież dopiero co usiłowała zabić jego i jego selkie. I skąd się w ogóle

dowiedział, gdzie ona jest? Choć to pewnie nie ma znaczenia. Będziemy się martwić o takie szczegóły, jeśli kiedykolwiek ich znajdziemy.

Wychodzę z celi i rzucam strażnikom ich zimne żelazo.

– Synki, nabraliście się na proste przebranie. Od teraz każdy, kto tu wchodzi, ma najpierw dotknąć zimnego żelaza. Musicie mieć pewność, że wiecie, z kim macie do czynienia.

Wiem, że szanse są małe, ale na wszelki wypadek zaglądam do posiadłości Manannána – gdyby był na tyle głupi, żeby się tam schować. Ale nie jest. Miejsce jest zupełnie opuszczone, nawet zabezpieczenia porozplatali. Zniknęły świnie i owce. Ani jednej selkie bądź faerii. To znaczy, że przenieśli się gdzieś razem i coś knują. I albo zabrali ze sobą cały dwór, albo wszystkich wymordowali, żeby nikt ich nie wydał.

– Ale żałosny wór gnoju – mówię na głos w cichej zamkowej kuchni, która kiedyś buzowała życiem. – Wszyscy mamy przesrane i nikt nam nawet nie poda papieru, żebyśmy się mogli podetrzeć.

Mój wzrok pada na jakąś wyśmienitą whisky stojącą smutno na półce i przypomina mi się, jak powiedziałem doktorowi, że marzę już tylko o tym, żeby się napić i pójść spać. Wyciągam sobie szklaneczkę i biorę butelkę z półki. Na spanie nie mam teraz czasu, ale napić się mogę, czemu nie.

Rozdział 16

Tak na marginesie, Szango to superuroczy bóg piorunów. Mam bardzo mgliste pojęcie o jego panteonie, ale teraz, po kilku godzinach jego opowieści o bogach i wierzeniach jego ludzi, jestem zafascynowana i zawstydzona. Zafascynowana z oczywistych względów, ale zawstydzona, że niewiele dotąd wiedziałam o Oriszach. Taka jest przykra prawda, że w zachodnich systemach edukacji – a raczej w ogóle na Zachodzie – nie wiemy nic o bogactwie afrykańskich tradycji. Do tego stopnia, że wielu z nas tkwi w przekonaniu, że cały kontynent afrykański stanowi jakąś monokulturę, gdy tymczasem jest to niesamowita mieszanina różnorodnych tradycji. Lud Szango wywodzi się z regionu Jorubaland, który obejmuje południowo-zachodnią część współczesnej Nigerii oraz część Beninu i Toga, ale Szango mówi, że w wyniku wywozu niewolników z tych rejonów ma też wyznawców rozrzuconych po całym świecie. W rezultacie on i inni Oriszowie dużo przebywają poza ojczyzną, żeby opiekować się swoimi ludźmi, pomagać im. Wyobrażam sobie, że ponieważ Szango nadal cieszy się dość dużą popularnością na całym świecie, może być bogiem potężniejszym niż Perun.

Obawiam się, że gdzieś w połowie drogi przez Polskę Perun zaczyna się czuć nieco pomijany, tym bardziej że jego angielski nie jest tak dobry jak Szanga. Milczy przez chwilę i o ile mogę coś dojrzeć pod tą jego brodą, to chyba ma obrażoną minę. Zwracam się więc do niego po rosyjsku, bo z pewnością Szango nie mówi w tym języku.

– Czujesz się wykluczony z rozmowy, Perunie?

W pierwszej chwili unosi brwi, chyba żeby ukryć swoje uczucia, ale potem gęba rozdziawia mu się w dzieciennym uśmiechu. Odpowiada także po rosyjsku, bo w tym języku nie ma żadnych problemów.

– Może trochę. Wiem, że to głupie. Ale my, bogowie starych małych panteonów, nie jesteśmy zbyt pewni siebie. Wciąż mam problemy z angielskim i może nie dość pracuję nad tym, żeby się ich pozbyć. Więc jeśli teraz nie nadażam za waszą rozmową, to tylko moja wina. Wybacz mi moje fochy.

– Wybaczzone. I proszę cię, włączaj się do rozmowy, kiedy tylko masz ochotę. Lubię cię słuchać.

Gdy docieramy do Bydgoszczy, musimy się zdecydować, czy dalej biec zachodnim, czy wschodnim brzegiem Wisły, żeby dotrzeć do Warszawy. Wybieram zachodni, bo według żywiołaka jest bardziej lesisty, co pozwoli nam szybciej biec, a nie przejmować się drogami i ludźmi gapiącymi się na dziwną grupę überbiegaczy dotrzymujących tempa galopującemu koniowi i pędzącemu psu. A poza tym, jak już dotrzemy do Warszawy, to będziemy wtedy na tym brzegu, na którym mieszka Malina.

Wprawdzie wszystko mnie boli, ale myślę sobie, że to może być całkiem miła przebieżka. Mknjemy właśnie przez Kampinoski Park Narodowy, jakieś dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Warszawy. Jest zupełnie cicho, około trzeciej nad ranem i nic nie zapowiada ataku – on po prostu następuje. Z mgły wiszącej nad Wisłą wyłaniają się trzy szarawe sylwetki i suną na nas, błyskając białymi ogromnymi oczami. Ich ręce i palce są długie i patykowate, proste białe włosy zwisają upiornie z ich czaszek, tylko jakoś nie widzę nóg, ale może dlatego, że lecą.

– Oj, Perunie, co to? – szepczę.

Słowiański bóg piorunów odwraca się i bynajmniej nie jest zachwycony tym, co widzi.

– To nocnice!

Nie znam tego słowa, nawet nie wiem, jaki to język.

– Super, ale czym one są?

Nie ma już jednak czasu na wyjaśnienia, więc zakładam roboczo, że nie są to istoty przyjazne ludziom, bo jedna z nich przelatuje przez Scáthmhaide'a, którym się usiłowałam zasłonić, i zaciska zimne palce na mojej szyi, przyciskając mnie do ziemi z siłą dość zaskakującą jak na coś tak na pierwszy rzut oka ulotnego. To samo dzieje się z Perunem i Szangiem i obaj usiłują im się wyrwać. Problem w tym, że moja pięść i mój kij przelatują przez to coś, co przyciska mnie całkiem namacalną siłą do ziemi. Wyciągam nóż, dźgam i patrzę z przerażeniem, jak moja dłoń przechodzi przez zjawę. Z jej zębatach ust wypływa zachrypły, krztuszący się szept, który być może jest śmiechem; rękę zaciska mi na tchawicy. Nie mogę oddychać, nie mam sił walczyć z tym czymś. Oglądam się na bogów po pomoc, ale im wcale nie idzie lepiej. Nocnice duszą ich równie skutecznie, a obaj bogowie nie mogą im nic zrobić. Któryś z nich, a może obaj, przywołują wiatr, co wydaje się bardzo dobrym pomysłem, ale kończy się na poderwaniu paru liści i potarganiu mi włosów. Nad nami widzę kulę ognia i wiem już, co jest grane. To sprawka

Lokiego. Kula nie zniża się jednak, tylko uparcie wisi wysoko i patrzy. To już drugi raz, jak zastawił na mnie pułapkę, w której nawet nie walczy. I tak jak poprzednio, starannie wybrał istoty, przed którymi nie mam się jak bronić. Nie mam nawet pomysłu, jak bym miała spleść coś tak nienamacalnego, gdybym w ogóle miała jak wymówić zaklęcie.

<Granuaile!> wrzeszczy Orlaith w mojej głowie, gdy próbuję wymyślić, jak się pozbyć tego dziwnego ducha. Jego kościste palce zaciskają się na moim amulecie z zimnego żelaza i nic to nie daje. <Pomogę ci!>.

Nie, zaczekaj... – próbuję ją powstrzymać, ale ona już skacze na wredną nocnicę. Jestem pewna, że przeleci przez nią i wyląduje na mnie, ale nie, jest na jej plecach i jej zęby wbijają się w zjawę. Szepczący śmiech przechodzi w zdumiony wrzask. Orlaith ściąga ducha ze mnie, trzymając ją mocno zębami, kręci łbem, jakby bawiła się gryzakiem, i instynktownie próbuje złamać jej kark. Nie wydaje mi się, żeby nocnica w ogóle miała kręgosłup, ale o dziwo mojej suce udaje się ją rozszarpać na drobne obłoczki brudnej pary. Zachrypły krzyk cichnie, wybałuszone oczy gasną.

Kochana psina! Dziękuję! Zrobisz to samo z tą zjawą Szanga i Peruna?

<Dobra, ale mają okropny smak> skarży się Orlaith.

Gdy leci ratować bogów, oglądam się w stronę kuli ognia. Ani drgnęła. Sprawdzam, co z Miłozsem. Jest jakieś dziesięć metrów od nas, prycha niespokojnie. Znów nie mogę zrozumieć, dlaczego Loki nie wykorzystuje swojej specjalnej broni, którą mi ukradł – gdzie się podziały strzały Waju i wirujące ostrze Fuiiteach? Być może żaden z tych przedmiotów nie przetrwałby podróży w ogniu. Albo może oszczędza je na specjalną okazję – pewnie na Odyna, a może na Freję.

Orlaith likwiduje dwie pozostałe nocnice, stając się pierwszym wilczarzem w historii, który uratował aż dwóch bogów piorunów naraz, a gdy wstają z ziemi, mówię:

– Spójrzcie do góry, chłopaki. To Loki.

Podnoszą wzrok, namierzają kulę ognia i groźnie wykrzywiają twarze. W tej samej chwili unoszą broń do nieba i pogoda znacząco się pogarsza. Loki chyba jest jednak odporny na ich błyskawice. Jakoś nic mu się przecież nie stało, gdy zetknął się z Perunem pod Flagstaffem. Mimo to postanawia nie potęgować konfliktu i odlatuje na północ. Bogowie piorunów nie gonią go; są tu przecież po to, żeby chronić konia, a nie uganiać się za Lokim, tylko obaj wyzywają go od tchórzy. Nie zgadzam się z nimi, ale co się będę wychylać. Moim zdaniem Loki potrafi być

odważny, kiedy zechce. Po prostu nie jest głupi. Gdyby miał do czynienia tylko z jednym z nas, z pewnością by zaatakował, ale dwóch bogów piorunów plus druidka, która może w każdej chwili zniknąć z oczu i rąbnąć go po łbie – trudno to nazwać sprzyjającymi warunkami. A może wciąż jeszcze się leczy po tomahawku, który mu wbiłam w plecy. Mam taką nadzieję. Gdy wreszcie znika nam z oczu, obiecuję Orlaith, że wkrótce wybierzemy się na polowanie na sarny, po czym idę uspokoić Miłosza. Szango tymczasem wypytuje Peruna, co to było za lichy. Przysłuchuję się ich rozmowie, bo też chcę wiedzieć.

– Nocnica *eto* koszmar – tłumaczy Perun łamaną angielszczyzną. – Potępiona dusza, która dusi ludzi we śnie. One nie zostawiają żadnych śladów. Ale ja nie *panimaju*, bo one nigdy nie atakują tak jak te tutaj.

– Dlaczego nie mogliśmy ich dotknąć? – pyta Szango.

Perun wzrusza ramionami.

– *Kak* jest z koszmarami, *da*? One ciebie łapią i nie da się nic zrobić. Tylko obudzić. Ale my byli obudzeni, to dla nas nie ma ucieczki.

– To dlaczego Orlaith się udało je pokonać? – pytam.

– Każda *sobaka*, nawet mała, *znajet*, *sztó* zrobić. One strzegą nas przed duchami. Czasem w nocy szczekanie i człek myśli sobie, czego ty, *sobaka*, szczekasz? Przestań. Ale one widzą i słyszą to, czego my nie potrafimy. One odstraszą zjawy, one nas chronią. Koguty też to potrafią, ale nikt nie lubi kogutów, poza kurami. Dobrze, że ty lubisz psy.

Orlaith, czy to prawda? Czasami szczekasz na duchy?

<Może. Nigdy żadnego nie widziałam prócz tych tu. Ale czasem mam takie przecucie, że coś złego się zbliża, i wtedy szczekam, aż mi przejdzie. Oberon też tak robi>.

O kurczę, dziękuję.

– Nie na taką walkę liczyłem – przyznaje Szango.

– Loki rzadko daje ci taką walkę, jakiej chcesz – mówię. – Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby go zaskoczyć.

Biegniemy dalej, ale już z ostrą paranoją. Mimo to docieramy do Warszawy bez żadnych dodatkowych niespodzianek. Prowadzę Miłosza i naszą eskortę pod tę samą splecioną topolę na Polu Mokotowskim, gdzie mam nadzieję zastać znajomy sabat, lecz tym razem czeka na nas tylko Malina.

– Do świtu jeszcze daleko – marudzi czarownica, drżąc z zimna. – Ale żeś sobie wymyśliła porę do zwycięskiego powrotu, Granuaile. Z drugiej strony, jest to

jednak niewątpliwe zwycięstwo, ostatecznie więc ci wybaczę. Nie mogłam uwierzyć wróżbie, gdy to zobaczyłam. – Uśmiecha się z zachwytem na widok Miłosa. – Biały koń Świątowita. Podróż minęła wam bez większych kłopotów? O! – Jej wzrok przesuwają się na moją zakrwawioną koszulkę. – Raczej z kłopotami.

– Tych nam nie brakowało. Ale to nieważne. Nic mi nie będzie.

Przyciśnięcie do ziemi przez nocnicę nie bardzo pomogło mi w leczeniu ran. Bez pomocy Gai byłabym już kompletnym wrakiem.

– Nie mam przyjemności znać panów – zauważa Malina, spoglądając na Szanga i Peruna, ale nie jestem pewna, czy powinnam jej ich przedstawić.

– Płatna obstawa – rzucam więc na odczepnego i mam tylko nadzieję, że moje kłamstwo nie jest ewidentne. Zresztą do pewnego stopnia to prawda, przynajmniej jeśli chodzi o Szanga. Wspominał coś przecież, że Odyn chciał, żeby pomógł mi pokazać Lokiemu palec. Może mu zapłacić jakąś przysługą czy coś. Choć pewnie Szango ma w nosie przysługi Odyna. Tak czy siak, obaj bogowie piorunów trzymają się z dala, co odbieram jako znak, że nie chcą, żebym ich przedstawiała. – Są dość małomówni i zostawią nas, gdy tylko koń będzie bezpieczny.

– Rozumiem. Czas już więc na nas. Zabierzemy go do mnie. Dom i ziemia wokół są zabezpieczone.

– W jaki sposób, jeśli mogę spytać? To znaczy przed czym konkretnie?

– Przed ogniem oczywiście. Loki nie zdoła tu dać nam tak popalić, jak to zrobił na polu cebuli.

– A demony i duchy?

– To żaden problem. – Malina uśmiecha się z politowaniem. – Jeśli nawet przedrą się przez nasze zabezpieczenia, mamy na nie piekielne pejcze. Uspokój się. Władamy mocami Zórz, a to opiekuńcze boginie. Naprawdę potrafimy chronić nasze domostwa.

Pewnie wie, co mówi. Skoro Odyn nie ma nic przeciwko temu, żeby Miłosz zamieszkał u sióstr, musi być tu bezpieczniej niż w Asgardzie.

Malina oczywiście przewidziała, że przyjdziemy piechotą, przyjechała więc do parku rowerem.

– Musimy przekroczyć rzekę. To kilka kilometrów stąd. Przynajmniej będzie jakiś pożytek z tego, że przybyliście o takiej nieludzkiej porze. Ulice są praktycznie puste.

Idzie przodem, jej blond włosy pięknie się prezentują na tle czerwonego płaszczka, a my drepczemy za nią przez miasto ciesząc się ostatnimi minutami snu.

Przemieszczam się teraz znacznie wolniej, bo w większości są to zaasfaltowane tereny i muszę biec bez wspomagania ziemi. Gdy przekraczamy Wisłę, na wschodzie niebo nie jest już czarne jak smoła, jedynie ponure i szare. Kiedy skręcamy w ulicę Lipkowską w Radości, pierwszy promień słońca zapowiada świt. Wokół niemal sielanka – ogrodzone posiadłości, każda wielkości akra albo dwóch, trochę lasu. Dużo tu sosen, bo po tej stronie rzeki tereny są dość piaszczyste, a sosny zapuszczają korzenie wystarczająco głęboko, by się utrzymać. Im głębiej wchodzimy w to osiedle, tym bardziej cichnie miejski szum i aż trudno uwierzyć, że jesteśmy ledwie pięć minut od miasta, w którym dwa miliony ludzi szykuje się na Boże Narodzenie lub jakieś pogańskie zabawy.

Perun i Szango opuszczają nas, gdy docieramy do bramy ogrodu Maliny. Wzywają wiatry i unoszą się w przestworza. Gdy tylko są powyżej drzew, Szango skręca na południe, a Perun na północ. Można powiedzieć, że moja ściema na ich temat przeminęła z wiatrem.

– Płatna obstawa, powiadasz? – mówi Malina z takim przekąsem, że aż mnie kęsa.

– Taaa, a przy okazji bogowie piorunów. Sorki, jeśli zapomniałam o tym wspomnieć. Myślałam, że już wiesz.

– Wywróżyłam tylko przybycie ciebie i konia – mówi, otwierając kłódkę zawieszoną na bramce.

Kłódka wygląda normalnie, ale wystarczy rzucić na nią okiem w magicznym spektrum i oczywiście okazuje się, że wiszą na niej jakieś skomplikowane czary-mary. Zresztą cały płot pokryty jest warstwą magicznej ochrony i nawet nad posiadłością rozciąga się ochronny łuk połyskujący różnymi odcieniami fioleto, od lawendy po śliwkowy. Głowę daję, że kiedy mieszkałam z siostrami w tym samym budynku w Tempe, ich piętro w naszym wieżowcu też tak ostrzegawczo pulsowało.

Biały domek Maliny Sokołowskiej kryje się za brązowym drewnianym ogrodzeniem, które otacza dobre półtora akra ziemi. Architektura taka w stylu funky old school: małe okienka z trójkątnymi spadzistymi daszkami na drugim piętrze, kolumny na ganku i w ogóle. Tak na oko wybudowano go mniej więcej w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Szerokie kamienne schody prowadzące do głównej części domu pokryte są mchem. Są jeszcze dodatkowe schodki wiodące do osobnej części domu, być może przeznaczonej kiedyś dla służby lub gości.

Większość sabatu wyległa na schody, by nas powitać. Wszystkie zakutane są w płaszcze i fioletowe szale, a w dłoniach skrytych w rękawiczkach trzymają kubki termiczne z herbatą albo kawą. Na nasz widok uśmiechają się szeroko i szczerze. Berta rzuca się mnie ścisnąć i od razu pyta, czy nie mam może ochoty na ciasto.

– Wiedziałam, że dziś przyjdziecie – wyjaśnia – więc upiekłam je dla was.

– Bardzo chętnie – mówię. – Ale najpierw wolałabym się upewnić, że koń Świętowita jest bezpieczny. – A potem wszystkim im go przedstawiam: – Ma na imię Miłosz.

Z domu wylania się jeszcze kilka czarownic i cały sabat zbliża się do nas z wielkimi uśmiechami, by poznać konia, który trochę się płoszy na widok takiego tłumu. Posyłam mu uspokajające myśli i wyjaśniam, że to właśnie te kobiety się nim zajmą i będą go odtąd bronić przed bogiem, który wypalił mu piętno. Przypominam, że odtąd będzie miał pod dostatkiem jabłek i owsa, że będzie mógł wychodzić na spacer po lesie i cieszyć się niebem nad sobą.

Zna już Malinę, więc dość szybko mi idzie przedstawienie go jedynym czterem pozostałym czarownicom, które znam. Wskazuję mu Roksanę, Bertę, Klaudię i Kazimierę, a one witają się z nim serdecznie.

Potem jednak muszę zwolnić i przejść na tryb nagrywania. Oficjalnie poznaję oto resztę sabatu. Muszę powiedzieć o tym Atticusowi, gdy tylko się spotkamy. Zaraz po tym, jak zaczęłam u niego naukę, podpisał przecież traktat o nieagresji zaledwie z piątką z nich. Nowe członkinie sabatu nie są więc w zasadzie związane tamtymi postanowieniami. Będzie chciał wiedzieć o nich jak najwięcej. Nie powinnam też zapominać, że ściśle rzecz biorąc, mnie również nie obejmuje tamten traktat – a zatem w stosunkach ze mną siostry nie są związane żadnymi obietnicami. Kiedy uśmiechają się tak serdecznie, naprawdę łatwo można zapomnieć, że wcale nie jesteśmy przyjaciółkami. Choć być może chciałyby się zaprzyjaźnić. Malina jest naprawdę zupełnie inna niż ich poprzednia przywódczyni, Radomiła. Wszystkie nowe wiedźmy wyglądają na dwudziestoparolatki, ale to nic nie znaczy. Mam już przecież trzydzieści cztery lata, a wciąż wyglądam na dwadzieścia parę.

Martyna jest brunetką, ma grzywkę i koński ogon. Jej niebieskie oczy patrzą nader przenikliwie spod grubej warstwy maskary. Wąskie usta pomalowała na krwistoczerwony.

– Jeśli nie masz chęci na to ciężkie ciacho – zagaja – to upiekłam dla ciebie pyszne ciasteczka.

Posyła spojrzenie Bercie i unosi kącik ust. Berta mruży oczy i widać, że między nimi dwiema trwa przyjacielska rywalizacja, bo każda chce pierwsza wcisnąć druidce swoje wypieki.

– Czeeeść – mówi kolejna wiedźma, przechylając głowę i uśmiechając się do mnie. – Jestem Ewelina.

Jej uroczne powitanie dość ostro kontrastuje ze szwedzką deathmetalową koszulką, którą widzę pod kurtką. Czarne włosy zdobią niesamowicie różowe pasemka, w nosie ma kółko, mnóstwo kolczyków w brwiach i jeszcze jeden w dolnej wardze. W przeciwieństwie do pozostałych nie ma fioletowego szala, ale za to wybrała ciemnofioletowy cień do powiek. Palce układa w geście corna, jakbyśmy były na koncercie Dia, i kiwa głową.

– *Rock on* – dodaje jeszcze po angielsku i nie jest wykluczone, że to wszystko, co potrafi powiedzieć w tym języku, ale to nie szkodzi, bo jej uśmiech wystarczy, a poza tym, nie oszukujmy się, te kilka słów po angielsku to i tak więcej, niż ja umiem powiedzieć po polsku.

Agnieszka wydaje mi się bardziej zziębnięta od pozostałych, albo może ze zwykłej nieśmiałości otuliła się fioletowym szalem, tak że wystają jej tylko oczy i nos. Wygląda jak ten ludek z graffiti „Kilroy was here”, które było takie popularne podczas drugiej wojny światowej. Ma na dłoniach fioletowe rękawiczki, które zauważyłam, dopiero gdy wyciąga rękę, żeby mnie powitać.

– Nie umiem za dobrze piec ani właściwie w ogóle robić nic normalnego – mówi przeproszającym tonem. – Ale za to jestem niezła w zaklęciach ochronnych, gdybyś jakichś potrzebowała.

– To bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję.

Po niej podchodzi do mnie blondynka, która wyraźnie spędza sporo czasu na słońcu. Przedstawia się jako Dominika. Prawą część głowy wygoliła sobie zupełnie, ale na lewej ma proste długie włosy, trochę w stylu Nowej Fali z lat osiemdziesiątych. W odsłoniętym, niezwykle zgrabnym uchu ma aż osiem różnych kolczyków z pięknymi kólkami i ozdobami, a gdy zaczynam im się przyglądać, dociera do mnie, że to właśnie nimi się posługuje, by rzucać urok na ludzi. Ja cię kręcę, uszowiedźma. Mrugam rozpaczliwie i udaje mi się przenieść wzrok na jej oczy, które błyszczą z przejęcia.

– Uwielbiam konie – wyznaje. – Możesz przekazać Miłoszowi, że strasznie się cieszę, że z nami zamieszka? Jest po prostu boski!

Przekazuję rumakowi komplement, a on odpowiada uprzejmym rzeniem. Dominika wyciąga z kieszeni płaszcz jabłko i pyta:

- Mogę mu dać?
- Jasne.

Podsuwa mu je pod pysk na otwartej dłoni, a on chwyta je wargami i z lubością się w nie wgryza.

Magdalena ma tak gigantyczną szopę ciemnych włosów, że w ogóle nie widać jej szyi, a jej blada twarz zdaje się tonąć w czarnej wodzie. Ta cera w połączeniu z fryzurą niepokojąco przypomina mi Morrigan. Ale to nie włosów używa, żeby rzucać uroki na ludzi, tylko brwi, które mają kształt pięknych łuków i które bardzo sprytnie potrafi unosić pojedynczo.

Patrzy z ukosa na Bertę i Martynę i mówi:

- Nie jedz ciast i ciasteczek. Najlepsze są bułeczki.
- Aha. Czyli że upiekłaś bułeczki, tak?

Jej prawa brew unosi się ku niebu.

- Nie. Jak ja coś piekę, to wychodzi z tego, jak mawiacie w Ameryce, ostatni shit. Ale wiem swoje na temat śniadania. Słońce dopiero wstaje, więc nie czas na ciasta i ciasteczka. Powinniśmy ci dać porządne mięcho, ser i pieczywo. A jak pieczywo, to chyba jasne, że bułeczki.

<O, podoba mi się ta kobita> zauważa Orlaith.

Zofia jest drobniuteńka, może z metr pięćdziesiąt wzrostu, nie więcej. Na głowę zarzuciła kaptur z białym futerkiem, spod którego wyłania się gruby warkocz kasztanowych włosów. Skłania głowę na powitanie i mówi tylko:

- Miło mi.

Ma ciężki akcent i podejrzewam, że tak jak u Eweliny jej małomówność wynika głównie z ograniczeń językowych.

Patrycja albo jest córką jakichś imigrantów, albo w każdym razie jedno z jej rodziców nie ma polskiego pochodzenia. Jej skóra jest brązowawa, ale pewna jestem, że ludzie nieustannie wypytyują ją o rodzinę, więc tego nie robię. Jakie to ma zresztą znaczenie? Ubrana jest w zimowe ciuchy do biegania i na stopach ma szaleńczo jaskrawe adidas, więc domyślam się, że lubi ćwiczyć.

- Naprawdę przybiegłaś tu aż z Niemiec? – pyta.
- Tak. Ale z pomocą Gai. Daje mi energię i szybkość.

Ostatnia czarownica ma głęboko osadzone oczy, wąski nos i brązowe włosy obcięte równo do ramion. Podchodzi do mnie z prostokątną paczuszką.

– Jestem Anna – mówi. – A to dla ciebie.

– O! Dzięki, Anno – odpowiadam i biorę od niej prezent. Rozpakowuję go i okazuje się, że to tomik wierszy Szymborskiej, po polsku i po angielsku. – Och, wspaniale! Wielkie dzięki!

– Pomyślałyśmy, że to cię pchnie w odpowiednim kierunku – mówi. – Możesz zawsze liczyć na naszą pomoc z językiem.

– Już się nie mogę doczekać!

Wszystkie już poznałam, Miłosz dostał jeszcze parę jabłek i w końcu prowadzimy go za dom. Idziemy szerokim pasmem ziemi, które jest tu nie bez powodu – na tyłach domu stoi garaż, tak że nie widać go z ulicy. Jest tam też mnóstwo miejsca dla Miłosza, dobrze ponad akr przestrzeni. Przy płocie rosną cedry i zimozielone drzewka, żeby dodatkowo osłonić posiadłość.

Malina zauważa moje spojrzenie.

– Tak, mamy tu odrobinę prywatności. Jeśli spojrzysz w górę, zobaczysz, że gałęzie dębu i wierzby chronią nas też od góry. Możemy tu spokojnie wykonywać obrzędy, które wymagają przebywania na świeżym powietrzu.

Dostrzegam palenisko, nad nim wisi prawdziwy sagan. Pod drzewami stoi prowizoryczny ołtarz.

– Jakie to obrzędy?

– Na przykład twoja zasłona przed wywróceniem. Zaczniemy, gdy tylko będziesz gotowa. Nie ulega wątpliwości, że dotrzymałaś umowy.

– Już jestem gotowa. Zabierajmy się do roboty. Tylko jeszcze się upewnię, czy Miłoszowi niczego nie trzeba.

Przesyłam mu odpowiednie obrazy i pytam:

<Chcesz coś do jedzenia albo może wodę?>.

Wydaje mi się, że nie pogardziłby ani jednym, ani drugim, więc zwracam się do Dominiki:

– Chciałby coś do jedzenia i do picia.

– Świetnie! Niech idzie za mną, pokażę mu, gdzie go będziemy trzymać.

<Idź za Dominiką. To ta wysoka z jasnymi włosami> mówię mu i pokazuję ją palcem. Koń posłusznie drepcze za nią, a ona aż chichocze z radości.

– Ty naprawdę z nim gadasz! To takie cool. Druidzi są niesamowici.

– Dzięki. Wiedzmy też.

– Zostawcie dla mnie miejsce w kręgu, siostry – mówi Dominika. – Zaraz wracam, tylko zajmę się najpierw naszym przystojnym gościem.

Agnieszka prowadzi mnie do paleniska, gdzie wciąż żarzy się trochę węgielków. Wyjaśnia mi, w którym miejscu między ołtarzem a paleniskiem mam usiąść, z twarzą zwróconą w stronę północy. Sprawdza moją pozycję, poprawia mnie odrobinę i każe się nie ruszać, gdy już rozpoczną rytuał.

– Im mniej się będziesz ruszać, tym lepiej zasłona się przyczepi.

Patrycja dorzuca trochę drewna i rozpala ogień. Berta i Martyna stają przy ołtarzu i zaczynają siekać zioła, które leżały już tam przygotowane w tym celu.

Ewelina przynosi wiadro z wodą i wlewa ją ostrożnie do sagana. Gdy kończy, podnosi wzrok i podłapuje moje zaintrygowane spojrzenie. Znow się uśmiecha i pokazuje mi corna.

– *Rock on* – mówi.

Pozostałe wiedzmy stają wokół mnie w kręgu, w którym zostawiły miejsce dla czarownic, których nie ma jeszcze. Malina przyklęka przy mnie i wyjaśnia mi, co się teraz stanie.

– Nasza osłona przed wywróceniem to de facto błogosławieństwo udzielone ci przez Zorze. Z ich pomocą ukryjemy cię przed drugim wzrokiem, trzecim okiem, czwartym jeźdźcem, piątym elementem, szóstym zmysłem, siódmym synem oraz wszelkimi innymi wieszczami, bogami i metodami postrzegania pozazmysłowego.

Po takiej liście mam w głowie tyle pytań, że szkoda gadać. Najbardziej mnie intryguje ten piąty element, ale gryzę się w język, bo nie chcę tracić Punkcików Mądrości. Wygląda na to, że to, co od nich dostaję, to jakiś magiczny Multipass.

– Gdy już błogosławieństwo zostanie udzielone – ciągnie Malina – można je usunąć, jak uczyniła to twoja hinduska przyjaciółka w wypadku miecza pana O’Sullivana, ale wymagałoby to pracy jakiegoś uzdolnionego adepta magii i rytuałów. Nie jest to coś, co da się łatwo skasować.

– Rozumiem. Ale co z zimnym żelazem?

– Zimne żelazo pana O’Sullivana nigdy nie wpłynęło na zasłonę miecza, mimo że często jej dotykał. Potem będziesz mogła nosić ten talizman, ile tylko dusza zapagnie, ale teraz, na czas rytuału, musisz go zdjąć.

– Dobrze. – Zdejmuję naszyjnik i zakładam go Orlaith, prosząc, żeby mi go popilnowała.

– Poza tym pies będzie musiał wyjść z kręgu.

Nakazuję Orlaith poczekać na mnie poza kręgiem. Trzyma mi amulet i Scáthmhaide'a, a ja zaczynam czuć się bardzo nieswojo. Siostry Trzech Zórz mogą wykonać teraz, jakie tylko zaklęcie chcą, i nie jest zupełnie wykluczone, że zaraz oto nastąpi smętny koniec naiwnej druidki. Sama już nie wiem, czy to dobrze, że mam taką paranoję, czy to raczej żalosne, że jestem tak podejrzliwa wobec kobiet, które niczego złego mi nigdy nie zrobiły, za to były dla mnie tak serdeczne. No, może z wyjątkiem chwili, gdy Klaudia prychnęła na mnie zaczarowanymi ustami.

Pytanie brzmi: czy warto ryzykować śmierć, żeby zdobyć zasłonę przed wywróceniem? Ale biorąc pod uwagę wszystko, co już przeszłam, żeby ją zdobyć (w tym pokąsanie przez bogowęża), to chyba jednak odpowiedź brzmi: tak. W każdym razie na pewno nie chcę być nadal metodą na wywrócenie Atticusa, a tak mnie przecież traktują jego wrogowie. Póki nie będę miała dobrej zasłony, automatycznie będę uwikłana we wszystkie jego kłopoty. Ten bóg, tamten faeryczny potwór albo inny diabelski koleś – wszyscy oni będą mogli się mną posługiwać, żeby dotrzeć do Atticusa, jeśli czegoś z tym nie zrobię. I chrzanić to wszystko. Nie zamierzam być ich zakładnikiem, łącznikiem ani niczym innym. Chcę móc zniknąć z ich pola widzenia. Niezdobycie zasłony jest praktycznie równie ryzykowne jak dawanie siostrom szansy, by zrobiły ze mną, co zechcą.

– To zajmie około godziny i przez cały ten czas będziesz słyszała tylko język polski – uprzedza mnie Malina, zajmując swoje miejsce w kręgu.

– Jeszcze jedno – dodaje Berta. Kiedy się obracam, wskazuje mi posiekane rośliny na ołtarzu. – Będziemy musiały część tego powrzucać do sagan, więc może trochę cuchnąć. No i trochę cię trzeba tym posypać.

– Ale nie będziesz po tym brzydko pachnieć! – zapewnia mnie pośpiesznie Martyna. – To trochę śmierdzi tylko wtedy, jak się gotuje. A na ciebie musimy sypnąć tylko trochę surowych ziół, żeby móc się skupić.

– Aha... dobra – bąkam. – I z Fragarachem też było tyle zamieszania?

– Oczywiście – odpowiada Malina. – To tylko godzinka pracy. Pan O'Sullivan musiał się znacznie bardziej napracować, żeby sobie na to zarobić. I ty też musiałaś zrobić więcej.

Ma oczywiście rację, ale nie o to mi chodzi. Martyna posypuje mi włosy i ramiona mnóstwem krwawnika i innych ziół, których nie potrafię tak od razu zidentyfikować, a ja drążę:

– Nie, ale to wszystko. – Wskazuję kciukiem kwiaty we włosach. – Rzucałyście na miecz zioła i miałyście sagan i w ogóle? W Tempe?

– Tak. Miałyśmy na pustyni pewne odosobnione miejsce wprost idealne do rytuałów.

Kaszlę i kicham od nadmiaru pyłków.

– Będę mogła potem wziąć u was szybki prysznic?

– Oczywiście.

Jeszcze raz mi przypominają, że mam się nie ruszać, i zaczynają już na dobre. Czas mija powoli, spokojnie, gdy wsłuchuję się w obcy mi język i jego rytm. Im dłużej to trwa, tym bardziej wyluzowuję, bo tworzenie zawsze zajmuje więcej czasu niż niszczenie. Gdyby zamierzały mi zrobić krzywdę, już bym to poczuła. Orlaith zasypia ukołyszana ich głosami. Co jakiś czas nad naszymi głowami przelatują samoloty, ćwierkają ptaki. Ale poza tym słysząc tylko trzynaście nucących po polsku czarownic i czuć makabryczny smród walący od sagana. Pod sam koniec czuję lekkie ciśnienie na całym ciele i zatykają mi się na moment uszy. Wszystkie więdźmy unoszą wtedy ręce, odchylają twarze ku niebu i uśmiechają się w znajomej ekstazie. Zadziały przez nie boginie. Gdy Gaja przeze mnie przemawia, czuję coś bardzo podobnego.

– Już – mówi Malina. – Zostałaś pobłogosławiona, czy też dostałaś osłonę, jeśli tak wolisz na to patrzeć.

Przełączam wizję na magiczne spektrum i patrzę na ręce, nie wiedząc, czego oczekiwać, bo nie widziałam tamtej osłony na Fragarachu.

– Możesz sobie ją spokojnie wypróbować z pomocą jakiejś wieszczki albo boga – ciągnie Malina. – Gwarantujemy, że zadziała.

Nad moją aurą unosi się teraz delikatna warstewka fioletowej pajęczyny, niechybny znak, że Zorze rzeczywiście udzieliły mi błogosławieństwa. A może raczej należy powiedzieć (dopóki tego nie sprawdzę): coś się zmieniło, bo tego fioletu tu przedtem na pewno nie było.

Sprawdzę to potem dla pewności, ale i tak czuję, że mnie nie oszukały. Dobrze by było natomiast przetestować teraz, jak to się ma do zimnego żelaza.

Kilka czarownic składa mi gratulacje. Uśmiecham się w odpowiedzi, ale nic na razie nie mówię.

Orlaith, podaj mi, proszę, mój amulet – przesyłam prośbę do psa, wstając i otrzepując ramiona i włosy z kwiatów i pyłku. Budzi się i podchodzi, merdając ogonem.

<Czy już czas na śniadanie?>.

Chyba tak. Dziękuję – mówię, zdejmując z niej naszyjnik. Przekładam go przez głowę i pozwalam mu opaść tuż poniżej obojczyków. Patrzę na aureę, przyglądając się uważnie lawendowej warstewce na rękach. Nie znika, nawet nie migocze.

– Podziękujcie ode mnie Zorzom – zwracam się do Maliny, oddychając z ulgą.
– I wam także ogromnie dziękuję!

– Cała przyjemność po naszej stronie. Dopełnienie umowy zawsze daje poczucie satysfakcji.

<Jakie mamy plany na po śniadaniu?> pyta Orlaith.

Podejrzewam, że niewiele ją to obchodzi, tylko nie wiedziała, jak mi dyskretnie przypomnieć o posiłku.

Wyruszamy na tajną misję, bo w końcu możemy się tajniaczyć do woli – odpowiadam.

Rozdział 17

Praga to jedno z najpiękniejszych miast świata. Jak na mój gust plasuje się na pewno w pierwszej piątce. Architektura jest tak gotycka, że normalnie szok.

Wszystkie te wieżyczki na górze i kamienne zakrętasy pod nimi, do tego place pełne pomników z brązu, które upamięniają idee, a nie jakieś tam militarne podboje. Sceneria wprost szepcząca o magii, mistycznej euforii, no i śmiertelnym niebezpieczeństwie. To tu tysiąc lat temu przemieniono Leifa Helgarsona w wampira.

Przenieśliśmy się tu z Oberonem poprzez splecione drzewa rosnące na wzgórzu Petřín położonym na zachodnim brzegu Weławy. Było już dobrze po zmierzchu, bo musiałem przedtem nadrobić zaległości i się wyspać, a przy okazji podleczyć. Zachmurzyło się, wśród drzew wiła się mgła. Przystanęliśmy, by nacieszyć się zapachem.

<Byliście tu już kiedyś?> spytał Oberon.

– Sam byłem tu wiele razy, ale z tobą jeszcze nigdy.

<A zatem czas na pytanie, które zawsze zadaję w nowym miejscu: co tu mają do jedzenia, co by mi smakowało?>.

– Myślę, że gulasz. On cię zachwyci. Duszony na wolnym ogniu, mięciutka wołowina, gęsty ostry sos.

Ruszyłem w dół, w stronę mostu Karola, a Oberon dreptał za mną.

<Brzmi nieźle! Chętnie pogulam, skoro ty gulasz, Atticusie! Uch, dobrze powiedziałem? Gulać to czasownik, tak?>.

– Zwykle raczej nie, ale jak już to powiedziałaś, to myślę sobie, że powinien istnieć i czasownik.

<Tak! Już się nie mogę doczekać, kiedy sobie pogulam>.

– Zobaczymy, czy się uda. Najpierw musimy popolować na wampiry.

Przeszliśmy mostem Karola – pięknym zabytkiem zdobionym z obu stron barokowymi rzeźbami i oświetlonym latarniami wprost stworzonymi do nocnych spacerów. Przystanąłem przed pomnikiem Jana Nepomucena.

– Widzisz te tablice na dole? – spytałem Oberona, wskazując płaskorzeźby z brązu, które przedstawiały śmierć świętego Jana. – Zobacz, jak te ich kawałki błyszczą.

<No! A czemu są jakieś takie czyste?>.

– Bo ludzie ich dotykają i wypolerowali je przez te wieki aż do połysku. Według legendy, jeśli dotkniesz fragmentu po prawej stronie, tego, na którym święty zostaje wrzucony do rzeki, będziesz miał szczęście i wkrótce wrócisz do Pragi.

<Czekaj! A co tu jest na lewo? Hej! Ta lśniąca część na lewo to pies!>.

– Tak jest! Tego fragmentu po prawej ludzie dotykają, żeby im przyniósł szczęście, ale potem jeszcze głaszczą psa po lewej, bo psy są takie super. Głaskały go miliony ludzi przez kilka stuleci. I dlatego tak lśni.

<Kurczę pieczone! Ten to ma szczęście. To będzie odtąd mój najulubieńszy posąg>.

Pochyliłem się, żeby podrapać psa na płaskorzeźbie za uszami. Potem dotknąłem świętego na prawo. Nie jestem katolikiem, ale trochę szczęścia by się przydało, a poza tym – teoretycznie przynajmniej – Wielki koleś w Niebiesiech niby mnie popierał razem z kilkoma innymi bogami z rozmaitych panteonów (za sprawą Rebecki Dane), należał mu się więc przynajmniej taki grzecznościowy gest.

– Dobra, chodźmy. Ale bądź czujny i koncentruj się na zapachu martwych typków, a nie na gulaszu. Liczę, że mnie ostrzeżesz, zanim zaatakują.

Na wschodnim brzegu ruszyliśmy brukowaną ulicą Karlovą, mijając niezliczone sklepy z nieprzyzwoicie drogimi kryształami, bursztynowymi naszyjnikami i tanimi pamiątkami. Próbowano nas namówić na niemal każdą mijaną restaurację i nawet wciągnąć do teatru. Pod imponującym praskim zegarem astronomicznym ratusza staromiejskiego ludzie dzielili się na dwa typy: gapiących się z podziwem na zabytek i tych, którzy zmykali na widok Oberona. Turyści delectowali się piwem i jedzeniem w kawiarnianych ogródkach, a miejscowi cieszyli się ich pieniędzmi.

Przebiegliśmy przez rynek i pomknęliśmy ulicą Celetną. Przy Grand Café Orient skręciliśmy w lewo, w Královodvorską, która doprowadziła nas na tyły Grand Hotelu Bohemia. Pięciopiętrowy budynek górował nad tą wąską uliczką, a jego kremowa fasada zajmowała cały róg u zbiegu dwóch ulic.

Przystanęliśmy, nim wyszliśmy na owo skrzyżowanie.

– Dobra, Oberonie, czas na szybki quiz z wiedzy o *Gwiezdnych wojnach*. Jaki cytat powtarza się w tych filmach najczęściej?

<Wiem, wiem! „Mam co do tego złe przeczucie” w różnych wersjach>.

– Brawo! I tak właśnie jest. Nie ufam Leifowi. Ani żadnemu wampirowi, który jego jest. Dlatego właśnie będziesz moim asem w rękawie, na wypadek gdyby coś się zaczęło walić.

<Hmm, twoje złe przeczucie jest uzasadnione. Ja mam przeczucie, że tu śmierdzi zdechlakami>.

– To mnie nawet pociesza. Skoro są tu jakieś wampiry, to może któryś z nich to Theophilus. Może mogę odwalić Julie d’Aubigny i zakończyć to wszystko.

<Dawaj czadu! Bądź jak Julie!>.

– Na wszelki wypadek zakamufluję cię teraz i tu zostawię. Gdybym musiał uciekać, będę biegł tędy i masz powalić pierwszą osobę, która będzie biegła za mną, a potem mnie dogonić.

<Kumam. Da się zrobić. A potem już będziemy sobie spokojnie gulać, tak?>.

Zapewniwszy Oberonowi jako takie bezpieczeństwo (bo głównie dlatego go tam tak naprawdę zostawiłem, a nie przecież, żeby pomagał mi w ucieczce), ruszyłem w kierunku podwójnych drzwi hotelu. Rzuciłem oczywiście na siebie kamuflaż, bo chciałem móc wpierw wybałać teren.

Zewnętrzne drzwi prowadziły do niesamowitego szklanego foyer z posadzką wyłożoną kaflami oraz pięcioma panelami, z których, jak się okazało, dwa to były drzwi wiodące na lewo i prawo od centralnych paneli. Recepcja i schody znajdowały się na wprost, a po obu bokach widać było wyłożone wykładziną pomieszczenia, w których stały stoliki koktajlowe. Meble całe były w głębokiej czerwieni i złotych wzorkach, a w wielkich oknach wisiały ciężkie zasłony. Olbrzymi portret Karola IV, świętego cesarza rzymskiego z XIV wieku, który swoje rządy sprawował z Bohemii właśnie, spoglądał na gości hotelowych łaskawie, ale jednak dobitnie przypominając im, że Praga była niegdyś centrum zachodniego świata. Z tyłu, na lewo od recepcji i schodów, znajdowały się drzwi zdobione napisem Café/Bar, co sugerowało, że da się tu coś wypić. Za barem mignął mi jakiś znudzony barman.

Miejsca siedzące po drugiej stronie lobby zajęte były przez grupy po sześć osób, a gdy tylko przeszedłem na magiczne widzenie, okazało się, że każdy z nich to wampir. Wyciągnąłem kołek i zawahałem się, od którego zacząć. Który to Theophilus? Jeśli w ogóle tu jest.

Nie dane mi było się tego dowiedzieć. Jeden z wampirów na prawo miał na nosie jakieś dziwne okulary, które zignorowałem jako dziwny atrybut ofiary mody. I to był błąd. Były to gogle na podczerwień. Nie mógł przejrzeć mojego kamuflażu, ale bez wątpienia widział moje ciepło niewchodzące do lobby. I z pewnością czuł mój zapach. Zrozumiałem to, gdy wyciągnął komórkę, wcisnął coś na szybkim wybieraniu i powiedział po niemiecku:

– *Er ist am Eingang. Ja. Machen wir.*

Rozłączył się, skinął na innych po swojej prawej i wstali. Rzuciłem okiem na lewo. Wampiry w tej części lobby robiły to samo. Moje złe przeczucie znacząco się pogorszyło, a niemiecki wamp z goglami wrzasnął:

– *Schießt auf die Tür!*

Wyciągnął zza pazuchy karabin. Padłem na ziemię i dzięki temu zdołałem uniknąć najgorszej fali. O wiele częściej trafiali w siebie nawzajem niż we mnie, dostałem jednak w lewe ścięgno podkolanowe, gdy rzucałem się w stronę drzwi, żeby wyczołgać się na chodnik. Tam uświadomiłem sobie, że jeszcze nie mogę wstać, nie tylko przez tę kulę w nodze, ale także dlatego, że koleś w goglach zobaczyłby mnie wtedy na podczerwieni i mógłby mnie bez trudu ustrzelić, gdy będę biegł mu przed szybą w drodze do Oberona. Mój zapach też im pomoże, więc najlepszym wyjściem będzie przestać być na chwilę człowiekiem, żeby ich zmylić. Włączyłem charms przemieniający mnie w wydrę i wylazłem na trzech kończynach ze sterty ubrań, zostawiając je na chodniku, żeby ładnie wampirom pachniały, a potem z kołkiem w pyszczku schowałem się bliżej budynku, żeby moje ciepło nie promieniowało na wysokości okien, i podreptałem wzdłuż ściany. Miałem tylko nadzieję, że nie ma żadnych rannych poza wampirami. Właśnie gdy docierałem do narożnika, wampiry wypadły z hotelu na ulicę. Towarzyszył im człowiek, którego głos poznałem od razu.

– O’Sullivan! – darł się.

Wyrząłem zza rogu, żeby upewnić się, że to on. Wśród swojej wampirzej świty stał nie kto inny jak Werner Drasche i przyglądał się uważnie ulicy. Nie było wątpliwości, że już nie siedzi w kiciu w Toronto. I choć nie był teraz skrytobójczą pijawką, to dalej był moim utrapieniem i wykazywał niepokojący talent do przechytrzenia mnie. Widocznie czekał gdzieś w ukryciu, może w barze, i to do niego dzwonił tamten z goglami, który mnie zauważył. Naprawdę powinienem był go zabić, gdy miałem okazję.

A teraz Drasche miał swoją. Mieli taką przewagę liczebną i taką broń, że nie miałem żadnych szans na wygraną. Chyba że za sukces można było uznać to, że w ostatniej chwili udało mi się uniknąć zasadzki.

Spadamy, Oberonie – przekazałem wilczarzowi przez nasze mentalne połączenie. – *I nie zatrzymuj się, żeby powalać któregoś z goniących. Będę leciał, a ty biegnij za mną ulicami, dobra? Tylko spróbuj nie stratować żadnego turysty.*

<Okej>.

Przemieniłem się bezpośrednio w sowę, bo ręce miałem całe i zdrowe, a jak się ma skrzydła, to nogi nie są takie ważne. Rannym ścięgnem zajmę się potem. Gdy fruwałem w stronę Wełtawy, dobiegły mnie jeszcze kpiny Drasche'a:

– Nie masz szans wygrać tej wojny, O'Sullivan! Prędzej czy później cię dopadniemy!

Miał trochę racji. Mój cel był słuszny, ale nie wygram, jeśli poprzestanę na dotychczasowych metodach walki. Muszę wymyślić jakiś inny sposób na Theophilusa, bo przecież w Grand Hotelu czekali na mnie z bronią, goglami na podczerwień i osobistą, choć nieco martwą austriacką armią Drasche'a. Co oznaczało, że Leif znów mnie wystawił.

Rozdział 18

Prywatność daje pewną wolność – poczucie spełnienia i swobody, które wynika ze świadomości, że nikt na nas nie patrzy. To dlatego tak przyjemnie jest śpiewać pod prysznicem. Choć we współczesnym świecie, gdy wciąż jesteśmy w ten czy inny sposób kontrolowani, pewnie i ta prywatność, i wolność są tylko złudzeniem. My z Atticusem nie przejmujemy się aż tak zwykłymi sposobami kontrolowania obywateli. Wystarczy, że nie siedzisz w internecie, używasz komórek na kartę i płacisz, gdzie się da, gotówką, a przynajmniej będą się musieli mocno nagłówekować, żeby cię namierzyć. Posługiwanie się fałszywymi tożsamościami też bardzo pomaga. Ale prawdziwej prywatności – prawdziwej wolności – nie miałam aż do chwili, gdy osłona skryła mnie wreszcie przed wścibskim okiem bogów i wszelakich wróżbitów. I wiem dobrze, jak uczczę tę piękną chwilę.

Chcę wreszcie wyrwać metaforyczny cień, który tkwi w mojej psychice od lat, i przekonać się, czy mogę znów odnaleźć ścieżkę do szczęścia. Pytanie Lakshy o to, gdzie jestem w mojej duchowej podróży, nie daje się tak łatwo zapomnieć. Myślałam o nim dużo. Była w nim nagana, i to zasłużona. To mi przypomina retoryczne pytanie Whitmana z *I Sing the Body Electric*: „Czy wiesz dość, by najpodlejszego zwać ignorantem?”.

Nie. Oczywiście, że nie. A podstawowy problem jest taki, że nie wiem nawet dość o sobie. Mam wciąż stare rany, które nadal się nie zaleczyły, i muszę coś z nimi zrobić, żeby móc pomagać innym. Prawda jest taka, że przede wszystkim muszę odzyskać wewnętrzną równowagę.

Od dawna odkładałam to na później, bo wciąż są pilniejsze sprawy do załatwienia, ale czuję, że nadszedł wreszcie czas, by się tym zająć. Był to jeden z głównych powodów, dla których zostałam druidką, ale celowo czekałam, mimo że już dawno jestem spleciona z Gają, bo nie chciałam działać pochopnie. Na spokojnie planowałam tymczasem takie rozwiązanie, które przysłuży się Gai i jednocześnie pozwoli mi pokazać ojczymowi środkowy palec.

Jako dziecko, gdy zamieszkałam w jego domu w Kansas – trochę mniejszym, nie tym rozległym okropieństwie, które kupił, gdy byłam już nastolatką – szybko

zorientowałam się, że moja matka była dla niego tylko trofeum, a nie człowiekiem. Ja natomiast byłam ciężarem, który musiał tolerować, jeśli chciał zdobyć trofeum. Nigdy mnie nawet nie dotknął – mam więcej szczęścia niż tak wiele dzieci – ale jedyne uczucie, jakie zdołałam kiedykolwiek z niego wykrzesać, to spojrzenie pełne obrzydzenia. Ani jednego ciepłego słowa. Być może byłam dla niego nieznośnym przypomnieniem, że nie zawsze posiadał moją matkę. Wszelkie zainteresowanie, jakie mi okazywał, było markowane i pojawiała się tylko w obecności innych. Wiem, że mama musiała w nim coś widzieć, coś poza jego kontami. Wiem, że jej uczucie do niego nie było udawane. Może podziwiała w nim determinację. Mój ojciec też miał tę cechę. I pewnie ja też jej trochę mam. Być może to właśnie podziwiała u Beau.

Szczerze uśmiechnął się do mnie tylko raz – gdy machał mi na pożegnanie, kiedy wyjeżdżałam na studia do Arizony.

Tak więc muszę się uporać ze zranionymi uczuciami. I pewnie powinnam była zrobić to już dawno temu. Jego agresywna pogarda połączona z porzuceniem przez mojego wiecznie nieprzytomnego ojca nie wpłynęła najlepiej na moją psychikę. To przez niego wciąż bawiłam się na dworze, bo o wiele lepiej czułam się tam, gdzie nie mógł mnie kontrolować. Potem już nawet się nie bawiłam, tylko czytałem bez końca w domku na drzewie, który zbudował mi ktoś zatrudniony w tym celu przez matkę, bo przecież nie Beau. Siedziałam tam nawet po zmierzchu i zużyłam niezliczone ilości baterii do latarki. Czułam się tam o wiele bardziej domowo niż w sypialni, w której łaskawie pozwalał mi spać.

Ale Beau Thatcher miał wybitny talent do ranienia innych. Od zawsze uważał cały świat, w tym chodzących po nim ludzi, za coś, co powstało tylko po to, by on i jego kumple mogli mieć olbrzymie posiadłości, luksusowe samochody i kongresmanów w kieszeni. Jego moralny kompas zawsze wskazuje na niego samego – jest swoją własną północą. Udało mu się znaleźć trzech czy czterech skorumpowanych naukowców, którzy zaprzeczyli temu, że klimat się zmienia, a jego firmie zapewnili pseudonaukowe usprawiedliwienie, by bez przeszkód mogła dalej czerpać zyski.

A gdy teraz świat niszczą koszarne burze, susze, powodzie, gdy podnosi się poziom oceanów, ginie życie w morzach i na ziemi, on nadal umywa ręce, a jego pieniądze sprawiają, że może unikać kłopotów, z którymi boryka się większość ludzi. Świat nigdy nie pociągnie go do odpowiedzialności za jego wycieki ropy i zanieczyszczenie dwutlenkiem węgla, bo amerykańskie prawo jest tak

skonstruowane, by chronić takich jak on. Ale druidzkie prawo pozwala karać rabusiów, a ja jestem druidką. Do mnie należy je wyegzekwować.

Atticus uważa, że rozprawianie się z tymi, którzy niszczą ziemię, do niczego nie prowadzi, bo jest ich zbyt wielu, a druidów zbyt mało, i kiedy spoglądam na liczby na papierze, wiem, że ma rację. Ale moje serce nie potrafi potulnie zaakceptować tego, że przestępstwa przeciw ziemi są nieuniknione. To by było równoznaczne z uznaniem Beau Thatchera za siłę natury, a nie za pojedynczego głównianego człowieka. I to chyba w tym właśnie miejscu najbardziej się z Atticusem różnimy.

– Gotowa na przebieżkę, Orlaith? – pytam.

<Jasne! Gdzie? Wśród drzew?>.

– Chyba raczej nie trafi nam się zbyt wiele drzew. Będą za to równiny i piaszki preriowe.

<To jest taka dziwna nazwa. Przecież to wcale nie są psy!>.

– Ludzki język jest czasem dość pokręcony. Jakie suszone mięso mam zapakować? – pytam. Potrzeba mi dużo białka, żeby połatać moje poszarpane tkanki. – Który smak lubisz najbardziej?

<Każda suszona wołowina jest dobra. Byłe nie miała w sobie chrzanu albo musztardy>.

– Dobra. Dla ciebie wołowina, a dla mnie indyk.

W sklepie spożywczym napełniam plecak zapasami wody i mięsa, a potem przenosimy się do Kansas. Wszystko tak, jak to sobie starannie zaplanowałam.

Znam na pamięć położenie wszystkich szybów naftowych i rafinerii należących do firmy Thatcher Oil & Gas. Kontaktuję się z Amber, żywiołakiem Wielkich Równin, żeby wyjaśnić jej, jaki mam zamiar. Przeprowadzę sabotaż wszystkich szybów poprzez rozplecenie ich mechanizmów, a potem z pomocą Amber zatkam wszystkie odwierty bardzo twardą skałą. Jeśli spróbują wiercić na nowo, poniszczą sobie jeszcze więcej sprzętu, a Amber i tak da mi znać. To samo zrobię z rafineriami i całym ciężkim sprzętem, jaki mają, tak że wszystkie maszyny zmienią się w nienadające się do niczego kawałki metalu. Produkcja stanie i przedsiębiorstwo będzie musiało zastąpić całą swoją infrastrukturę nowym sprzętem. Nikt nie ucierpi. Po prostu wszystko utknie w bezruchu, a firma będzie musiała wydać mnóstwo kapitału, żeby znów zacząć funkcjonować. Ale przedsiębiorstwo Thatcher Oil & Gas kupowało ten sprzęt przez całe lata, a nie wszystko naraz, więc mam nadzieję, że będzie to za duży wydatek jak na

wymierający już przecież przemysł. Jeśli jednak dadzą radę to zrobić, znów im wszystko zniszczy tyle razy, ile będzie trzeba, żeby zbankrutowali i wszystko zamknęli albo żeby dotarło do nich wreszcie, że lepiej będzie zainwestować w energię wiatru i słoneczną.

Na początku jest to dość ekscytujące, gdy tak zamykam odwiert za odwiertem, ale po kilku godzinach zmienia się w nudną męczarnię. Żelaznych koni nawet nikt nie pilnuje; po prostu stoją na równinie i wykonują swoją monotonną pracę. W większości wypadków nawet nie musimy się zakradać. Nie potrafię zmieniać kształtu żelaza. Mogę tylko odpleść węgiel ze stali i tym sposobem zmienić wnętrze maszyn w stopioną maź i zimny żużel. Nie stanowi to specjalnego wyzwania i nie pomaga nijak naprawić szkody, którą firma wyrządziła przez wszystkie te lata, za to pochłania mnóstwo czasu. Ciągłe przemienianie się, bieganie i rozplatanie jest psychicznie męczące, ale nie tracę ducha, bo już się nie mogę doczekać, jak zobaczę minę ojczyma, gdy stanę przed nim i powiem mu, że to moja sprawka. Rozumiem już teraz jednak, dlaczego Atticus nigdy nie zdecydował się na tego typu pracę. Posprzątanie tego całego bałaganu dawałoby pewnie większą satysfakcję, ale z kolei nie przyczyniłoby się nijak do zapobiegania dalszym zniszczeniom. Sabotaż sprzętu zatrzymuje niszczenie ziemi, nie daje jednak zbytnej radości, poza może tą ponurą świadomością, że oto zrobiłam mały krok, a przede mną jeszcze ich tylko parę milionów.

Pod wieczór Orlaith nagle ma chęć zobaczyć lamy, spędzamy więc noc w Ekwadorze, na łące u stóp Andów, gdzie panuje teraz lato i wieczór jest ciepły. Orlaith rozciąga się w trawie przy mnie i wpatruje w stado lam pijących z jeziora.

<Są trochę jak owce z wyciągniętymi szyjami i nogami>.

A może ktoś wziął lamy i ścisnął je tak, że powstały owce.

<No tak! Co było pierwsze: lama czy owca?>.

Świetne pytanie. Może powinnam je zadać Gai.

Czas miło nam płynie, a ja wykorzystuję go na medytację przy ognisku. Jutro ważny dzień i chcę, żeby wszystko się udało. Mówię Orlaith, co zamierzam zrobić, bo dobrze jest usłyszeć taki plan na głos.

– Chcę, żeby zamknięto Thatcher Oil & Gas. Wiem, że konfrontacja z moim ojczymem będzie trudna, ale nie chcę stracić kontroli i stosować żadnej przemocy.

<Aha. Ale przypomnij mi, jakie to ma znaczenie? Bo wiesz, czasami trzeba skrócić jakiś kark, jeśli się chce zjeść>.

– To ważne, bo przemoc, albo groźba przemocy, jest męskim sposobem na rozwiązywanie problemów. Na przykład teraz Atticus uważa, że Theophilus go atakuje, więc w zamian on atakuje Theophilusa równie mocno, jeśli nie mocniej. Nie wiem wcale, czy istnieje jakieś inne rozwiązanie w tej akurat sytuacji, ale obawiam się, że on w ogóle się nad tym specjalnie nie zastanawia. Przyznaję, że są chwile, gdy przemoc stanowi jedyną opcję, i dlatego cieszę się, że jestem silna, ale chcę, żeby to nie było moje domyślne rozwiązanie na wszystkie problemy. Jeśli się tylko da, chcę wygrywać jako druidka, a nie jako twardzielka, która kopie tyłki komu popadnie.

<Wiem, co masz na myśli, jak mówisz, że przemoc bywa jedyną opcją. Z wiewiórkami na przykład nie pogadasz>.

– Sęk w tym, że ja owszem, pogadam. I muszę o tym pamiętać. Mam wiele opcji. Przemoc to dobrze wydeptana droga, ale ja bym wolała wybrać jakąś mniej uczęszczaną.

Orlaith nie jest znawczynią poezji Roberta Frosta, więc nie wyłapuje nawiązania.

<Ja tam lubię uczęszczane drogi. Mają mnóstwo fajnych zapachów>.

– To prawda, one też mają swoje zalety. Może nam się one teraz przyśnią.

Układamy się w trawie do snu i żeby zasnąć, próbuję liczyć lamy zamiast owiec, a przy okazji wciąż łątam mięśnie po starciu w Niemczech. Rano przemieniam się w jaguara i bawimy się z lamami w berka, żeby trochę się rozruszać. Potem przemieniam się z powrotem, ubieram i przez Tír na nÓg przechodzimy do Wichity w Kansas, gdzie znajdują się biura Beau Thatchera.

Napełniam srebrny magazyn Scáthmhaide'a i wykorzystuję splot wyrzeźbiony na nim zgodnie z instrukcją Flidais, żebyśmy stały się z Orlaith zupełnie niewidzialne. Dopiero wtedy wkraczamy do stalowo-szklanej wieży biurowców Thatcher Oil & Gas. Tam wjeżdżamy na dziesiąte piętro i przemykamy się pod nosem jego sekretarki.

Kiedy otwieram drzwi do jego biura, wisi na telefonie wściekły i czerwony jak burak. Wrzeszczy do słuchawki. Właśnie ktoś mu mówi, że cała jego produkcja stanęła i nic się nie da z tym zrobić. Klienci zaczną przecież kupować ropę gdzie indziej, jeśli nie zrealizuje ich zamówień. Dobrze. Już ma zły dzień.

Nie widziałam go od ponad dwunastu lat, a czas nie był dla niego miłosierny. Kiedyś miał bardzo ostre rysy, wystające kości policzkowe, wydatny nos, ale na starość wszystko zmiękło, opuchło. Pod jego oczami widzę ciężkie wory, a włosy

wyglądają na jego łbie jak jakieś chude, falujące garstki mchu (gdyby mech był jasnosiwy). Najmniej zmieniły mu się usta – wciąż równie okrutne. Krzywi je teraz, gdy drzwi otwierają się na chwilę, wchodzę i zamykam je za sobą. Ponieważ jednak nic nie widzi, przesuwa wzrok i kontynuuje telefoniczną tyradę.

– W tej chwili głównie mnie obchodzi, jak to się stało. Chcę, żeby wszystko zostało natychmiast naprawione, niech to szlag trafi! Powiedz mi, kiedy wszystko będzie znowu na chodzie, słyszysz?! – Urywa, przez krótką chwilę słucha, ale zaraz przerywa rozmówcy. – Hej, jesteś, kurwa, inżynierem czy nie? Powinieneś wiedzieć, jak to działa. Nie mów mi tu, że nie wiesz, jak to naprawić, bo pomyślę sobie, że jesteś niekompetentny, rozumiano? A teraz słuchaj, masz się dowiedzieć, jak to rozwiązać, i dać mi znać za godzinę, kiedy dokładnie wszystko znów ruszy! Wtedy zadzwoń! – Ciska słuchawką i z wielką frustracją warczy: – Kurwa mać!

Warto było się jednak wczoraj napracować. Uśmiecham się.

A potem zrzucam niewidzialność z siebie i Orlaith i mówię:

– Cześć, Beau.

Aż podskakuje zaskoczony, wybałusza gały i syczy:

– A ty kim, kurwa, niby jesteś?

– Jestem Granuaile. Nie pamiętasz mnie? Swojej pasierbicy, którą całe wieki temu wysłałeś na studia do Arizony?

– Głównie prawda. Ona nie żyje. Mów, kim jesteś i jakim cudem wszedłeś tu z takim wielkim kundlem.

Podchodzę bliżej i rozsiadam się na miękkim skórzanym fotelu przed jego mahoniowym biurkiem. Orlaith siada po mojej lewej stronie.

– No dalej, Beau, uwierz własnym oczom. Jestem Granuaile, i to żywa. I nie, mama nie wie. Byłoby miło z twojej strony, gdyby to zostało między nami.

Patrzy na mnie długo, ale potrząsa głową.

– Nie wierzę ci. Gdzieś ty się w ogóle podziewała? Dlaczego kazałaś nam wierzyć, że nie żyjesz?

– To wszystko tajne informacje. Sam wiesz, jak to jest. Gdybym ci powiedziała, tobym cię musiała potem zabić.

– Wszystko mi jedno – odburkuje. Ręce chowa pod biurkiem i mało nie wrywa mi się komentarz na ten temat, ale on mówi jeszcze: – W ogóle mnie to nie interesuje.

– Tak, wiem. Nigdy cię nie interesowało. – Na pewno nie usłyszę od niego: „Witaj w domu, Granuaile, tak się cieszę, że żyjesz!”.

– Czego chcesz? – Patrzy na mnie gniewnie. – Jestem zajęty.

– Wcale nie. Twoje imperium nie produkuje dziś ropy, więc wcale nie jesteś zajęty. Powinieneś mi za to podziękować.

– Co?!

– Wczoraj stanęły nagle wszystkie szyby i rafinerie, które do ciebie należą, prawda?

– A ty skąd o tym wiesz?

– Bo ja to zrobiłam.

– Jak?

– Nie pytaj „jak”. Pytaj „dlaczego”. Dlatego, że wszystko ma swoje granice, a karma to karma, choć może masz na to jakieś inne słowo. Chcę, żebyś przestał. Zainwestuj w słońce i wiatr albo załóż sieć sklepów żelaznych, wszystko mi jedno. Tylko przestań niszczyć ziemię.

Prycha z pogardą.

– Z ciebie to zawsze była taka żalosna hipiska.

– Teraz jestem druidką.

– Jesteś gówniarą, którą należy aresztować – mówi.

Nagle za moimi plecami otwierają się drzwi i do pokoju wpada pięciu ochroniarzy. Domyślam się, że wezwał ich jakimś alarmem pod biurkiem. To wysportowani, dobrze opłaceni zawodowcy, a nie jakieś kluchy w maśle. Orlaith obraca się i warczy na nich. Zatrzymują się na sekundę. Mam w dłoni Scáthmhaide’a, a na biodrze tomahawk, więc od razu wyciągają policyjne pałki. Ten najbliżej Orlaith robi zamach na nią. Przeskakuję w jego stronę i delikatnym pchnięciem w brzuch zmuszam do odsunięcia się kilka kroków.

– Łagodność dla zwierząt przede wszystkim – upominam go.

Zaczynają wrzeszczeć, że mam rzucić broń, Orlaith warczy, a Beau drze się, żeby się nie obijali, tylko mnie zlikwidowali. Uśmiecham się. Ich mundury są z poliestru, więc nic tu nie wskóram, ale co innego skóra ich butów. Naturalny materiał, co z tego, że pofarbowany. Niemal identyczny jak ten na fotelu, na którym przed chwilą siedziałam. Splatam prawą stopę najbliższego napastnika z oparciem fotela, a splot podrywa mu nogę do góry i jednocześnie przechyła fotel oparciem w dół. Spotykają się z wielkim hukiem, przewracają się na podłogę i szorują po niej radośnie. Tym samym blokują pozostałym dostęp do mnie. Powtarzam ten sam splot z resztą ochroniarzy i już po chwili wszyscy są unieruchomieni, klną i kopią fotel. Na długo to nie wystarczy, w końcu zdejmą

buty, ale mam nadzieję, że wtedy już mnie tu nie będzie. Obracam się, żeby pożegnać się uprzejmie z ojczymem, bo przecież powiedziałam mu już, co miałam do powiedzenia, ale wtedy odkrywam, że zdążył w tym czasie wyciągnąć z biurka pistolet i celuje we mnie. Moje ubawienie scenką z ochroniarzami znika w jednej chwili.

– Aha! Już ci nie jest do śmiechu, co? – warczy Beau. – Było zostać wśród umarłych, Granuaile. Taka ładna dziewczyna nie powinna spędzać reszty życia w więzieniu, ale co robić. A teraz odłóż ten pieprzony kij albo od razu strzelę ci w kolano. Chłopcy zaświadczą, że nie miałem wyjścia. I rzuć tę siekierkę, a wtedy pogadamy, co zrobiłaś z moimi szybami.

Jego skondensowana drwina – koszmar mojej młodości – budzi we mnie taką wściekłość, że wszystkie rozsądne postanowienia, jakie powzięłam poprzedniego wieczoru, diabli biorą.

– Dobrze, dobrze – mówię i powoli zaczynam opadać na kolana, udając, że wypełniam jego rozkazy. A potem szepczę zaklęcie niewidzialności. Gdy tylko znikam mu z oczu, padam na ziemię, chowam się za biurko i przetaczam z linii ognia na prawo, czyli jego lewą stronę, z dala od Orlaith.

– Hej! – wrzeszczy Beau, wymachując spluwą.

Orlaith warczy na niego, ale przez mentalne połączenie nakazuję jej się nie ruszać.

– Co ty sobie, kurwa, myślisz? Przez ciebie jeszcze ktoś tu może zginąć – syczy ojczym, a lufa przenosi się w stronę psa.

Nie jest to bezpośrednia groźba, ale subtelne to też nie jest. Teraz to już jestem na skraju wybuchu. Podnoszę Scáthmhaide'a i rąbię nim mocno w nadgarstek jego wyciągniętej prawicy. Przy okazji trafiam w ciało, ale tak już działają takie fajne długie kije. Beau wystrzeliwuje całą serię kul w biurko, nim puszcza wreszcie broń, a przy tym piszczy z bólu, bo strzaskałam mu kości nadgarstka. Chwyta się za obolałą rękę, cofa o krok, a ja rzucam Scáthmhaide'a i skaczę na niego z pięściami. Przez to znów jestem widzialna, ale Beau zdąża jedynie odruchowo wybałuszyć oczy. Walę mu pięścią w twarz, a on upada z rykiem. Rzucam się na niego i uderzam na oślep, wrzeszcząc:

– Nie! – Łup. – Będziesz! – Łup. – Mi mówił! – Łup. – Kto zginie! – Łup.

<Granuaile!> słyszę głos Orlaith i podnoszę wzrok. <Mówiłaś przecież, że nie lubisz przemocy>.

– Racja – mówię cichutko i odsuwam się od niego. Dopiero teraz dociera do mnie, że Beau w odruchu obronnym zwinął się w pozycję płodową. Właśnie pobiłam staruszkę. Podłego człowieka, tak, ale jednak raczej nie wyszło mi zachowanie przy tym dumy i moralnej wyższości. Teraz w tej konfrontacji najważniejsza stanie się moja brutalność, a nie całe dziesięciolecie jego bandyckiej eksploatacji ziemi. Jestem rozdarta, bo świetnie było mu tak wreszcie przyłożyć, ale przecież chciałam to załatwić w lepszym stylu.

<No i uważaj na tych koleśi>.

Podnoszę głowę i widzę, że dwóch ochroniarzy zdołało już wyrwać nogi z butów, jeden okrąża biurko, żeby mnie dorwać od tyłu, a drugi pędzi do drzwi. Uchyła je, wrzeszczy do sekretarki, żeby zorganizowała posiłki, i znów je zamyka. Pozostali dwaj też będą wolni za kilka sekund. Muszę spadać.

Facet, który próbuje na mnie skoczyć od tyłu, porusza się zbyt wolno. Mowa jego ciała jest jednoznaczna – przestraszyłam go zupełnie tym trikiem z butami. Nie umie sobie wytłumaczyć tego racjonalnie, więc zacisnął zęby, wykrzywił gębę, a nozdrza chodzą mu jak u rozjuszonego byka. A jednak, gdy zrywam się na równe nogi, żeby chwycić Scáthmhaide’a, udaje mu się jakoś zebrać na odwagę i próbuje zdzielić mnie pałką po głowie. Odpycham ją, a gdy znów próbuje się zamachnąć, wbijam mu koniec kija w krocze. Osuwa się na ziemię z jękiem, a cała agresja znika, bo sens egzystencji zredukował się dla niego do trzymania się za posiniaczone jądra.

Kątem oka rejestruję jakiś ruch. To jeden z ochroniarzy wchodzi na fotel, żeby skoczyć z niego na biurko. Jestem o ułamek sekundy szybsza i chwytam pistolet Beau.

– Nie – zabraniam mu, celując weń lufą. – Dwa kroki do tyłu. Rzucić pałki. Wszyscy. I odsunąć się od drzwi. Szybko, bo wpakuję wam po kulce w kolana.

Ponaglę ich ruchem głowy, przesuwają się. Mentalnie nakazuję Orlaith podejść pod drzwi. Warczy, gdy ich mija, zamieniając się z nimi miejscami. Teraz to ona stoi przed wyjściem. Trzej ochroniarze (bo trzeci też już się uwolnił od fotela) trzymają ręce w górze, a oczy mają utkwione we mnie. Beau wciąż leży na podłodze i pojękuje. Skoro ochroniarze są już rozbrojeni, a Orlaith znajduje się na bezpiecznej pozycji, mogę ostrożnie przejść koło tego, którego powaliłam na ziemię. Głupio by było, jakbym się teraz o niego potknęła.

Gdy już jestem przy drzwiach, przychodzi mi na myśl, że może Beau nie zrozumiał tej lekcji.

– Miałeś rację! – wołam do niego. – Granuaile nie żyje. Jestem kimś innym. Kimś, kogo nie możesz kontrolować. – Na powierzchnię mojej świadomości wpływa cytat z Whitmana: – „Raczę się tym, co cielesne, i tym, co bezcielesne. Żadna straż mnie nie wstrzyma, żadne prawo nie spęta”. Na razie, Beau. Zamknij Thatcher Oil & Gas i zacznij od nowa.

Orlaith, zmykaj stąd, gdy tylko drzwi się otworzą – nakazuję jej.

Starannie włączam bezpiecznik, zatykam sobie pistolet za pas i otwieram drzwi. Orlaith wychodzi z pełną gracją.

Sekretarka wisi na telefonie, dzwoniąc po posiłki, ale unosi wzrok, gdy wychodzimy.

– O... o Boże, już tu jest. – Słuchawka wypada jej z rąk, które unosi pośpiesznie. – Błagam, niech mnie pani nie zabija.

– Nikt nie zginie. Ale nie waź się drgnąć – mówię, zamykając drzwi i skupiając się na drewnie, to jednak tylko pokryty panelami kompozyt, a nie prawdziwe drewno, którego się spodziewałam. Wciąż nie najlepiej umiem splatać rzeczy, których nie widzę, więc ignoruję zamek i łączę tyle drewna, ile jest, z framugą drzwi. Beau i jego osiłki będą potrzebowali kogoś z siekierą, żeby ich stamtąd wydostał. Ręką trzymam wciąż klamkę, bo ktoś szarpie nią od wewnątrz. Puszczam dopiero, gdy splot jest skończony. Teraz mogą sobie szarpać, ile im się podoba.

– Niech pani dzwoni po pogotowie! – krzyczy jeden z ochroniarzy za drzwiami.
– Potrzebna będzie karetka.

Odwracam się w stronę sekretarki.

– Słyszałaś?

Kiwa głową, a patrzyłki ma wielkości jajek na twardo.

– No to lepiej dzwoń. I powiedz, żeby wzięli też przy okazji jakąś siekierkę.

Biegnę od razu na klatkę schodową, na wszelki wypadek uznając windę za potencjalną pułapkę. Sekretarka wpatruje się we mnie i dopiero, gdy mijam jej biurko, znów łapie za telefon.

Zbiegaj najszybciej, jak potrafisz – mówię do Orlaith, otwierając drzwi na klatkę schodową. – *Ale nie trać kontaktu z moją dłonią.*

Gdy tylko drzwi się za nami zamykają, wymawiam zaklęcie, które znów sprawia, że jesteśmy niewidzialne, przez co zaczynam wykorzystywać zapasy energii. Wciąż jestem trochę obolała po starciu z Welesem, więc nie biegnę tak szybko, jak bym chciała. Udaje nam się pokonać kilka pięter, po czym słyszemy

nad sobą trzask drzwi i tupot buciorów na schodach. To pewnie dodatkowi ochroniarze, którzy wjechali windą na górę, a tam sekretarka posłała ich na schody. Na trzecim piętrze słyszę, że drzwi otwierają się także pod nami. Każę Orlaith się zatrzymać.

Przylgnij do ściany, o tu, w tym miejscu, trzymaj się z dala od poręczy – mówię jej. Tupot nad nami gęstnieje, a zaraz potem trzech odzianych w elegancką czerń ochroniarzy wbiega na górę, trzymając się oczywiście poręczy. Mijają nas, nie zatrzymując się, bez problemu. Zaraz wpadną na kolegów pędzących z góry. Odczekuję, aż wbiegną na następne piętro, a potem mówię do Orlaith:

Biegnijmy dalej, ale jak najciszej.

<Kiedy pazury mi stukają> martwi się Orlaith.

To nie szkodzi, bo ich buty są strasznie głośne. I jeszcze teraz wrzeszczą na siebie nawzajem, bo nie wiedzą, gdzie się podziałyśmy.

Potem już wymykamy się bez żadnych problemów. Pistolet Beau wrzucam do kosza na śmieci, takiego zwykłego, stojącego na chodniku, ale ma klapę, więc nikt go tak od razu nie zauważy. Kładę rękę na karku Orlaith i prowadzę ją kilka przecznic, z dala od budynku i kamer. Nasza niewidzialność sama się roztopia w jakimś zaułku, zanim nawet ją rozplotę. Po prostu w magazynie w Scáthmhaidzie zupełnie się skończyła energia. Słyszę już ryk syren, które pędzą na ratunek mojemu ojczymowi. Trzęsę się trochę od raptownego spadku adrenaliny. Nie wiem, co właściwie powinnam czuć.

Opadam na kolana i zarzucam Orlaith ręce na szyję.

– To takie dziwne – mówię jej. – Czuję się podle i niesamowicie zarazem. Chyba coś ze mną nie tak, co?

<Dlaczego?>.

– No wiesz, chyba powinnam się czuć po prostu okropnie dlatego, że nie udało mi się być w tym całym zamieszaniu dobrym człowiekiem.

<Jesteś dobrym człowiekiem! Najlepszym!>.

– Ale nie powinnam stosować przemocy. Kiedy wyciągnął splotę, powinnam była posłużyć się druidyzmami, a nie bronią. Tak dobrze było mu wreszcie przyłożyć, ale zła jestem, że straciłam panowanie nad sobą. Dziękuję, że powstrzymałaś mnie, nim zrobiłam coś jeszcze głupszego.

To, że w ogóle potrzebował teraz karetki, było już i tak słabe.

<Nie ma za co. Może to był błąd? Każdemu się zdarza popełnić błąd. Pamiętasz, jak ci pogryzłam kaptcie. To właśnie był błąd. Fajnie się je żuło, ale jak już zrozumiałam, że to jest właśnie błąd, to więcej tego nie robiłam>.

Parskam śmiechem.

– Coś tu jest na rzeczy. – Nie po raz pierwszy przychodzi mi na myśl, że Oberon i Orlaith są o wiele bardziej stabilni emocjonalnie niż ludzie. Psy mogą nas wiele nauczyć, tak zresztą jak wszystkie istoty na ziemi. Popełniłam w życiu wiele błędów, ale bogom dzięki nigdy jeszcze nie żałowałam, że zostałam druidką. Wstaję i otrzepuję kolana. – Dobra, biegiem do parku i wynosimy się stąd.

Mogą nas po drodze zarejestrować kamery na ulicach, a potem policji może udać się ustalić naszą ścieżkę, ale nic na to nie poradzę. Nie zostało mi już krztyny energii, żeby podtrzymać kamuflaż.

Biegając do parku, to wpadam w otchłań wyrzutów sumienia, to znów przepełnia mnie radość. Nikt mi nie powie, że nie zrobiłam dobrej rzeczy dla Gai, likwidując cały sprzęt tej koszarnej firmy. Ale tak z perspektywy, to może w ogóle nie powinnam była składać wizyty Beau. Nie wygląda na to, żeby nagle poczuł przez to skruchę. Nie zrozumiał dzięki temu, że mam rację, a tylko dotarło do niego, że mogę mu bezkarnie przyłożyć, kiedy zechcę, no i jeszcze, że umiem przylepiać buty do mebli. Być może ten splot i ten drugi na drzwiach uzmysłowił mi, że nie gram na tych zasadach, do których przywykłam. Może to jakoś go trochę przekona, bo inaczej to da się do niego dotrzeć, tylko doprowadzając go do bankructwa. Mam cichą nadzieję, że postanowi wycofać się z ropy bez dodatkowych przypomnień, ale pewnie raczej będę musiała z uporem maniaka powoli zamordować tę jego głupią firmę. I niech nikt nie myśli, że nie zrobię tego dla Gai.

Martwi mnie, że być może przydomek, który nadały mi żywiołaki – Groźna Druidka – to coś więcej niż wyraz uznania, że jestem twardzielką. Być może wyczuwają we mnie jakiś mrok, który krył się gdzieś tam od dawna, a dopiero ostatnie wydarzenia wyciągnęły go na powierzchnię.

Rzecz w tym, że jeśli już muszę być groźna, chcę tę moc wykorzystywać do dobrych celów. Muszę się nauczyć polskiego i wierszy Szymborskiej, żeby stać się lepszą druidką, i muszę walczyć dla Gai, póki starczy mi sił.

Wracamy z Orlaith na tę samą zaciszną łąkę w Ekwadorze, żeby odzyskać równowagę po akcie przemocy w Wichicie. Jezioro jest zimne, ale i tak w nim

chwilę pływam i czuję się po tym czystsza. Spędzam resztę dnia na medytacji pod drzewem i otwieram oczy dopiero o zmierzchu. Uśmiecham się.

To była brudna robota i naprawdę mogłam w starciu z Beau bardziej panować nad sobą. Ale ta konfrontacja była dla mnie murem, na który musiałam się wdrapać, żeby zobaczyć piękno po drugiej stronie. Myślę, że muszę sobie wziąć do serca radę Orlaith i nie tracić czasu na rozmyślanie o błędach popełnionych podczas wspinaczki po tym murze. Skupię się lepiej na tym, by ich nie powtórzyć.

Podajrzewam, że większość ludzi ma w swoim życiu kogoś takiego jak Beau Thatcher – kogoś, kto stoi między tym, kim są, a tym, kim chcieliby być; kogoś, kto strzeże muru i wmawia im, że mają być na zawsze zamknięci w granicach jego oczekiwań i wyznaczonych przez niego obowiązków. Pokonanie tego muru zawsze będzie trudne, usiane niebezpieczeństwami i może pozostawić blizny. Ale to, co czeka nas, gdy przeskoczymy ten mur lub go zburzymy, wynagrodzi nam wszystko, co nas spotkało w przeszłości! Czuję się lekka, czuję się wolna, a przede mną gładka i szeroka ścieżka przez krainę pełną obietnic.

Rozdział 19

Człowiek wpada czasami na pomysł tak oczywisty, że pojęcia nie ma, czemu wcześniej mu to nie przyszło do głowy. Na co komu bogini łowów, jeśli nie można jej od czasu do czasu poprosić, żeby się popisała swoimi zdolnościami? Flidais miała zwyczaj robić tylko to, co chce, ale jednak nie dało się ukryć, że Brighid wyraźnie popiera plan wyeliminowania wampirzego zagrożenia, a poza tym wyzwanie to zawsze wyzwanie, pomyślałem więc, że co mi szkodzi, poproszę Flidais o pomoc w wytropieniu Theophilusa. Czas było zatem skoczyć do Tír na nÓg i wyjaśnić jej, w czym problem. Nie prosiłem jej wprost o pomoc, tylko zacząłem się zastanawiać, czy dałaby radę pobić mnie w tej dziedzinie.

– Od miesiący nie udaje mi się dorwać tego starego wampa – powiedziałem. – Ciekawe, czy ty byś potrafiła.

I okazało się, że Flidais niczego tak nie pragnie jak jakiegoś zajęcia. Przez ostatnie kilka tysiącleci zdążyła już zapolować na wszystkie stworzenia chodzące po ziemi, teraz więc ziało jej nudą z każdego zakątka globu. A do tego bardzo chciała nie rozmyślać nad brzydkim zachowaniem Fand względem Brighid. Toteż od razu przyjęła wyzwanie i ruszyła ze mną do Pragi, ciągnąc ze sobą Peruna, który był jakiś nie w sosie.

Przestraszyłem się, że przez ten wspólny wypad pozbawiamy go bezpiecznego schronienia. W końcu Brighid obiecała przecież, że słowiański bóg może skryć się w Tír na nÓg, ale ma go nie opuszczać, a jeśli opuści, to już nie może wrócić, Flidais jednak zapewniła mnie, że nie muszę sobie tym zaprzątać głowy, no to nie zaprzątałem.

Zabrałem ją do Bohemii i powiedziałem, że chodzi nam o najstarszego wampira w całym Grand Hotelu, o ile w ogóle zdoła wyłapać taki trop. Wzięła ze sobą dwa psy gończe, rzuciła na nie niewidzialność i weszła do hotelu, oznajmiwszy, że to jej zajmie tylko kilka godzin. Psy były splecione z jej świadomością i wytłumaczyła im przedtem, czego mają szukać. Niby mógłbym zrobić coś w tym stylu, ale nigdy bym nie osiągnął tak doskonałego łącza jak ona i nie miałbym pewności, czy podłapały właściwy zapach. Jej doświadczenie jako

łowczyni i zdolności porozumiewania się ze zwierzętami były niezrównane. To była zupełnie inna liga.

Perona i Oberona zabrałem tymczasem do kawiarni obok hotelu. Nazywała się Grand Café Orient i postanowiła za wszelką cenę wykorzystać słoneczną pogodę w środku zimy, oferując stoliki na dworze. Nad stolikami rozłożone były parasole, które miały nas chronić przed poparzeniem słonecznym, a może raczej przed deszczem, co wydało mi się bardziej prawdopodobne, gdy znów spojrzałem na pochmurną minę Peruna. Nad nami zaczęły się zbierać cumulonimbusy. Przechadzający się brukowaną uliczką turyści popatrywali z niepokojem w niebo, a potem z równą podejrzliwością na Peruna, jakby wielki facet siedzący w niebieskim podkoszulku w tak zimny dzień był w oczywisty sposób odpowiedzialny za nagłą zmianę pogody.

Oczywiście był. Jeśli gdzieś następuje nieoczekiwana zmiana pogody, prawie zawsze jest to wina wielkiego faceta obnoszącego się z owłosionymi ramionami. Ludzie naprawdę się starali zachowywać grzecznie i nie wlepić weń wzroku, ale to było silniejsze od nich. Od razu przyciągał ich spojrzenia, bo zgniatał bezlitośnie krzeselko pod sobą i wyglądał tak nie na miejscu, jak tylko może wyglądać bóg piorunów w kawiarence. Uśmiechali się dyskretnie albo nawet otwarcie z niego śmiali. Jakaś hiszpańska para uznała wręcz, że to lokalny dziwak, i poprosiła o zdjęcie, a on posłusznie się zgodził pozować, zachwycony tym zainteresowaniem. To go chyba trochę podniosło na duchu.

Gdy już sobie poszli, a przed nami pojawiły się pilznery, Perun zaczął mi opowiadać, co go boli. Widział się niedawno z Granuaile, która powiedziała mu o swoich podejrzeniach, że Weles pracuje dla Lokiego. Z tego, co zrozumiałem, odwieczny wróg Peruna zdołał ukryć przed nim innego boga z ich panteonu oraz konia, który potrafił wywróżyć wynik walki. Perun i Granuaile znaleźli nawet tego konia, ale potem Weles znalazł ich, a jeszcze później pojawił się Loki, co tylko potwierdziło ich podejrzenia, ale tego drugiego boga, Świętowita, nie znaleźli.

– Ja sobie myślę, ja poszukam teraz Świętowita – powiedział Perun. – I innych moich. Ja myślał, że wszystkich spalił Loki, ale może oni żyją. I Zorze. Flidais może mi pomóc, jeśli Brighid nie będzie jej potrzebowała w Tír na nÓg.

– Życzę ci powodzenia. Ale, przepraszam, trochę się cofnę w tej opowieści... Nie wiesz przypadkiem, dlaczego Granuaile w ogóle zajmowała się tym koniem?

– Ona chciała osłonę przed wywrózeniem. Wiedzmy z *Polszczy* jej dadzą osłonę, *kak* ona im da konia. Dobre baby, one czczą Zorze.

Interesujące. Albo udało jej się usunąć piętno Lokiego i chciała mieć osłonę, póki nie skończy splatania swojej aury z zimnym żelazem, albo jej się nie udało i postanowiła sprawdzić, czy osłona nie skryje jej przed Lokim mimo piętna. W każdym razie nic o tym wszystkim nie wiedziałem i ścisnęło mi się serce na myśl, że powinienem być teraz z osobą, którą kocham, a nie uganiać się za jakimiś wampami. A na to wszystko nakładała się jeszcze kupa wyrzutów sumienia – topniejąca jak bita śmietana na gorącej szarlotce – że w ogóle o niej wcześniej nie myślałem. Dosłownie czułem teraz zapach tego jej truskawkowego błyszczyka – w każdym razie jego wspomnienie było tak silne, że aż czułem je w nosie. Myśli Oberona biegły chyba podobnymi torami. Być może wzmianka o Granuaile przypomniała mu o jej suce.

<Tęsknię za Orlaith> pożalił się i westchnął ciężko.

Mam nadzieję, że już niedługo je zobaczymy – powiedziałem mu po cichu, bo tęskniłem za Granuaile tak jak on za Orlaith. Dobrze w każdym razie, że zatroszczyła się o swoje bezpieczeństwo. Ja robiłem mniej więcej to samo. Usunięcie Theophilusa powinno przynajmniej teoretycznie być równoznaczne ze zlikwidowaniem wyroku śmierci, który wydał na druidów – a przecież nigdy by to nie nastąpiło, gdybym biegł, kiedy trzeba było biec. Pokręciłem głową, gdy dotarło do mnie, że cała ta walka jest tylko po to, by znów wrócić do sytuacji wyjściowej, to jest takiej, gdy próbuje mnie dorwać tylko jeden irlandzki bóg. Aenghus Óg wprawdzie już dawno zniknął ze sceny, a jego duch utknął w piekle, ale byłem dziwnie pewien, że Fand (choćby i z więzienia) z wdziękiem przejmie jego rolę mojego irlandzkiego wroga numer jeden.

Czekaliśmy tak z Perunem kilka długich godzin, pochłaniając litry pilznera i opowiadając sobie różne stare historie, a Oberon drzemał, ale w końcu ziąb był już taki, że się tego nie dało dłużej znieść. Chmury odpłynęły gdzieś w dal, bo Perunowi poprawił się nastrój, ale za to temperatura spadała w okolice lodowatej.

– A może byśmy się tak wybrali na zakupy? – zaproponowałem. – Flidais i tak nas przecież znajdzie, nie?

– *Da*. Ona już tak wcześniej robiła.

– Świetnie. To chodźmy.

– Co my będziemy kupowali?

– Muszę sobie kupić kurtkę – powiedziałem, prawie trzęsąc się z zimna. Nie chciałem korzystać z energii Gai, żeby podnosić temperaturę ciała, skoro można było to rozwiązać dużo prościej. – Może i tobie byśmy jakąś znaleźli?

Perun spojrział niepewnie w niebo.

– Hmm. *Charaszo*. Może i jest trochę zimno.

– Raczej na pewno – mruknąłem.

Wystarczyło kilka pytań na ulicy i skierowaliśmy się na południe, gdzie kilka przecznic dalej znajdował się plac pełen sklepów z ciuchami i sprzedawców kiełbasek. Ogon Oberona zupełnie zwariował, gdy jego właściciel ujrzał sznury kiełbas zwisające z sufitów budek. Zatrzymaliśmy się, żeby kupić mu kilka smakołyków, a potem weszliśmy do sklepu, który chwalił się ekskluzywnością, co oznaczało, że zapłacę pewnie bardziej za tę ekskluzywność niż praktyczność, ale trudno. Udało mi się znaleźć kilka skórzanych kurtek, które mogłyby skutecznie pomóc w utrzymaniu ciepłoty ciała, a przy okazji miały sprytne wewnętrzne kieszenie, w sam raz na kołek Luchty. Wybrałem brązową. Miałem nadzieję, że Granuaile się spodoba. Jak przystało na towarzysza zakupów, Perun zapewnił mnie, że podjąłem słuszną decyzję.

– Bardzo dobrze. Szkoda, że oni nie mają kurtek w moim rozmiarze. Flidais by się podobała. Ona by się zaraz podnieciła i ją ze mnie zerwała. Hmm... W sumie może lepiej, że oni nie mają mojego rozmiaru.

– Za późno – szepnęła zza naszych pleców Flidais. Uśmiechnęła się i podeszła do niego. – Teraz już się nie uwolnię od tej myśli, że muszę ci sprawić jakąś seksowną skórę.

<Nadal nie rozumiem, dlaczego ludzie lubią nosić martwe krowy> wyznał Oberon, gdy Perun i Flidais wydawali radosne okrzyki powitalne. <Krowy się je, nie nosi>.

Flidais zaczęła od tego, że z Grand Hotelu o wiele łatwiej było wytropić nas niż Theophilusa, ale potem pochwaliła się, że wie, gdzie mam go szukać.

– Jest w Berlinie – oznajmiła. – I ma ze sobą cały dwór. Zatrzymał się w hotelu Monbijou, w jakiejś dzielnicy pełnej muzeów i wypasionych restauracji.

Doskonale wiedziałem, gdzie to jest. W tej okolicy były naprawdę niesamowite dzieła sztuki, szczególnie na Wyspie Muzeów leżącej na Sprewie, i byłem tam kilka razy w ciągu ostatnich dziesięcioleci.

– Nikt nie potrafi tropić tak jak ty – skomplementowałem ją w ramach podziękowań. – To zostawię was teraz wśród tych skór.

Pożegnałem się i wróciłem na wzgórze Petřín, skąd przeniosłem się przez Tír na nÓg do Tiergarten w Berlinie, miłego i dość sporego parku, w którym wszystkie ścieżki prowadzą do słynnej kolumny Zwycięstwa. Stał tam stary omszały jawor

spleciony z Tír na nÓg, a zamieszkały przez pewną strachliwą rudą wiewiórkę, którą Oberon natychmiast zauważył. Rzucił się za nią i prawie capnął ją za ogon, nim umknęła mu na pień.

<Niech to! Niemal ją miałem! Byłbym ją dorwał, gdyby nie była taką wiewiórą!>.

– Może następnym razem, Oberonie.

<Właśnie!> odgrażał się Oberon, ale mówił już bardziej do mnie niż do wiewiórki. Nie zdejmował łap z pnia i oczami wciąż śledził zwierzątko, które mu uciekło. Zaszczekał dla lepszego efektu. <Tylko czekaj, wiewióro! Twój koniec już blisko! Czas pożegnać się z orzechami!>.

Tuż pod nosem mieliśmy świetnie zorganizowany S-Bahn, a do Hackescher Marktu były tylko cztery przystanki, ale pomyślałem, że jest akurat godzina szczytu i wszyscy wracają z pracy, więc będzie za duży tłok, żeby wcisnąć Oberona do przedziału, tak by nikt tego nie zauważył. Ruszyliśmy więc piechotą. Może to nawet lepiej. I tak musieliśmy przecież poczekać, aż zrobi się całkiem ciemno.

Biegliśmy sobie w szarym zmierzchu po obrzeżach Tiergarten i przystanęliśmy tylko raz na chwilę, bo Oberon bezskutecznie usiłował złapać parę królików. Dalej ciągnęły się bloki mieszkalne i biurowce zdobione przynudnawym graffiti. W połowie drogi zaczęło padać – przy czym był to taki deszcz, co to się nie może zdecydować, czy jest śniegiem czy nie. Był okropny ziąb i gratulowałem sobie w duchu, że kupiłem kurtkę. Żeby odwrócić uwagę Oberona od pogody, powiedziałem mu, że gdzieś tu w okolicy jest ulica, która się nazywa Große Hamburger Straße, czyli w wolnym tłumaczeniu ulica Dużego Hamburgera.

<Naprawdę? I wiąże się z tym jakaś świetna historia?>.

– Nie wiem – przyznałem. Pewnie oznaczało to po prostu, że była to dość szeroka ulica prowadząca do Hamburga, ale to by przecież nie zainteresowało Oberona. – Nawet jeśli nie, to powinniśmy jakąś wymyślić.

<Ale może chociaż da się tam kupić dużego hamburgera, co?>.

– No mam nadzieję. W innym razie byłoby to tragiczne marnotrawstwo naturalnego marketingu.

Zimno, ciemno i do domu daleko, ale przynajmniej dotarliśmy w końcu do hotelu Monbijou. Był to nowoczesny kremowy budynek z eleganckim szarym logo nad szklanymi drzwiami obrotowymi. Zajrzałem przez szybę do środka. Na wprost drzwi znajdowała się winda, taka wąska, ale głęboka, jakie często widuje się w

Europie. Na lewo widać było recepcję z jakimś grzecznie umundurowanym pracownikiem. Na prawo oko cieszył kominiek, który miał zachęcać gości, by siedli sobie przy stojących obok okrągłych stolikach i się relaksowali, popijając coś z baru ukrytego w głębi przed oknem przechodniów. No i rzeczywiście stoliki były zajęte i goście relaksowali się przy nich, a jakże, relaksowali się wręcz ostentacyjnie na widoku takich zziębniętych przechodniów jak ja. „Spójrz tylko, jak się luksusowo relaksuję, marny śmiertelniku, i żałuj, że nigdy nie będziesz mógł się relaksnąć z takim kosmopolitycznym wdziękiem” – zdawali się mówić. Przerzuciłem się na magiczne spektrum i stwierdziłem, że trzy z czterech osób przede mną nie są ludźmi. Zobaczyłem szare aury wokół ich głów i serca z czerwonym środkiem, co oznaczało, że to wampiry. Żaden nie miał gogli, co uznałem za dobry znak. Towarzyszący im człowiek wydawał się mocno zdenerwowany. Trudno mu się dziwić.

Najpierw myślałem, że wejdę w kamuflażu i po prostu odwalę robotę, ale to by nie było najmądrzejsze posunięcie. Zdradzi mnie ruch drzwi obrotowych. Zakamuflowałem więc tylko Oberona i kazałem mu wejść za mną do środka. Gdy wszedłem do lobby, skręciłem na lewo, w stronę recepcji, żeby nie zwracać na siebie ich uwagi. Mogą i tak wyczuć moją starą krew, ale jeśli nie dam im powodu, by w ogóle węszyć, być może zyskam kilka sekund.

Oberon, zostań tu i się susz – powiedziałem, wskazując mu kanapy przy recepcji. Nie było tam nikogo poza jednym pracownikiem skrytym za półokrągłym blatem. Na wielkiej czarnej sofie leżały nietknięte niemieckie gazety i magazyny. – *Siedź tam cicho i nie wychodź do mnie. Wdam się zaraz w bójkę i chcę, żebyś trzymał się od tego z dala. To bardzo silne wampiry.*

<Mogę ci przecież pomóc! Pamiętasz, jak raz ci pomogłem z takim jednym?>.

Tak, bardzo mi pomogłeś, ale mocno cię też pokieroszował. Teraz będzie zupełnie inaczej. Wtedy to wampiry zastawiły pułapkę na mnie, więc potrzebowałem twojej pomocy. Tym razem to ja zastawiam pułapkę na nie. Jeśli nie będę musiał się martwić o twoje bezpieczeństwo, naprawdę ogromnie mi to pomoże.

<Dobra. I tak by mi się przydała drzemka. W ten sposób za jednym zamachem pomogę nam obu>.

Doskonały plan – odpowiedziałem, choć obawiałem się, że za bardzo nie pośpi, jak już się zacznie walka. – *Schowaj się za tę kanapę, żeby facet w recepcji cię nie*

widział. Wtedy nawet mogę zrzucić twój kamuflaż i wykorzystać tę energię do skopania tyłków tych tam.

<Jestem za!>.

Skinąłem od niechcienia recepcjoniście i udałem, że zainteresowała mnie jakaś gazeta, a Oberon rozłożył się na podłodze poza polem widzenia faceta, który zaraz zresztą stracił zainteresowanie moją osobą i spuścił wzrok na coś na blacie. Wtedy zdjąłem kamuflaż z Oberona i rzuciłem go na siebie.

Śpij dobrze – powiedziałem. – Ale pilnuj mi kurtki.

Całkiem mi się podobała, a na pewno by się ubrudziła w walce. Zdjąłem ją więc i położyłem na sofie, po czym zrzuciłem z niej kamuflaż, ale recepcjonista nie zauważył jej nagłego pojawienia się. Z bocznej kieszeni wyciągnąłem kołek Luchty.

<Mogę spokojnie spać i strzec jednocześnie. Jak ktoś podejdzie, żeby świsnąć kurtkę, to mnie zobaczy i na pewno uzna, że psu na budę mu taka kurtka>.

Znów przełączyłem wzrok na magiczne spektrum i przeszedłem przez lobby do części z kominkiem. Przechodziła ona w salę z barem daleko w głębi, a potem w restaurację, w której serwowano pewnie śniadania. Przed kominkiem stały okrągłe stoliki, a przy nich wbudowane w ścianę kanapy po jednej stronie, po drugiej zaś kilka nowoczesnych foteli bez oparcia na ręce, takich prosto od kopenhaskich designerów. Dziesięć stolików, przy każdym trzy albo cztery miejsca i wszystkie zajęte. Trzydzieści wampirów i jedna bardzo zestresowana dziewczyna serwująca im drinki, których nawet nie tykali. Choć pewnie pojęcia nie miała, kogo czy też co obsługuje. Ale najwyraźniej czuła, że coś z nimi jest bardzo nie tak.

Aż do tej chwili nie zabiłem właściwie tak wielu wampirów. Większość tej wojny prowadzili za mnie cisowcy, potem także Młoty Boga. Z wyjątkiem tych bardzo starych nie wiedziały więc jeszcze, dlaczego miałyby się bać druidów. Oczywiście poza Theophilusem. A liczyłem na to, że tu jest. Pojęcia nie miałem, jak wygląda, a ich aury wydawały się mniej więcej takie same, nie wiedziałem więc, jak ustalić, który jest starszy czy też potężniejszy od pozostałych.

Zacisnąłem palce na kołku rzeźbionym w sploty, które w zamierzeniu miały likwidować magię wampirów i rozkładać je na pierwiastki. Zależało mi na tym, żeby go wreszcie wypróbować, tym bardziej że nie udało się to w Pradze. Przyjrzałem się przedtem uważnie tym zaklęciom i były bardzo sprytne. Jeśli nie natrafiły na żaden wampiryzm do rozplecenia, nie czyniły człowiekowi większej

krzywdy niż zwykła rana dżgana. Ale w wypadku wampira wystarczyło dźgnięcie gdziekolwiek, a kończył swoją martwiaczą egzystencję.

Wyszeptałem sploty zwiększające moją siłę i prędkość, przez co już pobierałem energię zgromadzoną w niedźwiedzim charmsie. Miałem nadzieję, że albo uda mi się to szybko załatwić, albo wyciągnę ich jakoś na dwór i będę mógł pobierać więcej energii ziemi. W każdym razie miałem mój nie do końca działający charms do rozplatania wampirów, werbalną zdolność rozplatania ich, kołek i chwilową przynajmniej przewagę wizualną.

Szkoda tylko, że nie potrafiłem odróżnić starych od młodszych. Pod względem kosmetycznym wszyscy zastygli w tym wieku, w jakim umarli, a ich ubrania nie zdradzały niczego – każdy miał na sobie równie włoski garnitur i równie drogie buty. Wcale bym się nie zdziwił, jakby każdy z nich odziany był w ciuchy warte roczną pensję przeciętnego człowieka. Poza tym „młodszy” to rzecz względna. Miałem przez to na myśli „młodszy niż Theophilus i ja”, ale wiedziałem dobrze, że wszystkie obecne tu wampiry mają po kilkaset lat. W tych kręgach wiek oznaczał prestiż, tak więc żaden naprawdę młody wampir nie miałby prawa towarzyszyć Theophilusowi.

Mówili po włosku, co oznaczało, że ta ekipa spędziła parę dobrych lat w okolicach wampirzego centrum świata, czyli Rzymu, z którego tysiące lat temu ci krwiopijcy przeprowadzili kampanię przeciw druidom. Toteż gdy jeden z wampirów siedzących pod ścianą i mających widok na drzwi zmarszczył nagle nos i powiedział:

– *Sentite l'odore di quel sangue? E veramente strano* – wiedziałem, że czas zaczynać rzeź, bo już mnie wyczuli.

Namierzyłem tego wampira mentalnie i rzuciłem się w jego stronę, wyskakując za plecami siedzącego naprzeciwko niego wampa i wbijając mu kołek ponad oparciem fotela, w prawe ramię. Przebiłem się przez garnitur i skórę. Zagulgotał i jego ciało zmieniło się w maź, która wytrysnęła na pięć stron – przez nogawki, rękawy i kołnierzyk. To samo powtórzyłem na wampirze obok, a potem skończyłem werbalnie rozplatać pierwszego. W trzy sekundy miałem trzy wampiry z głowy.

Potem, gdy reszta w sali próbowała się połapać, co jest grane, i hej, czy przypadkiem nie dzieje się coś niefajnego, zadźgałem kolejne dwa i trzy rozplotłem werbalnie, posługując się splotami makro, jedynie zmieniając ich cel. Minęło więc dobre sześć czy siedem sekund, nim na tyłach sali dotarło do wszystkich, że coś

jest nie tak i czas zakończyć sesję luksusowego relaksowania się. Zerwali się na równe nogi, niektórzy przewracali fotele i stoliki, a jeden wpadł nawet na pomysł, by cisnąć mniej więcej w moim kierunku krzesłem. Tego się nie spodziewałem, szczególnie że mnie trafił i upadłem na podłogę, ale nie wyrządził mi większej krzywdy, poza tym że zyskali dzięki temu kilka sekund, żeby przygotować się do obrony. Guzik mnie to obchodziło – w starciu z druidem wampiry są tak naprawdę bezbronne i zamierzałem zmasakrować każdego z nich po kolei.

Skupiłem się na zmienianiu celu zaklęcia rozplatającego, które rozwalało kolejne wampiry najbliższej mnie. Dwa rzuciły się na mnie, ale rozpadły w locie. Krew mnie zalała. Nie moja, ale ich. Kamuflaż był już do bani, bo i tak byłem teraz czerwonym potworem, zrzuciłem go więc i dalej rozplątywałem kolejne, wstając z podłogi. Udało mi się załatwić dziesięć wampirów w piętnaście sekund. Może resztę wykończę w ciągu minuty.

Na moją głowę posypało się jednak więcej mebli. Wampiry uznały widać, że skoro raz zadziało, nie jest to zła strategia. I miały rację, bo nie dało się uniknąć aż tylu krzesel, foteli i stołów.

Zgnieciony pod stertą mebli zacisnąłem dłoń na kołku, a tymczasem dwadzieścia wampirów popędziło w kierunku wyjścia. Większość przeleciała obok mnie, ale dwa siadły na przygniatających mnie krzesłach, żeby upewnić się, że nie wstanę, i zwiększyć szanse pozostałych na ucieczkę. Albo w każdym razie taki miały plan. Skupiłem się na każdym po kolei i rozplotłem je. Ciężar zniknął, ale za to ich wnętrzności spłynęły na podłogę. Odrzuciłem krzesła i zobaczyłem, że w sali jest już tylko pięć wampirów, a reszta uciekła. Jeden wylądował na mnie, wbił mi kolano w brzuch, jedną ręką chwycił za gardło, a drugą przycisnął do ziemi dłoń z kołkiem. Był silny i zgniółby mi krtań, gdybym mu tylko pozwolił. Paznokciami już mnie podrapał do krwi. Uruchomiłem charms rozplatający na moim naszyjniku – daleko mu było do doskonałości, ale jednak zawsze coś. Zadziałał na wampira jak cios w splot słoneczny. Wamp jęknął i na chwilę stracił siłę. Wyrwałem mu rękę z kołkiem i walnąłem mu nią w bok, pod żebra. Jego kolesie pędzili już do drzwi, gdy zmienił się w coś jakby roztopione malinowe *gelato*. Jak ja się cieszyłem, że oddałem moją piękną kurtkę Oberonowi na przechowanie.

Zakrztusiłem się, chwilę mi zajęło odzyskanie tchu, po czym zerwałem się z podłogi, choć bez tlenu moje mięśnie zachowywały się jak galaretki. Tymczasem

wampiry zdołały roztrzaskać okno i wyskakiwały teraz przez nie, nie przejmując się obrotowymi drzwiami. To oznaczało, że umknęła mi prawie połowa z nich.

Ciche „*Scheiße*”, które dobiegło zza baru, uspokoiło mnie, że dziewczyna przeżyła tę masakrę.

<Atticus? Nic ci nie jest?> usłyszałem głos Oberona w głowie.

Nic! Zaraz wracam. Śpij dalej.

Wyskoczyłem przez rozbite okno i zobaczyłem, że wampiry podzieliły się na dwie grupy. Jedna pobiegła na lewo, do stacji S-Bahn na Hackescher Markt, a druga na prawo, w stronę parku Monbijou i Sprewy.

Mając na uwadze niskie zasoby energii, popędziłem za grupą na prawo, bo pogoń za nimi prowadziła przez park; tam mogłem się połączyć z Gają i odzyskać siły. Zimowo smutna grządka otaczała piedestał z czymś popiersiem, które gapiło się na mnie pustymi brązowymi oczami. Najbardziej opieszały wampir właśnie do niej dobiegał, gdy go rozplotłem. Wybuchł akurat prosto na pomnik.

Pod popiersiem było napisane CHAMISSO i rozpoznałem go, dopiero gdy je mijałem.

– Hej! Adelbercik! Kopę lat, stary! – Pomogłem mu kiedyś „odkryć” i zaklasyfikować kilka gatunków kwiatów. Dobra dusza. W życiu nie miałem jednak pojęcia, że tak go tu cenią w tym Berlinie. Nie każdy botanik może liczyć na pomnik. – Sorki za te bebechy wampirów, chłopie!

Dorwałem kolejne pięć, bo z pomocą Gai mogłem teraz poruszać się szybciej niż oni. Cztery w parku, ostatniego już w Sprewie. Wskoczył do rzeki w akcie desperacji i zniknął pod wodą. Ponieważ nie musiał oddychać, nie miał potrzeby wyłaniać się na powierzchnię, póki nie będzie bezpiecznie. Ale brak powietrza w płucach oznaczał też, że wampiry kompletnie nie nadawały się do pływania. Szły od razu na dno i musiały po nim dreptać zamiast płynąć, a to było bardzo powolne. Nie mógł wypłynąć na powierzchnię. Będzie musiał się wyczołgać na brzeg, o ile w ogóle mu na to pozwolę. Wskoczyłem za nim, przemieniłem się w wydrę, wypłynąłem z ciuchów i trzymając kołek w łapkach, dogoniłem go pod wodą. Wtedy zmieniłem się z powrotem w człowieka i wbiłem mu kołek w łydkę. Roztopił się w rzece na wysokości Muzeum Bodego i jego resztki popłynęły z nurtem.

A ja zostałem nagi w Sprewie i wcale się nie wstydzę przyznać, że temperatura wywołała pewne skurczenie niektórych części ciała.

To by oznaczało dziewiętnaście bardzo starych wampirów mniej na tym świecie, a straty po mojej stronie sprowadzały się do kilku siniaków i gołego tyłka. Nieźle. W sumie nawet dość dobrze. A jeśli jednym z rozplecionych byłby Theophilus, to w ogóle świetnie. Tylko że jednak jedenaście wampirów uciekło S-Bahnem i licho wie, gdzie teraz były.

Ruszyłem z powrotem do hotelu Monbijou, zarzuciwszy na siebie drżący kamuflaż, żeby nie wzbudzić paniki wśród okolicznej populacji. Prychnąłem w ciemności na myśl o swoich priorytetach. Nie martwiłem się jakoś, gdy rozplatałem wampiry na oczach wszystkich, którzy się napatoczyli, ale nie chciałem nikogo przerazić widokiem mojego gołego tyłka. Przed hotelem zawołałem do Oberona, żeby wyszedł do mnie na zewnątrz.

Tylko nie zapomnij o mojej kurtce, dobrze? – poprosiłem.

<Okej. Ha! Facet w recepcji właśnie mnie zauważył i wpadł w panikę. Nie wiem, co mówi, ale ma takie oczy jak w *Strefie mroku*>.

Zaczęły wyc syreny. Były coraz bliżej.

No, wyobrażam sobie. Ledwo co zobaczył, jak ludzie skaczą przez okno, a jeśli tylko zaglądał już do sali z kominkiem, to widział mnóstwo krwi. A potem nagle ujrzał wielkiego psa, to co miał robić, stracił kontrolę nad pęcherzem.

Skoczyliśmy na ulicę za rogiem, do sklepu Nike na Hackescher Markt, skąd zwinąłem dresy i koszulkę. Dałem sobie spokój z butami, a skórzana kurtka nie bardzo pasowała do tego stroju, ale przy takiej pogodzie lepsze to niż nic. Obiecałem też sobie, że wrócę tu później i oddam im kasę.

Chodźmy z powrotem do parku, Oberonie. Poprzysiągłeś tamtej wiewiórce małe spotkanie.

<Właśnie! Chodźmy!>.

Ciekawe, jak obsługa hotelu wyjaśni policji, co się stało. I czy w kamerach widać, jak rozplatom wampiry. Był to dla mnie problem stosunkowo nowy. W przeszłości nie musiałem się martwić takimi rzeczami. A teraz, jeśli naprawdę coś się nagrało, mogą być z tego same kłopoty, choć wątpię, żeby to trafiło do wiadomości. Wywołałoby przecież zbyt wiele niewygodnych pytań, na które policja nie znała odpowiedzi: czy mam jakąś nową przerażającą broń, która sprawia, że ludzie topią się lub wybuchają, gdy ich nią dotykam? A może to nie byli ludzie? Albo może jedno i drugie? Przecież nie puszczą tego, póki nie poznają odpowiedzi. Rządy działają według utartego przez wieki schematu ukrywania tego typu informacji „dla dobra obywateli”. To dzięki temu bogowie i potwory chodzą

sobie po ziemi, a gruba większość ludzkości jest przekonana, że stanowią tylko opowiadki stworzone ku ich rozrywce, rodzaj miłej ucieczki od niekończącej się harówki i płacenia rachunków. Może wezwą jakiegoś prawdziwego Foxa Muldera, żeby to zbadał. Chyba że tak desperacko będą chcieli mnie dorwać, że jeszcze dziś pokażą moją facjatę w każdym telewizorze w całych Niemczech.

Tak czy siak, wampiry, które mi umknęły, z pewnością nie zostaną w Berlinie i uznałem, że ja też nie powinienem. Trzeba mi teraz gorącego prysznica, czystych ciuchów i kilku godzin spokojnego snu z dala od wycia syren. A najlepiej byłoby się spotkać z Granuaile, jeśli by się dało, ale na razie nie mieliśmy nawet domu, bo przecież Oregon nie był jeszcze gotowy, a jeśli udało jej się zdobyć tę osłonę polskich wiedźm, to raczej nie mam szans jej wywróżyć. Zresztą i tak nie miałem przy sobie różdżek do wróżenia.

– Głosuję za drzemką w jakimś ciepłym miejscu – powiedziałem do Oberona, gdy bieглиśmy w deszczu w stronę Tiergarten. – Czas skoczyć na półkulę południową.

<Jestem za. Może jakieś suche miejsce w Australii? Alice Springs?>.

– Świetny pomysł.

Rozdział 20

Jak się wie, że ma się coś do załatwienia, ale się tego załatwić nie da, to się człowiek czuje, jakby go swędziało dupsko na Dworze Faerii, gdzie za nic nie wypada się porządnie podrapać. Powinienem pomagać Brighid dorwać Fand i Manannána Mac Lira, ale mam przecież uczniów, których muszę chronić i uczyć. Powinienem się pewnie pocieszać, że to też coś, co mogę i muszę robić. I powinienem się cieszyć z tego jak cholera. I na pewno bym się cieszył, gdyby nie to swędzenie.

Próbowałem powiedzieć Brighid, co się stało, ale ci jej zdurniali szambelani nie chcieli jej obudzić. Że niby strasznie jest zmęczona po wyprawie do Svartálfheimu, mówią. I że niby wyraźnie nakazała im nikogo nie wpuszczać i jej nie przeszkadzać, chyba że w grę wchodzi nadciągający fizyczny atak, a to, że ja chcę z nią pogadać, to się nie kwalifikuje. No to zostawiłem jej list.

Nawet nie próbuję gadać o tym z Flidais, bo skąd mam wiedzieć, czy to prawdziwa Flidais, czy tylko Fand w przebraniu? Lepiej niech Brighid tak to rozegra, jak chce, a ja tymczasem jakoś zniosę to swędzenie.

Wróżenie też nic nie pomaga. Rzucam różdżki, gapię się na ptaki, ale nic mi z tego nie wychodzi, tylko że się ukryli na jakimś bagnie. A skąd ja mam niby wiedzieć, na jakim i czy ono w ogóle jest w tej krainie – może w jakiejś innej irlandzkiej albo i nieirlandzkiej.

No to się skupiam na robocie, nie na zamartwianiu.

Dzieciakom kazałem się zabrać do łaciny i angielskiego. Rzeczowniki: ziemia, niebo, słońce, przymiotniki, które je opisują, i takie tam. Czasowniki na to, co się robi na dworze, i od razu robimy te rzeczy: bieganie, jedzenie, wążanie sosnowych igieł. I chcę, żeby już mówiły do Kolorado po łacinie; żeby wymawiały całe frazy, ale dodawały do nich uczucia i obrazy, żeby zaczęły powoli wydzielać osobne przestrzenie mentalne. Za rok, za dwa przyjdzie czas na irlandzki.

W domu jest niewykończona piwnica. Wataha pracuje nad nią w ciągu dnia, a ja po kilka godzin po kolacji, żeby zabezpieczyć ją najlepiej, jak tylko potrafię. Obiecanej pomocy z Tír na nÓg na razie ani widu, ale mam nadzieję, że wkrótce będzie. To tu będę krył dzieci podczas pełni księżyca i innych niebezpieczeństw, na

przykład zastępów trolli pakujących się nam do ogrodu i śmierdzących jak nie ten ser co trzeba. Po tej całej hecy z trollami zrobiliśmy im szybciotko szkolenie przygotowujące na pełnię księżycy i tym podobne.

Na kolację przyjeżdża Hal Hauk. Przywozi whisky i nową tożsamość dla Siodhachana. Ty i Sam już są z nim. Pewnie trochę tak z sąsiedzkiej życzliwości, a trochę, bo liczą na łyk tego, co tam ma w tej butelce. I dostają więcej niż łyk, bo Greta wystawia szklaneczki dla wszystkich, a Hal rozlewa whisky. To Midleton, ponoć dobry trunek. Unosimy szklanki, bo Hal wznosi toast.

– Za Seana Flanagana, taka ładna tożsamość i zastrzelili nam ją w Toronto, oraz za nowego Siodhachana, który będzie odtąd chodził po tym świecie jako Connor Molloy. Gdy tylko uisci należną mi zapłatę. – Reszta kwituje to złośliwym śmiechem, a ja się do nich przyłączam. – Ale przede wszystkim jest to jakże rzadka a miła okazja, by wypić coś dobrego w gronie jeszcze lepszych przyjaciół. Cieszę się, że mogę tak o was mówić.

– Ano, synek – mówię po prostu, ale reszta woła:

– Hir, hir!

Pojęcia nie mam, czy mają na myśli „Hear, hear”, czy „Here, here”, i co by to w ogóle miało znaczyć w tym kontekście. Angielski ma tak dużo tych cholernych homofonów, a do tego jeszcze slang albo jakieś grzecznościowe bzdety, że taki bidak jak ja to się w ogóle nie może w tym wszystkim połapać. I tak mi już lepiej idzie, ale jednak takie duperele będą mnie pewnie jeszcze nieraz doprowadzały do czarnej rozpaczy.

Midleton jest rzeczywiście niezły, a potem pałaszujemy wszyscy troszkę potrawki z jagnięciny i trochę chleba sodowego. Dobrze, że upiekłem go tyle. Myślałem, że jeszcze zostanie, ale z tyloma gośćmi to się pięknie złożyło, że trochę przesadziłem z ilością. Dobrze też, myślę sobie, że Greta znalazła nam taką za dużą chałupę. Jest tu wielka jadalnia i dużo miejsc do siedzenia w kuchni, więc idealna przestrzeń dla gości.

Jest nas całkiem sporo – uczniowie, ich rodzice, tłumacze i przywódcy watahy. Jest się z czego pośmiać i w ogóle nam wesoło, gdy nagle wilki zamierają, odkładają łyżki i odwracają głowy. Nasłuchują. Część wpatruje się w wielkie okno wychodzące na podwórze za domem.

– Niemożliwe... – wyrywa się zdumionemu Samowi na sekundę przed tym, jak szyba pęka od kuli, która wpada do pokoju.

Rodzice instynktownie rzucają się zasłaniać dzieci, przez co trafia ich kilka pocisków. To z pewnością wywoła u nich przemianę, więc nie ja jeden się drę:

– Tryb pełni księżyca! Szybko!

Tylko ja i kilkoro rodziców nie jest wilkołakami, do nas więc należy upewnić się, że dzieci są bezpiecznie zamknięte w piwnicy. Maluchy poruszają się szybko i blisko ziemi. Już wiedzą aż za dobrze, że lepiej nie pałętać się pod nogami, kiedy ich rodzicom zaczynają strzelać kości i rosnać kły. Nim opuszczamy pokój, już słyszymy warczenie, huk, wycie z bólu. Wszyscy się przemieniają, Greta też, a ostrzał trwa i tylko przyśpiesza transformację, więc nie mają nawet czasu na zdjęcie ubrań. Będą się przez nie przedzierać na siłę, a to tylko jeszcze bardziej boli. Wataha będzie cholernie wściekła i aż mi prawie żal tego, kto to wszystko zaczął.

Zostawiam dzieciaki w piwnicy pod opieką matki Tui, Meg. Słyszę, jak zamyka za mną wzmocnione srebrem drzwi u dołu schodów. Mają tam jedzenie, wodę i wiadra, mogą siedzieć dobre kilka dni, a do tego czasu niebezpieczeństwo powinno przecież minąć.

Wsuwam kastety na palce, zarzucam kamuflaż i wymykam się frontowymi drzwiami. Za domem słychać okropny zgiełk.

Kamuflaż to był dobry pomysł, bo jak tylko otwieram drzwi, jakiś cholerny dupek próbuje mi wpakować kulkę w łeb. Schylam się, skaczę na bok i szukam winnego. Jakieś dziesięć metrów ode mnie stoi wysoki facet z pistoletem. Musi mieć niezły słuch, bo strzela jeszcze dwie rundki i trafia całkiem blisko. Jednej kuli udaje się drasnąć mnie w łydkę, gdy biegnę. Chrzańię to. Czas zmienić reguły gry. Rzucam się na trawnik, zrywam z siebie koszulę i przemieniam w kanię, po czym wylatuję z własnych spodni. Kolejna seria ryje darń w miejscu, gdzie ledwie sekundę temu znajdowało się moje ludzkie ciało. Odskakuję jak najdalej i jak najciszej. Poszarpany mięsień ramienia nie daje mi na razie szans na lot, ale ze wszystkich moich postaci ta jest najcichsza przy przemieszczaniu się po ziemi. Poruszam się więc małutkimi ptasimi skokami w stronę faceta, ale on wyłapuje nawet taki cichy dźwięk. Tylko że pojęcia nie ma, co go wydaje, więc celuje za wysoko. Rzucam się na lewo, a potem skaczę wysoko, rozczapierzając szpony, żeby wbić się nimi w jego prawy nadgarstek, bo przecież wystawia mi tak pięknie i prościutko rękę, że aż się prosi na niej wylądować. A nie jest to delikatne lądowanie. Zaciskam szpony z całych sił, odcinając mu od razu całą rękę. Opada na ziemię wraz z pistoletem. Oczekuję teraz wrzasku, przekleństw i tym podobnych,

ale ten przerażający typ zaczyna syczeć! A do tego sika jakąś przedziwną czarną krwią, jakby była zupełnie niedotleniona. Odskakuję na bok i już nic mnie nie obchodzi, czy mnie usłyszysz czy nie, bo teraz raczej do mnie nie strzeli. Patrę, a on pochyła się, lewą ręką podnosi tę prawą, oderwaną łapę i zupełnie już mając gdzieś pistolet, wciska tę nieszczęsną kończynę z powrotem na miejsce, jakby to miało coś pomóc. Potem odwraca się i pędzi drogą prowadzącą do miasta – i to szybciotko.

To nie człowiek. To cholerny wampir. Zaatakowały nas wampiry. Niech to licho, tego Siodhachana!

Przemieniam się z powrotem w człowieka i pędzę za nim, wymawiając słowa rozplatania, nim mi się wymknie poza zasięg rażenia. Pierwiastki w jego ciele ulegają przymusowemu rozdzieleniu, a wampir rozpada się z głośnym pluskiem, więc obracam się i biegnę pomóc watasze za domem.

Siodhachan ostrzegał mnie, że może dojść do jakiegoś kontraktaku po tym, co zamierzał zrobić, ale czegoś takiego to się za diabła nie spodziewałem. Nie pistoletów. Nie wykombinowałem nawet jeszcze, jakie sploty mogłyby przed nimi zabezpieczać. Ani jak radzić sobie z ludźmi, którzy mają choć mgliste pojęcie o taktyce. Bo żalosna prawda jest taka, że wcale nie trzeba się wdrzeć do domu i zmagać z moimi splotami zabezpieczającymi, skoro można nas ostrzelać z zewnątrz i jeszcze wykurzyć wszystkich na podwórze. Nie leży w naturze wilkołaków kryć się za ścianami. Wystarczy je tylko zaczepić, a zaraz wyskoczą ze swojej nory. Wystarczy do nich strzelić, a nie spoczną, póki nie będą im zwisać z pyska czyjeś jelita.

Nim docieram za węgiel domu, już właściwie skończył się ostrzał. Teraz to już walka wręcz, bo cała wataha wyległa przed dom, żeby zrobić sobie przekąskę z tego, kto zrujnował im spokojną kolację. W magicznym spektrum widzę, że mamy sześć wampirów i jednego człowieka, a po naszej stronie w sumie aż czternaście wilkołaków, licząc rodziców, tłumaczy i gości. Nie wydaje mi się, żeby ci krwio pijcy oczekiwali takiej przewagi po naszej stronie. Trzeba by być idiotą, żeby myśleć, że można z nami wygrać, gdy proporcje są dwa do jednego na naszą korzyść. Pewnie myśleli, że będą tu tylko ja, może Greta i jakiś gość.

Wilki krwawią i kompletnie powariowały. Wampiry na szczęście nie strzelały srebrnymi kulami, więc tylko doprowadziły watahę do szału. Jedyne sposoby, by pokonać wilkołaka, to zastosować srebro albo go fizycznie rozerwać. To się da zrobić i już komuś się udało – jeden wilk leży nieruchomo na ziemi. Brakuje mu

dwóch łap i dolnej szczęki. Przechodzi ostatnią przemianę, którą Greta nazywa „ostatnią klauzulą” likantropii – za całe to gównno, z którym musisz się męczyć przez całe życie, przynajmniej na koniec dostajesz z powrotem swoje człowieczeństwo. To Nergüi, ojciec Tui. Cholera.

Dwa wampiry już są zlikwidowane, a reszta otoczona. Rozpoznaję Sama, Tya i Gretę, ale reszty wilków nie, bo nigdy jeszcze z nimi nie walczyłem poza tą jedną krótką akcją z trollami, a wtedy naprawdę nie miałem czasu zastanawiać się, kto jest kim.

Sam, Ty i Greta uformowali grupę z jakimś czwartym wilkiem. Być może to Hal Hauk, bo to naprawdę duży piesek. Działają po mistrzowsku, otaczają ofiarę, gryzą z wyczuciem czasu i okazji. Wampir nie daje nawet rady się zamachnąć, nim traci spory kawał ciała. A gdy raz go powalają, już nie wstaje. Kły jednego z wilków zaciskają mu się na gardle i je rozdzierają, a grupa otacza następny cel. Trzy pozostałe wampiry są atakowane przez mniej doświadczone wilki, może to więc trochę dłużej potrwać, ale to tylko kwestia czasu. Człowiek natomiast wycofuje się i wrzeszczy na wampiry w jakimś plującym się języku. To on właśnie stanowi kolejny cel grupy przywódców.

Jest z nim coś bardzo nie tak. Zachowuje się, jakby był bossem tej szajki, ale w magicznym spektrum nie widzę nic takiego, co by wyjaśniało, dlaczego sześć wampirów miałoby w ogóle przyjmować od niego rozkazy. Wyłączam więc magiczny wzrok. Jestem już coraz bliżej niego. Ubrany jest jakoś dziwnie. Nie jak żaden komandos czy inny nowoczesny wojownik. Nie wiedzieć czemu wybrał się na walkę z nami w garniturze i z jakąś kolorową szmatką na szyi.

Widzę, jak rejestruje te cztery zbliżające się wilki. Widzę, że uświadamia sobie, że to koniec. Widzę, jak uśmiecha się z determinacją. Będzie chciał umrzeć w czyimś towarzystwie. Jestem zbyt daleko, by cokolwiek zrobić. Mogę się tylko modlić, żeby mu się nie udało. Pierwszy rzuca się na niego ten wielgachny wilk. Facet unosi broń, wrzeszczy groźnie i strzela mu tuż poniżej gardła. Kula wybucha przez tył głowy zwierzęcia, wielki wilk pada na ziemię i nieruchomieje. Zaraz potem na człowieka skacze Greta i powala go, nim ma czas znów strzelić. Sam i Ty dopadają do ciała, pomagają jej je rozedrzeć na strzępy, choć na pewno jest już martwy, a tymczasem trzy inne wampiry jeszcze żyją.

Tu przynajmniej mogę pomóc, więc to robię, bo naprawdę za nic bym nie chciał, żeby jeszcze jakiś wilk ucierpiał. Rozplatom wampira po wampirze, najpierw te żywe, potem te, co już leżą na ziemi. Żaden z nich nie wstanie. Ale to

wcale nie uspokaja tych młodszych wilkołaków. Spokój nawet nie zaświtał im jeszcze na horyzoncie, a na mój widok – widok gołego faceta z bijącym sercem i mięsem na kościach – rzucają się w moją stronę.

– No to kicha – stwierdzam. Może z kilkoma bym sobie poradził, ale przecież nie z dziewięcioma naraz i nie tak, żeby ich jakoś nie zranić. Nie mogę odlecieć jako kania, bo wciąż mam poszarpane mięśnie ramienia, ale niedźwiedzie mają to do siebie, że wspinają się na drzewa znacznie lepiej niż wilki. Może uda mi się wleźć na jakieś na tyle wysokie, żebym pozostał poza zasięgiem ich kłów. Przemieniam się więc i pędzę ile sił w łapach do najbliższej sosny. Mosiężne pazury powinny umożliwić mi wspinaczkę za pomocą trzech łap.

Gdy już docieram do drzewa, wszystko jest pięknie – przez kilka sekund. Udaje mi się wspiąć może na dwa metry nad ziemią, ale moje dupsko wciąż zwisa niczym owoc na niskiej gałęzi. Wbijają się w nie zębiska i pazury. Otrząsam się i kilka wilków spada, ale jeden nijak nie chce puścić, więc muszę się wspinać z nim, albo może z nią. Nie wiem. Bez tych boskich pazurów w życiu by mi się to nie udało, więc obiecuję sobie w duchu, że postawię Creidhne’owi pyszne piwo.

Gdy już trzymam się gałęzi na tyle wysokiej, że jestem w miarę bezpieczny, zastanawiam się, jak tu się teraz pozbyć tego wilka. Najprostsze rozwiązanie to przemienić się z powrotem w człowieka. Tak też robię i część mojego wielkiego zadka znika, a wilk nie ma nagle się czego trzymać tymi swoimi zębiskami. Spada, ale jednak z kawałkiem mojego tyłka w paszczy. Pod drzewem stoi mała wataha młodych wilków. Podskakują, żeby mnie dorwać, nie mają jednak szans.

Jako tako bezpieczny – jeśli nie liczyć przeżutego dupska – wołam:

– Greta! Sam! Ty! To ja, Owen! Może byśmy się już jakoś opanowali i to wszystko na spokojnie przegadali?

Ale nie wiem, ile z tego do nich dociera, jeśli w ogóle cokolwiek. Greta mówiła, że bardzo trudno jej odbierać werbalne przekazy, gdy jest wilkiem. Wataha komunikuje się wtedy za pomocą wewnętrznego połączenia mentalnego. A gdy zapędzą się zbyt daleko na zwierzęcą stronę – podczas pełni księżyca na przykład albo gdy wpadną w niepohamowaną złość – to trudno im odnaleźć w sobie człowieka. Teraz daleko do pełni, więc powinno być znośnie, tylko że ich wściekłość jest rozogniona jak świeża rana, w którą ktoś napakował soli i soku z cytryny. Oglądam się na miejsce, w którym poległ wielki wilk, i już wiem dlaczego. Ostatnia przemiana już nastąpiła i teraz wiem, że to był rzeczywiście Hal

Hauk. Może ten człowiek strzelał srebrnymi kulami, a może nie. I tak raczej trudno przeżyć z tak wielką raną w głowie.

Reszta wilków dobiega do mojego drzewa, warczy i próbuje mnie capnąć, a ja wciąż drę się na Gretę, Sama i Tya w nadziei, że wreszcie coś do nich dotrze. Do dupy takie desperackie wrzeszczenie, na które przyjaciele odpowiadają ci tylko szczekaniem i warczeniem, ale jednak wolę, żeby skupili się na mnie, niż polecili dalej w las. Jesteśmy tak blisko miasta. Nie chcę, żeby zaczęli atakować ludzi, którzy wyszli sobie na wieczorny spacer. Albo – jeszcze gorzej – żeby strzeliło im do łba pobiec do domu i sprawdzić, czy nie dadzą rady się dostać do tego, co kryje się w piwnicy. Serce mi się ściska gorzej niż żołądek przy rzyganiu, jak sobie uświadamiam, co o tym wszystkim powie Greta. W jej oczach Hal będzie kolejnym przywódcą watahy, którego straciła przez Siodhachana. To Gunnar Magnusson zmienił ją w wilkołaka, ale przy nim był wtedy Hal. Znała go od najdawniejszych czasów, jeszcze z Islandii. Nie mam żadnych wątpliwości, że gdyby był tu teraz Siodhachan, toby go próbowała zabić. I boję się, że od teraz już nic nie zmieni jej opinii o nim.

Pierwszy opanowuje się Sam. Jego postać zaczyna drżeć, kości przesuwiają się i pękają pod skórą, sierść mu wypada i ryczy ochryple, gdy przemianie ulegają tkanki krtani. Potem Ty też dochodzi do siebie i obaj zaczynają uspokajać watahę. Tylko Greta nic sobie z tego nie robi. Zostawia moje drzewo i wraca do ciała Hala. Obwąchuje je kilka razy, a potem odrzuca łeb w tył i wyje. Może gdyby to był zwykły wilk, wyjący jak to sobie wilk, tobym się nie przejął. Ale wiem, kto jest tym wilkiem, i wiem, czemu wyje, i to wycie wydaje mi się najsmutniejszą, najsamotniejszą rzeczą, jaką w życiu słyszałem. Najchętniej sam bym do niej dołączył. Jeszcze niecałe dziesięć minut temu razem się śmialiśmy. Wszystko tak strasznie szybko się spieprzyło.

Sam i Ty zostawiają ją samą sobie, a skupiają się na pozostałych wilkach, które przemieniają się posłusznie. Nie jest im łatwo, bo są zaaferowane i jeszcze nie wszystkie się w coś wbiły kłami, ale rozkaz przywódców ma na nich potężny wpływ. Potem odwracają się w stronę Grety, wołając ją po imieniu i pewnie też próbując dotrzeć do niej przez łącze watahy. Ona tylko kręci łbem, szczeka rozpaczliwie, a potem pędzi po wzgórzu, znikając wśród drzew.

Mógłbym za nią gonić, ale nie widzę w tym żadnego sensu. Ma dość złości do wyładowania, a popędziła w dobrym kierunku, więc zrobi to, nie krzywdząc nikogo. Podkładanie się jej teraz, żeby wyładowała tę złość na mnie, byłoby głupie

i niebezpieczne. Wróci, jak będzie gotowa. Ale mam świadomość, że to może potrwać kilka długich dni.

Tymczasem mamy na głowie cały ten cholerny bałagan. Zeskakuję z drzewa i kiwam głową na Sama i Tya. Obaj mają twarze całe we krwi. Podchodzimy razem do zmasakrowanego ciała człowieka. Nawet jeśli Samowi i Tyowi robi się mdło na myśl o tym, że są odpowiedzialni za to poszarpane mięso i krew na ustach – oraz w ustach – jakoś tego po nich nie widać.

– Czy dzieciaki bezpieczne? Są w piwnicy? – pyta Ty.

– Ano. Żadnemu z nich nic się nie stało.

– To dobrze – mówi Sam. – Kim jest ten tu, do diabła?

– Mam pewne podejrzenie – odpowiadam. – Ale nie wiem na pewno. Wygląda trochę jak ktoś, o kim opowiadał mi Siodhachan. To może być ten typ, który wpakował go do szpitala w Toronto.

Przykucam i przeszukuję szczątki jego płaszcza. Znajduję w nim austriacki paszport.

– Werner Drasche – czytam. – No. To ten. Jakoby kochanek jednego takiego starego wampira, Theophilusa.

– Ale skąd się tu wziął?

– Tego nam już nie powie.

– Przywilej rozmawiania stracił, gdy tylko zaczął strzelać. – Sam przykuca i podnosi pistolet Drasche'a. Sprawdza amunicję. – Cholera. – Upuszcza ją, jakby parzyła. – To srebro. Inni go nie mieli.

Raczej wie to na pewno. Widzę w jego boku sporą dziurę po kuli. Gdyby to było po srebrnej kuli, już by był u progu śmierci, a nie stał tu z nami. Tak czy siak, ktoś będzie musiał mu wyjąć tę kulę, nim skóra się nad nią zamknie. Przyśpieszone gojenie się ran ma nieoczekiwane minusy, gdy w grę wchodzi współczesna broń.

– To nie ma sensu. Dlaczego przyszli tu tylko z kilkoma srebrnymi nabojami? – zastanawia się Ty.

– Miałoby sens, jeśliby założyć, że się śpieszyli, a i tak nie spodziewali się więcej niż jednego wilka – wyjaśniam mu. – Nie was chcieli dorwać, tylko mnie, a wiedzieli, że Greta będzie obok.

– A. Myślisz, że to ta wampirza wojna z druidyzmem?

– Ano. Tak sobie myślę. Siodhachan uprzedzał mnie, że będzie rozrabiał i że coś takiego może nastąpić. Założyłem wszelkie możliwe zabezpieczenia na dom,

ale nie zbliżyli się do niego na tyle, by je uruchomić. No i nie spodziewałem się broni palnej. Przepraszam.

– Kuuurwa mać – klnie z mocą Sam. – Muszę podzwonić teraz, żeby załatwić pogrzeby. Ale to nie koniec. Nie zabija się ot tak kochanego przez całą watahę przywódcy. Nie obejdzie się bez konsekwencji.

– Zaczekaj – mówię. – Daj mi przynajmniej pomoc ci z tą kulą. I wszystkim, którzy zostali postrzeleni. Powiniennem dać radę wyciągnąć ją bez zbędnego grzebania.

Żelazo sprawia, że nie jest tak łatwo spleść kule z moją dłonią, ale nie jest to sprawa nie do obejścia, a to i tak lepsze wyjście niż męczyć się teraz z pęsetami. Nikt na szczęście nie siedział wprost naprzeciwko okna, gdy zaczął się ostrzał, więc większość kul tkwi w bokach, rękach i nogach. Kilka otarło się o żebra.

Za parę dni wszyscy będą zdrowi jak rybki, ale to jakoś nikogo nie pociesza. Musimy się ubrać i w ogóle jakoś wyglądać, nim pójdziemy po dzieci do piwnicy. Na mnie i Tya spada obowiązek powiedzenia Meg i Tui – przez tłumacza – że Nergüi nie żyje. Właściwie to mój obowiązek, ale Ty też się poczuwa do odpowiedzialności. Mówi, że musi reprezentować watahę i powiedzieć im jasno, że nadal mogą należeć do stada i że dostaną od nich wszelką potrzebną pomoc.

Pewnie stracę Tuyę. Nawet gdyby chciała dalej się uczyć, podejrzewam, że Meg jej na to nie pozwoli. To zrozumiałe, że ludzie chcą unikać bólu, a ten dom, w szczególności piwnica, już zawsze będzie dla nich źródłem cierpienia. Trudno się im dziwić, jeśli będą odtąd stronić od wilkołaków i druidów. I Greta, gdy wróci, też może mieć dość druidów. Tak żałośnie ich wszystkich zawiodłem, że prawdę powiedziawszy, sam bym najchętniej zrezygnował z własnego towarzystwa.

Rozdział 21

Nie jestem nawet w połowie tak dobry w tropieniu jak Flidais, ale nie chciałem jej znowu zawracać gitary i prosić o pomoc w namierzeniu Theophilusa. Tylko że żadne inne wyjście nie przychodziło mi do głowy. Tym razem z miejsca mi odmówiła, i to nie bez powodu. Zaraz potem, jak wróciła z pierwszego szukania mojego wampira, dowiedziała się, że Fand uciekła z więzienia i że najprawdopodobniej stoi za tym Manannán Mac Lir.

– Oj – skomentowałem bystrze. – Niedobrze.

– Ano niedobrze. Muszę ją znaleźć. To dla mnie sprawa priorytetowa.

Będzie to też bez wątpienia priorytet dla Brighid, a pewnie i dla Owena, bo to on był zaangażowany w jej uwięzienie. Jak go znam, to jest już na siebie nieludzko wściekły. Teraz nie będzie mógł mówić innym, że coś spieprzyli, skoro sam popełnił taki błąd.

Niewykluczone, że ucieczka Fand i zniknięcie Manannána stanie się już wkrótce także moim priorytetem, ale na razie musiałem przede wszystkim rozwiązać problem wampirów. Trzech druidów kontra dziesięć tysięcy wampirów to słabe proporcje, choćbyśmy nie wiem jaką mieli przewagę w zdolnościach. Słowem, znów byłem zdany na siebie i znów nie miałem pomysłu, co robić. Poza jedną sprawą osobistą do załatwienia. Leif Helgarson posłał mnie przecież na (niemal) pewną śmierć w Pradze. Nie pierwszy raz mnie wykiwał i pewnie nie ostatni, bo gdy w grę wchodził ten konkretny wampir, miałem jakiś wewnętrzny opór, by w końcu uwierzyć, że przez te wszystkie lata, gdy był moim prawnikiem i przyjacielem, nic go tak naprawdę nie obchodziłem. Logicznym rozwiązaniem byłoby po prostu go dorwać i rozpleść, żeby wyeliminować możliwość komplikowania mi przezeń życia, ale postanowiłem tylko go dorwać, stłuc i posłać do wszystkich diabłów. Z którymi pewnie nie miał zbyt wiele wspólnego.

Wciąż nie miałem jasności co do prawdziwej natury wampirów, ale poważnie powątpiewałem w rozpowszechnione w popkulturze, a także wśród Młotów Boga przekonanie, że są one istotami pochodzenia piekielnego. Z tego, co mi było wiadomo, nie likwidowała ich wcale święcona woda ani też krzyże. Żeby wyrządzić im skutecznie krzywdę, trzeba było mierzyć w ośrodki ich mocy

znajdujące się w głowie lub sercu albo całe je spalić. Najlepiej ogniem, ale wystarczyło nawet słońce. Mimo to jednak marzyło mi się takie zwykłe stare, oldskulowe spuszczenie Leifowi manta. Tak, dojdzie potem do siebie w jeden dzień, ale jednak ja poczuje się znacznie lepiej.

Tylko jak go znaleźć? Twierdził, że jest w Normandii, co może, ale nie musi być prawdą, ale nawet jeśli tak było, nie podał mi przecież adresu. Nie mogłem go namierzyć przez wywrózenie, ale jeśli rzeczywiście był w Normandii, być może uda mi się po prostu znaleźć jego następny posiłek – jakiegoś samotnego, chwiejnego, nocnego wędrowca, dobrze spojonego *pinot noir*. A może, gdybym poprosił o pomoc Mekerę – która była przecież znacznie lepsza w te klocki – dałaby radę przy okazji namierzyć mi Manannána i Fand, jeśli pójdzie na ofertę trzy w cenie jednego.

Jakiś czas temu zostawiłem Mekerę, najlepszą na świecie tyromancerkę i niesławną pustelniczkę, na Emhain Ablach, czyli Wyspie Jabłek. Było to tuż przed tym, nim przeniosłem się do Toronto. To ona pomogła mi zdobyć ten notatnik z adresami wampirów, za co przeniosłem ją w bezpieczne miejsce, gdzie nikt nie zawracał jej teraz głowy. Obiecałem poinformować Manannána, że ją tam umieściłem, i poprosić go, żeby się nią zajął, ale nim dałem radę się z nim skontaktować, przepadł bez śladu. Była to zresztą całkiem dobra wymówka, by ją odwiedzić. Być może czegoś jej trzeba. Albo Manannán tam jest.

Wyprawa na Emhain Ablach sprawiła oczywiście, że Oberon przypomniał sobie o swoim planie wyprodukowania kiełbasek jabłkowo-kurczakowych z rosnących tu rzadkich odmian jabłek oraz złośliwego kurczaka z Bristolu. Właśnie wiercił mi dziurę w brzuchu o najlepszy koper i inne przyprawy, bo chciał je umieścić wszystkie w swojej Księdze Pięciu Mięś, gdy zacząłem nawoływać Mekerę. Obszedłem pół wyspy, zanim nam odpowiedziała.

– Cześć, Siodhachanie – przywitała mnie. – Znów trzeba ci sera?

– No. A co, przewidywałaś, że przyjdę?

– Nie. Odkąd tu jestem, nie mam jak robić sera, więc nici z wrózenia. I tego boga, co to miał niby tu wpaść, też nie widziałam.

– A. Właśnie miałem o niego spytać.

– Czego ode mnie chcesz?

– Chciałem wiedzieć, gdzie jest ten bóg, gdzie będzie jadł dziś pewien wampir w Normandii i gdzie znaleźć zbiegłą boginię.

– Położenie, położenie, położenie. To trzy pytania, więc trzy sery. Dobra. Zrób mi zakupy, a uznam to za wystarczającą zapłatę.

– Czego ci trzeba?

– Zaledwie wszystkiego. Z Etiopii wzięłam tylko trochę roślinnej podpuszczki, ale nie ma tu żadnego nabiału ani w ogóle niczego. Zrobię ci listę zakupów.

– Dobra.

– To znaczy, jak tylko mi załatwisz papier i ołówek. Tu naprawdę nic nie ma poza jabłkami. Chyba że już mogę wrócić do domu?

– To by nie było jeszcze bezpieczne. Powiedz mi, czego potrzebujesz. Będę pamiętał.

Lista była długaśna.

– Nakradnę się po wsze czasy – mruknąłem załamany, ale mnie dosłyszała.

– Nie masz pieniędzy? – zdziwiła się. – Trudno mi w to uwierzyć.

– A może chodź ze mną? Oddam ci potem wszystko co do centa.

Przewróciła oczami.

– Uparłeś się mnie ściągnąć na ziemię czy co?

– Nie o to chodzi. Naprawdę chcę pomóc, ale wolałbym nie kraść, jeśli nie jest to konieczne.

– No dobra. W takim razie odnowię kontakty z moim bankiem.

Potem nastąpiło kilka dobrych godzin sprawunków, ale Mekera działała efektywnie, wiedziała, czego chce i gdzie to zdobyć. Poza sprzętem do produkcji sera kupiła kilka ciuchów i mnóstwo jedzenia, które nie było jabłkami. Gdy wreszcie zabrała się do tyromancji, dzień już się właściwie chylił ku końcowi.

Przyszłość wróżyła ze sposobu ścinania się sera. Te skomplikowane wzory ukazywały jej prawdę o wiele jaśniej niż mnie moje różdżki.

Zaczęła od Fand.

– Nie ma jej na ziemi. Inna kraina. Zamek otoczony mokradłami. Mnóstwo cisów. Jakoś ponuro.

Zamieszkała na Mokradłach Morrigan?! W pierwszej chwili zdumiałem się, że żyjące tam faerie w ogóle na to pozwoliły. Były lojalne wobec Morrigan i miały zwyczaj atakować bez pytania. Ale gdy przyszło mi do głowy wytłumaczenie tej sytuacji, byłem gotów się założyć, że jest tam też z nią Manannán. Mekera potwierdziła to przy następnym serze.

– Bóg jest w tym samym miejscu.

To miało sens. Teraz, gdy Morrigan już nie żyła, Manannán przejął jej rolę jako psychopompa, czyli to on eskortował teraz zmarłych do takich zaświatów, na jakie sobie zasłużyli. Faerie z tej krainy przyjmą go więc jako pełnoprawnego dziedzica tej ziemi i będą go chronić. A Fand razem z nim, o czym z pewnością ona dobrze wie.

Najdłużej szło z ostatnim serem, bo nie mieliśmy nawet imienia. Pytaliśmy tylko o miejsce w Normandii, gdzie ktoś padnie ofiarą nagłej utraty krwi przez ranę w szyi. Mogliśmy więc łatwo uzyskać fałszywy wynik dodatni – wystarczy, że ktoś komuś poderżnie gardło – ale miałem nadzieję, że tego typu przestępstwa nie są znowu aż tak nagminne w Normandii. I że nie ma tam zbyt wielu wampirów.

– Nastąpi to w Hawrze – oświadczyła w końcu Mekera, przyjrawszy się serowi. – Mogę ci podać adres. Rue de Bretagne siedem. To nie jest dom mieszkalny. Jakieś przedsiębiorstwo, ale nie znam nazwy.

– Kiedy?

– Już wkrótce. W ciągu godziny.

– Coś więcej na temat ofiary? Kobieta? Mężczyzna?

– Mężczyzna w średnim wieku.

– Dzięki! Jesteś niesamowita, Mekero. Ale muszę już lecieć. Odezwę się. Mam nadzieję.

– Co?

– Poradzisz sobie. I oddam ci kasę, obiecuję!

Pożegnanie było może nieco nagłe, ale naprawdę nie chciałem przeoczyć Leifa. Musiałem jeszcze przecież przenieść się gdzieś poza miasto i dobiec do niego, a kiedy sprawdziłem, gdzie znajduje się najbliższe splecione drzewo, okazało się, że dopiero dobrą milę na północ od miasta.

– Muszę szybko biec, Oberonie – powiedziałem, gdy się tam znaleźliśmy. – Trzymaj się blisko mnie i uważaj na samochody, jak będziemy przebiegać przez ulice.

<Co zamierzasz zrobić?> spytał. <Czy to będzie pojedynek?>.

– Szczerze, to nie wiem – przyznałem. – Może. Muszę się z nim porachować.

Dotarcie na miejsce zajęło nam dwadzieścia minut, bo jeszcze kilka razy przystawaliśmy, by zapytać o drogę. Pod tym adresem znaleźliśmy restaurację, która zdecydowanie nie była nastawiona na turystów. Albo się tu mówiło po francusku, albo pozostawało wskazywać paluchem menu.

Wszedłem do środka z Oberonem, szokując tym wyniosłą klientelę ocierającą usta płóciennymi serwetami.

– *Mon Dieu!* – krzyknął jeden z mężczyzn, tak zaskoczony widokiem mojego psa, że aż upuścił widelec i prysnął sobie jakimś, wyśmienitym z pewnością, sosem po kolanach. – *Qu'est-ce que ce foutu gros chien fait ici?*

<Hej, czemu ten typek powiedział, że jestem fe?> obruszył się Oberon.

Nie, to tylko znaczy robić. Pytał, co tu robisz.

Leifa nie było w restauracji – bardzo przyzwoitym lokalu na dwadzieścia stołów – ale było tam kilku mężczyzn w średnim wieku delectujących się winem. Przepchałem się obok kelnera i puszczając mimo uszu protesty obsługi, wkroczyłem do kuchni. Żadnego wampira przy sosach. Ani w zamrażarce. *Saucier* był coś nie w sosie i zażądał, żebym wyszedł. Żeby nie zaognić sytuacji, zapewnilem go, że właśnie wychodzę. Skierowałem się w stronę tylnych drzwi, a rozwrzeszczani kucharze wygrażali mi z zacięciem nożami i innymi przyrządami. Wypadłem na tyły restauracji i znalazłem się w zatęchłym zaułku pełnym śmierdzących śmietników i skuterów. Huknięcie o bruk. Obróciłem się na prawo. Jasnowłosa Leif Helgarson. Natychmiast zaczął blefować po francusku.

– Bogu dzięki, że pana widzę! Ten mężczyzna potrzebuje pomocy. On... – Urwał i przeszedł na angielski. – O, witaj, Atticusie.

– Żyje jeszcze?

– Chwilowo.

Spojrzałem na śmietnik obok. Za takimi restauracjami opróżnia się je często, a nikogo nie zdziwi, jeśli z nich brzydko pachnie. Świetne miejsce na porzucenie trupa.

– Mały fast food, co? I łatwo po nim posprzątać.

Puścił moją uwagę mimo uszu i zapytał:

– Jak mnie znalazłeś?

Z kolei ja zignorowałem jego pytanie.

– Porozmawiajmy raczej o tym, dlaczego mi się w ogóle chciało cię znaleźć.

Tu przerwał nam znajomy już kucharz od sosów, który chciał się upewnić, że sobie poszedłem. Wepchnąłem go z powrotem do kuchni i zatrzasnąłem za nim drzwi.

– Ale porozmawiajmy gdzie indziej. Zwróciłem na siebie uwagę, a to zaszkodzi i tobie, i mnie.

– Zgoda. Nad Bassin du Commerce będzie zacisznie.

– Dobra. – A przechodząc na mentalne łącze, powiedziałem. – *Oberonie, nie wchodź między mnie a Leifa. Nie chciałbym, żeby rzucił się na ciebie.*

<Coś ty? Zrobiłby coś takiego?>.

Nie wiem. Ostrożności nigdy za wiele.

W milczeniu przeszliśmy na Quai Lamblardie, gdzie nie było wielu przechodniów, jeśli tylko trzymaliśmy się z dala od mostu przechodzącego nad zbiornikiem. Syreny świadczyły o tym, że odkryto już ofiarę Leifa. Pewnie dzięki obsłudze restauracji. A że go nie widzieli, zrzucą wszystko na mnie. Chyba że nasączony winem typek powie im o Leifie, w co wątpię, bo wampir z pewnością najpierw rzucił na niego urok.

Gdy szliśmy deptakiem wzdłuż nabrzeża, niebo nad Hawrem było bezchmurne i był to piękny wieczór. Bassin du Commerce to podłużny zbiornik wodny zaprojektowany z myślą o uroczych odbiciach w nocnej wodzie, które z pewnością zwiększają ceny na okoliczne nieruchomości. I może jeszcze ma służyć temu, by tworzyć dla snujących się wzdłuż niego par romantyczny nastrój. My nie należeliśmy do tego typu par. Jeśli byłem w jakimś nastroju, to tylko, by dać Leifowi po gębie.

– Masz podniesione tętno i wiele innych znaków świadczy u ciebie o agresji, Atticusie. Czy powinno mnie to niepokoić?

– Nie jakoś bardzo. Nie zamierzam cię rozpleść. Więc nie dawaj mi powodu.

– Tego się nie obawiaj. Kontynuowanie tej egzystencji to mój cel nadrzędny.

– A jakie są inne cele? Chcesz doprowadzić do mojej śmierci?

– Oczywiście, że nie. Jak mawiał pewien słynny Wolkanin, życzę ci wyjątkowo długiego życia i ekonomicznych zysków.

– Że co?! To nawet nie było blisko tego, co on mówił.

– Och, pozwoliłem sobie na małą parafrazę. Jakież to ma znaczenie?

– Bogowie niejedyni, ogromne. Nie możesz sobie tak kpić ze Spocka!

– Szkoda. Myślałem, że wreszcie udało mi się powiedzieć coś kul, w rozumieniu odmiennym od kultury wysokiej.

– Aaa, ty się już lepiej zamknij.

– Ale intencja była zrozumiała? Życzę ci tylko szczęścia.

– Bardzo w to wątpię. To po prostu kwestia, której się nauczyłeś na pamięć z jakiegoś makiawelicznego podręcznika.

– Wybacz, przyjacielu, ale nie masz chyba prawa mnie sądzić. Czyż i ty nie masz swych planów i zamiarów? Czyż i ty nie manipulujesz innymi, by osiągać swe cele?

– Pod tym względem nie dorastam ci do pięt. Nie zdradzam ludzi, tak jak ty mnie.

– Dziwi mnie to, że wciąż masz mi za złe tamten krok. Był przecież konieczny. Musiałem usunąć Zdenika, by znaleźć się w miejscu, w którym teraz jestem, a ty byłeś jedynym dostępnym mi środkiem do celu.

– Co? W jakim niby miejscu się znajdujesz? Żerujesz na winoszach w Hawrze. To aż taka nobilitacja?

– Nie miałem tu na myśli moich preferencji dietetycznych. Chodziło mi o to, że mogę teraz wreszcie odsunąć Theophilusa od władzy.

– A, więc w tym rzecz? Możesz sobie to przedstawiać tak, że niby ratujesz świat od zagłady, ale wszystko to gówno prawda. Chodzi ci tylko o twój własny tyłek.

– Tyż prawda. Lecz znów muszę zadać ci to pytanie: czy aż tak się różnimy? Czyż i ty nie działasz teraz we własnym interesie? Możesz sobie twierdzić, że walczysz z plagą wampirów w imieniu Gai, ale bądźmy ze sobą szczerzy... tu chodzi o ciebie. Gai nic do tego, czy pasiemy się na ludziach czy nie. Nie zagrażamy jej egzystencji. To, co robisz, to jedynie osobista wendeta przeciwko Theophilusowi. A zdawało mi się, że nauczyliśmy się przecież czegoś o zemście, gdy wpadliśmy razem z wizytą do Asgardu.

Aaaaa... a wtedy rąbnąłem go z całych sił. Wpadł prosto do wody i nic mnie nie obchodziło, czy ktoś nas widział i zamelduje policji, że doszło do bójki bądź też próby utopienia jakiegoś gościa. Kiedy Leif usiłował wypłynąć na powierzchnię, a potem wspinał się po ceglach nabrzeża, zupełnie straciłem panowanie nad sobą i zacząłem wrzeszczeć:

– Ty arogancki dupku! Byłem tam przez ciebie! Te góry gówna, z którymi muszę teraz się uporać w kontaktach z Nordami, to wszystko skutki tej jednej wyprawy! A zorganizowałem ją, bo próbowałem zachować się lojalnie wobec ciebie! Bogowie niejedyni, nawet poskładałem cię przecież, gdy Tor zmiażdżył ci łeb na żelatynę! A w zamian ty mnie zdradziłeś i wciągnąłeś w tę chryję z wampirami!

– Nie będziesz chyba jeszcze utrzymywał, że nie przyłożyłeś się właśnie do eskalacji konfliktu – stęknął Leif, wspinając się po ścianie.

– Tak? A jak to się ma do twojej zdrady? Gdy ktoś mnie uderza, oddaję mu!

– Ja też.

Przykucnął i wyskoczył pionowo nad moją głowę, potem zrobił salto i wylądował w zasięgu ciosu. Nie podkręciłem sobie siły ani prędkości, nie miałem więc szans na unik ani blokadę uderzenia w brzuch. Powietrze ze mnie uszło i zatoczyłem się w tył, usiłując złapać trochę tlenu. Nie zadał następnego ciosu, tylko zdarł z siebie marynarkę i spojrzał na nią z najwyższym obrzydzeniem.

– Zniszczyłeś mi ten garnitur zupełnie. Woda morska zanieczyszczona olejem silnikowym i resztkami niezliczonych nieszczęsnych ryb. Obrzydliwość. Ale ty masz to w nosie.

– Jasne, że mam w nosie – wysapałem, wciąż walcząc o oddech. A gdy tylko go odzyskałem, wypowiedziałem zakłęcie podkręcające moją siłę i prędkość. Te sploty sprawiają, że będę mu fizycznie dorównywał, póki starczy mi zapasów energii w niedźwiedzim charmsie.

Leif wiedział już z doświadczenia, co robię. Uśmiechnął się niemrawo i przygotował na atak.

– Theophilus był w Berlinie, nie w Pradze – powiedziałem, stając w pozycji wyjściowej do kung-fu.

– Tak, słyszałem.

– Dorwałem go?

– Nie. Nadal żyje. Ale dorwałeś kilka naprawdę starych, niektórzy byli nawet starsi ode mnie. Dobra robota.

Zaklaskał mi grzecznościowo z kpiącym uśmiechem.

Potem już tylko walczyliśmy. Było to starcie szybkie, brutalne, użyliśmy wszystkich naszych umiejętności. Trochę jak nasze ćwiczenia dawno temu w Arizonie, tylko że teraz byłem naprawdę wściekły i miałem bardzo ograniczoną ilość energii. Nie mogłem sobie pozwolić na żadną zwłokę ani też ryzyko, które podjąłbym, gdybym miał możliwość szybko się potem uleczyć.

Z moich dawnych starć z Leifem nauczyłem się jednego – nie ma co uderzać w ciało istoty, która nie potrzebuje tlenu jako źródła energii. Leif nigdy nie tracił tchu ani się nie męczył tak jak ludzie. Za to ciosy w głowę mogły go dezorientować, a rany nad oczami oślepić. Większość moich zamachów i tak zablokował albo przekierował, ale zdołałem dać mu fangę w nos, a łokciem strzaskać policzek.

Tylko że on też znał moje słabe strony. Wiedział, że ciosy w ciało wykończą mnie na tyle, że w końcu będę musiał zwolnić, a wtedy już będzie po mnie. Od

jego żelaznych pięści popękało mi kilka żeber, a potem straciłem oddech, gdy wpakował mi kolano w brzuch.

Miałem fuksa i udało mi się zadać mu cios podbródkowy. Stracił równowagę i wylądował ciężko na tyłku, kręcąc głową, by oprzytomnieć. Już prawie nic nie miałem w baku, więc runąłem naprzeciwko niego i wyłączyłem spłoty.

Sapałem ciężko i krwawiłem na betonowe nabrzeże, za to Leif siedział zupełnie spokojnie, tylko twarz mu się dość hałaśliwie rekonstruowała. Dopiero co zjadł, miał więc mnóstwo energii. Otarł nos, spojrział zdumiony na zakrwawiony rękaw, a potem podciągnął nogi. Spuścił głowę, pokręcił nią powoli i powiedział:

– Wiem, że mi nie uwierzysz, ale i tak to powiem: Jeśli chodzi o Theophilusa, nie wystawiłem cię.

– Gówno prawda.

– Drasche miał mnie na podsłuchu. Myślałem, że mój telefon jest bezpieczny, ale najwyraźniej się przeliczyłem. Theophilus był w Pradze, ale gdy tylko Drasche dowiedział się, że możesz tam wpaść, wysłał kochanka do Berlina, a w Grand Hotelu zastawił na ciebie pułapkę.

– A niby skąd to wiesz?

– Nie jestem zupełnie odcięty od informacji. Nikt mi już nic nie mówi z własnej woli, ale mam kilku ludzi pod kontrolą, a jeden z nich akurat pracuje dla Drasche'a. Moi ludzie podsłuchali, jak Drasche dzwonił do niego, żeby zabierał dupsko natychmiast do hotelu, bo zaraz tam będziesz. Niestety nie dowiedziałem się o tym na tyle szybko, żeby móc cię ostrzec.

– Tak? To gdzie teraz jest Theophilus, Leif?

– Nie potrafię ci powiedzieć, gdzie jest w tej chwili. Ale wiem, gdzie będzie już wkrótce.

– Gdzie?

– Jak to się mówi? Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, prawda?

– Będzie w Rzymie, gdzie praktycznie wyeliminowałem już wszystkie starsze wampiry? Dlaczego miałbym ci wierzyć, skoro skłamałeś już tyle razy?

– Nie kłamałem na temat Pragi. Tylko strzelałem, że tam może być, i jasno ci to powiedziałem. Tak się złożyło, że miałem rację. Tym razem też nie kłamię. Musi się tam udać i odzyskać miasto, żeby wraz z nim odzyskać władzę nad wszystkimi wampirami na świecie. Uważa tę planetę za własne imperium, sam rozumiesz. Ale twoja taktyka guerrilli wykurzyła nas z naszych warowni, zmusiła do pochowania

się po kryjówkach niczym szczury po rynsztokach. Theophilus nie może się na to godzić.

– Bo ja wiem. W Berlinie zwiewał ile sił w nogach. Skąd ta myśl, że w ogóle będzie dążył do konfrontacji?

Leif zachichotał.

– To, że zmusiłeś go tam do ucieczki, na pewno bolało. Tym bardziej teraz jest spragniony prawdziwej walki. Już zbyt długo wszystko przychodziło mu zbyt łatwo. Zresztą wszystkim wampirom było za łatwo. Pamiętasz *Cymbelina*? „Pokój, dostatek to tchórzów rodzice”.

– „Lecz twarde życie płodzi twarde dzieci”. Oczywiście, że pamiętam. Ale z tego nie wynika wcale, że Theophilus wybierze się do Rzymu.

– Moim zdaniem owszem. Myślę, że fantazjuje na temat tego, jak to niszczy cię w Rzymie i w końcu uwolni świat martwiaków od druidzkiej plagi. Musi przecież być bohaterem wampirów. Jego ego tego wymaga. A według moich danych minęło już kilka dobrych dni, odkąd twoi cisowcy zadźgali jakiegoś wampira, nieprawdaż?

– Problemy z przepływem gotówki. Ten element planu Drasche’a wypalił bez pudła.

– A zatem przysłowiowa droga jest wolna. Theophilus wkroczy z powrotem do Rzymu. Będzie miał ze sobą małą armię. Będzie tam na ciebie czekał, tym razem przygotowany na cisowców. Będzie miał plan.

– Dobra, Leif – powiedziałem. – Zawrzyjmy umowę.

Rozdział 22

Spałam snem spokojnego zwycięzcy. I choć budzę się wciąż z lekkim poczuciem winy, jej większość rozplynęła się w nocy. Resztki, które zostały, będą mi przypominały o tym, czego o mały włos nie zrobiłam. Dzięki temu będę się pilnować, by nie posunąć się nigdy o krok za daleko. Choć nie wyobrażam sobie, żebym w ogóle zdołała jeszcze kiedyś się tak wściec. Nikt nie potrafi mi tak grać na nerwach jak Beau Thatcher. Teraz, gdy stał się już sprawą przeszłości, być może mogę to tak zostawić i po prostu delektować się zwycięstwem. Mam nadzieję, że w ten sposób sprawiłam tylko, że do mojego ojczyzna wróciła jego zła karma, a nie, że to ja zarobiłam sobie właśnie jakąś złą karmę. Może powinnam pogadać o tym z Lakshą. Wygląda na to, że ostatnio uwrażliwiła się bardzo na sens działań i ich konsekwencje.

W każdym razie nie da się ukryć, że czuję się z tym świetnie. Właśnie skreśliłam z życiowej listy zadań jedną z największych pozycji. Chciałabym komuś o tym opowiedzieć. Ale już od dłuższego czasu nie miałam kontaktu z Atticusem. Wysłałam do niego esemesa. Potem jeszcze jednego do Hala Hauka. Ale żadnej odpowiedzi. Jeśli w ciągu ostatnich dwóch tygodni Atticus wpakował się w jakieś kłopoty – a znając go, pewnie tak było – to zmienił komórkę, więc będę musiała czekać, aż sam się do mnie odezwie. A nie zrobi tego, póki naprawdę nie zacznie się martwić. Ubzdurał sobie, że nie powinien mi się narzucać. To niby słodkie. Tylko że teraz, gdy już mogę z nim być, nie bojąc się cały czas, że pokazuję Lokiemu, gdzie może dorwać jego i Oberona, tak bardzo chciałabym się z nim spotkać. Sęk w tym, że jeśli nie da się do niego zadzwonić, a przez to jego zimne żelazo jest w zasadzie niewywróżalny, to naprawdę trudno go namierzyć. Może Siostry Trzech Zórz mają jakiś pomysł. Może jeśli spytam je, gdzie dzieje się coś zupełnie szalonego i magicznego, będą w stanie namierzyć takie miejsce, a cokolwiek tam będzie, najprawdopodobniej będzie tam i Atticus. Nawet jeśli nie, i tak będzie to pewnie wymagało uwagi druida.

Jest jeszcze inny powód, dla którego powinnam znów skoczyć do Warszawy. Przeczytałam już kilka wierszy Wisławy Szymborskiej. *Nic dwa razy* jest zupełnie niesamowity, tak zresztą jak *Wrażenia z teatru*. Nie mam wątpliwości, że to poezja dla mnie. Czas nauczyć się polskiego. Siostry ucieszą się z mojej decyzji i warto

się do nich wybrać choćby tylko po to, żeby im to powiedzieć, nawet jeśli nie będą mi potrafiły pomóc. W ogóle będę u nich spędzać trochę więcej czasu w najbliższej przyszłości, jeśli im to nie będzie przeszkadzać.

Gdy już jesteśmy w Tír na nÓg i szukam przejścia, odkrywam, że nie ma żadnych splecionych drzew w okolicy domu Maliny Sokołowskiej. Najbliższa jest tamta topola czarna na Polu Mokotowskim. Powinnam może coś z tym zrobić, jeśli zamierzam częściej je odwiedzać. Siostry mają kilka sosen, które doskonale by się do tego nadały.

Bieg do Radości to jednak sama przyjemność. Gdy przenosimy się tam, w Warszawie jest wczesne popołudnie, więc ulice nie są zatłoczone, bo jest już po przerwie na lunch, a jeszcze przed godziną szczytu. Furtka do ogrodu Maliny jest uchylona, a na ziemi przed nią siedzi po turecku Ewelina i pali papierosa. Na mój widok gasi go o żwir na ulicy i wstaje z uśmiechem.

– Hello, Granuaile! – Znów corna. – *Rock on.*

Otwiera szerzej furtkę i zaprasza nas z Orlaith do środka. Z domu natychmiast wypada Dominika i mało nie poślizguje się na omszałych stopniach. Ewelina zamyka za nami furtkę.

– Oj! Granuaile! Jesteś nareszcie! Chodź! Musisz pogadać z Miłozsem! – Dominika łapie mnie za rękę i ciągnie za dom.

– O... okej. Ale po co ten pośpiech? Coś się stało?

– On chyba się czymś martwi. Pogadaj z nim, proszę.

– Jasne.

Uśmiecham się lekko za jej plecami. Mam nadzieję, że to nic poważnego, choć pewnie sobie tego tak całkiem nie wymyśliła. Przede wszystkim jednak to cudowne, że Miłozs ma kogoś, kto się o niego troszczy. Wreszcie będzie rozpieszczany, a nie zupełnie opuszczony. Gdy wychodzimy z za węgła domu, ma pysk schowany w torbie z owsem.

Przechodząc na magiczne widzenie, splatam jego umysł ze swoim, witam się i pytam, jak się czuje. Unosi łeb i rzy na znak, że mnie poznał. Odpowiada, że czuje się raczej dobrze.

<Czy coś się stało?>.

Wyjaśnia mi, że chciałby wybrać się czasem na spacer, a nie tkwić cały czas w tym samym miejscu. To prośba zupełnie zrozumiała i z pozoru prosta, ale jakże ryzykowna, biorąc pod uwagę, że Loki wciąż chce go odzyskać. Tym bardziej że koń ma nadal znak tego podłego boga, a nie miałabym serca kazać mu przechodzić

przez bolesną operację usuwania go za pomocą Runy Popiołów. Poza tym wydaje mi się, że siostry właściwie nawet liczą na to, że Loki spróbuje go odzyskać, ale wolałyby, żeby do starcia doszło na ich obwarowanym zabezpieczeniami terenie.

Obiecuję Miłoszowi, że zobaczę, co się da zrobić, po czym przekazuję jego prośbę Dominice.

– Po prostu chciałby wychodzić na spacer.

– Oj! – Przygryza wargę. – Na spacerze nie dałybyśmy rady go równie dobrze chronić.

– A gdybyście wszystkie z nim były? Wiesz, cały sabat, a nie tylko ty jedna? Może zmieniałybyście zawsze czas i trasę, żeby nie dało się ich przewidzieć? I zawsze były gotowe na atak?

– Hmm. Powiedz mu, że coś wykombinujemy.

Uspokoiwszy Dominikę i Miłosza, przyjmuję tym razem zaproszenie na wypieki i wchodzę do domu Maliny. W środku nie zastaję żadnego kiczu ze starego świata – styl jest oszczędny, nowoczesny, minimalistyczny, skoncentrowany na dużych obrazach olejnych i małych, poświęconych kobiecości posążkach z brązu.

Obecne w domu wiedzmy raczą mnie herbatą, ciastem i ploteczkami. Brakuje połowy sabatu. Dobrze przyjmują wiadomość, że chcę się zmierzyć z Szymborską i językiem polskim, więc uznają, że nadeszła odpowiednia chwila, by poprosić o małą przysługę. Wykombinowałam jednak, że przedstawię to jako moją pomoc dla nich. Zwracam się do przywódczyni sabatu.

– Malino, słuchaj, chciałabym wreszcie przypomnieć Atticusowi o waszej sytuacji z wampirami i w ogóle. Ale nie mam z nim kontaktu i nie wiem, gdzie jest. Może ty masz jakiś pomysł, jak go namierzyć?

Mruga zaskoczona i mówi:

– Jego zimne żelazo chroni go przed naszym wzrokiem. Podobnie jak ciebie, nie da się go wywróżyć.

– Tak, wiem, ale myślałam sobie, że może dałoby się to obejść i po prostu poszukać jakichś dzikich harców.

– Czego, słucham? Masz na myśli coś konkretnego? Bo jeśli tak, to pewnie dałoby się to znaleźć. Możesz opisać, co masz na myśli?

– Nie, to nic konkretnego. Ale pewnie jest jakoś powiązane z wampirami.

– Niestety nieumarłych też nie potrafimy skutecznie wywróżyć.

– Tak, rozumiem, ale tak sobie myślę, że na pewno już mają paru magicznych sojuszników. Atticus też zresztą płacił faeriom, żeby zabijały wampiry, i nawet nieźle im to szło. Zakładam, że wampiry też mogły wynająć jakichś użytkowników magii. Więc po prostu chodzi mi o to, że gdybyście wyłapały jakieś duże magiczne zamieszanie, to pewnie tam właśnie jest Atticus. A jeśli nawet go tam nie ma, to prawdopodobnie i tak powinnam zbadać taką sprawę.

– Hmm. – Malina w zamyśleniu stuka palcem wskazującym w granitowy blat kuchni. Spogląda na pozostałe sześć wiedźm. W końcu kiwa głową. – Niech będzie. Warto spróbować, jeśli ma to przyspieszyć odwampirzenie Polski. Zagnieździło się ich tu kilka w Warszawie i jeszcze kilka żeruje na studentach w Poznaniu. Bardzo nas to drażni. Anno, czy mogłabyś tu zostać z Granuaile i dać jej pierwszą lekcję polskiego? My tymczasem spróbujemy namierzyć te magiczne harce.

Pozostałe siostry wychodzą więc z pokoju, a Anna aż wymachuje rękoma z przejęcia niczym mupet. Chwyta zaraz notatnik i długopis i zaczynamy od alfabetu i głosek. Zawsze jakoś lubiłam literę z, gdy więc się dowiaduję, że w polskim ma ona aż trzy wersje – z, ź i ż – uznaję to za znak, że dokonałam słusznego wyboru. Czas leci, gdy zagłębiamy się w tajniki języka polskiego, i nagle Malina i spółka już są z powrotem w pokoju. W ich włosach zauważam małe kwiatuszki krwawnika.

– Rzym – mówi Malina bez zbędnych wstępów. – Jedź do Rzymu.

– Ale dlaczego? Co tam się dzieje?

– Coś bardzo dziwnego stanie się na piazza di Spagna. Powiedziałyby, że to różokrzyżowcy, tylko że coś jest z nimi nie tak.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Tak w skrócie, na niektórych budynkach na placu ktoś pozakładał bardzo potężne zabezpieczenia, ale mają dziwną konstrukcję. To najprawdopodobniej pułapki. Raczej nie radziłabym po prostu w nie wchodzić, żeby sprawdzić, jak działają.

– I to są nowe twory?

– Tak. Przedtem niczego takiego nie wyczuwałyśmy.

– Dobra – mówię i od razu wstaję. Orlaith też się podnosi i wymachuje ogonem. – Idę tam.

– Bądź bardzo ostrożna, Granuaile. Jak już się temu przyjrzyysz, skontaktuj się z nami, gdybyś wolała to najpierw z kimś przegadać.

– Oczywiście.

Dziękuję Annie za lekcję i wychodzę. Pędzimy z Orlaith z powrotem na Pole Mokotowskie. Po drodze uczę ją podstawowych nazw włoskich delikatesów. Skutek jest taki, że natychmiast chce spróbować, jak smakuje *prosciutto*, *culatello* i *salama da sugo ferrarese*.

– Zobaczymy, co znajdziemy w Rzymie najpierw: smaczne mięsko czy Atticusa z Oberonem.

Rozdział 23

Cholera, jakie teraz się robi wypasione pogrzeby. Wszyscy ubierają się w najlepsze czarne ciuchy i w ogóle. Za moich czasów człowiek miał na grzbiecie jedno ubranie i tyle. Dwa zestawy, jeśli naprawdę był dziany. A prało się je, jak się już miało naprawdę dość brudu i robaków na jajach, a nie dlatego, że ktoś umarł. Ale Greta mi załatwia porządne żałobne ubrania, bo mówi, że to wyraz szacunku, no to przecież jak tak, to się na wszystko zgadzam. Hal zasługuje na szacunek, do diaska. Że już nie wspomnę o Nergüim, który powierzył mi bezpieczeństwo swojej rodziny.

Właściwie to tylko takie pośpieszne nabożeństwo żałobne, a nie prawdziwy pogrzeb, bo Hal zostawił instrukcję, żeby go pochować na Islandii, a Nergüi ma wrócić do Mongolii. Ale chodzi zawsze o to samo: żeby wspomnieć zmarłych, powiedzieć innym, dlaczego byli dla ciebie ważni, pocieszyć rodzinę, ile się da, nawet jeśli gówno to da, a twoje słowa nijak nie załatwiają dziury wydartej w ich świecie, otwierającej się przed nimi przepaści bez ukochanych osób. I tak trzeba, żeby wiedzieli, że gdybyś tylko potrafił, tobyś zrobił dla nich wszystko.

Greta wróciła, ale nie powiedziała wiele. Tylko:

– Pogadamy potem – i kilka chrząknięć.

Nie muszę nawet rzucać różdżek, żeby dobrze wiedzieć, że to nie będzie miła rozmowa. Na samą myśl o tym gadaniu flaki mi się skręcają. Odkąd mnie pchnięto w te dziwne czasy, jedyne, co mnie trzyma do kupy, to Greta. Wiem, że jak się myśli o miłości, to niby ma być buzi-buzi, pachnące mydełka, wspólne śpiewanie piosenek i licho jeszcze wie co, ale jest w tym jeszcze coś, coś, o czym ludzie niechętnie mówią. Potrzebujemy kogoś, kto uratuje nas przed innymi. Przed gadaniem z nimi, przed przejmowaniem się tym, co powiedzą. Nie chcemy być cali grzeczniutcy i tłumić każde pierdnięcie, nie? Chcemy sobie pierdzieć do woli, ale być z kimś, kto nas kocha mimo wszystkich naszych pierdnięć. I tak sobie myślę, że Greta jest chyba dla mnie kimś takim. A raczej mogła być, póki nie pojawiły się te cholerne wampiry.

Do domu Greta zjechała na tę uroczystość cała Wataha z Tempe. Z tego, co rozumiem, to mają potem pobiec w góry, żeby uczcić pamięć Hala. Dołączy do

nich większość Watahy z Flagstaffu, żeby wspomnieć Nergüia. Poświęcą im też następną pełnię księżyca. Słyszę, jak się odgrażają, że wampiry jeszcze im za to zapłacą.

Meg i Tuya zostają. Tym mnie cholernie zaskoczyły. Nergüi i Meg razem postanowili, że ich córka będzie druidką, i Meg nie zmieniła zdania w tej sprawie. Wrócą do Mongolii załatwić wszystko, ale potem przyjadą znów do nas.

Podczas ceremonii trzymam głowę na kłódkę. Co ja tam wiem o Halu i Nergüim. Ledwie ich znałem. To sprawa watah. W każdym razie odgłosy są dość dziwne – ni to szczekanie, ni to skomlenie, ni to warczenie. Twarze poruszają się niepokojąco, gdy wilkołaki próbują zapanować nad emocjami i utrzymać swoje ludzkie postacie. Nikt jednak nie traci panowania nad sobą.

Kiedy jest już po wszystkim, Greta wskazuje na mnie palcem i odchodzimy między drzewa. Dopiero tam zaczyna mówić. Jej oczy przesłania czarna woalka, ale ich zimny błękit i tak mnie mrozi. Głos ma spięty, matowy. Ubrana jest w męski garnitur i srebrzysty krawat. To chyba jakiś symbol. Z bocznej kieszeni wyciąga plastikową torebkę, którą przyniósł Hal. W środku są nowe dokumenty Siodhachana. Rzuca mi je i spluwa na bok.

– Znajdź go i powiedz mu, że nie jest już tu mile widziany. Nie będzie mile widziany ani w watasze z Tempe, ani z Flagstaffu. I tak, to ustalone z Samem i Tyem.

Czeka, aż coś powiem, ale jeśli myśli, że się z nią będę kłócił, to się myli.

– Dobra – mówię.

– Nie proszę cię, żebyś nigdy już się do niego nie odezwał, ale nie sposób wyrazić, jak bardzo mamy dość tego jego gówna. Nie, nawet nie, że mamy dość. Jesteśmy wściekli, tak wściekli, że jesteśmy gotowi go zniszczyć. Nie ma mowy, żeby nasza wataha wciąż ponosiła szkody majątkowe i niemajątkowe z powodu jego niekończącej się serii kryzysów. Nie chcemy mieć odtąd z nim nic wspólnego.

Nie jestem pewien, co ma na myśli przez te majątkowe i niemajątkowe, ale kiwam głową. Sprawdzę to sobie później. Greta uznaje, że to znak, że może kontynuować.

– Jeśli chcesz się z nim spotkać, zrób to z dala od tego miejsca. A jeśli on chce się z tobą skontaktować, ma to robić po ludzku. Żadnych faerycznych posłańców. Ma wysłać mejla albo korzystać z mediów społecznościowych. Pokażę ci, jak to działa.

– Dobra. – Tak mi ulżyło, że mnie nie wykopuje za to wszystko za drzwi, że wszystko inne to betka.

– Żadnych przysług. Żadnych papierów. Jego współpraca z kancelarią Magnusson & Hauk należy do przeszłości. Dostanie wkrótce wszystkie papiery dotyczące zakończenia współpracy. Żadnego zajmowania się jego kundlem albo jego mieczem. À propos, Sam i Ty przywieźli go dziś, masz go zabrać. Leży na stole w jadalni. W każdym razie od teraz już niech się niczego po nas nie spodziewa. Może sobie żyć w spokoju, ale poza naszym terenem. Jeśli będzie na tyle głupi, żeby wkroczyć na nasze terytorium, to zrobimy co w naszej mocy, żeby zakończyć to jego zbyt długie życie. Czy to jasne?

– Jak słońce.

Ramiona jej się rozluźniają. Oddycha powoli. Zamyka oczy. Powiedziała, co chciała powiedzieć.

– To dobrze. Jakies pytania?

– Czy może ta wasza kancelaria ma jakieś pojęcie, gdzie on jest? Bo wtedy mógłbym to od razu załatwić i mieć z głowy.

Kręci głową.

– Obstawiam, że jest w Rzymie, ale nie wiem. Faerie nie mogą go namierzyć?

– E, nie. Już dawno nauczył się ich unikać. Ale dlaczego w Rzymie?

– Jeśli naprawdę chce się pozbyć wampirów, to prędzej czy później tam trafi. Albo już tam był i stąd ten atak.

– Aha. No to pójde do Rzymu. Jakies konkretne miejsce?

– Tam, gdzie mieszkają bogacze. Prestiż, przepych, władza. Stare wampiry lubią się z tym obnosić.

– Aha. To zbieram manatki i spadam.

Mam ochotę pocałować ją na pożegnanie, ale nie wiem, co by na to powiedziała. Na wszelki wypadek ograniczam się do skinienia głową i obracam w kierunku domu. Po kilku krokach słyszę, jak biegnie, i to szybko. Nawet nie mam czasu się odwrócić, a już mnie chwyta od tyłu, wtula się. Zamieram, a ona opiera głowę między moimi łopatkami.

– Dziękuję, Owenie – mówi.

– Nie ma za co dziękować – odpowiadam. – Tak jak ty chcesz, żeby twoja wataha była bezpieczna, tak samo ja chcę chronić mój gaj. A rozwiązanie jest jedno: trzymać Siodhachana jak najdalej od nas.

Nic na to nie mówi, tylko ścisza mnie trochę mocniej.

– Może mi to pójść szybko, ale może mi zająć kilka dni albo i tygodni, nim go złapię. I raczej będę musiał mu wtedy pomóc z wampirami, jeśli nastąpi ostateczna rozgrywka. Więc weź to wytłumacz wszystko dzieciakom i rodzicom, dobra? No wiesz, czemu mnie nie ma i że wrócę, jak skończę. Bo nie chcę, żeby to się powtórzyło.

– Nie. Tego na pewno nie chcemy. – Puszczam mnie, ale zaraz potem obraca mnie twarzą do siebie i kładzie mi dłoń na policzku. Jej oczy wpatrują się w moje przez woalkę. – Bądź twardy i nie miej litości. O nas się nie martw. Będziemy tu czekać.

– Dobrze.

Kiwam głową, a ona mnie puszcza, więc idę do domu. Greta zostaje wśród drzew. Zabieram kastety, potem Fragaracha ze stołu w jadalni i jeszcze te kołki od Luchty, dwa, bo jeden dla Granuaile, na wypadek gdyby była z Siodhachanem.

Nie wiem, jakie jest stanowisko watahy w jej sprawie, ale wolę tego nie wyciągać, jeśli nie będzie to konieczne. Lepiej niech ona sama zdecyduje, czy woli być traktowana inaczej niż Siodhachan, czy woli podzielić jego los.

Ja wiem na pewno, czego chcę: Greta i gaju. I niech nam wszyscy dadzą święty spokój. Wiem, że znajdę tu harmonię. I będę o to walczyć. I chrzanić paradoks walki o pokój.

Rozdział 24

To trochę jak skakać na spadochronie za linię wroga. Mam się przenieść do Rzymu. To tu Theophilus i jego starzy kumple zmanipulowali Juliusza Cezara i innych po nim, tak by atakowali druidów na kontynencie. To ich kampanie, połączone z rozprzestrzenianiem się chrześcijaństwa, doprowadziły do wyginięcia druidów. Myślał, że wygrał. Być może nawet miał rację. Jeśli się czeka dwa tysiące lat z kontratakiem, to trudno chyba utrzymywać, że to kontynuacja tej samej wojny.

Moje wizyty w Rzymie przez te wszystkie wieki były zawsze krótkie i miały tylko na celu zobaczenie takiego czy innego dzieła sztuki. Takie wycieczki na jeden dzień, bo w ciągu dnia wampiry przecież śpią. Zawsze jednak upewniałem się, że jest jakieś działające połączenie z tym miastem. Splecione drzewo rośnie na północnym skraju Rzymu w dużej posiadłości, która nazywa się Villa Borghese. Należała ona do pewnej starej rodziny blisko związanej z kilkoma papieżami. Dziś jest to częściowo przestrzeń publiczna, jest tu zoo i park. To drzewo powinno stanowić dobre połączenie z Rzymem jeszcze przez wiele lat, a tak się składa, że znajduje się akurat blisko piazza di Spagna, gdzie według Leifa powinienem znaleźć Theophilusa.

– Miał mieszkanie tuż przy placu. Tak zresztą jak paru innych przywódców. Kilka wieków temu kupił je za jakąś pieśń, potem raz na pokolenie przepisywał je na kolejne tożsamości. Pewnie robiłeś podobnie ze swoimi nieruchomościami. Teraz te mieszkania warte są miliony euro, bo okolica stała się dość modna.

– Kiedyś nie była? – spytałem.

– Nie. Gdy mieszkał tam Keats i Shelley, ludzie drwili, że to „angielskie getto”, bo jest tak tanie, że nawet biednych zagranicznych poetów stać na jakiś pokój. Wiem na pewno, że twoi faeryczni zabójcy zlikwidowali tam kilku przywódców. Theophilus będzie chciał odzyskać te mieszkania z powodów symbolicznych.

– Znaczą kupi je?

– W końcu pewnie tak. On i jego dwór najpierw posłużą się urokami, żeby się do nich dostać, a potem będą się martwić prawną stroną tej operacji. Jeśli chcą

mieszkanie, a jest ono akurat zajęte, mogą przecież zawsze zabić właściciela, żeby się zwolniło.

– Stać go na takie drogie miejsce?

– Ależ oczywiście. Pamiętaj, że poza własnym okazałym majątkiem, dzięki Wernerowi Drasche'owi ma teraz wszystkie twoje pieniądze. Wyda je szybko choćby tylko po to, by ci dokuczyć.

Kiedy dotarłem na piazza di Spagna – plac nazwany tak tylko dlatego, że niedaleko znajduje się ambasada hiszpańska, bo żaden Hiszpan tak poza tym nie miał nic wspólnego z jego powstaniem – nie było aż takiego tłoku, jak zwykle w sezonie turystycznym. Wyjątkowo zimna pogoda sprawiła, że turyści pochowali się po muzeach i kościołach. Podeszliśmy z Oberonem do fontanny w kształcie łódki, którą zaprojektował Bernini, a która znajduje się u stóp Schodów Hiszpańskich, i chwilę cieszyliśmy oczy jej pięknem. Potem zacząłem się poważnie zastanawiać, czy nie wstąpić do znajdującej się na lewo od schodów herbaciarni Babington's Tea Rooms, żeby napić się absurdalnie drogiej, ale przynajmniej ciepłej angielskiej herbaty. Z braku euro jednak takie przyjemności musiały poczekać.

Po pierwsze chciałem sprawdzić, czy Leif miał rację, kiedy mówił, że Theophilus i reszta mieszkają przy tym placu. Jeśli tak, to przed domami powinni stać thrallowie z bronią w kaburach i słuchawkami w uszach. Wolałem jednak nie zdradzać się przedwcześnie z moją obecnością. Zacząłem więc od spokojnego obejrzenia sobie budynków w magicznym spektrum, żeby zobaczyć, czy coś mi się nie rzuci w oczy. Nie wiedziałem, czego oczekiwać, ale coś na pewno aż tam skakało, żebym na to zwrócił uwagę.

Trzy budynki naprzeciwko angielskiej herbaciarni były obwarowane jakiegoś rodzaju zabezpieczeniami. I niebyły to twory wampirów, najwyraźniej więc wampy wynajęły sobie jakiegoś magicznego kontrahenta, który może nadal się tu gdzieś czaić.

Wszystkie trzy kamienice były wysokie, pięć lub sześć pięter, przy czym dolne zajmowały luksusowe sklepy. Od lewej znajdowały się tam takie sklepy jak: Pucci, Casadei, Jaeger-LeCoultre i Dolce & Gabbana, a duże drzwi między sklepami prowadziły do wewnętrznych klatek i wind. Żeby się dostać do środka, musiałbym przejść przez zabezpieczenia, a na to nie miałem jeszcze ochoty. Nad sklepami fasada pokratkowana była oknami, z których większość miała zamknięte okiennice i tylko niektóre wpuszczały słabe zimowe światło. Odsłonięte okna zdecydowanie wskazywały mi, gdzie nie ma wampirów. Gdy spojrzałem jeszcze wyżej, ujrzałem

zielone parasole drzewek w doniczkach, które sugerowały, że na dachach znajdują się ogrody – przestronne przestrzenie dla nieprzyzwoicie bogatych, by mieli skąd spoglądać na motłoch.

Nie wyłączając magicznego wzroku, wziąłem Oberona na mały obchód tej grupy budynków. Chciałem zobaczyć, czy zabezpieczenia zostały pozakładane na wszystkich wejściach. Budynki miały wspólne ściany, nie było między nimi przejść, ale łatwo je było zidentyfikować od drugiej strony po farbie. Kamienicę z Pucci pomalowano na wyblakły w słońcu fiołkowy, Casadei był brązowy, a trzeci, największy dom miał kremowożółty kolor. Obejrzawszy domy od strony wąskiej brukowanej uliczki, stwierdziłem, że zabezpieczone są zewsząd. Trzymaliśmy się z Oberonem z dala od nich, żeby przypadkiem nie uruchomić żadnych zaklęć. Była to nieznaną mi magia i nie wiedziałem, co ma na celu. Głupio by było, jakbym z niecierpliwości, by pokonać Theophilusa, popełnił teraz jakiś lekkomyślny błąd strategiczny.

Po drugiej stronie budynków, na wąskiej uliczce ze sklepami sprzedającymi rękawiczki, handlarzami wciskającymi turystom torebki oraz rozlicznymi jubilerami, jakaś nieszczęsna para kieszonkowców wpadła na słaby pomysł, by mnie okraść. Przede wszystkim i tak nie miałem portfela. Wyglądali mi na rodzeństwo. Dziewczyna zaczęła od zachwycania się Oberonem i próbowała odwrócić moją uwagę, pochylając się nad nim tak, że rozchyliła jej się luźna bluzka. Nie mógł to być przypadek choćby dlatego, że było zdecydowanie za zimno na taki dekolt. Chodziło tylko o to, żebym się przez chwilę na niej skupił. Tymczasem jej partner czy brat minął mnie, a potem cofnął się nagle. Kiedy poczułem, że jego palce wsuwają się do mojej tylnej kieszeni, przykucnąłem i podciąłem mu nogi. Wylądował na bruku, a ja obróciłem się i przycisnąłem go do ziemi, przy okazji wyciągając mu z kieszeni parę banknotów. Dziewczyna zaczęła wrzeszczeć i próbowała mnie przestraszyć wzywaniem pomocy. Puściłem chłopaka i uśmiechnąłem się do nich.

– Wybraliście złego faceta – powiedziałem po włosku. – Biegnijcie już. Wiem, że wolelibyście, żeby policja nie analizowała tego wydarzenia.

Oberon sam się domyślił, że czas warknąć ładnie, a oni pomknęli ile sił w nogach, ale poprzekliнали mnie przy tym zdrowo. Podziękowałem im za pieniądze na obiad.

Przechodnie, którzy zauważyli to zajście, wykazali się pełnym zrozumieniem. Wyglądało więc na to, że kieszonkowcy są tu chlebem powszednim. Nawet usłyszałem parę „Bravo!”.

Obiegliśmy wkoło resztę interesujących nas budynków i wróciliśmy na plac. Wszedłem do Babingtona po zestaw piknikowy – sprzedawali takie rzeczy nawet w zimie, bo w Rzymie prawdziwie zimne dni należą do rzadkości.

Siedliśmy na Schodach Hiszpańskich, jak najdalej od turystów zgromadzonych wokół fontanny Berniniego, a Oberon wymachiwał radośnie ogonem na niekończący się potok ludzi, którzy chcieli go pogłaskać.

<Oni po prostu nie potrafią mi się oprzeć, Atticusie. Widzisz? Jestem Najbardziej Interesującym Psem Świata>.

Bez wątpienia, stary.

<Hej, tam na dole jest jakiś inny pies!>. Zerwał się na równe łapy i wbił wzrok w północny skraj placu. <Tak! To Orlaith! Tak! I Bystra Dziewczyna!>.

Podążyłem za jego wzrokiem i ujrzałem znajomą rudą głowę i kij. Uśmiechnąłem się, wstałem i zawołałem do niej. Odmachała, a psy rzuciły się do biegu i spotkały w połowie drogi.

<Atticusie, zeżarłem całe jedzenie i nie mam nic dla Orlaith! Co ja teraz pocznę?>.

Nic się nie martw. Kupię jej coś.

– Hej. Fajna kurtka – powiedziała z uśmiechem Granuaile, wchodząc po schodach. Nagle przystanęła, przekrzywiła głowę, a jej uśmiech zniknął. Uniosła dłoń i zamachała palcem w moją stronę. – Co jest, do diabła? Co się stało z twoją bródką à la Mini Cooper?

Podniosłem rękę do brody.

– A! Musiałem być Nigelem w Toronto. Nie martw się, odrośnie.

– Byłeś w Toronto?! Niezła historia. Na pewno masz mi mnóstwo do opowiedzenia. – Znów się uśmiechnęła i przeszła ostatnie stopnie z wyciągniętymi ramionami. – Chodź no tu.

Bogowie, jak dobrze było ją widzieć. Jak dobrze było znów mieć ją w ramionach. Nie widziałem jej, odkąd Hal Hauk przekazał mi wiadomość o śmierci Kodiaka Blacka, i naprawdę mieliśmy sobie wiele do opowiedzenia. Popilnowałem psów na schodach, a ona skoczyła do Babingtona po coś na ząb dla siebie i swojej suczki. Orlaith chciała ponoć spróbować włoskich mięs, gdy tylko dotrą do Rzymu, ale teraz, gdy mogła się bawić z Oberonem i obiecałem jej, że na pewno kupimy

potem jakieś bardziej włoskie smakołyki, zadowolila się piknikowym zestawem z salami i sera.

Granuaile nie traciła czasu, gdy się nie widzieliśmy. Fjalar usunął jej – a raczej wypalił – znamię Lokiego, a potem jeszcze załatwiła sobie osłonę przed wyróżeniem od Sióstr Trzech Zórz, przy okazji wykradając Welesowi konia Świętowita.

– Będę teraz spędzać więcej czasu z siostrami – zapowiedziała. – Nauczę się polskiego i poezji Szymborskiej.

Ale niespodzianka.

– Aż ci zazdroszczę. Nigdy nie zdołałem się jakoś nauczyć polskiego, ale skoro potrzebujesz kolejnej przestrzeni myślowej do przenoszenia się...

– Dlaczego nie nauczyć się czegoś po łacinie albo rosyjsku? – dokończyła za mnie Granuaile.

– Właśnie.

– Bo chcę mieć w głowie piękne rzeczy. Gdybym wpakowała do trwałej pamięci rosyjską literaturę, którą dotąd przeczytałam, tobym sobie skwasiła moje pogodne podejście do świata.

– Rozumiem. Niestety muszę ci trochę skwasić humor, bo powinienem ci powiedzieć, że Fjalar nie żyje.

– Co? Jak to się stało?

– Brighid go zabiła. Prowadził całą armię przeciwko mrocznym elfom i w ogóle nie chciał z nami gadać. Odyn kazał mu iść na Svartálfheim, no to poszedł. A Brighid zabiła go, by pokazać, że nie wolno sobie z nią pogrywać.

– Kurczę... To o tym wtedy rozmawiali. Kiedy byłem w Asgardzie, wspominali coś o wyprawie na Svartálfheim.

– Wszystko skończyło się radosnym rozejmem. Ale im bardziej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że Odyn, a może też Brighid zaaranżowali to wszystko celowo, by zmusić mroczne elfy do negocjacji. Przeprowadzili całą akcję makiawelicznie i z zimną krwią, ale z perspektywy czasu może rzeczywiście nie było innego wyjścia. Elfy z początku nie bardzo chciały w ogóle gadać. A Morrigan mówiła, że koniecznie muszą być po naszej stronie, no i teraz są. I bonus jest taki, że obiecały nigdy już nie przyjmować kontraktów na nas, druidów.

– Hej! To świetna wiadomość!

– Szczególnie w świetle tego, że Fand uciekła. Wiesz już o tym?

– Nie! Kiedy?

– Kilka dni temu. Ale miejmy nadzieję, że to nie nasz problem. Teraz oboje jesteśmy osłonięci przed wywróceniem. I już wiem, gdzie ona się ukrywa. Powiem o tym Brighid i niech ona się tym zajmie. I tak już mam teraz dość na głowie.

Opowiedziałem jej o moich potyczkach z Wernerem Drasche'em i o prawie udanej próbie zlikwidowania Theophilusa w Berlinie. I że Diana jest na wolności, ale nadal wściekła jak osa.

– Złożyła przysięgę, że zostawi nas w spokoju, po czym natychmiast ją złamała. Jowisz powiedział, że powstrzyma ją od gonienia za nami, ale zobaczymy, jak mu to wyjdzie.

– To co teraz? – spytała Granuaile. – Trafiłam na jakąś przerwę czy już zacząłeś znów rozrabiać?

– Właśnie lukałem sobie na tamte chaty – wyjaśniłem, wskazując jej zabezpieczone budynki. – Rzuć na nie okiem w magicznym spektrum. Mają jakieś dziwne zaklęcia.

Spojrzała na nie, po czym odwróciła się z powrotem w moją stronę.

– Hmm... Malina mówiła, że na tym placu dzieje się coś dziwnego. Według niej te zabezpieczenia to raczej pułapki.

– A, no właśnie się zastanawiałem, jak mnie w ogóle znalazłaś.

– Ba! Wystarczyło, że spytałam ją, gdzie na świecie dzieje się coś dziwnego, i od razu mnie tu wysłała. I nie uwierzysz! Jesteś akurat w tym miejscu!

– Bardzo sprytnie. Mówiła coś więcej o tych zabezpieczeniach?

– Tak. Że wyglądają trochę jak zaklęcia różokrzyżowców, ale jakoś jednak inaczej.

– Różokrzyżowców?! No to nieźle wdepnąłem.

– Dlaczego?

<Chwilunia! To nie ja! Ja nie zrobiłem żadnej kupy!> krzyknął w panice Oberon.

<Ani ja!> dodała Orlaith.

Psy zawsze umywają łapy, jak się w coś wdepnie.

Zapewniliśmy je, że mówiliśmy w przenośni i że nawet przez sekundę ich o nic nie podejrzewaliśmy, a gdy znów zajęły się podgryzaniem sobie nawzajem uszu i nastawianiem się na pieszczoty przechodniów, po cichu wyjaśniłem Granuaile, co mnie tak zaniepokoiło.

– Różokrzyżowcy mają historię długą i raczej mroczną. Wiesz już coś o nich?

– Słyszałam tę nazwę, ale to by było chyba na tyle.

– To tajne stowarzyszenie, którego początki sięgają piętnastego wieku. To oni zainspirowali potem wolnomularzy i mnóstwo innych organizacji, które z pozoru przysięgały pomagać społeczeństwu, ale dziwnie uparcie milczały na temat metod niesienia tejże pomocy. Niektóre z nich, nawet wiele z nich rzeczywiście próbowało ulepszać świat i wręcz im się to czasem udawało. Mieli swoją filozofię, nie znosili zepsucia Kościoła katolickiego i byli głęboko przekonani, że mają prawo wściubiać nos w misteria wszechświata. Do dziś po świecie jest rozsianych kilka zakonów różokrzyżowców oraz parę innych tajnych stowarzyszeń, które niby nie mają żadnych oficjalnych powiązań z nimi, ale wyraźnie się od nich wywodzą. Problem w tym, że niektóre z tych grup, a raczej ich odłamy, były tak naprawdę siedliskami najgorszego zła. Kolesie zrzeszali się w tajne stowarzyszenie i wykorzystywali różokrzyż, żeby zyskać szacunek ludzi, ale pod tą przykrywką czaiły się najgorsze koszmary, niczym kutas z syfilisem pod kocem. Utrzymywali, że poświęcają życie nauce, ale tak naprawdę zajmowali się alchemią i usiłowali osiąść jej mroczne sekrety. Pamiętasz, że moc Wenera Drasche'a została mu nadana właśnie przez jakiegoś alchemika, nie? Zresztą potem zabił swojego twórcę, pamiętasz? No to wyobraź sobie, że w Toronto miałem wreszcie okazję dobrze się przyjrzeć jego tatuażom. Na czubku głowy poza symbolami stricte alchemicznymi miał właśnie różokrzyż.

– O, czyli skrytobójczą pijawkę powołał do życia jakiś różokrzyżowiec.

– Tak. Idę też o zakład, że te zabezpieczenia, jeśli stworzyli je różokrzyżowcy, będą paskudne. Więcej, skoro najprawdopodobniej są tu, by ochraniać Theophilusa, a dobrze wiemy o jego powiązaniach z Wernerem Drasche'em, to paskudztwa mamy jak w banku. A znasz Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku?

– Złotego Brzasku...? A tak. To ta grupa, do której należeli Bram Stoker, William Butler Yeats i Aleister Crowley?

– Tak. Oni też czerpali z nauk różokrzyżowców. I to pełnymi garściami. A do tego z kabały hermetycznej.

– Nie mylić ze zwykłą kabałą żydowską?

– Właśnie. Zupełnie inny system. Bardziej synkretyczny, powiązany z innymi tradycjami. Ale ich ceremonie także opierają się na Drzewie Życia, więc jeśli mają akurat do wykonania tak dużą robotę jak, powiedzmy, zabezpieczenie trzech wielkich budynków, to pewnie musi nad tym pracować więcej niż jeden człowiek.

– Z czego wnioskujemy, że gdzieś tu może się pałętać cała banda różokrzyżowców.

– Otóż to. Przyjrzyjmy się uważniej tym zabezpieczeniom.

Zeszliśmy ze schodów i przeszliśmy przez plac, żeby znów popatrzeć na zaklęcia. Psy dreptały za nami. W magicznym spektrum zobaczyliśmy punkciki światła ułożone, zdawałoby się, w przypadkowy wzór. Ale po naszej rozmowie już potrafiłem dojrzeć w nim logikę.

– Spójrz tu, Granuaile – powiedziałem, wskazując obrzeże zabezpieczenia, ale oczywiście bardzo ostrożnie, żeby go nie dotknąć. Przesunąłem palec jakby po wzorze. – Widzisz? Dziesięć sefir Drzewa Życia. A z nimi połączone kolejne drzewa. To zabezpieczenie kabalistyczne. Pewnie w hermetycznej odmianie.

– Tak, widzę, ale jak to działa?

– Tego nie wiem. Widać przecież, że ludzie wchodzą i wychodzą ze sklepów bez najmniejszego problemu. Zakładam, że to specjalne zabezpieczenia tylko przeciwko druidom. A to nie najlepsza wiadomość. Pamiętam, że jak Młoty Boga napadli na mnie w Tempe, to dosłownie odcięli mi zdolność splatania. Wolałbym naprawdę nie wtykać palców w to gniazdko.

– Mówiłeś przecież, że teraz, po Toronto, lepiej ci się układają stosunki z Młotami. Może weź do nich przedzwoń i dowiedz się, czy oni by tego nie mogli jakoś rozbroić. W sumie nie musimy tak zaraz dzisiaj rzucać się na te wampiry, nie? Warto chyba poczekać na pomoc.

– Genialny pomysł. – Wyciągnąłem kolejny telefon na kartę i z pamięci wbiłem numer do rabina Yosefa Bialika. Odebrał zaspianym głosem. W Toronto nie było po południu, tylko koło szóstej nad ranem. – Halo, rabinie? Mówi Atticus. Jak szybko mógłby rabin przyjechać z kumplami do Rzymu?

Rozdział 25

Gdy już Atticusowi udaje się namówić rabina na małe rzymskie wakacje, mamy dla siebie resztę dnia i całą noc. I tak jest nawet lepiej, bo żadne z nas nie jest w stu procentach zdrowe, oboje jeszcze dochodzimy do siebie po najróżniejszych starciach z bogami i martwiakami. Postanawiamy wynieść się gdzie indziej na noc, nim wampiry się obudzą, ale nie śpieszymy się do Villa Borghese. Robimy sobie z tego randkę, zaglądamy do sklepu z wędlinami, żeby wypełnić obietnicę daną Orlaith i zachwycić przy okazji Oberona. Nie znam za bardzo Rzymu, musiałam pytać o drogę, żeby trafić na piazza di Spagna, więc Atticus oprowadza mnie trochę, a potem siadamy na espresso w jednej z kawiarenek tak tu wszechobecnych jak Starbucks w Seattle. Filiżanki brzdękają o spodki, para syczy, pieniąc mleko, a wszystko to przy nieustannej muzyce włoskich rozmów. Do Villa Borghese docieramy dopiero godzinę przed zmierzchem, a gdy już zbliżamy się do splecionego drzewa, na nasz widok wychodzi znajoma postać.

– No, tyle mam chociaż z tego, że nie było was aż tak koszmarnie trudno znaleźć – mówi głębokim, warczącym głosem. – Nawet nie musiałem włączyć na żadną martwą ziemię.

– Cześć, Owen – odpowiada Atticus. – Właśnie mieliśmy się stąd zmywać. A ty co tu robisz?

– Szukam cię. Mam wiadomości, dobre i złe. I trochę waszych gratów.

Rzuca mu Fragaracha w pochwie, a skórzany pas klapie w powietrzu. Potem Owen ciska mu jeszcze jakąś plastikową torebkę, którą Atticus łapie i otwiera.

– Ach! Moje nowe dokumenty. Dzięki. Fajnie będzie znów mieć konto w banku. Hmm. Connor Molloy? Nieźle.

Twarz archdruida wykrzywia się w brzydkim uśmiechu. Spluwa na bok.

– Dobra wiadomość jest taka, że Werner Drasche w końcu nie żyje. Greta go zabiła.

– Coś ty! To naprawdę dobra wiadomość! Czekaj... jak to? Werner Drasche był we Flagstaffie?

– To ci właśnie mówię, synek, do cholery. A nim Greta go zabiła, zaraz po tym, jak Hal Hauk przyniósł twoje dokumenty i wznosił toast za twoje gówniane

dupsko, Werner Drasche ściągnął na nas siedem wampirów i ostrzelał dom. Więc ty mi lepiej powiedz, czemu to zrobił, hę?

– W zemście za Berlin.

– Co to Berlin?

– Miasto w Niemczech. Rozplotłem tam dziewiętnastu kumpli Theophilusa, ale on sam umknął. Pewnie kazał Drasche’owi zemścić się, jak tylko potrafi.

– Więc wskoczył do samolotu i przyleciał prosto do nas.

– Na to by wyglądało. Są ranni?

Owen zaciska pięści i dosłownie wrzeszczy:

– Ranni?! Ha! nie żyje, ty cholerna kupo gówna! Przez ciebie! Przytargał ci te dokumenty, a zaraz potem za twoje cholerne wybryki w jakimś Berlinie dostał srebrną kulą w łeb! A do tego jeszcze zginął ojciec jednej z moich uczennic!

Atticus kuli się od tego ataku. To straszne, okropne wieści i widzę, że bardzo go to zabolalo. Szczególnie że zostały mu podane od razu z wyrzutami.

– O bogowie – wymyka mu się. – Czy coś mogę zrobić? Kiedy pogrzeb? Czy...?

– Już po ceremoniach. Właśnie z nich wracam. I mam ci coś przekazać od watahy. To znaczy od obu. Tej z Tempe i tej z Flagstaffu. Skazali cię na wygnanie, synek. Jeśli kiedykolwiek wkroczysz na ich terytorium, będą cię próbować zabić. Nie będą na ciebie polować i nie naślą na ciebie wszystkich watah na świecie, ale nie możesz już wrócić. A kancelaria Magnusson & Hauk nie chce mieć z tobą odtąd nic do czynienia. Czas sobie znaleźć nowych prawników.

– Co takiego?! – krzyczę. – Chwila, to...

– To właśnie to, na co sobie zasłużyłem – wchodzi mi w słowo Atticus. – Rozumiem ich punkt widzenia. Trudno byłoby mi ich za to winić.

– To raczej oni nie powinni winić ciebie! – protestuję. – To nie ty nacisnąłeś spust.

– Nie, ale dałem Drasche’owi powód do ataku. Ich reakcja jest uzasadniona. – Jego głos jest jak martwy. Wiem, co robi: przesuwają ból do innej przestrzeni myślowej. Ale to przynajmniej uspokaja Owena, który jeszcze przed chwilą wyglądał, jakby miał go zdzielić. Atticus patrzy na swojego starego archdruida i mówi: – Dzięki, że mi o tym powiedziałaś. I że przyniosłaś mi miecz.

Owen tylko coś odburkuje w ramach odpowiedzi i zwraca się do mnie:

– Skoro już mowa o broni, mam coś dla ciebie, Granuaile.

Od razu zakładam, że to prezent pożegnalny, i aż przysiadam.

– Co takiego? Mnie też wygnali?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Domyślam się, że może nie będą ci się raczej narzucać z przysługami, ale chyba też nie będą się ciebie czepiać. W każdym razie to, co mam, to kołek od Luchty.

Ubrany jest w dzinsy i miękki płaszcz z brązowej skóry podbity wełną. Wyciąga z niego pięknie rzeźbiony kołek i mówi mi, że da się nim rozpleść wampira, bez względu na to, w co się dźgnie.

– Mamy z Siodhachanem po takim samym.

– Działają bez zarzutu – dodaje Atticus. – Luchta to geniusz.

– Dzięki – bąkam i biorę kołek od Owena. Jest dobrze wyważony i być może nawet dałoby się nim rzucać. Musiałabym najpierw popробować.

– No dobra – mówi archdruid i składa dłonie. – To jak wam mogę pomóc z tą wampirzą chryją?

Atticus jest wyraźnie zaskoczony, ale nie odrzuca jego pomocy.

– Do jutra nic nie możemy zrobić. Zresztą i tak musimy dużo przedtem przegadać. Przenieśmy się do takiego jednego bezpiecznego miejsca na południe stąd. Noc będzie tam ciepła, ale nie wyjdziemy z tej strefy czasowej. Chodźcie za mną.

Przenosi się z Oberonem, zostawiając za sobą splot, żebyśmy mogli pójść po jego śladach, i przez Tír na nÓg trafiamy na jakiś klif z widokiem na morze i piaszczystą plażę u stóp. Słońce jest już tuż nad horyzontem i maluje chmury na pomarańczowo i różowo.

<Ciepło!> mówi Orlaith i razem z Oberonem natychmiast zaczynają się bawić w berka, szczęśliwi, że wreszcie mają dość przestrzeni, żeby rozprostować łapy.

– O, ładnie tu. Gdzie jesteśmy? – pyta Owen, wyłaniając się zza drzewa.

Atticus uśmiecha się blado.

– Witajcie na plaży Caotinha pod Benguelą w Angoli. Nikt nam tu nie będzie przeszkadzał. Powinniśmy dać radę odpocząć i podładować energię.

Ruszamy w dół. Woda w zatoce jest pięknie niebieskozielona. Jakaś samotna łódź rybacka zacumowana jest tak daleko od brzegu, że wydaje się tylko spłaszczoną boją. Piasek jest ciepły, ale nie parzący. Mamy całą plażę dla siebie.

Atticus i Owen nie mają już chyba ochoty rozmawiać więcej o Halu i wygnaniu, a jeszcze nie czas na opracowywanie planu na jutro, zmieniam więc

temat na jakiś bezpieczniejszy. Psy pluskają się w oceanie i skaczą przez fale, a my siadamy na piasku.

– Pomyślmy trochę o przyszłości, Atticusie. Owen zajmie się swoimi uczniami. Ale co my będziemy robić, gdy już się pozbędziemy problemu z wampirami?

Druid mruży oczy od słońca.

– No, będziemy sobie mieszkać w Oregonie, nie?

– To jasne. Ale co będziemy robić? Bo ja chcę bronić ziemi.

Przechyla głowę na bok.

– A już tego nie robisz?

– Mam na myśli aktywne bronienie jej przed zanieczyszczeniami. Sprzątanie. Zadbanie o klimat, żeby nas nie zabił. Przywrócenie równowagi po stuleciach bezmyślnej eksploatacji.

– Na moje oko to po prostu niemożliwe. To tak, jakbyś przejęła fuchę Syzyfa i jeszcze oczekiwała, że ten jego kamień zostanie na czubku góry, choć jemu jakoś nigdy nie zostawał. To, że możesz coś zrobić, jeszcze nie znaczy, że powinnaś to zrobić.

Przez chwilę tak mnie zatyka, że nie wiem, co powiedzieć.

– Nie, Atticusie, to argument, którego się używa, kiedy jest mowa o takich kompletnych wariactwach, jak zżeranie mózgow albo ruchanie kozy...

– No właśnie! – wchodzi mi w słowo Owen. – Powtarzam mu to od wieków, ale chłopak nie słucha.

Nawet nie chcę poruszać tego tematu, i to nie tylko dlatego, że zбочymy wtedy z głównego toru, więc ciągnę wywód, jakby archdruid w ogóle się nie odezwał.

– Nie możesz używać tego argumentu, gdy jesteś druidem, który rozmawia o bronieniu Gai. Powinniśmy mówić: „Trzeba walczyć z eksploatacją ziemi, bo potrafimy to robić”. Powinniśmy zająć się węglem i upewnić się, że każdy koncern naftowy i węglowy wyda wreszcie swój ostatni zadymiony dech.

Ale on chyba naprawdę nie pojmuje mojego rozumowania.

– Nie po to Gaja stworzyła druidów. Poradzi sobie i będzie istnieć bez względu na to, czy ludzie tu będą czy nie. Pozwala nam spleść się z ziemią, żeby chronić żywiołaki przed eksploatacją magiczną, a nie po to, żebyśmy walczyli z drobnymi szkodami.

– Podnoszenie się poziomowi oceanów i masowe ginięcie gatunków to, przyznasz chyba, nie są żadne drobne szkody. Zanieczyszczenia przemysłowe po prostu nie istniały pięć tysięcy lat temu, więc oczywiście, że nie to Gaja miała na myśli.

Atticus wzrusza ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

– Uważam, że to strata czasu.

– A ja, że lepiej się go nie da wykorzystać.

– O! Będziecie się teraz o to bić? – pyta z nadzieją w głosie Owen. – Ale fajnie! Normalnie już mi sutki stwardniały.

To najwyraźniej nie jest bezpieczny temat, na który liczyłam, ale jak już zaczęłam, to nie mam jak się wycofać.

– Więc chcesz mieszkać sobie w Oregonie i nic nie robić?

– To, co robię, to nie jest przecież nic. Od dwóch tysięcy lat jestem na każde wezwanie wszystkich żywiolaków świata. Mam mnóstwo nici do naprawienia, trzeba porobić nowe i muszę przecież odzyskać jakoś majątek.

– I tyle? Nie chcesz zrobić nic, by pomóc Gai?

– Pomagam za każdym razem, gdy mnie o to prosi jakiś żywiolak.

– Wiem, Atticusie, ale mówię o twojej miłości do ziemi i pragnieniu niesienia pomocy także wtedy, gdy nikt cię o nią nie prosi.

– Nie wiem. Nigdy przedtem nie miałem nawet takiej możliwości – przyznaje.

– Każde użycie magii byłoby jak światełko przyciągające Aenghusa Óga, informujące go natychmiast, gdzie jestem. To zagrożenie mam już wprawdzie z głowy, ale wciąż nie mogę jeszcze myśleć o tym jako o realistycznym planie. Przecież na czymś takim mogą ci schodzić całe dni, a potem za co kupisz psu stek, co?

Owen znów się wtrąca, ale już nie z drwiną, tylko ze sprostowaniem:

– Do bani takie rozumowanie, synek. Pies ma sobie upolować żarcie i tyle. Nikt nie potrafi tak żyć z ziemi jak druidzi. Nie potrzebujesz tych wszystkich nowoczesnych bzdur, dobrze wiesz.

– On ma rację, Atticusie. Będziesz miał już za chwilę kawał ziemi w Oregonie. Nie będziesz niczego potrzebował poza kieszonkowym na piwo.

– Co jest? Jakiś tag team założyliście czy jak?

– Pojęcia nie mam, co to tag team, ale nie atakujemy cię, synek. Powaga. Jest tak, jak sam powiedziałaś: bardzo długo byłeś tylko ty jeden i guano mogłeś zrobić poza walką o przetrwanie. Teraz to inna para kaloszy. Czas się zastanowić, jak się przez te lata zmieniły twoje obowiązki.

– Jakoś nie widzę dużej różnicy – odburkuje mu Atticus. – Nadal walczę o przetrwanie.

– Jak my wszyscy zresztą. Być może za wcześnie gadać o przyszłości. Nie mogę mówić za Granuaile, ale dam ci radę: spróbuj nie powtarzać starych błędów. To jest, jeśli uda nam się przeżyć ten cyrk z wampirami. Przemyśl sobie dobrze wszystkie opcje. Co do mnie, to wiem, co będę robił: uczył druidów.

– A ja będę robić, co w mojej mocy, żeby brudna energia stała się tak droga, że ludzie będą po prostu musieli przestawić się na wiatr i słońce. A poza tym załatwię sobie jakąś pracę w Polsce.

– Serio? – pyta Atticus. – Dlaczego akurat tam?

– Żeby jak najlepiej poznać język oczywiście. Poza tym – dodaję i aż się uśmiecham na tę myśl – też bym chciała mieć coś na piwo. A może nawet napiwki. Może znajdę jakiś pub.

Atticus spuszcza głowę, podciąga kolana pod brodę. Głos ma nagle cichy, zduszony.

– Pamiętam, jak chodziłem do Rúli Búli z Halem, kiedy tam jeszcze pracowałeś. To był wspaniały człowiek. Bogowie, już mi go brakuje.

Dobra, prawda jest taka, że jestem kompletnym beztalenciem, jeśli chodzi o znajdowanie bezpiecznych tematów na pogawędkę.

Rozdział 26

Gdy obudziłem się na plaży w Angoli, Oberon spał przy moim boku zwinięty w kłębek. Fizycznie czułem się o wiele lepiej, ale emocjonalnie nadal miałem splin. Albo może raczej męczyłem się z całą hordą diabelskich sumieniofretek. Nie znoszę ich.

W żydowskiej tradycji istnieje coś takiego jak dzień pokuty i wydało mi się to dobrym pomysłem. Tylko że dzień to pewnie w moim wypadku mało. Może raczej rok pokuty? Niby wiem, że nie zabiłem Hala – ani Kodiaka Blacka, ani Gunnara Magnussona, ani Morrigan, ani tak wielu innych – ale wyrzuty sumienia nie działają w ten sposób. Potrafią ci zawsze wskazać odpowiedni ciąg związków przyczynowo-skutkowych i obarczyć cię odpowiedzialnością niczym cudzym siodłem. A potem wskakują na to siodło całą chmarą, wbijają ostrogi i poganiają cię bez litości, póki nie padniesz.

Chyba że gdzieś po drodze dasz radę jakoś odkupić swoje grzechy.

Owen nic nie powiedział, ale głowę daję, że on z kolei gryzł się z powodu Fand i Manannána Mac Lira. Postanowiłem przekazać mu, co powiedziała mi Mekera, bo miałem nadzieję, że to mu trochę pomoże.

– Słuchaj, Owenie, wiem, gdzie jest Fand – walnąłem prosto z mostu, choć może nie jest to typowe powitanie o wschodzie słońca, ale też mój archdruid nigdy nie należał do fanów zbędnych uprzejmości. – Zaszła się z Manannánem na Mokradłach Morrigan. Nie będzie ich stamtąd łatwo wykurzyć, ale na mój rozum im szybciej się do tego zabierzesz, tym lepiej.

– A ty skąd to niby wiesz?

– Gadałem z jedną taką wieszczką, która naprawdę nas w tym przewyższa o głowę. Zobaczyła te bagna.

– To ma sens. Też widziałem bagno. Mokradła Morrigan pasują jak ulał. I to cholernie dobra kryjówka, szkoda gadać. W życiu bym nie wpadł na to, żeby tam szukać. Dzięki, synek.

Wczoraj wieczorem pochwyciłem kilka zamyślonych spojrzeń Granuaile, ale gdy ją o nie spytałem, mówiła, że to nic. Nie wiedziałem, czy ona też męczy się może z jakimiś sumieniofretkami, ale tak kombinowałem, że być może jej

odświeżony entuzjazm w sprawie walki z zatruciem ziemi może stanowić coś w rodzaju pokuty. Mało jest rzeczy, które tak bardzo kształtują nasze życie jak wyrzuty sumienia.

A może martwi się z powodu Lokiego, bo też jest się czym martwić. Wiedziałem już przedtem, że Loki dorwał ją przy naszej chacie w Kolorado, ale wczoraj przy ognisku opowiedziała nam po raz pierwszy całą tę historię ze szczegółami. Udało jej się nieźle go sprać, bo wszedł w obręb naszych zabezpieczeń wokół chaty. Wbiła mu tomahawk w plecy i oświadczyła, że zostaje oto skazany przez druidów na śmierć. Nie ulegało wątpliwości, że to działa w obie strony – Loki zabije ją na miejscu, jeśli tylko zdoła. A pewnie także mnie i Owena.

Jestem przekonany, że Loki ma jakiś związek z tym jej niepokojem. Gdy po raz pierwszy poprosiła mnie, żebym ją wziął na nauki, robiłem, co mogłem, żeby ją ostrzec: użytkownicy magii czasami mogą cieszyć się długim życiem, jednak o wiele częściej giną szybką, gwałtowną śmiercią. Pokazałem jej przecież nawet tamtą rzeź przy Tony Cabin, gdzie zobaczyła zmasakrowaną głowę Emily, co oczywiście było znacznie bardziej przekonujące niż słowa, ale ona i tak postanowiła zostać druidką. Prawda jest jednak taka, że nawet jeśli zobaczysz przemoc, a nie tylko ci o niej opowiedzą, to i tak nic w porównaniu z doświadczeniem jej na własnej skórze. Dlatego wydaje mi się, że spotkanie z Lokim w Indiach zmieniło ją raz na zawsze. Bo i jak by miało nie zmienić? Miałem nadzieję, że kontratak w połączeniu z bezpieczeństwem, jakie daje jej teraz osłona przed wywróceniem, zapewniają jej choć odrobinę terapeutycznej satysfakcji. A jednak beztroska, którą emanowała, gdy splotłem ją z Gają i ujrzała jej dziwy – ta beztroska zniknęła potrzaskana, tak jak jej kości. Tylko że kości się pozrastały, a tego uczucia nie dało się już odzyskać żadnym sprytnym splotem.

– Zanim zabierzemy się dziś do roboty – powiedziałem – powinniśmy pewnie najpierw wymyślić jakąś bezpieczną kryjówkę dla psów. Tu jest wprawdzie miło, ale słabo z wodą pitną i zwierzyną łowną. To w sumie taka bardziej pustynia.

– Znam jedno dobre miejsce – zapewniła mnie. – Znajduje się u stóp Andów. Temperatura umiarkowana. W tej chwili w każdym razie. Jezioro ze świeżą wodą. Tłuste i powolne lamy tuż pod nosem, gdyby zgłodnieli.

– Trzeba by i tak ich najpierw nakarmić, ale tak, to dobrze brzmi.

Skoczyliśmy więc do Toronto, gdzie było już dobrze po północy, ale na Queen Street West wciąż otwarta była jeszcze knajpka dumnie zwana Poutini's House of Poutine. Wynieśliśmy z niej wielkie pojemniki z pysznym żarciem. Potem

zabraliśmy psy do miejsca w Ekwadorze, o którym mówiła Granuaile. Choć ledwo co przespali calutką noc w Angoli, Oberon i Orlaith zapewnili nas, że tak się napchali smakołykami, że już znów im się oczy kleją.

Przejmujące zimno Rzymu dotkliwie kontrastowało z ciepłem południowej półkuli. Nawet Owen przyznał, że nie pogardziłby kurtką.

– Załatwimy ci coś w mieście.

Nim opuściliśmy teren Villa Borghese, skrętnie uzupełniliśmy zapasy energii. Rzym to jedno z najstarszych ściśle zabrukowanych i zabudowanych miast na całym świecie. Nawet pod chodnikiem jest tylko jeszcze więcej chodnika, bo od wieków to miasto rośnie na starszych warstwach miasta. Jeśli dojdzie do walki, nie będziemy mieli dostępu do nieskończonej energii ziemi. Jedyna nadzieja, że uda nam się pokonać zabezpieczenia i zlikwidować wszystkie wampiry, nim zapadnie noc.

– Martwe, lodowate piekło druidów, słowo daję – mruknął Owen, gdy tylko doszliśmy do miasta i straciliśmy kontakt z Gają.

– Wiesz, to dość nietypowe, żeby tu było aż tak zimno – odpowiedziałem. Był wczesny poranek. Niebo nad nami zasnuły niskie, ciemne chmury, których raczej można by oczekiwać nad Mordorem niż we Włoszech. – Wygląda, jakby miał padać śnieg, a to się tu zdarza raz na dwadzieścia lat. Idę o zakład, że Rzymianie zupełnie spanikują i nie odważą się wyściubić nosa z domu.

– I dobrze – stwierdziła Granuaile. – Im mniej ludzi, tym mniej kłopotów dla nas.

Zwędziłem jakąś kurtkę dla Owena, nim nam zamarzył na śmierć ze słowami „cholerny ziąb” na zsiniałych ustach.

Liczba turystów na Piazza di Spagna także spadła do okolic zera. Nawet sprzedawcy kijków do selfie spisali ten dzień na straty i zostali w domu. Umówiliśmy się z rabinem w Babingtonie, co było o tyle dobre, że przynajmniej czekać będziemy w cieple.

Ani chybi rozpuścił wici, bo tuż po południu Młoty zaczęły pojawiać się w coraz większych ilościach. Nie witałem się z nimi ani nie proponowałem łączenia stolików, tylko czekałem na rabina. Bałem się trochę, że część z nich może nadal trwać przy ekstremistycznych poglądach, które Yosef wyznawał w młodości, naprawdę więc wolałem, żeby był tu już z nami, nim przedstawimy się tym monoteistycznym dewotom jako poganie praktykujący magię.

Rabin Yosef pojawił się ostatni. Było już dobrze po południu. Pewnie miał najdłuższą drogę do przebycia. Przywitał się najpierw ze swoimi towarzyszami serdecznie – przytulanie, szeroki uśmiech – a potem dojrzał nas w odległym kącie i zamachał. Przedstawił nas jako wybitne postacie, które umożliwiły Młotom odwalenie niesamowitej roboty na zachodniej półkuli i które, Bóg da, sprawią, że będziemy mogli już za chwilę zadać śmiertelny cios najstarszym sługom diabła na ziemi.

Spotkało się to ze strony Młotów z uprzejmymi skinieniami głów, ale nie padły żadne nazwiska. Nie palili się do bliższej znajomości. Wyraźnie mieliśmy być tylko przydatnymi narzędziami, a nie przyjaciółmi.

– To może rzucimy teraz okiem na nasz cel, dobrze? – zagailem.

Uiściliśmy rachunki i wyszliśmy na ziąb. Kilku twardych turystów zaparło się, że wykorzysta co do centa wydane na bilet pieniądze, i szczerzyło się radośnie na ponurym placu. Powierzchnia fontanny Berniniego pokryła się przy brzegach cienką warstewką lodu.

Gdy tylko stanęliśmy przed wiadomymi kamienicami, Yosef Bialik zmrużył oczy i wyszeptał do swoich kompanów kilka słów po hebrajsku. Pokiwali fachowo głowami i znów padło kilka słów. Potem dopiero zwrócili się do nas.

– Wy macie rację. To zachodzące na siebie drzewa kabały hermetycznej. Ale z zapadkami.

– Co rabin ma na myśli?

– *Kak* jedno z tych drzew zostanie rozbite przez kontakt z zimnym żelazem lub w jakikolwiek inny sposób, pozostałe odłączą się i nic im się nie stanie. Innymi słowy, wy byście nie dali rady zlikwidować za jednym dotknięciem całego zabezpieczenia, jedynie tę część, przez którą wy byście akurat przechodzili z zimnym żelazem. Pozostałe drzewa zarejestrują nieobecność brakującego elementu i włączą reakcję.

– Jaką reakcję? – spytała Granuaile.

– Tego ja nie wiem. To może być atak. Albo jedynie alarm informujący tych, którzy stworzyli zabezpieczenie, *kak* zostało ono złamane.

– A tymczasem normalni ludzie przechodzą przez to bez żadnych konsekwencji – stwierdziłem. – Sprytne.

– Ja jestem normalny – zauważył Owen. – Nie mam ani krztyny żelaza.

– Poza tym jednak oni na pewno wyczuwają każde użycie magii w okolicy, jak my to robimy – dodał Bialik. – Jak wy się posłużycie magią, oni będą wiedzieli.

– Rozumiem. Ale powinienem dać radę chociaż zajrzeć do środka. Rozejrzeć się. Jak zresztą każdy z was.

– To idź – powiedziałem. – Tylko prawą rękę schowaj do kieszeni, żeby nikt nie zauważył tatuaży.

Owen popatrzył na trzy budynki i wybrał kremowy na prawo, ten z Dolce & Gabbaną na parterze.

– Bo ma zielone drzwi – wyjaśnił swój wybór.

Wszedł przez zabezpieczenie bez żadnego problemu i zniknął w środku. Wrócił po pięciu minutach.

– W środku jest korytarz, który idzie w głąb. Nie ma się gdzie ukryć. Windy i schody z tyłu. I facet, co się pyta, czy tu mieszkasz. Winda i schody cholernie wąskie. Nie pchałbym się ani tu, ani tu. Ktokolwiek czai się na górze, miałby diablą przewagę.

– Jak wyglądał ten facet? – dopytywała się Granuaile.

– Wielki drań. W jednym z tych waszych nowoczesnych garniturów i z jakimś kręconym sznurkiem w uchu. Ani chybi ochroniarz. A do tego był jeszcze drugi typek. Niby nie ochroniarz. I nic nie powiedział, ale się na mnie gapił. Siedział na schodach. Miał luźne białe szaty i pomarańczowy pas z jakimiś złotymi symbolami. I najdziwniejsze włosy, jakie, cholera, w życiu widziałem.

– Niby jakie?

– Zgolone na czubku i nad uszami z wyjątkiem tłustego paska wokół całego łba. Jakby miał włochatą koronę.

– Tonsura? – spytałem.

– Gdybym wiedział, co to tonsura, to może bym ci, cholera, powiedział, że tak.

– Czyli mamy ochroniarzy i jakichś upiornych sekciarzy – podsumowała Granuaile.

– Jakies dodatkowe zabezpieczenia w środku, Owienie?

– Na pewno nie brak ich na górze, ale tam nie włąziłem. Nie chciałem się wdawać w bójkę, skoro nie wiedziałem, jakie mam szanse.

Odwróciłem się w stronę rabina.

– Jeśli macie jakieś zabezpieczenia kinetyczne, to od tego bym zaczął. Jeśli się nas spodziewają, to pewnie wyskoczą z karabinami. Albo czymś równie przyziemnym, z czym nie poradzi sobie moje zimne żelazo.

– *Da*, oczywiście. I osłona obojętności. Niewinnym ludziom nie będzie się w ogóle chciało patrzeć na to, co my robimy. Nie żeby było ich *mnogo* w taki pochmurny dzień.

– Dobra. My teraz zejdziemy z widoku i dołączymy się, jak będzie trzeba.

Rabinowi widać ten plan wydał się rozsądny, bo od razu przeszedł na hebrajski, by pogadać z pozostałymi Młotami. To Owen zaczął zgłaszać zastrzeżenia.

– A po cholere my się mamy ukrywać? Trzeba skopać im dupska i spadać do domu.

– Najpierw musimy ich wykurzyć jakoś z kryjówki – wyjaśniłem. – Młoty potrafią tworzyć zabezpieczenia na martwej ziemi i przemieszczać się razem z nimi. My nie. I nie ma co tracić bez potrzeby energii. Jeśli zostaniemy na widoku, kiedy się zaczniesz, zaraz nas zastrzelą. Jeśli zaczniemy od wpadnięcia do budynku, ryzyko zastrzelenia będzie jeszcze większe. Ten typek z czymś w uchu na pewno ma też broń za pazuchą. A takich jak on jest raczej znacznie więcej na górze. Sam mnie przecież tego uczyłeś, Owene: nigdy nie dawaj wrogowi tego, czego chce. Chcą, żeby w ich pułapkę wleźli druidzi, więc zamiast tego daj im kabalistów.

Owen warknął z frustracji. Nie znosił, kiedy miałem rację.

Dzięki odrobinie brawury i szczęścia udało nam się wślizgnąć do najwyższej sali w Babingtonie, która znajdowała się w uroczej przybudówce na dachu i miała okna wychodzące na plac. Niska ściana, wielkie okna, niesamowity widok. Po naszej lewej wznosiły się Schody Hiszpańskie prowadzące do kościoła. Przed nami na wprost widać było dziesięć Młotów Boga formujących się właśnie w Drzewo Życia. Na jego szczycie stanął rabin Yosef, z twarzą skierowaną w stronę drzwi do sklepu Dolce & Gabbana.

– Przygotujcie się na niezły szoł – uprzedziłem Granuaile i Owena. – Takiej magii jeszcze nie widzieliście. Te brody niesamowicie walczą.

– Że co? Brody walczą? – zdumiała się Granuaile.

– Sama zobaczysz.

Młoty Boga zaczęli nucić i poruszać się zgodnie z rytuałem. Nie widzieliśmy tego zbyt dobrze, bo znajdowaliśmy się nad nimi, ale za to mieliśmy doskonały widok na trzy budynki. I to je obserwowałem z większą uwagą niż kabalistów, bo chciałem śledzić reakcję, jaką wywołają ich poczynania.

Miałem ochotę przyjrzeć się temu w magicznym spektrum, ale wolałem nie tracić energii. Po kilku minutach kabalistycznych śpiewów w kamienicach naprzeciwko otworzyło się parę okien. Stanęli w nich mężczyźni w bieli i z

tonsurami. Gapili się na naszych kabalistów przez chwilę, a potem wycofali się, zamykając za sobą okiennice.

– Aha, czyli już wiedzą, że to Młoty. Reakcja powinna nastąpić dość szybko.

Na dachu brązowego budynku pojawiło się dwóch mężczyzn i od razu wycelowali swoje spluwy w Młoty Boga. Do luf przykręcone mieli tłumiki czy jak to tam się nazywa. Nie jestem ekspertem od broni palnej. W każdym razie wystrzelili kilka serii, które odbiły się rykoszetem od kinetycznego zabezpieczenia Młotów i stłukły okno w północnej ścianie oraz upstrzyły dziurami stare mury budynków otaczających plac. Kabaliści zaś kontynuowali, cokolwiek oni tam robili. Tak zresztą jak i nieliczni turyści przechadzający się nadal beztrąsko po placu, jakby w ogóle nie słyszeli ostrzału. Niedoszli zabójcy popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami. Jeden przyłożył palec do słuchawki w uchu i najwyraźniej zameldował komu trzeba przez bluetooth, że broń palna raczej na wiele się tu nie zda. Po chwili zniknęli.

– Aha, zaraz zaatakują naszych jakoś inaczej – domyśliłem się.

Wtedy zaczął padać śnieg. W Rzymie. Wielkie, grube płatki śniegu zasypywały Wieczne Miasto z wyraźną intencją sparaliżowania go na dobre.

Z trzech budynków wyłoniła się spora grupa rozmaitych mężczyzn, których łączyły tonsury, luźne białe ciuchy i pomarańczowe szarfy zwieszające się każdemu z prawego ramienia na lewe biodro. Kierowali się na miejsce naprzeciwko Młotów Boga, pewnie by uformować konkurencyjne Drzewo Życia. Młoty Boga zareagowali przesunięciem się w dwa szeregi, tak żeby tylny szereg miał dobry widok między ramionami pierwszego, a potem w jednej chwili z pełną synchronizacją wyciągnęli srebrne noże z płaszczy i cisnęli nimi w jeden cel. Część nie trafiła, ale większość jednak tak. Pechowy facet padł z siedmioma nożami w tułowi i jednym w szyi.

– Ja piórkuję! – wyrwało się Owenowi. – Czego oni się uwzięli na tego bidaka?

– Kto stanie po stronie piekieł, ten jest dla nich tylko celem – odparłem.

– No dobra, ale czemu akurat ten?

Wzruszyłem ramionami.

– Przypadek. Było w niego najłatwiej trafić. Sprytne posunięcie. Rozwalili im formację, nim ci nawet zaczęli. Młoty zapobiegli w ten sposób stworzeniu przez nich ich własnego zabezpieczenia kinetycznego czy co tam planowali. Żeby cokolwiek zrobić sensownego, potrzebują dziesięciu chłopów.

– No to i tak mają dziesięciu – stwierdziła Granuaile. – Właśnie doszedł jeszcze jeden. Tak. Jest dziesięć. Może w środku czeka więcej zapasowych.

– A niech to.

Nasze Młoty nie mieli żadnej rezerwy. Jeśli jeden czy więcej padnie, dadzą radę podtrzymać to, co już stworzyli, ale nic poza tym. Potęgą ich formacji była imponująca, ale ich słabość kryła się w podtrzymaniu tejże formacji.

Tymczasem ich osłona obojętności – czy czego tam używali na przechodniów – działała bez zarzutu. Przez plac przestukała właśnie na obcasach jakaś kobieta. Minęła martwego kabalistę, którego naprawdę nie można było wziąć za śpiącego włóczęgę – i jak gdyby nigdy nic weszła sobie do D&G.

Kabaliści hermetyczni zaczęli swoje śpiewy i synchroniczne ruchy, ale Młoty Boga chcieli im przerwać, nim uda im się cokolwiek dokończyć, więc rabin Yosef Bialik poszczuł ich swoją brodą – niczym włochatym koszmarem jakiegoś podstarzałego boga. Broda spuchła, rozciągnęła się i zwinęła w grube macki, po trzy na każdej stronie. Czułki ruszyły w kierunku kolejnego człowieka z przeciwnej formacji, a Granuaile aż jęknęła. Owen wskazał ten dziw drżącym palcem.

– A to co znowu za zasrane przez nietoperza cholera? Bogowie niejedyni, Siodhachanie, gdyby była tu Brighid, od razu bym jej to radził spalić żywcem!

– Ha, ha. A nie mówiłem?

– Będę miał przez to koszmary. – Pomacał się po twarzy. – Muszę się ogolić.

Ale kabalista hermetyczny odpowiedział na te włochate kable po swojemu – jego tonsura ożyła mniej więcej w ten sam sposób i na głowie uniosła mu się aureola z macek, które natychmiast ruszyły na spotkanie tych rabina.

– O fuuu! – wymknęło się Granuaile.

Dwie pary grubych kabli spotkały się w połowie drogi. Najpierw usiłowały się przepchać, a gdy to się nie udało, splotły się i próbowały wyrwać przeciwnika z formacji.

– Żartujesz sobie? To jest totalny odlot – powiedziałem.

– Odkąd zostałam druidką, widziałam już wiele odjechanych paskudztw, Atticusie. Ale Brodaty Baggins kontra Dredmiotający Marley w śniegu może być najdziwniejszym z nich.

– Chwilunia, a kim jest ten synek, co tam wylazł z budynku po lewej?

Owen wskazał nam szczupłą bladą postać w ciemnych okularach i drogim włoskim garniturze. Znałem go już z Berlina. Był w tamtej grupie, która mi związała.

– To wampir.

– Jak to? Przecież jest dzień – zdumiała się Granuaile.

– To ma być dzień? Zobacz, przez te chmury nie przebija się właściwie żadne światło.

– Łatwo to sprawdzić – mruknął Owen i zaczął wymawiać słowa zaklęcia rozplatającego. Tymczasem wampir poruszał się dość energicznie. Nie biegł, ale szedł krokiem typu „już jestem spóźniony na ważne spotkanie”. Po chwili dotarł na tyły Młotów Boga. Był zbyt powolny, by uruchomić zabezpieczenie kinetyczne, więc nie napotkał żadnych trudności. Wyciągnął rękę, chwycił za brodę jednego z Młotów i pociągnął tak mocno, że skręcił mu kark. Ciało kabalisty osunęło się na bruk. Gdy pozostałe Młoty zaczęli sobie uświadamiać, że ich formacja została zaburzona, wampir ruszył w kierunku kolejnego, ale wtedy akurat Owen skończył rozplatanie i zawartość eleganckiego włoskiego garnituru pękła niczym napuchnięty kleszcz, po czym spłynęła w czerwoną kałużę.

To z kolei sprawiło, że jeden z chłopców w bieli krzyknął po włosku:

– Tu jest jakiś druid!

W brązowym budynku otworzyło się okno i tubalny głos zagrział:

– Nie pozwólcie mu uciec!

Otworzyło się więcej okien – mniej więcej w połowie mieszkań – i zaczęły z nich wyskakiwać wampiry, za nic mając wysokość. Było ich znacznie więcej niż te jedenaście, które mi się wymknęło w Berlinie. Nawet już ich nie dawałem rady policzyć, tak szybko wyskakiwały. Otoczyły plac i zaczęły mnie szukać. Kamuflaż na niewiele by się tu zdał. I tak by mnie namierzyły z węchem, bo moja krew, a pewnie i Owena też, pachniała ponoć jak wyjątkowo rzadki już dziś, bo liczący sobie dobre dwa tysiące lat rocznik.

– Cholera – zdenerwowałem się. – Ale zaraz. Oni myślą, że jest tylko jeden druid. I dobrze. Ja skoczę tam na dół na przynętę, a wy tymczasem rozplatajcie, kogo się da.

Ich dość zdecydowany protest usłyszałem już, gdy zbiegałem po schodach.

– Jeśli to spieprzysz, Siodhachan, to po tobie! – usłużnie zauważył Owen.

Gdy dopadłem do drzwi wejściowych, pierwsze, co zrobiłem, to poślizgnąłem się na oblodzonych schodach i rymsnąłem na tyłek. Świetny początek bitwy. Wstałem i stwierdziłem, że Młoty Boga i ich przeciwnicy przeszli już do walki wręcz, a raczej wwłos. Ściślej rzecz biorąc, broda we fryzurę. Obie formacje szlag trafił i była to już tylko brutalna włoschata jatka, którą być może w innych okolicznościach przyrody oglądałbym nawet z zaciekawieniem. Ale po placu

rozlażło się teraz mnóstwo upiornie szybkich wampirów, więc musiałem ustawić się jakoś sprytnie, żeby pełnić rolę wabika. Miałem nadzieję, że Theophilus też w końcu wyjdzie się pobawić na dworze. Zaczynając pobierać energię z niedźwiedziego charmsa, zwiększyłem tylko prędkość i wyciągnąłem kołek. Fragaracha trzymałem na razie w pochwie. Potem skupiłem się na jednym wampie i biegnąc w stronę Schodów Hiszpańskich, nie odrywałem od niego wzroku i wymawiałem słowa rozplecenia. Właśnie zmierzał w kierunku domu Keatsa i Shelleya, po przeciwnej do Babingtona stronie schodów, i dopiero kiedy kończyłem rozplatanie, zorientował się, że nie jestem turystą podziwiającym fontannę Berniniego. Jego usta ułożyły się w małe zaskoczone o, a zaraz potem zmienił się cały w ruchomą breję.

– Tam jest! Na schodach! – zagrzmiął ten sam tubalny głos z głębi brązowego budynku.

Wampiry rzuciły się ze wszystkich stron. Niektóre były tak szybkie, że od razu pobiegły na szczyt schodów, żeby odciąć mi drogę ucieczki ulicą, która wiała się za kościołem Trinità dei Monti. Nie żebym zamierzał uciekać.

Schowałem się za wielką kolumnę z marmuru na skraju stopni i ustawiłem się twarzą do schodów, na wypadek gdyby zamierzały strzelać do mnie z jakiegoś budynku. W przeciwieństwie do Młotów nie dysponowałem żadną osłoną kinetyczną. Poradzę sobie z wampirami nadciągającymi z góry i zza Babingtona, a tymi biegnącymi z placu zajmą się, mam nadzieję, Granuaile i Owen.

Plan ten sprawdzał się doskonale przez jakieś dziewięćdziesiąt sekund. W tym czasie wiele się może zdarzyć. Rozplotłem tyle wampirów co w Berlinie, a może i więcej. Ich eleganckie ubrania zniszczone zostały przez soczyste dźwięki siłą rozłączających się w nich pierwiastków. Chlupanie, ciapanie, sikanie i kapanie przede mną, a za mną jeszcze więcej tegoż samego. Mnóstwo krwi na schodach, strumienie czarnej juchy, a czasami czerwonej, jeśli akurat dany wampir niedawno spożył kolację. Wszystko to ciekące po śniegu. Kilka wampirów umknęło Owenowi i Granuaile i otoczyło mnie za kolumną, ale udało mi się je wszystkie zadźgać i nawet się zacząłem zastanawiać, ilu właściwie przytargał ze sobą Theophilus. Poświęcał mnóstwo żołnierzy na mnie jednego. Czy może nie miał odwagi, by samemu walczyć? Czy wyszedł wreszcie ze swojego zabezpieczonego budynku, czy nadal tylko wydawał na zimno rozkazy z zaciemnionego pokoju?

Wampiry już się skapnęły, że to Granuaile i Owen najbardziej im przeszkadzają, więc kilku żołnierzy zostało posłanych na dach z rozkazem dotarcia

na Babington i pozbycia się ich. Czego oczywiście nie widziałem z dołu, tylko zrozumiałem to potem. Że coś jest bardzo nie tak, zorientowałem się, gdy usłyszałem pełen zaskoczenia krzyk Granuaile. Obejrzałem się na dach Babingtona i zobaczyłem, jak wyskakuje wysoko w powietrze, a potem ledwo udaje jej się chwycić rękoma krawędzi fasady. Wychylali się z Owenem przez okno, żeby lepiej widzieć, kto się do mnie zbliża i kogo mają rozplatać, przez co nie zauważyli tych, które zakradły się od tyłu. I tak doszło do defenestracji. Żeby nie spaść, musiała puścić Scáthmhaide'a – swoje jedyne źródło energii. Wampir już zbliżał się po spadzistym dachu, żeby ją wykończyć, gdy tymczasem Owen z jakichś niepojętych dla mnie względów przemienił się w niedźwiedzia, żeby wykończyć pozostałe dwa w pokoju. Przecież w tej postaci nie mógł rozplatać wampirów, ani zaklęciami, ani kołkiem. Skupiłem się na tym, który chciał dopaść Granuaile, i zdołałem wymówić całe dwa słowa po staroirlandzku, nim niewidzialna pięść wbiła mi się w szczękę, łamiąc ją i przetrącając, przez co odgryzłem sobie koniuszek języka. Odwróciłem się, żeby zobaczyć napastnika, ale równowagę już miałem do bani, w uszach mi szumiało, a ból rozpanoszył się na wszystkie przestrzenie umysłowe, nim zdołałem zamknąć go ładnie do jednego dźwiękoszczelnego pudełeczka. W rezultacie znów poślizgnąłem się na schodach i runąłem na tyłek. Puściłem śliski od krwi kołek, bo ciężki bucior przygniótł mi lewą dłoń, łamiąc większość palców. Ktoś kopnął kołek daleko, a ja mrugałem już tylko rozpaczliwie, usiłując włączyć charms uzdrawiający i skupić się na tyle, żeby mieć jakąkolwiek szansę na przeżycie. Nade mną zarechotała jakaś kula z ciasta umieszczona na czymś chudszy od pikli. Znów zamrugałem. Teraz już widziałem, że to blada, zupełnie pozbawiona krwi gęba, a pod nią ciało odziane w ciemnozielony golf i długi oliwkowy prochowiec. Ciemne oczy, koszmarna fryzurka nieprzeciętnego dupka, starannie wygolona gęba i blizna zaczynająca się na górnej wardze i ciągnąca aż pod dolną.

– Thfff.

Przyłożył prawą dłoń do ucha i przedrzeźniając mnie, spytał:

– Słucham? Co pan mówi? Theophilus? A, tak. W końcu się spotykamy, panie O'Sullivan. Na bardzo krótką chwilę, ostatnią chwilę pana życia. Poradził pan sobie znacznie lepiej niż wszyscy inni druidzi, więc przynajmniej proszę przyjąć gratulacje za to, że stanowił pan jakie takie wyzwanie. Pomyślałem, że osobiście pana pożegnam.

Wycofałem się nieco pokracznie jak krab, żeby choć trochę się od niego odsunąć. Nie miało to większego sensu, biorąc pod uwagę jego szybkość.

Obejrzałem się na Granuaile. Wciąż wisiała na kamienicy, a tamten wampir próbował teraz zdeptać jej ręce, żeby spadła. Nie musiał to być śmiertelny upadek, zaledwie cztery piętra w dół, tylko że na dole czekały na nią jedynie twarde, bezlitosne kamienie.

Theophilus podążył za moim wzrokiem i nie spodobało mu się to, co ujrzał.

– Karl! – krzyknął. – Pośpiesz się i pomóż Hansowi z tym!

Karl obejrzał się i stwierdził naocznie, że Hans nadal ma problemy z Owenem w małym pawilonie na dachu. I wtedy właśnie Granuaile wybiła się jakimś cudem, chwyciła biednego Karla za nogę, szarpnęła mocno i przewróciła. Walnęła tyłkiem w krawędź dachówek tuż przy jej dłoni, a ona przyczepiła się do jego torsu i tak, zlepioni w tym okropnym uścisku i wciąż walcząc, runęli w dół. Gdy znikali mi za kamieniem stojącym między schodami a Babingtonem, spadali w pozycji horyzontalnej, wampir plecami do mnie, a Granuaile prawie zupełnie za nim schowana, tylko powiewał za nią czerwony płomień włosów. Huk, jaki potem nastąpił, i ich wspólny okrzyk bólu wywołały u Theophilusa nieznaczące wzdrygnięcie.

– Au – powiedział, a mój niewyartykułowany krzyk, który miał być imieniem Granuaile, wypadł jak ten dziwny dźwięk, gdy ktoś próbuje mówić, a usta ma zalepione taśmą klejącą. Sięgnąłem za prawe ramię i wyciągnąłem Fragaracha, mierząc mniej więcej w kierunku Theophilusa. Wrócił do mnie wzrokiem i prychnął.

– A tym co pan zamierza niby osiągnąć? Stał nic mi nie może zrobić, poza tym jedynie, że tylko spotęguje mój głód krwi, którą pan tu zaraz przeleje.

Miał rację. Stał nie mogła mu uczynić żadnej krzywdy, chyba że bym dał radę obciąć mu łeb. Ale Fragarach to coś więcej niż zwykła stal. Potrafi przecinać każdą zbroję, zmuszać ludzi do mówienia prawdy i wzywać wiatry. Na zachód, za fontanną na placu, wąska via dei Condotti schodziła prosto do Tybru, który w pogodny dzień bym widział. Ale dziś widoczność była zbyt marna przez te wszystkie chmury. Szanse miałem równie marne, musiałem jednak spróbować. Wezwanie wiatru nie wymagało werbalnego zaklęcia, wystarczył wysiłek woli i źródło energii. Skierowałem Fragaracha w stronę via dei Condotti i przelałem w niego całą energię, jaka mi została w niedźwiedzim charmsie, i jeszcze trochę własnej. Jęknąłem z wysiłku i zupełnie wyczerpany opadłem na stopnie.

– A to niby co miało być? – zainteresował się Theophilus.

Wycisnąłem z siebie jeszcze resztki energii i zaatakowałem go moim jakże niedoskonałym charmsem rozplatającym. Chwycił się za pierś i wyrwało mu się:

– Hrr.

Powtórzyłem uderzenie. Cofnął się o krok, ale ja już nie miałem żadnej energii. Słyszałem ryk Owena na górze, choć go nie widziałem. Ludzie wokół zaczęli nagle strasznie panikować, że coś dużo tu krwi, tak więc wygłówkowałem, że albo Młoty Boga ponieśli zbyt poważne straty, by podtrzymywać osłonę, albo rzeź była już taka, że nie dało się jej ignorować nawet mimo osłony. Granuaile nie słyszałem. A Theophilus, który szybko doszedł do siebie, wyglądał w końcu na rozdrażnionego. Można więc powiedzieć, że przynajmniej udało mi się zniszczyć tę jego triumfalną minę. I właściwie osiągnąłem jakieś efekty także na innym polu. Na zachodzie chmury tak brudne, jakby od tygodnia tkwiły w niewłączonej zmywarce, zawirowały i rozstały się dokładnie w chwili, gdy Theophilus powiedział:

– Już dość tego.

Kilka słabych promieni popołudniowego słońca przebiło się przez śniegowe chmurzyska i objęło jego głowę, która natychmiast zaczęła dymić. Właśnie rzucał się na mnie, ale poczuł spaleniznę, zamarł, obrócił się i popędził z powrotem w stronę placu, chcąc się skryć w cieniu budynków. Cała jego twarz skwierczała i puszczała parę. Teraz to już się naprawdę wściekł.

Usłyszałem krzyk z wyżyn Babingtona i zobaczyłem ślaniającą się w pawilonie postać objętą płomieniami. Trudny przeciwnik Owena musiał widocznie tam u góry chwycić więcej promieni słonecznych. Theophilus obejrzał się przez ramię i wskazując na mnie, wrzasnął:

– Marko! Zastrzel go!

Z okna w brązowym budynku wyłoniła się stalowa lufa, schowałem się więc jak najszybciej za kamienną kolumnę. Kula odbiła się od stopni i potrzaskała marmur wyciosany kilkaset lat temu. Teraz już nie miałem się jak ruszyć. Ze złamaną szczęką nie mogłem mówić, nie było więc mowy o splotach. Kołek był dość blisko, ale leżał na linii wzroku snajpera. Nie mogłem nawet spleść go z dłonią, bo nie miałem jak wypowiedzieć słów splotu. Dzięki słońcu przynajmniej znajdowałem się teraz na bezwampirzym skrawku ziemi. Gdyby któryś chciał mnie osobiście dorwać, musiałyby najpierw pokonać światło słoneczne.

Pozwoliłem sobie na odrobineczkę nadziei – dajcie mi minutkę, a coś przecież zaraz wykombinuję. Czasami naprawdę wystarczy minuta bez napastnika. Tylko że

wtedy właśnie wspaniałe żółte smugi światła na schodach zaczęły znikać, bo Fragarach nie rozganiał już chmur, które zaczęły na nowo zbierać się nad placem.

Zrobiło mi się nagle ciemno przed oczami (dosłownie) i zacząłem poważnie wątpić, czy którekolwiek z nas zdoła wyjść z tego cało. Byłem ranny, obolały i bez sił. Nie miałem już żadnej energii i żadnego sposobu, by zdobyć jej choć odrobinę. Nie widziałem, żeby Granuaile wstała po upadku, a gdy tylko znów zniknęło słońce, jeszcze kilka wampirów wskoczyło na dach Babingtona, żeby się uporać z szalejącym tam niedźwiedziem. Szybkie spojrzenie na plac wystarczyło, żeby stwierdzić, że Młoty Boga nadal walczą z pokręconymi różokrzyżowcami. Po obu stronach było ich znacznie mniej, ale przynajmniej wampiry się ich już nie czepiały, widać w zupełności skupiły się na eliminowaniu druidów. Były coraz bliżej. Theophilus był coraz bliżej. I nie miałem żadnych szans na tę minutkę, co to miała mi posłużyć do zebrania myśli.

Może więc bardzo szybka obserwacja: na razie Theophilus posługiwał się tylko dwiema metodami ataku i, może się myliłem, ale odnosiłem wrażenie, że w ogóle raczej się ich trzyma przez całe życie. Albo zastawiał na swoje ofiary pułapkę, albo nasyłał na nie druzgocąco większe siły. Trudno się czepiać którejś z tych taktyk, bo obie niemal gwarantują zwycięstwo, a o nie przecież tu właśnie chodzi. Zwycięstwo to różnica między starymi kolesiami a martwymi kolesiami.

Tylko że jeśli twój przeciwnik wie, że zastawiasz na niego pułapkę, to jednak trochę ta twoja przewaga staje się marniutka. Theophilus już raz mnie rąbnął znienacka, a gdyby jego snajper dał radę do mnie strzelić, toby to bez wątpienia uczynił. Więc raczej planował teraz nasłać na mnie swoich chłopców i wykurzyć mnie zza zasłony. Nie będzie próbował się pojedynkować, chyba że nie będzie miał wyjścia. Skłaniałem się więc do hipotezy, że jest beznadziejny w walce. Szybki, silny, odporny na większość rzeczy, ale niewyszkolony. A to oznaczało, że Leif pewnie by go pokonał, mimo że był młodszy i teoretycznie słabszy. Co z kolei oznaczało, że i ja bym go pewnie pokonał. Gdybym tylko miał dostęp do energii Gai.

Sięgając do starej wiedzy, której tym europejskim wampirom z pewnością nigdy nie chciało się zgłębiać, przykucnąłem za kolumną z prawą stopą wysuniętą do przodu, ale tak, żeby wciąż kryć się przed okiem snajpera. A potem zacząłem wykonywać Fragarachem serię ruchów, których nauczyłem się dawno temu w Chinach. Wykonywane odpowiednio szybko tworzyły wirującą zasłonę chroniącą moją głowę i tors. Nie wiedziałem, z której strony nadejdzie atak, musiałem więc

dać sobie jakąś szansę na jego spowolnienie, jako że wampiry będą miały znaczącą przewagę szybkości.

Pierwszy wyskoczył zza kolumny od mojej prawej strony, leciał głową do przodu z obnażonymi kłami. Spodziewał się stacjonarnego celu, a nie stali wirującej w powietrzu, którym nawet nie oddychał. Fragarach wbił się w jego głowę i rozrąbał ją wzdłuż, ale ciało poleciało do przodu siłą rozpędu i trochę mnie pchnęło na lewo, tylko że i tak chciałem skoczyć w tym kierunku, bo byłem pewien, że tam też pojawi się wampir, stara wypróbowana metoda „dwóch na jednego”. I oczywiście był tam. Wbiegł mi prosto na czubek Fragaracha, który nie trafił niestety w serce, za to przedziurawił płuco, którego krwio pijaci tak nie używał. A jednak chyba bolało, bo przystanął i zasyczał, owiewając mnie martwym oddechem. Żeby uciec z widoku, wykręciłem ostrze i skoczyłem z powrotem za kolumnę, pociągając za sobą i Fragaracha, i wampira. I w ten sposób to jego łeb, a nie mój, wybuchnął od kuli wystrzelonej przez wiadomego Marka.

Poprawiłem pozycję między dwoma martwiakami i znów przykucnąłem. Żaden z tych wampirów nie był porządnie i ostatecznie zabity, ale przynajmniej się nie ruszali. Trzeba by ich pamiętać potem rozpleść. Na razie jednak musiałem się szykować na drugą falę, która napłynie pewnie w ciągu kilku sekund. I pewnie najpierw ją poczuje, nim ją zauważę.

Na razie jednak nie pojawiała się więcej nieumarłych sług Theophilusa. Tylko się spociłem od tego machania mieczem, a przecież i tak już byłem wykończony i obolały. Może taki właśnie był plan. Odczekać, aż nie będę już miał siły utrzymać pozycji obronnej, i wtedy się na mnie rzucić. Gdy tylko przyszło mi to jednak do głowy, uświadomiłem sobie, że Theophilus nie może sobie na coś takiego pozwolić. Gdy tylko Owen pozbędzie się wampirów, które chwilowo zajmują jego uwagę, będzie mógł po kolei porozplatać resztę. Jeśli może mówić naturalnie. Zaczynałem się obawiać, że ta przemiana w niedźwiedzia oznacza, że odniósł obrażenie podobne do mojego. Jeśli miał potrzaskaną szczękę – a byłaby to ze strony wampirów niezła taktyka – to przemiana w niedźwiedzia i przez to większa skuteczność w walce miała sens.

Może naprawdę udało nam się pokonać większość wampirów. A może zajmowało je coś innego. Może właśnie obmyślały nową strategię, odkrywając ze zdumieniem, że jednak potrafią je pokonywać samym tylko mieczem (choć nie permanentnie).

Po mojej lewej mignęła mi jakaś smuga i pomknęła środkiem schodów, by przystanąć poza zasięgiem mojego miecza. Był to Theophilus, z twarzą zmarszczoną i pozbawioną już wyrazu pewności siebie. Obserwowałem go kątem oka, ale nie przestałem zasłaniać się wirującym Fragarachem. Jego pojawienie miało mnie najprawdopodobniej jedynie rozproszyć, a tymczasem atak nastąpił pewnie z boku lub z góry...

Spojrzałem kontrolnie w niebo i mignął mi ciemny kształt spadający na mnie ze szczytu kolumny, więc zamachnąłem się w prawo i rozplątałem ciało na dwoje. Gambit jednak się udał. Musiałem skupić się na sekundę, może dwie, i ten czas wykorzystał Theophilus, który z oślepiającą szybkością rzucił się na mnie i pchnął na bruk placu, rękę z mieczem przygniatając własnym ciałem. Gdy tylko uderzyłem w ziemię lewym bokiem, odskoczył, chwycił Fragaracha za ostrze i wyrwał mi go z dłoni, nie zwracając uwagi nawet na głębokie rany, jakie sobie w ten sposób zadawał. Cisnął go na stopnie przed domem Keatsa i Shelleya. Byłem więc bezbronny, bez energii i bez możliwości mówienia. Miał mnie i wiedział o tym. Uśmiechnął się, jego pewność siebie wróciła. Przycisnął mnie do ziemi palcami silniejszymi niż jakiegokolwiek żelazne kajdany.

Żeby chociaż zmasać mu z gęby ten uśmiech, mógłbym mu powiedzieć, że Werner Drasche nie żyje, ale nawet tego nie mogłem.

– Dobra robota, drogi panie – zadrwił. – Nie dość dobra, ale w każdym razie wyzwanie było. Przeciwnik wart zachodu. Gdy gniazda na całym świecie dowiedzą się, że zabił pan tak wielu, ale mnie nie zdołał pan pokonać nawet mimo słońca, cóż to będzie za prestiż. Można powiedzieć, że wyświadczył mi pan przysługę. Co nie znaczy oczywiście, że nie wbiję teraz panu pięści w czaszkę.

Nie miałem siły, by się mu wyrwać. Kiedy tylko podniesie rękę, nie będę miał jak zablokować ciosu, a nawet jeśli uda mi się czymś zasłonić, będzie to żałośnie słaba przeszkoda. Resztką własnej energii uruchomiłem raz jeszcze charms rozplatający, bo naprawdę nie miałem już do dyspozycji żadnej innej broni. Mało od tego nie zemdlałem, ale przynajmniej puścił moje lewe ramię, żeby złapać się za swój cenny golfik. Syknął przeciągle, a gdy ból ustał, uniósł pięść i szepnął:

– Dobranoc... he?

Wybałuszył oczy i spojrzał na swój prawy bok, gdzie nagle tuż pod jego pachą pojawił się nie wiadomo skąd znajomy kołek. Zamiast zadać cios, sięgnął więc pośpiesznie po kołek, żeby go wyrwać, ale rozplatanie już się zaczęło, rozdzierając go od środka. Najstarszy wampir świata zbulgotał wrzaskliwie, po czym stopił się

i wybuchł we wnętrzu swojej gustownej odzieży. Nawet golf nie uchronił mnie przed nadmiarem czerwieni, ale być może sprawił za to, że i ja wyglądałem teraz na martwego. Podążyłem wzrokiem wzdłuż toru lotu kołka i ujrzałem Granuaile. Stała na lewo ode mnie, za kolumną naprzeciwko, i ciężko opierała się na kiju. Jej ciuchy całe były w farbie i wyraźnie wołała nie używać prawej strony ciała, ale poza rozległymi siniakami i może jakimiś małymi pęknięciami nic a nic jej nie było. Uśmiechnęła się do mnie krzywo.

– Hej. Wyglądasz tak, jak ja się czuję. Przypomnij mi, że za te kołki to musimy kupić Luchcie całe piwo świata.

Chciałem do niej krzyknąć, żeby uważała na snajpera, ale chyba i tak o nim wiedziała, bo przecież kryła się za kolumną. Tylko że ja już nie.

Na szczęście wielkim minusem tych celowników optycznych jest to, że widać przez nie bardzo mały wycinek rzeczywistości. Snajper nie zauważył, jak Granuaile podbiega, więc teraz zaniepokoił się, że ktoś mu ukatrupił szefa, i odruchowo zaczął go szukać. To oznaczało, że przez chwilę nie miał mnie na celowniku. A przynajmniej domyślałem się, że tak było, skoro nie zginąłem natychmiast od kulki w mózgu. Ślizgając się chwilę w posoce starożytnego wampira, usiadłem z wielkim trudem i przeczołgałem się za kolumnę.

Owen też jeszcze nie skończył swoich dzikich harców. Pawilon na szczycie Babingtona stał teraz w ogniu – pewnie od wszystkich dymiących ciał wampirów, które zapaliły się, gdy na chwilę zajaśniało słońce – a Owen przebił się swoimi mosiężnymi pazurami przez mur i ześlizgnął po dachu, by nagle przemienić się w kanię. Patrzyłem, jak szybuje nad placem, po czym wlatuje nagle do okna brązowego budynku, z którego wystawała lufa Marka. Nie udało mu się dotrzeć tam, nim Marko wystrzelił, ale jednak dokładnie w momencie strzału. Pchnął lufę w dół szponami, a kula poleciała prosto do fontanny Berninich. Nie wiem, czy Marko celował we mnie czy w Granuaile. Nie dostał już drugiej szansy. Owen zniknął w budynku i domyślałem się, że w taki czy inny sposób zlikwidował wszystkich koleśki ze spluwami, bo gdy w końcu wyszedł głównym wejściem, ubrany był w jeden z ich garniturów.

Tymczasem plac zaczęła zalewać policja, usiłując przywrócić porządek, żeby w ogóle mieć szansę zrozumieć, co się tu stało. Ryk syren zapowiadał rychłe przybycie straży pożarnej oraz karet. Bez trudu przyszło nam z Granuaile udawać ranne ofiary masakry. Rabin Yosef Bialik też nie musiał się bardzo wysilać, żeby się zakwalifikować. Przeżyło tylko pięciu Młotów Boga, ale za to

całkowicie pokonali kabalistów hermetycznych. Ich brody wyglądały znów jak zwykły zarost. Zauważyłem, że zdążyli już zapobiegliwie usunąć srebrne noże z ciała pierwszego poległego krzyżowca. Rabin rzucił półgębkiem, że być może powinniśmy zrzucić wszystko na typków z dziwną fryzurą. Byłem za.

– Ja stracił dziś dobrych przyjaciół, lecz my odnieśli wielkie zwycięstwo nad złem, *da?* My porozmawiamy później. *Kak* wy będziecie mogli mówić.

Tak, porozmawiamy. Na pewno wisiałem mu herbatkę.

Kiedy Owen wyłonił się z budynku, miał jeszcze dość energii w swoich kastetach, żeby rzucić kamuflaż na całą naszą trójkę i nas stamtąd wydostać. Szczękę miał dziwnie powykręcaną, co potwierdziło moje przypuszczenia. Pewnie była zwichnięta albo może złamana tak jak moja. Do posiadłości Villa Borghese wracaliśmy, kulejąc i pojękując, po czym rzuciliśmy się na trawę, żeby poczuć znów obecność Gai. Najpierw zdusiłem ból, żeby odzyskać jasność myśli. Potem zająłem się składaniem szczęki, splatając kości i zęby niczym starych przyjaciół. Szczęka Owena była tylko zwichnięta, a gdy nastawił ją sobie z głośnym chrzęstem, polał się z niej długo wstrzymywany strumień przekleństw. Granuaile także skupiła się na ranach, a gdy Owen się trochę wygadał, siedzieliśmy długo we względnym milczeniu i koncentrowaliśmy się na leczeniu. Po jakiejś godzinie mogłem już mówić, choć mocno jeszcze bełkotałem.

– Hej, udało nam się – odezwałem się.

– Cholera – warknął Owen. – Wiedziałem, że to nie będzie trwać wiecznie, ale pojęcia nie masz, jak tu było piekielnie miło bez tego twojego ciągłego kłapania dziobem.

Rozdział 27

Wyłowiłem z kieszeni komórkę, wybrałem numer i mimo że usta i język miałem zakrwawione, powiedziałem:

– Widzimy szę żarasz w Antico Caffè Greco przy piazza.

Rozłączyłem się, gdy tylko usłyszałem potwierdzenie.

– Kto to był? – spytała Granuaile.

– Odpowiedz na pytanie, czo terasz. Głodna?

– Nie, póki jestem cała we krwi. Może potem.

– Na pewno będą tam mieli łażenkę.

Załadowawszy na nowo energię, zarzuciliśmy kamuflażę i znów przeszliśmy przez plac, ignorując barierki i przyglądając się stratom. Babington ucierpiał tylko na dachu i w górnym pawilonie. Ktoś na szczęście pofatygował się tam z gaśnicą i uratował resztę budynku. Po ostatecznych zgonach wampirów nie zostało nic poza oleistymi plamami i ciuchami. Owen potwierdził, że dorwał je wszystkie. Nie zabił wszystkich thralli, ale zostawił ich połamanych, a jednego także gołego. Gdzieś na górze Babingtona zgubił swój kołek, więc będzie musiał go potem poszukać. Mój znalazła na schodach policja i właśnie go chowano do torebki jako dowód. Gdy tylko policjant go odłożył, chwyciłem kołek i schowałem pod kurtkę. Nikt niczego nie zauważył.

Zwykle trzeba chwilę odczekać, nim zwolni się jakieś miejsce w Caffè Greco, legendarnej kawiarni, w której przez wieki raczyli się kawą tacy ludzie jak Keats, Shelley i wielu innych artystów i poetów. Jej czerwono-złote wnętrze widać dobrze się komponuje z duchami artystów, bo ludzie stoją w długich kolejkach, by móc na chwilę usadzić tyłki w miejscu, gdzie przed laty siedziały jakieś inne, słynniejsze tyłki. Ale w zimny śnieżny wieczór było tam prawie pusto. Nadal w kamuflażach przemknęliśmy pod nosami kelnerów i skryliśmy się w łazienkach, żeby doprowadzić się do ładu. Mogliśmy tam umyć twarze i włosy, a Owen, który przecież ledwo co ukradł sobie nowe ciuchy, prezentował się całkiem nieźle. Za to żeby moje ciuchy w ogóle jakoś wyglądały, musiałbym je uprać kilka razy w paru megabutlach odplamiacza. Lepiej już było je od razu rozpleść i nakarmić nimi ziemię.

- Wyglądasz, jakbyś wymordował cały autobus ludzi, synek – stwierdził Owen.
- Wiem. Ale jakosż to będzie. Chyba.

Wyszliśmy znów w kamuflażach, zrzuciliśmy je i wróciliśmy zupełnie widoczni. Granuaile wyglądała całkiem, całkiem, bo jakoś udało jej się uniknąć tej mazi. To ja musiałem się niezłe nagimnastykować, żeby mnie wpuścili do środka. Łamaną włoszczyzną wyjaśniłem przerażonemu maître d’hotel, że moje ubrania wcale nie są pokryte prawdziwą krwią, tylko syropem kukurydzianym zmieszany z barwnikiem spożywczym, którym obrzucili mnie jacyś cholerni obrońcy praw zwierząt za to, że miałem na sobie skórzaną kurtkę. Do tych wyjaśnień dorzuciłem pięćdziesiąt eurasów, które mi sprezentowali wcześniej tamci kieszonkowcy, i w końcu usadził nas skwapliwie przy czteroosobowym stoliku.

- Czekamy na znajomego – powiedziałem mu.

Zamówiliśmy espresso i siedzieliśmy w milczeniu. Byliśmy wykończeni, odcięci od Gai i usiłowaliśmy jakoś po cichu opanować ból. Nie było co gadać, póki nie pojawi się nasz gość.

A gdy już się pojawił, pierwszy zauważył go Owen.

- Co, do diabła? – warknął i z miejsca zaczął wymawiać zakłęcie rozplatające.

Ujrzałem wysokiego bladego wikinga o prostych, jasnych włosach. Ubrany był w nowoczesny włoski garnitur.

- Nie, nie! – zaprotestowałem, zaciskając mu usta dłonią. – To na niego czekamy!

Leif Helgarson przystanął, bo usłyszał moje słowa, i uniósł ręce do góry, żeby pokazać, że nie ma broni, ale Owen odepchnął moją dłoń i wrzasnął:

- Łapy przy sobie, gówniarzu!

- Dobra, ale wysłuchaj go. On będzie gwarancją bezpieczeństwa twojego gaju.

- Niech ci będzie. Ale na wszelki wypadek dawaj ten twój kołek – mruknął Owen. – Lepiej dla niego, żeby wiedział, jak się zachować.

Podąłem mu kołek, a on położył go na stole jako widoczne ostrzeżenie.

- Atticus, co się dzieje? – szepnęła Granuaile. – Byłam pewna, że go nie znosisz.

- Nie asz tak, jak wizji niekonczącej się wojny. – Przywołałem Leifa dłonią. – Czasamy lepiej zawrzeć pakt z diabłem niż czerpieć praworządnie przez czałą wiecznoszcz.

– Dobry wieczór państwu – przywitał się oficjalnie Leif, odsuwając krzesło i siadając. – Jestem wam bardzo wdzięczny za zaproszenie. I gratuluję zwycięstwa nad najstarszym wrogiem druidów.

– Dziękuje – odpowiedziałem, ale Granuaile i Owen tylko się w niego wpatrywali w milczeniu, ze spiętymi, gotowymi do ataku pięściami.

– Mam przy sobie dokument, o który prosiłeś, Atticusie – powiedział Leif. – Jest w kieszeni mojego płaszcza. – Nie odrywał wzroku od Owena. – Wyciągnę go teraz bardzo powoli.

– Ano. Lepiej, żebyś się z tym, cholera, nie śpieszył – mruknął Owen.

Blada dłoń Leifa nieśpiesznie przesunęła się do jego kieszeni. Owen zacisnął palce na kołku. Dłoń wampira zniknęła, dał się słyszeć cichy szelest papieru, a potem dłoń pojawiła się znowu, tym razem z pojedynczą kartką. Wyciągnął ją w moją stronę.

– Proszę, Atticusie.

Wzięłem ją od niego i rozłożyłem, a Leif skrzyżował ręce na piersi tak, że zarówno Granuaile, jak i Owen mogli je mieć na oku. Rozluźnili się całkowicie.

– To porozumienie – wyjaśniłem im. – Które możemy podpisać wszyscy czworo, jeśli chcemy.

– Prędzej oddam moje jaja na zupę dla biednych – wycedził przez zęby Owen.

– Nie chcesz, to nie musisz niczego podpisywać – zapewniłem go. – Tylko posłuchaj. – Spojrzałem na tekst i zwątpiłem. Mój język i szczęka naprawdę nie nadawały się do czytania czegokolwiek. – Granuaile? Przeczytasz?

Podąłem jej papier, a ona wyrwała mi go, nawet nie patrząc, bo wzroku nie spuszczała z Leifa.

– Ani się waż, kurwa, drgnąć – syknęła.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – odparł.

Szybko przebiegła wzrokiem treść dokumentu. Owen nie tracił czujności.

– Tu jest napisane, że mamy mu pomóc wyeliminować konkurencję w walce o przywództwo wśród wampirów – powiedziała.

– Damy adresy Młotom Boga – wyjaśniłem. – Nie musimy przeczeź robycz tego szamy.

– Poza tym większość pracy już wykonaliście – dodał Leif. – W chwili obecnej nie spodziewam się wielu przeszkód, jeśli w ogóle jakieś nastąpią. Z tego, co mi wiadomo, jestem teraz najstarszym wampirem na świecie.

– Piszą tu – ciągnęła Granuaile – że odtąd wampiry nie mogą okupować żadnej części Ameryki Północnej na zachód od Gór Skalistych.

– I? – ponagliłem ją.

– I Polski. – Granuaile podniosła na mnie wzrok.

– Staram się dotrzymywacz obietnic.

– Szczegółowe ustalenia pod spodem uściślają, że wampiry mają jeszcze miesiąc na ewakuację z wyżej wymienionych obszarów. Potem mogą zostać rozplecione lub zadżgane bez żadnego dodatkowego ostrzeżenia.

– A co my mu za to mamy dać? – warknął Owen.

Granuaile znów opuściła wzrok na papier.

– Wszędzie indziej mamy rozejm. Żyj i daj innym być nieumarłym czy coś w tym stylu. Nie rozplątamy wampirów, a one nas nie atakują. Wojna zakończona. Obie strony mają jednak prawo bronić się w razie fizycznego ataku.

– Phi. To się aż prosi o nadużycia. Zabij synka, a potem powiedz, że to on cię zaatakował i tylko działałeś w samoobronie.

Granuaile skinęła głową, że przyjmuje tę uwagę do wiadomości, i czytała dalej.

– Wampiry zgadzają się ograniczać swoją populację zgodnie z Układem Rzymskim, który wyznacza proporcję jeden wampir na sto tysięcy ludzi. – Podniosła oczy na sufit, przeliczała. – Jeśli odejmiemy populację Polski i Zachodniego Wybrzeża, to oznaczałoby znaczącą redukcję netto wampirów na świecie.

– Gówno prawda – dodał swoje trzy grosze Owen.

– Twój gaj będzie bezpieczny, Owen – powiedziałem. – Nawet gdy już ich kiedysz szpleczesz.

– Pleciesz to ty głupoty – warknął na mnie gniewnie, ale wiedziałem już z doświadczenia, że to znaczy, że jednak do niego dotarło. Skoro się na mnie nie drze, to znak, że przynajmniej się zastanawia.

Granuaile przechyliła głowę i wskazała dokument.

– Jeśli miałabym to podpisać, to musielibyście dodać jeszcze jeden paragraf.

– Co takiego? – spytał Leif.

– Wampiry zgadzają się natychmiast wycofać te swoje wielgachne udziały z inwestycji w paliwa kopalne. Ich ewentualne inwestycje w energię będą odtąd skupione na źródłach energii odnawialnej.

– Rozumiem. Ale co byśmy dostali w zamian?

– Potężną wskazówkę, że już wkrótce inwestycje w paliwa kopalne będą oznaczały bardzo marniutkie dywidendy. – Uśmiechnęła się do niego. – Osobiście ci to gwarantuję. Sprzedawaj, póki jeszcze da się je dobrze sprzedać.

– Zgoda – stwierdził Leif.

– Chcę także dostawać regularne informacje na temat przebiegu ewakuacji z Polski do czasu, aż zostanie ona ukończona. Nazwiska wyjeżdżających wampirów i jakie miasta okupowały. – Spojrzała na mnie. – Będę się teraz często widywała z siostrami, Atticusie, a one będą chciały wiedzieć takie rzeczy.

– W naszej umowie już jest zapisane, że otrzymacie pełen raport pod koniec naszego miesięcznego okresu ochronnego – odparł Leif. – Po trzydziestu dniach osobiście sprawdzę, czy aby wszystkie wampiry opuściły Polskę, a jeśli nie, podam wam ich lokalizację, żebyście mogli je rozpleść, zgodnie z postanowieniami niniejszej umowy.

– Aha. Podoba mi się to. – Znow skupiła się na czytaniu, dopijając espresso. – W sumie jestem za. Podpiszę to.

– Ja też – dodałem i oboje spojrzeliśmy na Owena, który patrzył to na nią, to na mnie.

– Naprawdę uważacie, dzieci, że warto podpisać to gówno? – spytał.

– Tak. Dołącz do nas, a wspólnymi siłami zakonczymy ten desztruktywny konflikt.

Nie dodałem „i zaprowadzimy porządek w galaktyce”, ale Granuaile i tak zasłoniła usta, żeby ukryć uśmiech.

Owen nie wyłapał cytatu.

– Dodaj Irlandię do stref bezwampirzych, to podpiszę – zwrócił się do Leifa. – Jeśli ktoś ma komuś prać dupsko w mojej starej ojczyźnie, to już niech to będę ja, a nie jakieś martwe synki.

– Nie ma sprawy.

– Dobra – mruknął Owen. – To już załatwmy to i zacznijmy się trzymać z dala od siebie.

– Czekać! Jeszcze jedno! – przypomniało się Granuaile. – Podpiszę to, pod warunkiem że odpowiesz mi wreszcie na moje pytanie, bo naprawdę umieram z ciekawości: wampiry robią w końcu kupę czy nie?

Leif opadł w krzesło i wzniósł oczy ku niebu.

– Błagam, nie. Nie odzierajcie mnie z resztek godności.

– Możesz sobie mieć tyle godności, ile dusza zapragnie, gdy już będziesz rządził całym wampirycznym światem. Ale chcemy wiedzieć.

Westchnął dramatycznie i zakrył sobie oczy dłonią, żeby nie musieć na nas patrzeć. W jego głosie słychać było ból, gdy wyjaśniał:

– Nie ma żadnych ekskrementów sensu stricto ani żadnych ruchów jelit. Jest tylko... taka... – Jego palce zatrzepotały niczym zagubione ćmy, gdy szukał słowa, po czym zacisnęły się, gdy je znalazł. Mało się nie popłakał – ...nieprzyzwoita wydzieliną.

Granuaile odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem z taką siłą, że aż spadła z krzesła. Przeturlała się i zaczęła walić dłonią w podłogę, ubawiona nie tyle samą treścią wyznania, ile ewidentnym obrzydzeniem Leifa w chwili, gdy musiał powiedzieć prawdę.

Też żeśmy się z tego nieźle uśmiali z Owenem. Dobrze się stało, że Granuaile pamiętała, by go zapytać.

Tylko w tej chwili dało się z niego wydusić odpowiedź.

Leif wyciągnął pióro i zaczął dopisywać wyliczone przez nas postanowienia dodatkowe, więc mieliśmy akurat chwilę, żeby się opanować. Podpisaliśmy wszyscy troje, potem on dodał swój podpis i wszyscy się staraliśmy, by wyglądało, jakbyśmy byli zorganizowani i poważni, choć z naszej strony wypadło to pewnie raczej jak grymasy bólu w sześćdziesięciu procentach i czterdziestu – wycieńczenia.

– Dziękuję wam – powiedział Leif, składając dokument. Spojrzał na mnie z uśmiechem. – Nie możemy się przecież rozstać bez kilku słów Barda. „Zwycięstwo teraz wytchnąć nam dozwala, pokoju wzrokiem gładzi wojny czoło”. Kto to powiedział?

– Król Edward IV w trzeciej części *Henryka VI*. Odpowiem ci cytatem z *Cymbelina*: „Cześć bogom! Niechaj kłębiące się dymy ze świętych ołtarzy do nozdrzy ich lecą! Poddanym naszym pokój ten ogłosimy”.

– Dobrze powiedziane – przyznał Leif, a uśmiezek przeszedł w pełen uśmiech. Machając naszą umową, powiedział: – Wyślę wam kopię, tylko powiedzcie dokąd. Teraz mam dużo do załatwienia. Również ogłoszenie tego pokoju, jak sam słusznie zauważyłeś. – Wstał powoli z krzesła, żeby nie niepokoić wciąż czujnych Owena i Granuaile. Skłonił nam się elegancko. – Bądźmy w kontakcie. Żegnajcie.

Gdy tylko zniknął nam z oczu, odetchnęliśmy z ulgą, ale cichutko, żeby jeszcze nas przypadkiem nie usłyszał. Zamknąłem oczy i w milczeniu podziękowałem

Brigid, Morrigan i wszystkim bogom niejedynym za tę chwilę pokoju, której załatwienie trwało wieki. Nie żeby któraś z tych bogiń jakoś się specjalnie przyłożyła do sprawy. No, może z wyjątkiem Brigid i jej pomysłu na kołki. Po prostu są takie chwile, kiedy trzeba komuś podziękować, wyrazić jakoś wdzięczność za drogę za naszymi plecami i za tę przed nami, za miejsce, w którym jesteśmy. A bogowie akurat świetnie się nadają do przyjmowania takich uczuć. I biorąc pod uwagę, ile im ludzkość zawraca głowy prośbami o wsparcie w takich czy innych kryzysach, ważne, by – gdy akurat coś się dobrze układa – mieć w sobie tę wdzięczność albo przynajmniej być świadomym tego uśmiechu fortuny, bez względu na to, czy bogowie sobie na tę wdzięczność zasłużyli czy nie. Tyle się zawsze namęczymy, by osiągnąć okruchy harmonii, że głupio by było potem ich nie zauważyć, gdy już nam się trafią.

– Udało nam się – westchnąłem, nie bez zdumienia w głosie. – Troje druidów kontra wampir, który mało nasz wszystkich nie wybił, i w koncu nam się udało. Dwa tysiące ukrywania się, czekania, a potem mnóstwo kombinowania i krwi, ale w koncu dorwaliszmy drania. – Odwróciłem się w ich stronę. – Dziękuje wam za pomoc.

– Dobra. A możemy już w cholere zniknąć z tego gównianego miasta? – spytał Owen.

– Właśnie – dodała Granuaile. – Zabierajmy stąd nasze obite dupy i spadajmy do jakiegoś zielonego miejsca.

Hmm. Może i dla nich to nie była aż taka wielka chwila. Nie musieli na nią czekać dwa tysiące lat. Ja tymczasem miałem jeszcze koszmarny dług do spłacenia cisowcom za ich pomoc i będę musiał oddać rabinowi Bialikowi, co mu się należy. Ale chętnie to wszystko spłacę. Grunt to pozbyć się wreszcie starego strachu. Moja świadomość tkwiła w jego okowach tak długo, że już nawet nie czułem tego ciężaru – póki się od niego nie uwolniłem.

– Dobry pomysł – zgodziłem się i na moich opuchniętych ustach pojawił się bolesny uśmiech. – Najchętniej tobym teraz się po prostu pobawił z moim pszem.

Epilog

Trzy tygodnie później, już po zimowym przesileniu i Nowym Roku, nad Wybrzeżem Północno-Zachodnim niebo było tak błękitne, że zupełnie mi nie przeszkadzał zimowy chłód. Dzięki naszemu porozumieniu z Leifem Owen będzie mógł teraz spokojnie zająć się porządnym trenowaniem uczniów (tym spokojniej, że beze mnie). A że Granuaile była teraz tak jak ja osłonięta przed wywróceniem, Fand i Manannán Mac Lir nie znajdą nas w naszym nowym domku w Oregonie, jeśli w ogóle mieli to na swojej liście spraw do załatwienia. Nie słyszałem nic o tym, żeby ich znów złapano, ale wolałem nie pytać. Mój plan był prosty – ignorować ten problem, póki się da.

Kancelaria Magnusson & Hauk sfinalizowała sprawy dotyczące naszej nowej nieruchomości, ale potem wręczyła mi papiery jednoznacznie skreślające mnie jako klienta. To rozstanie zasmuciło mnie ogromnie, tak zresztą jak jego powód. Ponieważ nie miałem szans stawić się na uroczystościach pożegnalnych dla Hala, zrobiłem sobie swoje małe prywatne pożegnanie w lesie, roniąc kilka łez i mając nadzieję, że gdziekolwiek jest teraz jego duch, wybaczy mi.

Tyle z tego dobrego, że warto było poczekać na tę nową ziemię. Znajdowała się w bardzo odosobnionym miejscu, w Willamette National Forest, i stał na niej stary domek, taki z gankiem dookoła całego budynku i ze stromym zielonym dachem. Była nawet szklarnia, w której zimą można uprawiać zioła – choć ta akurat była nowa, dodała ją Granuaile. Zapłaciła za nią z własnych funduszy i powiedziała, że to mój prezent na nowy dom. I inwestycja zarazem.

– Uważam, że powinieneś wrócić do produkowania herbat – stwierdziła, pokazując mi ją. Zarzuciła mi ręce na ramiona i pocałowała w policzek. – Tylko tym razem online. Sprzedawaj Młodości Czar i resztę i będziemy to rozsyłać w świat.

Ucieszyłem się, że snuje takie długoterminowe plany. A jeszcze bardziej, że używa pierwszej osoby liczby mnogiej.

Może moje niepokoje co do nas jako pary były jednak bez sensu, tylko że... hmm. Wątpliwości to szkodliwy, agresywny chwast, którego niemal nie da się wyplenić, gdy już raz się załęgnie w umyśle. Możesz go wyrwać i myślisz sobie, że

masz już święty spokój, ale on wróci po kilku tygodniach, a może nawet już po kilku dniach. Granuaile nie zrobiła nic, bym mógł wątpić w jej wierność. Poza tym naprawdę nie należałem do zaborczych facetów – nasze ciała zostały stworzone do cieszenia się ciałami innych ludzi i już dawno doszedłem do wniosku, że głupotą jest potępiać ludzi za to, że postępują zgodnie z naturą. Co innego jednak zwykłe pożądanie, a co innego prawdziwa namiętność. Granuaile ma ledwie trzydzieści parę lat i nie pożyła jeszcze dość długo, by wiedzieć, co to miłość starego dobrego małżeństwa. Więc gdy kochaliśmy się pierwszy raz po Rzymie i było jakoś inaczej niż przedtem, wróciły wszystkie te męczące mnie wcześniej wątpliwości i przysięgam, że zaczęły mi wymachiwać przed nosem jak nieznośnie radosne kelnerki w steak house'ach. Ostatnie, czego teraz potrzebowałem, to ten przeklęty cytat ojca Laurentego z *Romea i Julii*: „Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny: Są one na kształt prochu zatłonego, co, wystrzeliwszy, gaśnie”, ale nie, oczywiście musiał mi się kołatać po głowie, jakbym był napalonym młodym Montekim, a nie kimś znacznie od niego starszym. I normalnie tak mi truł i truł jeszcze następnego dnia, aż nie wytrzymałem i powiedziałem mu na głos:

– Hej, odwal się, ojczulku, dobra?

Usłyszał mnie Oberon i natychmiast się zaniepokoił.

<Do kogo mówisz, Atticusie? Mam go pogryźć?>.

Nie, to by oczywiście nie pomogło. Ale nie opuszczał mnie niepokój. Bo było jakoś inaczej, a przecież miałem już za sobą kilka związków. I rozpoznawałem już te znaki, a nie byłem gotów na nadciągający koniec. Wiedziałem jednak z doświadczenia, że ludzie wyrastają ze związków, a Granuaile jeszcze miała wiele do podrośnięcia. Nie nauczę jej polskiego, więc będzie spędzać mnóstwo czasu w Polsce z Siostrami Trzech Zórz. Już sobie załatwiła robotę w jakimś barze w Warszawie, żeby mieć kontakt z językiem. Spędzała też sporo czasu na monitorowaniu działalności Thatcher Oil & Gas. Widywałem ją tylko, gdy wracała do domu na noc i w jej weekendy, które wypadają w poniedziałki i wtorki.

Choć z drugiej strony nie było przecież wykluczone – może nawet było całkiem prawdopodobne – że moje obawy są zupełnie bezpodstawne i wymyślone przez moje nieznośnie wątle ego. Bo poza moją wyobraźnią nie dała mi przecież żadnego powodu do niepokoju. Powinienem pewnie robić to co wszyscy – cieszyć się swoim szczęściem, póki jest ze mną, a nie martwić się, że kiedyś je utracę. I bardzo się starałem ucześcić tej myśli z nadzieją, że zagłuszy tego dupka, ojca Laurentego.

Sosny i daglezje pachniały pięknie w styczniowym powietrzu w ten rześki poniedziałek, a najcudowniejsze powietrze było nad rzeką McKenzie. Poszliśmy tam na spacer z psami, zapewniając je, że będzie to chwila historyczna.

– Chcieliśmy z Granuaile czegoś spróbować – powiedzieliśmy psom. Mój język, szczęka i usta już się zaleczyły do tego stopnia, że mogłem normalnie mówić. – To nowy rodzaj splotu. Ale przez kilka minut musicie siedzieć bardzo spokojnie.

<Żadnego merdania ogonem?> dopytywała się Orlaith. <Trudno nie merdać, jak się jest szczęśliwym, a jestem teraz szczęśliwa>.

– Merdanie nie powinno stanowić problemu – zapewniła ją Granuaile. – Ale bądź tak dobra i nie machaj resztą ciała.

<Hej! Momencik!> zawołał Oberon. <Czy to aby nie jakiś kawał? Nie rzucicie nam przypadkiem pod nos kiełbasy i każecie się nie ruszać?>.

– Nie, Oberonie – zapewniłem go. – Nie będzie żadnego jedzenia. Ale i tak wam się spodoba. Po prostu bądźcie teraz cierpliwi i grzejcie się chwilę nieruchomo w słońcu, póki tak ładnie świeci, dobrze?

Był to wyjątkowo pogodny dzień jak na wczesną zimę w Oregonie, ale za kilka godzin nadciągnie burza znad Pacyfiku i dopiero zrobi się zimno.

Oberon i Orlaith siedli obok siebie na trawie, wywalili języki i merdali ogonami ze szczęścia. Usiedliśmy z Granuaile przed nimi po turecku. Skinąłem głową i oboje przerwaliśmy się na magiczne spektrum, tak żeby widzieć aury naszych psów i sploty łączące ich umysły z naszymi. Już dawno temu obiecaliśmy im, że spleciemy je kiedyś ze sobą, żeby mogły bezpośrednio słyszeć swoje myśli, ale nigdy przedtem tego nie robiliśmy, więc nic im teraz nie powiedzieliśmy, żeby uniknąć ewentualnego rozczarowania.

Pracę nad nowym splotem rozpoczęliśmy w tandemie, staroirlandzki płynął z naszych ust niemal według tego samego wzoru, lecz cele były inne. Ja zacząłem od Oberona i splatałem jego myśli z Orlaith, a Granuaile z kolei splatała myśli Orlaith z Oberonem. Na razie jeszcze psy były nadal splecione z nami – będziemy mogli słyszeć ich rozmowę, ale z konieczności będzie trzeba dać im zaraz odpowiednik ich prywatnej linii, bo inaczej będziemy bez przerwy słyszeć ich paplaninę, również wtedy, gdy będziemy spać czy próbować skoncentrować się na czymś innym. Po zakończeniu splotu nie zadźwięczą w ich głowie żadne triumfalne dzwony, więc będziemy musieli im powiedzieć, że mają to połączenie, a oni będą

się musieli nauczyć go używać. Zgodziliśmy się przedtem, że najpierw powiemy Oberonowi, żeby to on spróbował.

– Dobrze, Oberonie – powiedziałem na głos. – Powinieneś teraz móc porozumieć się z Orlaith. No, spróbuj. Pomyśl coś do niej, a nie do mnie.

<Co? Że jak? Teraz? Znaczy... mam po prostu powiedzieć: halo? Halo?>.

Suka Granuaile odpowiedziała zerwaniem się na równe nogi. Z przejęcia merdała już nie ogonem, ale całą połową ciała.

<Hej! To Oberon! Słyszę twoje słowa! Słyszysz mnie? Halo? Oberon!>.

Oberon też się poderwał, równie podekscytowany.

<Tak! Tak! Łał! Cześć, Orlaith!>.

<Cześć! Ale super!>.

<No, wreszcie! Bo wiesz, już dawno chciałem ci powiedzieć, że jesteś niesamowitą suką. Normalnie od chwili, gdy ci obwąchałem tyłek, wiedziałem, że będzie nam świetnie razem!>.

<Ooo, to takie miłe z twojej strony! Też tak o tobie pomyślałam!>.

Oberon stanął na tylnych łapach i zamachał przednimi w stronę Orlaith, a ona odpowiedziała tym samym, jakby byli bokserami, a nie wilczarzami. Potem skakali przez dobrą chwilę w kółko.

<Och, jej, trzy rodzaje kociego gówna, Orlaith!> powiedział mój pies. <No, wiem, że powinienem teraz mówić same jakieś mądre rzeczy, ale normalnie taki jestem przeszcześnieśliwy, że nie mogę zebrać myśli! Bym tylko biegał w kółko z tego szczęścia!>.

<Ja też! To dalej, na co czekasz?>.

<Serio? Dobra! Jesteś idealna!>.

Pognali w las, jakby zupełnie roznosiła ich radość, a my z Granuaile zostaliśmy nad rzeką. Popatrzyliśmy po sobie i wybuchnęliśmy śmiechem. Granuaile przytuliła się i pocałowała mnie, po czym odsunęła się odrobinę i szepnęła:

– Ja też wiedziałam od początku, że będzie nam ze sobą świetnie, wiesz?

– Czekaj no? Niby tak jak Oberon?

– Ha! Nie, mam inne metody. Kiedy wszedłeś po raz pierwszy do Rúli Búli, po prostu wiedziałam. Miłość od pierwszego wejrzenia, nie od pierwszego wachania.

– Dlatego że Laksha siedziała w twojej głowie i powiedziała ci, że jestem druidem?

– Nie, nie. Pierwsza cię zobaczyłam. Laksha opowiedziała mi o tobie dopiero później.

– Ach, cóż za balsam dla mojego ego. – Jej usta były tak blisko, że czułem zapach jej truskawkowego błyszczyka. Czułem się jak dawniej. – Doprowadzasz mnie do szaleństwa, wiesz?

– No, wiem – przyznała z uśmiechem.

A potem zerwaliśmy nasze połączenie z psami, żeby już ich nie podsłuchiwać i żeby miały odrobinę prywatności, i cieszyliśmy się naszą własną chwilą prywatności na brzegu rzeki, wcale się nie przejmując, że straszny ziąb.

Kilka następnych dni minęło nam w błogim szczęściu. Były to jedne z tych bez troskich dni, o których zawsze się marzy i na które się pracuje w pocie czoła większość życia.

A potem Orlaith dostała ciecarki i nasze psy zaczęły na coraz dłużej przepadać w lesie, aż pewnego wieczoru kazały nam usiąść przy kominku na Bardzo Poważną Rozmowę.

<Atticusie, Bystra Dziewczyno, rozmawiamy już o tym z Orlaith od jakiegoś czasu i doszliśmy do wniosku, że powinniśmy wam coś powiedzieć> zaczął Oberon.

<Tak> dodała Orlaith. <To jest coś bardzo ważnego. Słuchacie uważnie?>.

Zapewniliśmy więc nasze psy, że zamieniamy się w słuch.

<Jestem w ciąży!> obwieściła Orlaith.

<Co oznacza, że będziecie musieli kupować odtąd o wiele więcej kiełbasek> wyjaśnił Oberon.

Zaczęliśmy klaskać, pisać i przytulać ich oboje.

– Co za wspaniałe wieści! – zawołała Granuaile.

– No właśnie! Trzeba to uczcić! – zdecydowałem. – Oberonie, w końcu w ogóle nie dałem ci pogulać, jak byliśmy w Pradze. Słowo daję, że z tej okazji i ty pogulasz, i my pogulamy!

Granuaile i Orlaith nie bardzo rozumiały, o co nam chodzi, ale szybko wszystko im wyjaśniliśmy i były zachwycone.

Postanowiłem, że poza szklarnią założę jeszcze ogród z kwiatami wokół chaty i będę hodował pszczoły. Szczeniaki powinny się pojawić, akurat gdy wszystko wiosennie zakwitnie. Będą po prostu urocze i harmonia będzie z nami.

Źródła

F. Dostojewski, *Notatki z podziemia*, [w zbiorze:] *Gracz. Opowiadania 1862–1869*, przeł. G. Karski, Warszawa 1964

W. Szekspir, *Otello*, akt III, sc. 3, w przekł. J. Paszkowskiego

W. Szekspir, *Cymbelin*, akt V, sc. 5, w przekł. L. Ulricha

W. Szekspir, *Henryk VI*, cz. 3, akt II, sc. 6, w przekł. L. Ulricha

W. Szekspir, *Romeo i Julia*, akt II, sc. 6, w przekł. J. Paszkowskiego

Walt Whitman, *Pieśń o sobie*, wybrał, przełożył i posłowiem opatrzył Andrzej Szuba, Kraków 1992

O autorze

Kevin Hearne znany jest z tego, że hasa beztrosko z psami. Pewnie hasa nawet w tej chwili i zadaje swojemu psu te odwieczne pytania typu: „Kto jest dobrym pieskiem?” oraz „Kto chce dostać smakołyk?”. Poza tym przytula drzewa, tańczy do oldskulowego heavy metalu i nadal czyta komiksy. Mieszka z żoną i córką w Kolorado.

kevinhearne.com

[Facebook.com/authorkevin](https://www.facebook.com/authorkevin)

@KevinHearne